



VALDEMAR  
BALDHEAD

---

PER

FI

DIA

**PERFIDIA**

**PERFIDIA**

3

**VALDEMAR  
BALDHEAD**

# **PERFIDIA**

**VALDEMAR BALDHEAD**

# **PERFIDIA**

**Krajowa Agencja Wydawnicza**

**„Liber”**

**Kraków 1991**

**Projekt okładki i stron tytułowych:  
MAREK PIETRZAK**

© Copyright by Waldemar Łysiak, Kraków 1991

ISDN 83—03—03218—6

*Perfidia nie może być grzechem  
cóż bowiem podlejszego nad  
bezradność lub nudę?*

**(Waldemar Łysiak)**

**BYŁ SOBIE POLICJANT...**

*Dobry policjant nie dostrzega tego, czego  
nie musi dostrzegać i koncentruje się  
tylko na sednie sprawy.*

(Napoleon w liście do ministra policji,  
generała Savary'ego, październik 1813)

**FACET O ŁADNYM NAZWISKU**

Śliczna była ta dziewczyna. Kiedy stanęła w drzwiach do jego gabinetu, Lessepsa zatkało. Widział w swym życiu wiele pięknych dziewczyn i niektóre udawało mu się zdobyć, a jedna zdobyła go kawałkiem złota na palcu, ale ta! Pasowała do magnetycznego głosu, który przed godziną dobiegł go ze słuchawki i nie pozwolił zbyć czymkolwiek albo odesłać do któregoś z podwładnych. Cała. Od plażowych sandałów na stopach aż do złotych włosów, poprzez pośladki, brzuch i piersi, takie właśnie, jakie lubił — optymalne.

Początkowo, gdy zaczęli rozmawiać, nie tyle on się odzywał, ile jego policyjna rutyna; on był zajęty czymś innym — patrzył na dziewczynę jak głodomór na chleb i sycił jej widokiem bezwstydnymi myślami. Ale trwało to bardzo krótko, do chwili, kiedy powiedziała coś, co zatkało go po raz wtóry i kazało przestać myśleć o jej ciele, a skoncentrować się na słowach.

— Pan inspektor Lesseps? — spytała na wstępie i nie czekając na odpowiedź wyrzuciła z siebie: — Strasznie trudno dostać się do pana, czy to jest bunkier, a może pan jest Marlonem Brando? Co?!... Podobno policja jest w służbie społeczeństwa, czy nie tak się pisze?! Co?! A jak coś trzeba, jak się chce...

— Osiągnęła pani przecież to, co chciała, przyjąłem panią, chociaż powinien był to uczynić oficer dyżurny.

— Ten pański oficer przez pół godziny nie chciał mnie z panem połączyć, to jakiś brutal! Gdybym miała sprawę do oficera, to nie zawracałabym głowy panu!... A może znowu mnie oszukujecie, co? Czy pan jest na pewno inspektorem Lessepsem?

Lesseps odesłał ruchem ręki funkcjonariusza, który ją przyprowadził, i powiedział:

— Tak, to ja. Proszę usiąść — wskazał krzesło stojące przed biurkiem — panno...

— Marchi, Adrianna Marchi, panie inspektorze.

— To prawdziwe nazwisko?

— Dlaczego pan wątpi?

— Bo wymyślała je pani o dwie sekundy za długo. Kłamać trzeba bez zastanawiania się, z marszu, jak powiadają żołnierze, albo mówić prawdę. A więc to fałszywe nazwisko?

— Fałszywe, niech panu będzie! Ale ładne. Ja wiem, że nie tak ładne jak pańskie, ale...

— Dlaczegoż to moje jest takie ładne?

— Jak to dlaczego? Przecież to francuskie nazwisko i do tego tak się nazywał ten... no ten, nie pamiętam, ten marszałek Napoleona, który podbił Saharę, czy... zaraz, czy czasem nie ten facet, który pierwszy przeleciał Atlantyk? Nie! Już wiem! To ten, który wymyślił kolej!... Zgadłam?

— Niezupełnie, panno Marchi.

— Nie?... Aaaa, no jasne, ale jestem głupia! Przecież to ten od szczepionki przeciw ospie! Co?... Znowu?... Ale już blisko, prawda? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Prawda. Ten facet wybudował Kanał Sueski.

Dziewczyna zrobiła Obrażoną minę i zamilkła, ale tylko na moment.

— Możliwe, wszystko jedno. Ale miałam rację, że to była gruba ryba...

Lesseps skinął głową z tą samą powagą, jaką zachowywał dotychczas.

— Tak miała pani rację. Możemy wobec tego przejść do celu pani wizyty. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

— Zaraz powiem, ale jak się nazywam naprawdę, tego nie powiem, bo gdybyśmy się nie dogadali, to pan szybko odnalazłby mojego brata i zamknął go. A tak, ustalenie kim naprawdę jestem zabierze panu tyle czasu, że już będzie po wszystkim, chyba, że zastosuje pan tortury, inspektorze...

Uśmiechnęła się i Lesseps też się uśmiechnął. Do niej, ale też i z jej naiwności. Odpowiedział z galanterią:

— Ależ droga pani, nie jestem wielbicielem praktyk markiza de Sade. Torturowanie pani byłoby torturą dla mnie. Zresztą tortury wyszły już w naszym kraju z mody, a szkoda, bo czasami trudno je zastąpić... No, ale przejdźmy do rzeczy. Z czym pani przychodzi?

Dziewczyna sięgnęła do sznurkowej torebki i podała mu strzępy gazety.

— To kawałek „Il Messagero” sprzed pół roku, panie inspektorze. Wyrwałam go ze zszywki bibliotecznej.

Przez chwilę przyglądał się z uwagą jej dłoni, starannie wypielegnowanej, z jaskrawo polakierowanymi paznokciami, a następnie wziął poźółkły, zadrukowany świstek i zaczął czytać. Poznał od razu: prasa trąbiła wówczas przez miesiąc o ukradzionym arcydziele Rafaela. Wielkie czarne litery: **Policja**



*na tropie Madonny z...* Poczul, że drży. Cóż warta była ta dziewczyna w porównaniu z *Madonną* Rafaela? Gdyby ją odzyskał, mógłby przeskoczyć do Interpolu... Opanował się i znowu się uśmiechnął, kryjąc w ten sposób podniecenie.

— Nie przyszła chyba pani po to, by błagać o karę za zniszczenie zbiorów bibliotecznych? — zażartował.

Ale tym razem nie podjęła pałeczki. Uśmiech zgubił się gdzieś w głębi jej oczu i to, co powiedziała, zabrzmiało bardzo poważnie:

— Chce pan odnaleźć to płótno czy nie?!

Odpowiedział machinalnie:

— Tak, chcę.

— O tym samym marzą wszyscy policjanci Europy...

— Wiem.

— ...ale szansę ma tylko pan, teraz. Ja jestem tą szansą.

Lesseps odkaszlnął, by złagodzić suchość gardła. Opuścił dłonie, by nie widziała, jak drżą.

— Nic pan nie powie? — spytała.

— Na razie nic, słucham. Co może pani zrobić w tej sprawie?

— Bardzo dużo. Mogę sprawić, że stanie się pan dla tłumu — żywym wcieleniem Maigreta. Mianują pana bohaterem narodowym, a prezydent uściśnie pańską genialną dłoń w błysku fleszów!

— To rzeczywiście bardzo dużo. Pani jest czarodziejką czy aktualną właścicielką obrazu?

— Powiedzmy, że to drugie. W każdym razie mogę panu oddać Rafaela, inspektorze.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu, panie inspektorze. Plus połowa nagrody, którą otrzyma pan od rządu włoskiego.

Lesseps zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Powiedzmy, że się zgadzam. Gdzie jest...

— Nie tak szybko, panie inspektorze! Ja nie mam tego płótna, ale wiem, gdzie ono jest. Dowiedziałam się od brata. On sam nie mógł do pana przyjść, boi się, że go śledzą.

— Kto go śledzi, panno Marchi? Kumple? Nie udało wam się sprzedać arcydzieła, bo żaden kolekcjoner nie jest takim idiotą, by pakować miliony w skradziony unikat, znany nawet dzieciom z podręczników, czy tak?

Ukradliście i znaleźliście się w kłopotcie, pomyśleliście więc, że dobra i połowa nagrody dla znalazcy...

— Nie zgadł pan, panie inspektorze! Ja i mój brat nie jesteśmy złodziejami i nie maczaliśmy palców w tej aferze... To znaczy brat tak, tylko że zmuszono go do tego przed miesiącem za pomocą pistoletu!

— Kto go zmusił?

— Ci, którzy dokonali rabunku. Myślę, że to mafia.

Lesseps odchylił się wraz z fotelem i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Wiedział, że teraz już nie może popuścić i zastanawiał się, jak to rozegrać, żeby jej nie spłoszyć, nie przedobrzyć w jedną ani w drugą stronę. Podniósł wzrok i spojrzał ostro w twarz dziewczyny, nadając głosowi ton twardszy o jedną nutę:

— Wszystko pięknie, panno Marchi, ale dlaczego bandyci wybrali sobie akurat pani braciszka? Podobał się z profilu?!

Dziewczyna poderwała się z krzesła.

— Proszę nie drwić, bo odejdę i niczego się pan nie dowie!

— Nie odejdzie pani. I to wcale nie dlatego, że mógłbym panią zatrzymać. Jeżeli rzeczywiście jesteście niewinni, to musicie być w podbramkowej sytuacji i pani obecność tutaj jest tego najlepszym dowodem!

— Ma pan rację, ale jeśli mi pan nie pomoże, zwrócę się do kogoś innego. Muszę uratować brata, muszę! Jeżeli pan nie przystanie na moje warunki...

— Jakie warunki? Polowa nagrody? W porządku, dostanie ją pani.

— To nie o to chodzi, panie inspektorze. Te pieniądze to... to przy okazji... Rozumie pan... jesteśmy biedni — powieki dziewczyny zaczęły drżeć.

Mamma mia, rozplacze się! — pomyślał Lesseps.

— Ja... chciałabym, żeby pan, dowiedziawszy się o wszystkim, nie zamykał mojego brata, a jednocześnie, żeby pan odebrał ten obraz, by oni... no wie pan, bandyci... żeby nie zorientowali się, że ich sypnął i nie zrobili mu krzywdy!

— Niewiele pani chce! Ni mniej, ni więcej, tylko wykiwać mafię! Drobiazg, jeśli to rzeczywiście mafia. Słyszała pani, żeby to się komuś udało?

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i otworzyła oczy jak przestraszone dziecko.

— Co takiego? Nie rozumiem...

— Rozumie pani dobrze! Widziała chyba pani w telewizji, co mafia robi z tymi, którzy zaczynają grać przeciwko niej! Orientuje się pani, że mafia ma swych ludzi wszędzie, nawet w policji, nawet w parlamencie! Skąd pani wie, że ja nie jestem mafioso?

— O Madonna, dlaczego pan mi to mówi?

— Bo jeśli ktoś przychodzi do mnie z propozycją wykiwania mafii, czuję smród i zjeżam się. Nie lubię być kiwany i to w grze, w której raz po raz robi się czerwono!

— Pan mi nie ufa? Dlaczego?

— Nie ufam nikomu, a musiałbym być szalony, żeby zaufać pani!

— Więc co ja mam robić, Boże, co mam robić?! — krzyknęła rozpaczliwie.

— Powiedzieć prawdę, to pani jedyna szansa!

— Przecież mówię, a pan... pan mnie straszy!

Teraz dopiero rozpląkała się i to tak bardzo, że rozpuszczony makijaż upodobnił jej twarz do oblicza umalowanej Indianki. Lesseps zrozumiał, że to wystarczy, i odezwał się łagodniej:

— W porządku, chciałem tylko sprawdzić, czy pani nie kręci. Proszę przestać płakać, porozmawiajmy spokojnie.

Ale dziewczyna nie przestała płakać, ukryła twarz w dłoniach i szlochała spazma—tycznie. Lesseps poczuł się głupio. Wstał i podszedł do niej, kładąc dłoń na trzęsącym się konwulsyjnie ramieniu.

— No dobrze, już dobrze... na miłość boską, niech się pani uspokoi, już dobrze, no...

— A., a... ale... jeśli pa... pan... pan mówił, że... że mafia...

— Żartowałem. I z mafią dajemy sobie radę. Tu nie Sycylia, jesteśmy w Rzymie, panno Marchi.

— A... ale... mój... bra... brat... niech pan o... obieca, że... że... — przeciskała z trudem słowa przez drżące wargi.

— Obiecuję to pani! — krzyknął Lesseps. — Tylko proszę przestać płakać! Obiecuję!... Jeśli powie pani wszystko, co pani wie i jeśli pani brat będzie z nami współdziałał, postaram się, żeby nie został zamknięty.

Powoli uspokajała się. Wytarła twarz rękawem półprzezroczystej bluzki, pod którą nie było stanika, i powiedziała:

— Skąd mam wiedzieć, że pan dotrzyma słowa? Muszę mieć gwarancję.

— Gwarancję? Na miłość boską, kobieto, jaką mogę pani dać gwarancję?

— Przysięgnie pan na ten medalik z Matką Boską z Loreto. O, ten...

Rozchyliła wycięcie bluzki, ukazując złoty krążek zwisający na delikatnym łańcuszku.

— Proszę na nim położyć dłoń i przysięgnąć.

Oszalała czy kpi sobie ze mnie? — przemknęło Lessepsowi pod czaszką. Ale dłoń położył skwapliwie i powiedział: przysięgam — i starał się, by ta idiotyczna farsa trwała jak najdłużej. W końcu jednak musiał cofnąć rękę, wrócił na swoje miejsce i oświadczył:

— Drogie dziecko, wierzysz w takie gwarancje? Może jestem niewierzący, nie pomyślałaś o tym? Albo, co gorsza, może jestem wierzącą kanalią, dla której taka przysięga to tyle, co splunąć? Wreszcie, do licha, jestem gliną! Może się okazać, że mam kiepską pamięć...

— Wierzę, że ma pan dobrą pamięć, panie inspektorze. I że nie zapomni pan o mnie i o naszym spotkaniu, kiedy przyjdę odebrać z pańskich rąk połowę nagrody. Nie będę się wówczas spieszyła do domu...

Uśmiechnęli się do siebie. Lesseps był zły, że nie potrafi opanować požądania i że wypęłza mu ono na gębę w takiej chwili, ale było już za późno. Bąknął głupio:

— To miło, że przejawia pani takie zaufanie do mojej pamięci.

— Pan ma znakomitą pamięć, panie inspektorze, to jest moja gwarancja. A tak na poważnie, to muszę komuś zaufać, bo mój brat jest rzeczywiście w krytycznej sytuacji.

— Co mu grozi?

— Mówiłam już, grozi mu śmierć. Proszę posłuchać. Ta historia zaczęła się przed kilkoma miesiącami, kiedy... zaraz, lepiej zacznę od początku. Wie pan, że za osiem dni w Nowym Jorku zaczyna się festiwal kultury włoskiej...

— Wiem.

— ... i że w ramach tej imprezy odbędzie się wystawa awangardowego malarstwa włoskiego?

— Coś słyszałem na ten temat.

— Mój brat to Roberto Roberti!

— I to jest pani prawdziwe nazwisko?

— Nie, Roberti to jego nazwisko artystyczne, taki pseudonim, który stał się nazwiskiem. Jest pod nim znany w całej Europie, miał już kilkanaście wystaw, dostał dwa medale, w tym jeden złoty... Co, nie słyszał pan?!... Przecież Roberto to czołowy przedstawiciel grupy ekspansjonistów!... Nie?... No, trudno, to teraz nieważne. Chodzi o tę wystawę. To będzie wielka ekspozycja, największa ze wszystkich wystaw malarstwa nowoczesnego, jakie nasz kraj urządził po wojnie za granicą. Wysyłamy do Stanów ponad trzysta płócien dwudziestu kilku artystów. Będzie tam osiemnaście płócien Roberta i dwanaście Kamila Lomazzo. O nim też pan nie słyszał, panie inspektorze?

— Przykro mi, ale też nie... Wie pani, praca w policji nie pozostawia zbyt wiele czasu na śledzenie osiągnięć współczesnego malarstwa. Przyznam się zresztą, że nie bardzo je rozumiem, widziałem trochę, ale... Wolę mistrzów renesansu... no, może jeszcze co nieco Picassa. Opera, to co innego, kocham się w niej i ona zabiera mi tę odrobinę wolnego czasu, którym dysponuję. Proszę więc nie egzaminować mnie dalej, przejdźmy do sedna sprawy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Wcale nie chciałam pana egzaminować. Jeśli to tak wyglądało, to przepraszam. Też nie jestem za wielką mądralą, sam pan widział, że nawet nie pamiętałam, iż ten Lesseps zbudował Kanał Panamski. A już na operze to w ogóle się nie znam... No więc, jeśli chodzi o tamto, to spytałam, czy słyszał pan o Lomazzo, bo chodzi o jeden jego obraz, który namalował Roberto. Nosi nazwę *Uniwersalna introspekcja* i jest jednym z eksponatów tej wystawy.

— Nie rozumiem — przerwał Lesseps. — Kto w końcu namalował ten obraz, Lomazzo czy pani brat?

— Formalnie Lomazzo, ale w rzeczywistości Roberto.

— Szalenie proste, ale ja dalej nie rozumiem.

— Zaraz pan zrozumie, panie inspektorze. Ten obraz Roberto namalował na *Madonnie* Rafaela!

Lesseps zagwizdał przez zęby.

— Ślicznie! Obraz wyjedzie do Stanów jako płótno współczesne...

— Właśnie.

— Czy to zamalowanie nie uszkodziło Madonny?

— Nie. Przedtem pokryto ją specjalnym lakierem, który bez trudu i bez szkody dla arcydzieła można usunąć. Odbiorca w Ameryce po prostu zdejmie z wierzchu *Uniwersalną introspekcję*, potem zmyje lakier i będzie miał Rafaela bez najmniejszych uszkodzeń.

— Kto jest tym odbiorcą?

— Tego nie wiem, pewnie jakiś bogaty kolekcjoner. Roberto też nie wie, on tylko wykonał zamówienie, a oni...

— Zaraz, a rewers obrazu?

— Naklejono na nim nowy len, czyli z obu stron dzieło jest nowe.

— Ale mając tyle warstw stało się zbyt grube. To może zwracać uwagę.

— Nie, panie inspektorze. Lomazzo maluje nawarstwieniami, każde jego dzieło jest wręcz trójwymiarowe i bardzo ciężkie.

Lesseps pokiwał głową z uznaniem.

— Wszystko przewidziane... Jestem pełen podziwu, panno Marchi, to ładny numer. I rozumiałbym już prawie wszystko, gdybym jeszcze wiedział, dlaczego brat pani pokrył *Madonnę* malowidłem w stylu Lomazzo, a nie swoim? Czy chodziło tu tylko o trój—wymiarową technikę tamtego?

— Nie tylko, panie inspektorze. Lomazzo nie żyje już od trzech lat. Roberto pomyślał, że jeśli nastąpi jakaś wsypa, to władze nie będą się czepiać jego... Był ostrożny, to dlatego.

— Byłby ostrożniejszy, gdyby w ogóle tego nie zrobił.

— A co, miał dać się zabić?!... Przyszli do niego kilka miesięcy temu. Trzech. Mieli ze sobą Rafaela. Kazali go zamalować. Obiecali milion lirów...

— To niewiele.

— To bardzo dużo, panie inspektorze, bo zagrozili Robertowi śmiercią, gdyby się sprzeciwił. Cóż miał robić?... Był na tyle sprytny, że zamalował to w manierze Lomazza, im wszystko jedno. Najprawdopodobniej ukradli Rafaela na zamówienie jakiegoś teksańskiego nafcjarza i do tej pory czekali na okazję wywiezienia arcydzieła za ocean.

— No proszę, z pani doskonały detektyw.

— Ależ nie, ja tylko...

— Chwileczkę, coś tu nie gra, panno Marchi. W jaki sposób udało im się włączyć *Uniwersalną instrospekcję* do prac wysyłanych na wystawę? Przecież wyboru ekipo—natów musiała dokonywać jakaś komisja. Poza tym prace znanych malarzy są chyba katalogowane. A tu nowe płótno spadło jak z nieba i co? Nikogo nie zdziwił ten cud? Mało się znam na malarstwie, ale tego nie pojmuję. Przyzna pani, że to dziwne.

— Nie tak bardzo, panie inspektorze. Sam pan powiedział, że mafia ma wszędzie swoich ludzi. Zresztą nie trzeba było dokonywać wielkich wysiłków. Lomazzo był samotnikiem, trochę kopniętym na dodatek. Prawie nie wystawiał. Od czasu jego śmierci wciąż są odkrywane nowe płótna. To dlatego między innymi Roberto wybrał jego manierę. Byli przyjaciółmi, chociaż różnili się jak dzień i noc... A może właśnie dlatego? Roberto świetnie zna technikę pędzla i wszystkie tajemnice warsztatu Kamila, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Lesseps zamyślił się. Wszystko, co powiedziała, brzmiało wiarygodnie. Karkołomna historia, ale tak bezbłędnie dograna w szczegółach, że czuło się rękę mafii. Sprawdzi się to rentgenem w kilka minut i jeśli pod bohomazem jej braciszka będzie rzeczywiście Rafael, to pan inspektor Lesseps zmieni etykietkę i może miejsce pracy. W Interpolu pojawią się drzwi z nowym nazwiskiem na metalowej plakietce. Jeden sławny Lesseps już był... A do tego nagroda, dwie nagrody, bo jej tak zależy na bracie, że obiecała nie spieszyć się, kiedy będą potem dzielić pierwszą... Ależ musi być fantastyczna bez tych szmatek, to też się sprawdzi...

— Wskażecie mi, gdzie jest płótno? — spytał.

— Nie, nie tak, panie inspektorze, to byłby wyrok dla Roberta.

— Więc co mam robić?

— Odebrać je podczas kontroli celnej. Niech pan tak wszystko urządzi, żeby to było przypadkowe odkrycie.

— Niezły pomysł. Kiedy ta wystawa odpływa do Nowego Jorku?

— Nie odplywa, lecz odlatuje. Za trzy dni, z Fiumicino. Specjalny jet-747 zabierze prace i artystów. Roberto leci z nimi. Ta wystawa to największa szansa w jego życiu...

— Pani chce żebym puścił brata do Stanów? Przecież po odkryciu próby wywozu ukradzionego obrazu będę musiał przymknąć całą ferajnę!

— Nie wystarczy, że przymknie pan komisarza wystawy? Wątpię zresztą, czy rząd zgodziłby się na odwołanie takiej imprezy. Lomazzo nie żyje, więc trudno go karać, dlaczego zaś inni mają cierpieć za niego i jego nieznanym mocodawców?

Po raz pierwszy popełniła błąd. Zdziwiło go to.

— Myli się pani, panno Marchi. Dla każdego będzie rzeczą oczywistą, że to nie Lomazzo namalował swoje dzieło na płótnie Rafaela, bo rabunku dokonano pół roku temu, a Lomazzo nie żyje już od... powiedziała pani, że od trzech lat?

— Tak... Rzeczywiście, ma pan rację, inspektorze. Ale to niczego nie zmienia. Potrzebne będzie specjalne śledztwo, żeby stwierdzić kto dokonał tego przestępczego czynu. Nic nie będzie wskazywało na to, że dokonał go któryś z artystów odlatujących do Nowego Jorku, dlatego więc mieliby zostać ukarani zatrzymaniem w Rzymie. Poza tym, powtarzam panu, władze nie będą chciały dopuścić do skandalu, jakim byłoby niewątpliwie odwołanie wystawy. Taka kompromitacja i uszczerbek na prestiżu...

Spojrzał na nią z uznaniem. Na wszystko miała odpowiedź. Nie rozumiał jeszcze tylko jednego.

— Nie lepiej było zainkasować od nich pieniądze i cicho siedzieć? — spytał. — Dlaczego zdecydowała się pani wyjawic wszystko policji? Przecież nie z poczucia obywatelskiego obowiązku.

— Nie, panie inspektorze, ze strachu. Im też zależy na tym, żeby cicho siedzieć, a jeśli udałoby się wywieźć Madonnę, jej nowy właściciel kazałby zabić Roberta, który byłby jedną z nitek do kłębka.

Podając rękę na pożegnanie spojrzała mu głęboko w oczy. Odprowadził ją do drzwi, po czym zamknął je i stał przez chwilę bez ruchu. Widział wielkie tytuły gazet: *Inspektor Lesseps odzyskuje stawne arcydzieło...*, a potem siebie i ją w garsonierze.

Pięciu mężczyzn poderwało się z krzeseł, gdy do wytwornego apartamentu na dwudziestym piętrze wieżowca przy 5-th Avenue wkroczył siwowłosy, podpierający się laską starzec w ciemnych okularach. Spoczął w fotelu, a jeden

z mężczyzn podszedł doń, ucałował z czcią w upierścienioną rękę i powiedział, wskazując palcem:

— Oto nasz nowy rzymski łącznik, padre. Artysta–malarz, duży cwaniak. Wpadł na genialny pomysł, dzięki któremu rzymskie gliny pomogły nam przerzucić towar nie mając o tym zielonego pojęcia. Nawet przed laty, kiedy jeszcze nie mieli na wszystkich lotniskach tych piekielnych maszynek do wykrywania narkotyków, nawet wtedy nie przewieźliśmy ani razu takiej porcji heroiny za jednym zamachem!

Starzec siedział bez ruchu, jakby spał i jakby słowa mówiącego nie docierały doń. Jego twarz była martwa, przypominała marmurową rzeźbę, którą nadmorski wiatr wyźłobił, rysując w niej głębokie, ciemne bruzdy. W okularach odbijało się światło kandelabrow. Za tymi dwoma szkiełkami żyły oczy. Usta nagle drgnęły i rozległy się słowa, ciche i anielsko łagodne:

— Zbliź się, chłopcze.

Malarz zbliżył się z szacunkiem i pochylił głowę, tak jak pochyła głowę głuchy. Starzec podał mu rękę do ucałowania i powiedział:

— Jesteś zdolny, synu, to dobrze. Młódzież dzisiaj traci czas na głupstwa, mało jest zdolnych dzieci... Jak ci na imię?

— Roberto, padre.

— Skąd pochodzisz

— Z Neapolu, padre.

— Z Neapolu... Taaak, z Neapolu... Piękne miasto, piękne. Giorgio mówi, że jesteś zdolny...

Stojący obok mężczyzna krzyknął:

— Padre, on jest cudotwórcą, jak mi Bóg miły! On...

Starzec przerwał mu ruchem ręki i szepnął:

— Zapamiętaj, Giorgio, że cuda czynił tylko Pan nasz, Jezus Chrystus, nikt inny. Zapamiętaj chłopcze, dobrze?

W oczach mężczyzny mignęło śmiertelne przerażenie. Wybąkał:

— Tak, padre, tak... przepraszam... to się nie powtórzy, padre!

Starzec zrobił głową ruch, który mógł oznaczać dezaprobatę lub przebaczenie.

— Człowiek ma język nie po to, by bluźnić Panu Bogu i by używał imienia Jego nadaremno, lecz by dziękował Mu za Jego nieskończone miłosierdzie i prosił o przebaczenie za grzechy, którymi zachwaszczone jest nasze życie doczesne. Jesteś młody, Giorgio, i popędliwy, czemu gniewasz Pana naszego, Który rzekł: nie używaj imienia Pana Boga twego nadaremno?

— Padre, ja... ja nie chciałem... to się już nigdy nie powtórzy, nigdy...



Mężczyzna stał drżąc. Cisza trwała nieznośnie długo. Przerwał ją w końcu, pytając pokornie:

— Czy mam mówić dalej, padre?

Mów, Giorgio, mów.

— No więc to było tak. Pół roku temu Roberto rąbnął obraz, którego nie można opylić, bo nie ma na niego ceny i zbieracze boją się. Potem zachlapał go po swojemu i wetknął w obrazy swego zmarłego kumpla. Te obrazy przyleciały wczoraj jetem z Rzymu na włoską wystawę. Ale już bez tego zachlapanego. Roberto podpuścił gliny i taki jeden inspektor Lesseps przymknął cały transport na dwa dni. Ten Lesseps myślał, że jest cholernym mądralą, bo prześwietlił nie tylko ten obraz, ale wszystkie inne też. Te inne były czyste, padre, więc je puścił, bo wystawa musi się odbyć, tylko że...

— I nie aresztował nikogo? — spytał starzec.

— A jakże, aresztował. Komisarza wystawy! Ha, ha, ha, ha... Artystów nie ruszył, bo za co? Zresztą nawet gdyby chciał, to by nie mógł tego zrobić, bo rząd nie chciał skandalu. Nie mogli odwołać tej wystawy, to dla nich wielki numer. No więc puścili te obrazy, a że policja trzymała je przez dwa dni i obrabiała rentgenem, nikomu nie przyszło do głowy, żeby je potem macać maszynkami do wykrywania narkotyków! Prosto z biura Lessepsa przetransportowano je do jeta. To jest pomysł, co? Dziś w nocy nasi chłopcy odwiedzili magazyn wystawy i wydostali heroinę z ram. Jest tego cała fura!

Po ustach starca przeleciał skurcz, który mógł być uśmiechem. Znowu milczał i wszyscy stojący obok szanowali to milczenie, starając się nawet nie oddychać zbyt głośno. Odetchnęli, kiedy się odezwał:

— Gdzie jest ten towar, Giorgio? Czy dostał go doktor Peel?

— Tak, padre! Sprawdza go w laboratorium, zaraz będzie wynik.

— Przetransportujesz go jutro, Giorgio. I nie zapomnij, że cena się zmieniła.

— Pamiętam, padre. To już załatwione.

Starzec odwrócił się w kierunku malarza.

— Jesteś zdolny, synu. Neapolitańczycy są zdolni. Cieszymy się, że jesteś zdolny. Będziemy o tobie pamiętać... Poczekaj teraz obok, Giorgio cię odprowadzi. Do zobaczenia, synu...

Roberto ucałował pomarszczoną zimną dłoń i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Mężczyzna, który mu towarzyszył, zamknął za sobą drzwi i rozluźnił się w szerokim uśmiechu, jakby spadł z niego ciężki, żelazny gorset. Zapalił papierosa i poklepał malarza po ramieniu.

— No, pięknie poszło, padrone jest zadowolony. Człowieku, masz przyszłość przed sobą! Napijesz się? Campari? Martini? Stuknęli się kieliszkami. Mężczyzna spojrział na zegarek.

— Kiedy Peel przyniesie ekspertyzę, zapłacimy wam zgodnie z umową. Kto odbierze forszę, ty?

— Nie, jutro przylatuje don Ruffo, on jest od tego.

— Ile będziesz z tego miał?

— Wystarczająco dużo, by kupić sobie dom w Amalfi, urządzić kilka wystaw i opłacić najlepszych krytyków. A wystarczająco mało, żeby nie zaprzestać podróży do was.

— To świetnie, padrone lubi pracować z łebskimi chłopakami. Kiedy będziecie mieli nową partię towaru?

— Nie wiem, don Ruffo wam powie. Chyba nieprędko, w Turcji źle się dzieje, a z Birmy daleka droga. Ja jestem tylko od główkowania nad przrzutem do was.

— No i masz łeb, nadajesz się do tego! Tym razem ładnie rzecz rozegrałeś, ale to numer nie do powtórzenia.

— Wiem — Roberto Roberti uśmiechnął się szelmowsko — tylko że ja mam jeszcze kilka takich pomysłów, wcale nie gorszych.

Śliczna była ta dziewczyna. Kiedy stanęła w drzwiach jego garsoniery, Lessepsa ogarnęło poczucie spełnionego sukcesu. Widział w swym życiu wiele pięknych dziewczyn i niektóre udawało mu się zaliczyć, ale ta! Ta była wyjątkowa. Pasowała do magnetycznego głosu, który zapamiętał, cała, od płazowych sandałów na stopach aż do złotych włosów, które wiły się na ramionach, poprzez tę samą półprzezroczystą bluzkę i nagie piersi, takie właśnie, jakie uwielbiał, optymalne. Rano zrobiła śniadanie i zaczęła się zbierać.

— Kiedy ci wypłacą nagrodę, kochanie? — spytała. — Myślę, że zanim dostaniesz awans, a powinieneś dostać lada chwila.

— Nie wiem — odpowiedział. — Wiesz jak to jest, papierki, podpisy. Biurokracja jest silniejsza od policji.

Roześmiała się na cały głos i potargała mu włosy czułym gestem.

— Teraz ty jesteś silniejszy od wszystkich, a dzięki komu?...No? Dzięki swojej sarencie, bezwstydniku! Do czego mnie doprowadziłeś? Deprawator!

Pogroziła mu palcem, udając gniew, i roześmiali się oboje.

— Najlepiej wyszedłeś na tym zdjęciu w „L’Europeo”, ale na okładce w „Epoca” też dobrze. A ci Francuzi, ho, ho! „France Soir” zrobiło z ciebie Napoleona policji! To mi się podoba! Mówiłam ci, że masz ładne nazwisko i wiedziałem, że to przyniesie ci szczęście! Wiesz, wycięłam sobie te zdjęcia i przyszpiliłam jedno na macie w pokoju, nad łóżkiem, a drugie na półeczce obok lustra w łazience. Ale to niesprawiedliwe! Na tej okładce jest obok ciebie *Madonna* Rafaela, a powinna być inna dama! Nie wiesz czasem, która? Co, draniu?

— Wiem, wiem — odburknął. — Ciągłe się zastanawiam, czego masz więcej, ambicji czy urody?

— Mam po prostu ambitną urodę, co ty na to?

— Nic. Kiedy znowu przyjdiesz?

— Kiedy będziesz mógł oddać mi moją połowę. Nie bujaj, że nie wiesz kiedy!... No?... Przyznaj się, sławny człowieku, kiedy zgarniesz ten rozkoszny szmal?

Lesseps odwrócił się do okna, wsadził ręce w kieszenie piżamy i pomyślał, że szkoda takiej ślicznej dziewczyny. Był zły i trwał w tej złości, nie mogąc się zdecydować. A kiedy już się zdecydował, odwrócił się i powiedział powoli, wymawiając słowa zgłoska po zgłosce:

— Wyplacą mi tę forszę za kilka dni, ale ty nie dostaniesz ani jednego lira!

Tak jak przypuszczał, uśmiechnęła się głupio i zaraz, kiedy zrozumiała, że to nie był żart, usta się jej zwały, a oczy poczęły napełniać gniewnym zdziwieniem, które przeradzało się w nienawiść, w miarę jak mówił dalej. Mówił zaś w złośliwy sposób, bo już nie można było inaczej, bo wszedł na tę ścieżkę, na której bije się batem, chociaż to boli także bijącego.

— Ani lira! — powtórzył. — Wtedy, kiedy do mnie przyszłaś, dałem się nabrać. Za bardzo mi się podobałaś. Ale na początku naszej rozmowy włączyłem magnetofon. Taki zawodowy nawyk, kochanie, odruch warunkowy. Dopiero następnego dnia przesłuchałem taśmę, i to kilkakrotnie, i przemyślałem sobie wszystko od nowa. I wówczas zwróciłem uwagę na jeden drobiazg, który wcale nie był drobiazgiem... Przewidziałaś wszystko i na wszystko miałaś gotową odpowiedź, ale jedna z tych odpowiedzi była tak głupia, że musiałem to zauważyć. Powiedziałaś, że gdyby wywieziono Rafaela, nowy właściciel kazałby zabić twego brata, aby mieć gwarancję zachowania tajemnicy. Wątpliwa teza, ale nie o to chodzi, lecz o to, że przecież odkrycie, jakiego mi kazałaś dokonać na lotnisku, musiałyby właśnie spowodować taką reakcję mafii obawiającej się drobiazgowego dochodzenia. Gwarancją bezpieczeństwa dla mafii byłoby wówczas przede wszystkim zamordowanie twego braciszka. Nie mogłaś ty, która reagowałaś jak komputer, nie wziąć tego

pod uwagę, a jeśli nie wzięłaś, to znaczy, że kłamałaś. Tak to sobie wytłumaczyłem i dlatego pogrzebałem gdzie trzeba... Tak więc popełniłaś błąd, układając scenariusz, lub też popełnili go inni, którzy ci go ułożyli. Kosztowny błąd.

— Nieprawda! — krzyknęła histerycznie. — O czym ty mówisz, o czym ty mówisz?!

— Ciągłe o tym samym, kochanie, że nie dostaniesz ani jednego lira! Skreśl więc tę pozycję z planu, bo mam dla ciebie jeszcze smutniejsze informacje. Twój brat nie żyje, co jest niewątpliwie nokautem dla współczesnego malarstwa, któremu trudno będzie się odrodzić po takiej katastrofie. Ty zniesiesz to lepiej, gdyż nie darzyłaś braciszka zbyt gorącym uczuciem, w każdym razie lepiej niż wiadomość, że twój kochanek, zastępca szefa siatki neapolitańskiej, również przeniósł się do Hadesu. Wiesz, co to jest Hades?... Może spróbujesz zgadnąć, tak jak z tym Lessepsem, co to był marszałkiem Napoleona i wymyślił kolej, szczepionkę oraz proszek na udawaną głupotę!... Odebrało ci mowę, kochanie?

— Zamordowałeś ich! Zabiłeś ich, ty świnió, ty skurwysynu, ty podły, śmierdzący glino! Ty... ty... ty...

Doskoczyła do niego i biła z furią pięściami, aż wykręcił jej rękę i pchnął na łóżko.

— Nie, to ty ich zabiłaś przychodząc do mnie. Nie wszyscy śmierdzący gliniarze są baranami, których można jeszcze bardziej ogłupić kilkoma łzami, gołym cyckiem i kręcącą się dupą, chociaż mnie niewiele brakowało! Zabiłaś ich realizując ten cholernie mądry plan, który ułożyliście, więc pociesz się, że masz w tym tylko skromny udział, wmów sobie, że oni są samobójcami! Przedwczoraj znaleziono ich ciała na nadbrzeżu w Nowym Jorku, w stanie, hm... trochę niekompletnym. Byli pokrojeni jak świnki na haku. Mafія im zapłaciła. Mafія to solidna firma, zawsze dobrze płaci. Chcesz wiedzieć za co? Za cukier w proszku, który próbowali jej sprzedać jako heroinę.

Dziewczyna leżała bezwładnie, z palcami zaciśniętymi na poduszce, po policzkach płynęły jej łzy. Teraz były to łzy autentyczne, prawdziwej rozpacz, nie miał co do tego wątpliwości.

— Jeśli płaczesz ze strachu, że cię wsadzę i że stracisz młodość w pierdłu, to niepotrzebnie. Posłuchaj uważnie, bo to jeszcze nie wszystko. Wasz szef potrzebuje teraz na gwałt towaru, by wypełnić zobowiązania wobec nowojorskiej centrali. Jeśli się nie wywiąże, to pewnie w ciągu tygodnia albo dwóch mafія zapłaci i jemu, rozumiesz? W dwa tygodnie nie uda mu się zorganizować po raz drugi takiej partii heroiny, bo skąd? Słuchasz mnie uważnie? Teraz powiem najważniejsze, najważniejsze dla ciebie i dla twojego

szefa. Skontaktujesz się z nim i powiesz, że ja go uratuję. Dostarczę mu tę heroinę. Po tej samej cenie, jaką zapłacił uprzednio swoim dostawcom i tę samą ilość, bo wyjąłem z obrazków wszystko, co do grama. Za cukier, którym nafaszerowałem ramy, nie musi mi zwracać, wliczyłem to w koszty własne, mam gest. Powinien mi być wdzięczny, bo daję mu szansę uratowania głowy. I niech nie próbuje żadnych sztuczek, bo może się to dla niego źle skończyć! Ja zaś obiecuję, że dotrzymam umowy, jeśli chcesz, mogę przysiąc na twój medalik. Chcesz, kochanie?

## BESTSELLER

Spał ciężko, męczony majakami, budząc się co godzinę lub dwie. Śnił mu się adwokat Loftman, nagi, szukający rozpaczliwie swojego ubrania. Nagle Loftman ujrzał go i wytrzeszczył oczy. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, potem Loftman otworzył usta i zaczął krzyczeć bezgłośnie, wskazując ręką w kierunku wysokich drzew, za którymi widać było fasadę olbrzymiego staroświeckiego gmachu. Cooley chciał pobiec w tym kierunku, lecz Loftman zastąpił mu drogę, budynek zaczął unosić się w powietrze jak balon, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż zniknął wśród chmur. Na jego miejscu, za kolumnadą drzew, stał teraz mężczyzna ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i patrzył na Cooleya zimnym wzrokiem. Cooley poczuł, jak ogarnia go strach przed tym człowiekiem, którego wzrok przewiercał mu ciało.

Obudził się spocony i oddychał ciężko, by zaraz zapaść ponownie w sen o tym samym tajemniczym mężczyźnie z laserowym wzrokiem.

Nad ranem wyrwały go ze snu buciora strażnika dudniące w korytarzu posepnym echem. Strażnik zatrzymał się na wysokości jego celi. Teraz zgrzyt judasza czy zamka? Zgrzyt zamka. W otwartych drzwiach zobaczył „brudasa”.

— Cooley! Idziemy!

Wsta! i przeciągnął się, ziewając głośno. Strażnik powtórzył:

— Idziemy!

— Zaraz, muszę się umyć.

— Umyjesz się potem!

— Nie mogę, nie jestem brudasem.

Strażnik zsiniał i chwycił za rękojeść pałki.

— Idziesz, bydlaku, czy mam ci pomóc?!

Szli długim korytarzem centralnym w ciszy wypełnionej grzmoceniem obcasów o żelazne płyty galerii. Potem zeszli schodami na parter i skręcili w

mniejszy korytarz, prowadzący do kancelarii „rodzinnej”. Minęli ją jednak. Więc dokąd?

— Dokąd idziemy? — spytał.

— Stul pysk! — padło w odpowiedzi.

Popatrzył na „brudasa” z nienawiścią i szedł obok, krok w krok, zastanawiając się nad celem marszu. Albo do gabinetu dyrektora... Ale o tej porze?... Albo... Znowu skręcili, tym razem w lewo. A więc do „adwokackiej”! Ale przecież mecenas Loftman zachorował przedwczoraj i mieli spotkać się ponownie nie wcześniej jak za dwa tygodnie. Co się, do diabła, stało?

Drobny człowieczek w źle skrojonym garniturze i w krawacie w pąsowe koła podniósł się na ich widok. Miał bladą twarz i wąsy, które sprawiały wrażenie przyklejonych. Kiedy tamten na niego spojrział, Cooleyowi wydawało się przez chwilę, że czuje ten sam ból, który przeszył go we śnie. Człowieczek wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął do Cooleya rękę, mówiąc:

— O’Brien jestem, miło mi, panie Cooley.

Miło mu, sukinsynowi, pewnie z jakiejś szmaty, amator wywiadu z „wampirem”. Loftman nie pozwalał pismakom kontaktować się z nim, ale korzystają z choroby Loftmana i już się zaczyna. Tacy wszędzie się wkręca. Parszywe pijawki, cokolwiek by powiedział i tak przekręca, a ich redakcyjni kolesie domalują na zdjęciach ociekające krwią kły do brody. Gównu dostaniesz, draniu, a nie wywiad. Nie podając ręki, odwrócił się do „brudasa” i powiedział:

— Nie będę rozmawiał z pismakami, chcę wrócić do celi!

— Nie jestem dziennikarzem, panie Cooley! — krzyknął O’Brien. — Chcę panu pomóc!

— Gównu! Zawsze tak mówicie! Dwa razy dałem się nabrać i więcej nie dam!

— Ależ ja naprawdę nie jestem z prasy, panie Cooley! Ręczę panu!... Chcę panu pomóc...

— Armia Zbawienia?

— Nie.

— No więc czego?!

— Przyszedłem tu w pańskim interesie, panie Cooley,..

— Tak z dobrego serca, co?

— O tym właśnie chcę z panem porozmawiać.

Nie wiedział, co odpowiedzieć tym razem. Czego chce ten szczur, co znowu kombinują?

O’Brien poprosił „brudasa” o pozostawienie ich samych. Strażnik wyszedł i zamknął drzwi na zasuwę.

— Zapali pan? — spytał O'Brien podsuwając mu pod nos złotą papierośnicę.

Camele. Cholerny świat, camele! Wyjął jednego i powąchał. Camel! Obudziły się w nim nowe podejrzenia. Tyle jest marek papierosów, a tu właśnie camele. Dlaczego nie marlboro, chesterfieldy, pallmalle czy jakiegokolwiek inne, tylko właśnie jego ulubione? Skąd wiedzieli? Pismaki wszystko wiedzą. O'Brien przypalił mu papierosa złotą zapalniczką i wskazał krzesło:

— Usiądźmy, panie Cooley, i porozmawiajmy.

Usiedli. Cooley oparł łokcie na kolanach i patrząc na podłogę zaciągnął się łapczywie.

— Jak już mówiłem, panie Cooley, bardzo mi miło poznać pana. Myślę, że nasza rozmowa przyniesie korzyści i mnie, i panu...

— Dlaczego? — spytał Cooley.

— Dlaczego myślę, że ta rozmowa...

— Dlaczego ci miło?

O'Brien uśmiechnął się nieszczercze.

— No wie pan, kiedy mnie jest miło, to i panu może być. Takie słowa robią atmosferę, a mnie zależy na tym, byśmy rozmawiali w miłej atmosferze.

— To nie do mnie z tym!

— Ależ panie Cooley...

Miło ci rozmawiać z wampirem?! — warknął Cooley. — i mówisz, że nie jesteś pismakiem. Tylko im miło mnie czarować! Powiedziałem: nie dam się nabrać!

— Panie Cooley, całe życie dajemy się nabierać, nie ma sensu być zbyt pewnym. Ale ja nie jestem dziennikarzem, proszę mi wierzyć. Jestem adwokatem i chciałbym być pańskim obrońcą. Przede wszystkim jednak pragnę, by nie zwracał się pan do mnie per „ty”. To mnie razi. Winien pan wykazywać to minimum szacunku dla człowieka, który chce dać panu ostatnią szansę!

Miał już dość tego bezczelniaka. Zerwał się z krzesła i chciał zawołać strażnika, lecz w tej samej chwili kończący się papieros przypalił mu palec i przypomniał, że jeśli wyjdzie, to będzie tylko wspominał camele, a tak, podczas tej rozmowy, wypali jeszcze ze dwa. Rzucił peta na podłogę, przydeptał butem i opadł z powrotem na krzesło.

— Mogę zapalić? — spytał.

— Ależ tak, proszę bardzo! — O'Brien znowu błysnął mu przed nosem złotem i płomieniem.



— No więc, czego chcesz... czego pan chce?

— Już panu powiedziałem, panie Cooley. Chcę być pańskim obrońcą.

— Mam już obrońcę.

— Owszem, ale to obrońca z urzędu. Ściślej mówiąc — to człowiek, który odwała pańszczyznę i ma gdzieś pański interes. Nie jest specjalnie zainteresowany finansowo, a chociaż pańska sprawa to wielka sensacja, z rzędu tych, na których podczas procesu można sobie zrobić nazwisko, w pańskim przypadku i ta możliwość odpada. Wymowa obciążających pana dowodów jest miażdżąca, to sprawa z góry przegrana.

— Loftman ma inne zdanie.

— A co miał panu powiedzieć? Powiedział oczywiście, że ma pan szansę, to rytuał, Zresztą nawet gdyby tak było, pańska sprawa pozostawałaby wciąż loterią. Uniewinnienie lub więzienie do końca życia. W praktyce ma pan to drugie jak w banku.

— Więc po co, do jasnej cholery, chce się pan tym zająć?!

— Z chęci zarobku, panie Cooley.

— Co?! Od kogo chce pan zarobić? Ode mnie?

— Właśnie. I to dokładnie milion dolarów.

Cooleya zatkało. Wyjął papierosa z ust i spojrzał na tamtego jak na człowieka z Marsa.

— Panie...

— O'Brien. John O'Brien.

— Panie, pan...

— Nie, nie, wcale nie zwariowałem, panie Cooley.

— Przecież ja nie mam grosza przy duszy!

— To nie ma znaczenia, panie Cooley. Ważne, że może pan mieć. Może pan mieć trzy miliony dolarów.

W tym momencie zrozumiał. Przedstawiciel Starków! Wysłali cwaniaka, żeby jeszcze raz spróbował. Więc jednak pismak! Zanim wszakże zdążył powiedzieć O'Brienowi, żeby się nie wysiłał, bo to nic nie da, tamten, odgadując jego myśli, uprzedził go:

— Pan zapewne podejrzewa, że przychodzę od Starków? Nic podobnego. Powtarzam, jestem adwokatem i chcę być pańskim obrońcą.

— Ale pan wie?

— Owszem.

— Skąd?

— Wiem bardzo dużo, panie Cooley, bez tego nie przychodziłbym tu i nie robiłbym panu żadnych nadziei. Wiem że wydawnictwo Stark & Stark zaproponowało panu trzy miliony za napisanie pamiętników. To dla nich

wielka gratka, teraz jest moda na perwersję. Taka seria mordów seksualnych na kilkunastoletnich dziewczynkach to złota żyła, superbestseller...

Cooley z twarzą wykrzywioną wściekłością podniósł się.

— Dość, ty gnoju! Nie będziesz mnie obrażał, nie jestem skazany. Straż...

O'Brien chwycił go za rękę.

— Cooley, idioto! Nie wołaj strażników, bo rzeczywiście zostaniesz skazany. Chcę ci dać szansę, durniu, już ci mówiłem, a ty wciąż jesteś głuchy, stawiasz się i nie dajesz mi skończyć!

Nasłuchiwali przez moment. Cisza. Usiedli.

— Uuuuf! — sapnął O'Brien rozluźniając węzeł krawata i rozpinając kołnierzyk koszuli. — Nie dajmy ponosić się nerwom, panie Cooley, to bez sensu... Zaczniemy od nowa. powtarzam po raz trzeci: jestem pańską jedyną szansą, Cooley, jeśli jej pan nie wykorzysta, to zgnije pan w pierdłu. Nie obchodzi mnie, czy jest pan tym mordercą, czy nie, obchodzi mnie forsa, i to świadczy o mojej uczciwości. Naucz się pan, Cooley, że tylko ci, którzy otwarcie wyznają kult forsy, są względnie uczciwi. Reszta, ci od ideałów, bezinteresowności uczuć, filantropii — to banda szulerów. Interesuje mnie równy milion, panu zostaną dwa. Z takim kapitałem może pan wyjechać dokąd pan chce, choćby do Australii, zmienić nazwisko i żyć jak w raj.

— Ale ja przecież odrzuciłem ich propozycję.

— Wiem. W zasadzie uczynił pan słusznie, Cooley, wtedy nie mógł pan przyjąć tej propozycji. Teraz pan może.

— Nie mogę! — krzyknął Cooley. — Za nic!

— Spokojnie, panie Cooley, tylko spokojnie. Teraz pan może, a ja w tym panu pomogę.

— Nie mogę, nie zrobię tego! Przecież oni chcą tylko pamiątek zbrodniczych—mordercy. Musiałbym przyznać, że nim jestem, a wówczas straciłbym ostatni cień szansy na uniewinnienie. Trzy miliony w pierdłu nie będą mi potrzebne, wolę zachować nadzieję na uniewinnienie. A uniewinniony jestem dla Starków bezwartościowy!

— Wprost przeciwnie, panie Cooley. Uniewinniony będzie Pan dla Starków cenniejszy, a książka smakowitsza. Będzie Pan mógł nawet zaśpiewać wyższą cenę. Wszystko to dowodzi, jak bardzo potrzebny jest panu dobry adwokat i jego dobre rady.

— Nie rozumiem, co pan...

— To z kolei dowodzi pańskiej słabej znajomości prawa obowiązującego w tym stanie. Otóż zgodnie z jego prawe człowieka można sądzić za jedno przestępstwo tylko jeden raz.

— No i co z tego? Wystarczy, że raz mnie skażą...

— Ale jeśli nie skazaą, lecz uniewinnią, to już potem nie będą, mogli skazać, choćby pan był sto razy winien! W momencie gdy sąd ogłosi uniewinnienie, może się pan roześmiać na cal gardło i powiedzieć przysięgłym i sędziemu: frajerzy, zrobiliście się w konia, to ja zamordowałem i teraz będę się śmiał z was do końca życia! Oczywiście, tego pan nie zrobi, chociażby dlatego, że rozeźlony sędzia wsadziłby pana na kilka lat za obrazę trybunału.

— Ciągle nie rozumiem, panie...

— O'Brien. John O'Brien. Panie Cooley, chodzi po prostu o to, że po ogłoszeniu werdyktu uniewinniającego może się pan przyznać w prasie lub w książce do popełnienia zbrodni za które pana sądzono, i nikt nie może panu nic zrobić. Władze są w takim przypadku bezsilne, nie wolno pana sądzić po raz drugi za to samo! Rozumie pan teraz?

— Nie.

— Nie? Czego pan nie rozumie, Cooley? Dla Starków pańskie wspomnienia okraszone takim numerem będą bombą o jakiej nie śnili! Czego pan jeszcze nie rozumie?

— Nie rozumiem, jak pan dokona cudu. Sam pan powiedział, panie O'Brien, że to sprawa z góry przegrana... Pan myśli chyba o lekarzach, którzy robią ze mnie wariata. Słyszałem, że takie rzeczy można kupić, ale teraz już za późno. Badali mnie najlepsi specjaliści i orzekli, że mam wszystko w porządku. Ten numer nie przejdzie.

— Panie Cooley... czyż nie udowodniłem panu, że wiem wszystko? Jak mógłbym przeoczyć fakt, że pana już badali lekarze, których opinię trudno byłoby podważyć? Do diabła z psychiatrami! Wylądowałby pan w kukułczym gnieździe, w pokoju bez klamek, a przecież nie o to chodzi! Chcę panu zwrócić wolność!

— Więc w jaki sposób zamierza pan...

— Umówmy się, panie Cooley, że pana to nie będzie obchodzić. Ta sprawa jest z góry przegrana, jeśli bronił będzie Loftman, a oceniać będą zwykli, bezstronni przysięgli, czyli w kategoriach typowych. Tylko tak zwany przeciętny obywatel, czytający gazety i oglądający telewizję i stąd czerpiący wiedzę o wymiarze sprawiedliwości, wyobraża sobie, że machina sądowa kieruje się takimi przesłankami, jak na przykład wina czy niewinność oskarżonego. To są mity, panie Cooley, to są bajki dla naiwnych i dla głupców! Powiedziałem już, a może nie powiedziałem, wobec tego mówię teraz: nie obchodzi mnie, czy pan jest winny, czy też nie, chociaż wiem, że prawdą jest to pierwsze. Istotne jest, że w pańskiej sytuacji sama niewinność, nawet gdyby był pan rzeczywiście niewinny, nie odgrywa żadnej roli, Cooley! Nic by panu nie pomogła. Czy znane jest panu nazwisko Bailey?... Lee Bailey z Bostonu?

— Nie... chociaż, zaraz, coś mi się obilo o uszy, chyba czytałem coś, a może w radiu...

— Bailey to jeden z najślawniejszych obrońców w naszym kraju, autor kilku świetnych książek. W jednej z nich, pod tytułem **Obrona nigdy nie spoczywa na laurach**, napisał: „*Niewinność nie tylko jest słabą gwarancją pomyślnego dla oskarżonego wyniku rozprawy, ale — w miarę jak zaczynają się kręcić koła sprawiedliwości — staje się ona w coraz większym stopniu sprawą nieistotną*”. To zdanie wszyscy adwokaci znają jak chrześcijanie dekalog.

— Czyli nie muszę być niewinny, nawet na sali...

— Panie Cooley. Gdybym podczas pańskiego procesu skoncentrował się na problemach winy i niewinności, zakończyłoby się to klęską. Ale wystarczy, że podważę ustalenia śledztwa, a do tego... do tego wśród przysięgłych będą ludzie panu przychylni, którzy...

— Przychylni mnie? Po tym co pisano i mówiono?

— Nie będzie to przychylność spontaniczna, panie Cooley ale, nazwijmy ją: zaprogramowana przez... zresztą to już nie pańska sprawa. Przysięgłych bierzemy na siebie.

— Bierzecie?... O kim pan mówi, O'Brien?

— Pan jest wciąż zbyt ciekawy, panie Cooley. Wie pan dokąd prowadzi zbyt ciekawość? Czasami lepiej nie wiedzieć wszystkiego, za to wiedzieć, że jeszcze się pożyje. Myślę o życiu na wolności. Bo na razie, Cooley, jest pan murowanym dożywcotniakiem i dobrze pan o tym wie, jakkolwiek odsuwa pan od siebie tę straszną myśl, wierzy pan w jakiś cud, w coś, co pozwoli panu wyjść z pierdła na świeże powietrze. No i proszę, oto cud się zdarzył, przyszedł do pan O'Brien, który pomoże panu w odzyskaniu wolności. Innej szansy pan nie ma i nie będzie miał, a więc jaki ma pan wybór? Nawet jeśli mi pan nie ufa, to rezygnacja z moich usług nie powinna wchodzić w grę, chyba że wierzy pa zapewnieniom Loftmana. Z Loftmanem nie wygra pan te sprawy, prędzej już mógłby pan wygrać na rowerze wyścig w Indianapolis. Słowem, nie ma pan wyboru. I to wszystko, co chciałem panu zakomunikować, Cooley.

Popatrzył na więźnia pytająco, a nie doczekawszy się odpowiedzi, sam spytał:

— No jak, panie Cooley?... Proszę się zdecydować.

— Zgadzam się — powiedział Cooley.

— To bardzo rozsądna decyzja. A teraz niech pan napisze podanie z prośbą o zmianę obrońcy.

O'Brien sięgnął po teczkę, wyjął papier i podał Cooleyowi wieczne pióro mówiąc:

— Podyktuję panu.

— Uwzględnia? — spytał Cooley.

— O to niech pana głowa nie boli, Cooley. Czy zastanowi się pan nad tym, jak udało mi się uzyskać zezwolenie na rozmowę z panem i to sam na sam? Uda mi się jeszcze więcej. Będę się starał, by rozprawa nie była publiczna, argumentując, że rozszalały przeciw panu tłum wytwarzałby nieprzychylną atmosferę i wpływał w ten sposób na sędziów przysięgłych. Ręczę panu, że doprowadzę do tego, iż rozprawa odbędzie się przy drzwiach zamkniętych, przez co nasi przysięgli będą spokojniejsi. Mogę bardzo wiele i to jest właśnie pańską szansą, Cooley. Milion dolarów to naprawdę niewiele za taką przysługę.

Cooley czuł, że rodzi się w nim coś, o co się modlił przez wszystkie dni spędzone w celi, jakaś wielka radość, gorączkowa nadzieja na zwycięstwo. Dotknął ręką swej koszuli — była cała mokra, pot przylepił ją do ciała. Chciał tańczyć, śpiewać, krzyczeć ze szczęścia, upić się, zwariować, oszaleć! Z trudem uspokoił rozdygotane nerwy i wziął pióro w palce. potem podniósł głowę znad stołu, spojrzął w twarz adwokata i zadał ostatnie pytanie:

— Panie O'Brien, jaką ma pan gwarancję, że dostanie pan ten milion, że po uniewinnieniu, zakładając, iż pan rzeczywiście tego dokona, nie wystrychnę pana na dudka?

— Największą, Cooley, jaką można mieć — odpowiedział O'Brien. — To, że nie będzie pan chciał wystrychnąć się na trupa. Mógłby pan uciec przed wszystkimi policjantami świata, ale nie przed nami. Nasi ludzie będą pana pilnować dzień i noc, aż do wypłaty. Nie ma takiego miejsca w kosmosie, w którym mógłby się pan przed nami schować. Teraz niech pan pisze i niech pan zaprzestanie snucia głupich myśli.

Dziesięć dni później, wczesnym rankiem, „brudas” zabrał go do umywalni. Tam dopilnowano, by Dick Cooley wziął prysznic, po czym zaprowadzono go do fryzjera. O godzinie dziesiątej, ogolony, w czystej koszuli i w garniturze, wsiadł na podwórcu więziennym do karetki policyjnej i pojechał na rozprawę w towarzystwie trzech funkcjonariuszy.

Po raz pierwszy od dwóch miesięcy oglądał miasto i ludzi w barwnych strojach. Codzienne życie rozmazywało się z okienkiem z pancerną szybą jak na przyspieszonej taśmie filmowej. Wkrótce i on wtopi się w ten tłum, już niedługo...

Samochód zatrzymał się przed dużym, szarym budynkiem z klasycystycznym portykiem i wielkimi schodami prowadzącymi do kolumnady. Gdzieś już widział ten budynek, ale ni mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Nie miał zresztą czas przypominać sobie. Wprowadzono go po

schodach do wysokiego hallu, nad którym wisiał plafon z jakimiś mitycznymi postaciami w rydwanach, potem znowu po schodach do korytarza z czerwonym dywanem, gdzie mały orszak obskoczył; grupa dziennikarzy. Podsuwali Cooleyowi pod nos mikrofony, strzelali fleszami, przekrzykiwali się wzajemnie. Policjanci rozepchnęli ich i przez poczekalnię wprowadzili go na salę rozpraw. Cooley z satysfakcją skonstatował, że jest on prawie pusta, nie licząc tych kilku przedstawicieli prasy, którzy wbiegli za nim i usadowili się z notesami i magnetofonami.

O'Brien powitał go reklamowym uśmiechem, potrząsnął jego dłonią i poklepał po ramieniu, po czym powiedział głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

— Proszę być spokojnym, panie Cooley. Sprawiedliwości na pewno stanie się zadość!

Cooley pochylił się ku niemu i spytał szeptem:

— Długo to potrwa?

— Są procesy, które ciągną się miesiącami — mruknął O'Brien grzebiąc w notatkach — ale ten przy odrobinie szczęścia może się skończyć dzisiaj. Na to samo liczy prokurator Jenkins, tylko że on wierzy w moc zebranych przez siebie dowodów, a ja postaram się wykazać, że są to pseudodowody. Mam dla niego kilka bonusów, które powinny zepsuć mu humor. Proszę się nie niepokoić.

Cooley spojrział w prawo, na człowieka, który miał go oskarżać. Jenkins był szpakowatym przeciętniakiem o wydatnym brzuchu. Żuł gumę z niezmaconym spokojem i bawił się długopisem, stukając nim w otwarte akta. Nagle odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały. Po grzbiecie Cooleya przebiegł dreszcz strachu.

Pierwsze dwie godziny zabrało odczytywanie aktu oskarżenia i kompletowanie lawy przysięgłych. Wybrano dwunastu z siedemnastu kandydatów, przy czym wszystkich odrzuconych wyeliminował Jenkins. Cooley wiedział, że nie ma to żadnego znaczenia, gdyż wszyscy kandydaci zostali uprzednio „zrobieni”.

W ciągu następnej godziny, podczas której przesłuchiowano grupę lekarzy i kryminologów, O'Brien stał się kilkakrotnie z Jenkinsem w drobnych sprawach natury formalnej. Potem Jenkins wprowadził do gry swoje najpotężniejsze atuty. Na brzegu paska jednej z zamordowanych dziewcząt znaleziono fragment odcisku kciuka, który kryminolodzy policji stanowej zidentyfikowali jako odcisk Cooleya. Wówczas sprowadzony z Nowego Jorku przez O'Briena ekspert federalny, profesor Brian Cooper, oświadczył, że fragment ten w żadnym wypadku nie może służyć jako niezbity dowód. Owszem, wykazuje on pewne cechy podobieństwa do odcisku Cooleya, lecz

tylko porównanie pełnych odcisków mogłoby pełnić rolę dowodu. Cooper powołał się na precedensy z lat 1927 i 1949. Pierwszy z nich był wstrząsający — człowiek, skazany na pod stawie fragmentu odcisku na krzesło elektryczne, został uniewinniony na dwa dni przed egzekucją, gdy znaleziono prawdziwego mordercę, lecz w wyniku przeżytego szoku postradał zmysły. Oświadczenie Coopera wywarło na przysięgłych duże wrażenie.

Ta porażka nie zdeprymowała Jenkinsa. Za paznokciami innej zamordowanej znaleziono zakrzepłą krew. Dla każdego oskarżyciela byłoby to przysłowiową gwiazdką z nieba, chodziło bowiem o bardzo rzadką grupę krwi, a Cooley podczas aresztowania miał ślady zadrapań na twarzy i co najważniejsze — posiadał tę właśnie grupę krwi. Lecz O'Brien udowodnił, że w okresie, kiedy popełniano zbrodnie, szeryf w pobliskiej miejscinie zatrzymał, niestety tylko na jedną noc, niejakiego Melwina Thorpa, włóczęgę, z identyczną grupą krwi.

Nie była to, rzecz prosta, rewelacja — nie była dopóty, dopóki O'Brien nie przedstawił dokumentów wykazujących, w jakiej okolicznościach Thorpowi zbadano krew. Nastąpiło to przed jedenastu laty w Chicago, Thorp był wówczas podejrzany o zgwałcenie i zamordowanie nieletniej dziewczynki! Zwolniono go z braku dowodów. Wśród dziennikarzy i przysięgłych rozległy się głośne szmery rozmów, sędzia musiał uciszać salę.

Wszystko, co działo się potem, dalsze przesłuchania i nawet błyskotliwe skompromitowanie przez O'Briena jedyne go świadka, kobiety, która widziała Cooleya na miejscu zbrodni, nie miało już znaczenia. Jenkins wyraźnie spuścił z tonu, nadrabiał miną, ale jakoś bez przekonania, zmałał, stał się statystą. Jego przemówienie było bezbarwne, pozbawione pewności siebie i dynamiki. Za O'Brien strzelił retorycznym fajerwerkiem, przeplatany często wspominkami o tragicznych pomyłkach sądowych. Gdy skończył, dziennikarze, ku zdziwieniu Cooleya, bili brawa.

Późnym popołudniem przysięgli wrócili z krótkiej narady i na pytanie: „Guilty or not guilty?”, ich przedstawiciel odpowiedział zdecydowanie:

— Not guilty!

Cooleyowi wydawało się, że śni. Patrzył na O'Briena jak na cudotwórcę i po raz pierwszy odwzajemnił uśmiech uśmiechem.

Rzucili się ku nim dziennikarze. Zanim zdążyli dobiec, O'Brien szepnął:

— Niech pan się jeszcze nie przyznaje, Cooley. Nie teraz! Lawina pytań, którymi ich zarzucono, docierała doń z trudem przez barierę oszołomienia. Odpowiadał jak automat plotąc, co tylko ślina przyniosła mu na język i cały czas myśląc o tym, że jest wolny, że cały ten koszmar jest już za nim i nigdy

nie powróci. Wolny, wolny, wolny!!! W pewny momencie O'Brien krzyknął:

— Dosyć, panowie, na dzisiaj. Mój klient jest wyczerpany i musi odpocząć. Mogę wam jednak obiecać, że za kilka dni złożę sensacyjne oświadczenie!

W odpowiedzi wybuchnął wulkan pytań i chóralny jęk zawodu, kiedy O'Brien, trzymając Cooleya pod ramię, rozepchnął tłumek i pomaszerował do bocznego wyjścia. Dziennikarze pobiegli z wrzaskiem za nimi, lecz woźny sadowy zastąpił im drogę i zamknął drzwi za O'Brienem i Cooleyem.

Znaleźli się w małym przedsionku wyłożonym drewnianą boazerią, która tłumiała dźwięki. O'Brien poprowadził go do następnych drzwi, po przekroczeniu których zatrzymali się u wylotu wąskiego, nisko sklepionego korytarza. Korytarz sprawiał wrażenie ciemnego tunelu. Gdzieś daleko, na jego końcu, jaśniało blade światło. Cooleya ogarnął dziwny niepokój. Nagle spostrzegł, że O'Brien nie trzyma już jego ręki. Odwrócił się i zobaczył, że obok nie ma nikogo. Nacisnął klamkę u drzwi — były zamknięte. Naparł na nie i zaczął szarpać klamkę, lecz drzwi ani drgnęły. Odwrócił się ponownie i oparł o nie plecami.

Korytarz wypełniała posępna cisza. Było w niej coś takiego, że Cooley poczuł, jak zaczyna mu cierpnąć skóra. Oderwał plecy od drzwi. Światło na końcu korytarza wabiło go do siebie. Ruszył powoli, starając się iść jak najciszej, lecz każdy krok wydobywał z betonowej posadzki głośny zgrzyt. Światło stawało się coraz większe i większe. W połowie drogi zauważył, że jest to niewielkie okno umieszczone pod sklepieniem. Stało tam dwóch mężczyzn, których głowy rysowały się ostro na tle szyby. Chciał zawrócić, ale drugi kraniec korytarza tonął w ciemności. Poszedł dalej jak nakręcona lalka. Kilka metrów przed oknem zatrzymał się. Wówczas mężczyźni podeszli do niego. Ręce mieli schowane w kieszeniach długich płaszczy.

— Cooley? — spytał jeden z nich.

— Tak... to ja — odpowiedział.

— Spieszysz się gdzieś, Cooley? — spytał drugi mężczyzna.

— Nie... ja... pan O'Brien zostawił mnie tutaj...

— O'Brien już nie tęskni do ciebie, jego rola się skończyła. Teraz my się tobą zajmujemy.

Poszedł za nimi bez słowa. W podziemnym garażu czekał samochód z szoferem przy kierownicy. Mężczyźni posadzili Cooleya między sobą, na tylnym siedzeniu, i dali szoferowi znak. Miasto pławiło się w świetle neonów.

— Jestem głodny — powiedział Cooley — nie jadłem od rana. Mężczyzna siedzący po prawej stronie stuknął szofera w ramię.



— Zajedź do Mc Donalda, Joe!

Zatrzymali się na parkingu przed barem Mc Donalda.

— Co ci wziąć? — spytał ten z prawej.

— Wszystko jedno...

— Może być Big Mac z frytkami?

— Tak... może dwa, jestem bardzo głodny...

Mężczyzna wysiadł z wozu i wrócił po kilku minutach z dwoma pudełkami i torebką frytek. W drugiej ręce trzymał I kubek napoju ze słomką.

Zawieźli go do willi na przedmieściu i zamknęli w małym I pokoju bez okna, z jedną żarówką zwisającą z sufitu. Czekał tam ponad dwie godziny, siedząc przy stole, na którym leżały stare czasopisma. Kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, wstał. Ujrzał w drzwiach jednego z dwóch mężczyzn, którzy zabrali go z gmachu sądu i nieznanego łysielca z teczką pod pachą. Gangster wycofał się, a człowiek z teczką wszedł do pokoju i przedstawił się:

— Jestem Thompson, przedstawiciel Stark & Stark Editors. Umożliwiono mi kontakt z panem w celu omówienia spraw związanych z naszą poprzednią propozycją. Przystąpmy więc od razu do rzeczy.

— Dobrze — powiedział Cooley — przyjmuję waszą propozycję, ale na innych warunkach finansowych.

— To zrozumiałe — odrzekł Thompson, siadając i otwierając teczkę. — W obecnej sytuacji...

— Zapłacicie mi cztery miliony dolarów!

Thompson spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Pan sobie kpi, Panie Cooley?

— Nie, po prostu podbiłem cenę.

Thompson zamknął teczkę i wstał.

— Wobec tego nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa, żegnam pana.

Cooley przestraszył się.

— W porządku — powiedział — zgadzam się.

— Na co pan się zgadza? Przecież jeszcze nie ustaliliśmy wartości kontraktu.

— Jak to nie?! Proponowaliście trzy miliony dolarów!

— Tak, ale sytuacja zmieniła się od tamtej pory.

— Co się zmieniło? Przecież nie splajtowaliście! Chcieliście dać trzy miliony...

— Teraz już nie chcemy. Interesowały nas wspomnienia zboczonego mordercy, a nie człowieka niewinnego. Ludzi niewinnych są miliony, gdybyśmy każdemu chcieli dawać grubą forszę za pamiętnik, to rzeczywiście splajtowalibyśmy w dwie doby. Teraz możemy panu zapłacić najwyżej sto

tysięcy za opis śledztwa, podczas którego policja zrobiła z pana kozła ofiarnego i parawan swej nieudolności. To może być ciekawe, lecz już nie tak, jak autentyczne wspominki sadysty seksualnego. Gratuluję panu uniewinnienia, panie Cooley, ale nie będąc mordercą, nie jest pan dla nas zbyt cennym partnerem.

— Mylicie się... to ja zamordowałem te dziewczyny.

Thompson uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Niech pan da spokój, nie wydusi pan od nas ani centa więcej. Proszę się zwrócić z tym do konkurencji, może...

— Nie będę rozmawiał z żadną konkurencją! Chcę zrobić interes z wami i to zaraz!

— To proszę podpisać kontrakt na sto tysięcy i cieszyć się z tego, bo to i tak dużo.

— Dużo? Chcecie to dostać za darmo!

— Panie Cooley, nie mam czasu na takie rozmowy.

— Mówię panu, że jestem mordercą! — krzyknął Cooley. — To prawda!

Thompson wrócił do stołu i usiadł na brzegu krzesła.

— Coś panu powiem, Cooley. Może pan sobie być mordercą, albo nie, liczą się fakty zakodowane w świadomości społecznej. Sąd uwolnił pana od winy...

— Sąd został oszukany! Ci ludzie, którzy pana tu przyprowadzili, spreparowali lawę przysięgłych...

Tamten zachnął się i odezwał szorstko, wyraźnie już znużony utarczką:

— Mój panie, jutro cała prasa napisze, że jest pan czysty jak łąza! Ci sami, którzy do tej pory nazywali pana wampirem, teraz mianują pana ofiarą. Thorp interesuje nas bardziej niż pan, tylko gdzie go szukać?... No dobrze, załóżmy, że to prawda, co pan mówi, że jest pan mordercą, ale kto w tai teraz uwierzy? Wszyscy pomyślą, że pan i my blefujemy dla zysku, że pański pamiętnik to czysta fantazja, humbug. Dzisiaj wielką forszę robi się na literaturze faktu. Myśli pan, że Capote zarobiłby tyle, ile zarobił, gdyby *Z zimną krwią* było fikcją? Wątpię, czy ktoś zechce kupić pańską książkę, jeśli będzie pan w niej udawał mordercę, wątpię więc, czy moi szefowie zechcą zainwestować w taki interes więcej niż sto tysięcy. W każdym razie muszę to z nimi przedyskutować. Damy panu znać. Bye!

Wstał i skierował się do drzwi. Cooleya oblał zimny pot Zrozumiał, co się stanie za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt minut, gdy O'Brien, te dwa zbiry i ich szefowie pojmą, że trudzili się bezowocnie i nie dostaną ani centa. Kiedy tamten był już w drzwiach, Cooley zawołał:

— Chwileczkę!... Niech pan wróci!... Dam... Dam wam dowód!

Thompson spojrział na niego zaskoczony.

— Niech pan wróci — powtórzył Cooley cicho. — Udowodnię że jestem mordercą...

Tamten zawrócił niechętnie i nawet nie usiadł, czekał ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy.

— Wskażę nie odnalezionego do tej pory ciało ósmej dziewczyny — wyszeptał Cooley.

— Co?

— To co pan słyszy. Pokażę, gdzie zakopałem trupa.

— Ejże, to nie blef? Nie mam czasu na...

— Mówię prawdę!... I co teraz, będę miał te trzy miliony?

— Jeśli pokaże pan ciało, natychmiast podpiszemy umowę i wypłacimy zaliczkę!

— Milion dolarów.

— Nie... nie damy takich wysokich zaliczek... może...

— Milion dolarów albo gówno zobaczycie!

— W porządku. Ale jeszcze dzisiaj chcę mieć dowód, że pan nie blaguje, Cooley. Niech pan poczeka, zadzwonię po kumpla z fleszem. Za pół godziny jedziemy!

O'Brien wrócił do domu późno w nocy. Anna nie spała, czekała na niego

— Zjesz coś? — spytała, kiedy zdejmował płaszcz.

— Dziękuję, nie jestem głodny. Napiję się piwa.

Sięgnął do lodówki, otworzył puszkę i powędrowawszy do salonu opadł ciężko na fotel.

— Jestem zmęczony...

— To kładź się spać. Znowu nie będę mogła cię dobudzić.

— Nie będziesz musiała, jutro nie idę do roboty. Wyjeżdżasz?

— Nie... Nie będę już pracował. Jutro przeczytasz w gazetach o mojej degradacji, może mnie nawet zamkną.

— John! Oszalałeś?!

— Nie, Anno.

— Coś ty zrobił, na Boga?

— Załatwiłem tego Cooleya.

— Ty? Przecież aresztował go porucznik Selby, mówiłeś, że tylko pomagałeś im w śledztwie...

— Tak, ale teraz włączyłem się na całego i to na własną rękę. Zbyt długo pracuję w policji, by nie wiedzieć, czym to się mogło skończyć. Mogli go uniewinnić. A ja go zmusiłem do przyznania się!

— To cudownie!

— Tak, ale... jak ci to powiedzieć?... Zrobiłem to poza prawem, złamałem prawo. To, co zrobiłem, jest przestępstwem.

— John, na miłość boską!

— Ktoś to musiał zrobić, Anno. Nie było takich dowodów, by można było mieć pewność, że się nie wywinie. Przy dobrym adwokacie... Loftman nie jest głupi. Skorzystałem z jego choroby i zrobiłem teatr... Co tak patrzysz? No, po prostu wyreżyserowałem fikcyjną rozprawę, a potem ten bydlak ujawnił, gdzie jest ciało tej małej z Dolnego Miasta. Nie myśl, że kogoś skrzywdziłem. Chłopcy z mojej brygady musieli spełniać moje rozkazy, zresztą nie wiedzieli całkowicie, w co się gra, tak jak i inni, których w to wciągnąłem, nawet ta kobieta, świadek, myślała, że to na poważnie. Tylko mnie mogą obwiniać... Najgorsze, że wyjąłem go z więzienia na lewych papierach, rzekomo na konfrontację i na nowe przesłuchanie. To jest największe bezprawie ze wszystkich, jakie popełniłem, bo nie miałem zgody przełożonych, sam spreparowałem dokumenty na urzędowych blankietach. Ale nie było innej możliwości, musiałem to zrobić!... No, nie płacz — podszedł do żony i przytulił ją — nie będzie tak źle...

— Co... co ty pleciesz... John, och, John!

— Wiem, co mówię, darling. Zobaczysz, wszyscy ludzie, i władze będą mnie błogosławić, może nawet ogłoszą mnie! człowiekiem roku? — roześmiał się. — Dadzą mi najniższy z możliwych wyroków i zaraz na pewno ulaskawią, to murowane... Zrozum, Anno, musiałem... Nadarzyła się okazja, teatrzyk z Forest Hills przygotowywał właśnie Anatomie morderstwa i miał na składzie wszystkie rekwizyty, meble sądowe, i stroje, wszystko! A budynek starego parlamentu jest taki podobny do gmachu sądu! No i jeszcze ta choroba Loftmana... Pomyśl, tyle okazji naraz, taki przypadek! Pomyślałem sobie, że ta szansa sama przychodzi, że popycha ją opatrność, więc ktoś musi wyciągnąć ręce i chwycić. Wydawało mi się, że jeśli nie wykorzystam, zostanę ukarany. Wierz mi, czułem to, naprawdę!... Musiałem się spieszyć, bo za kilka dni stary parlament będą rozbierać albo remontować. Widzisz, to dlatego stoi pusty, że firma budowlana z Los Angeles chce go zlikwidować i postawić na tym miejscu supermarket, ale władze stanowe sprzeciwiły się, bo to zabytek. Urządziłem wewnątrz przy pomocy tej trupy z Forest Hills i zagrałem... Wiesz, kiedy byłem młody, oblałem egzamin do szkoły teatralnej. Zawsze marzyłem o wielkiej roli... A tak na poważnie, ta blondynka zamordowana nad rzeką była niemal sobowtórem naszej Lizy... Przysięgłem sobie, że go załatwię!

— Przestań! Przestań!!! Zdegradują cię! Tyle lat dobijałeś się stopnia kapitana, a teraz, na sześć lat przed emeryturą, zdegradują cię! Stracisz emeryturę i z czego będziemy żyć, za co wykształcisz dzieci? Z oszczędności?

— Nie ma ich, kochanie. Wydałem wszystko, by wynająć na jeden dzień tych aktorów i statystów z Forest Hills i na różne inne rzeczy. Wszystko. Nawet pożyczyłem jeszcze od Billa. Ale nie martw się. Dopiero teraz zaczniemy żyć! Stark & Stark zaproponowali mi kontrakt na trzy miliony dolarów za opisanie całej imprezy. To jest, powiedzieli, bomba. Dadzą mi pomagiera, wiesz, takiego od stylu, no i przysięgają, że to będzie superbestseller... No, nie płacz już, czemu znowu beczysz?

## PERFIDIA SELEKCJA

Kiedy zza pleców dobiegł go cichy skrzyp drzwi, pomyślał, że to służący don Anzelma i nie odwrócił się. Nie odwrócili się również Frank i Giuliano. Wszyscy trzej z uwagą słuchali leżącego w koronkowej pościeli starca, który z trudem wydobywał z siebie zdania przerywane szybkim oddechem. Nieoczekiwanie z tyłu dobiegły ich słowa, beznamienne jak tykanie zegara:

— Łapy do góry i nie odwracać się. I żadnych kawałów, bo bez namysłu rozwalę.

W chwilę później do pokoju wkroczyła grupa ludzi, którzy zaczęli ich obmacywać, szukając broni. Vittorio; był pewien, że to któryś z tamtych dwóch gra komedię i że i faceci, którzy ich obmacują, to ludzie Franka albo Giuliana. Tylko którego? Który z nich postanowił sięgnąć po i sukcesję siłą?

Kiedy pozwolono mu się odwrócić i zobaczył mundury policyjne, oniemiał.

Bardzo niewiele rzeczy na świecie mogło zaskoczyć Vittoria Matkę. Nie pamiętał, by w ciągu kilkunastu ostatnich lat życia coś zaskoczyło go bardziej. Prędzej spodziewałby się policjantów w swej sypialni o północy niż tutaj, w rezydencji bossa bossów, o której wiedziało tylko kilku najpewniejszych ludzi, sami capi. Ze zdumienia nie potrafił się nawet ucieszyć, że to nie jest numer urządzony przez konkurenta z mafii. Gdyby tak było, mógłby już tylko westchnąć do Boga, jeśli w ogóle by zdążył.

Vittorio Matta miał pięćdziesiąt dwa lata i był bossem organizacji na południowe Stany. Tego dnia jechał do szefa bez entuzjazmu. Miał najmniejsze szanse, był najmłodszy i nigdy nie należał do pupili don Anzelma. Gorzej, naraził mu się ryzykując przed trzema laty interes w Las Vegas, po którym policja o mały włos nie wpadła na ślad kanałów przerzutowych z Meksyku.

Miał się, co prawda, także czym pochwalić: ani jednego grama heroiny nie można było kupić lub sprzedać na południe od Denver i Kansas bez jego wiedzy, do tego sieć sklepów samoobsługowych i restauracji, banki w Teksasie, nafta... Ale Giuliano, szef na wschodnie Stany, i Frank, capo Zachodniego Wybrzeża, też nie byli gorsi, a do tego mieli dłuższy staż i urodzili się na Sycylii, podczas gdy on w Tampa, w rodzinie sycylijskich emigrantów. Don Anzelmo przyjechał do Ameryki po pierwszej wojnie światowej i lubił takich, jak on sam, „chłopców z wyspy”. Vittorio zdawał sobie sprawę z tego, że musiałyby stać się cud, by berło dostało się w jego ręce.

Don Anzelmo umierał. Miał osiemdziesiąt siedem lat. Rządził organizacją przez jedenaście ostatnich lat i zwano go Big Boss the Winner — Wielki Szef Zwycięzca. Miał piekielne szczęście. Vittorio wiedział o tym z opowiadań, które brzmiały jak streszczenia z filmów o Supermanie skrzyżowanym z Fantomasem i czarnoksiężnikiem ze wschodniej bajki. Nikt natomiast nie wiedział, ile razy strzelano do don Anzelma, wiedzano tylko, że wiele, bardzo wiele razy. Przeżył, i wszystkich zamachowców wykreślał z listy żywych. Wreszcie uwierzono w jego nieśmiertelność i przestano doń strzelać. Wkrótce potem sięgnął po władzę. Uczynił to za pomocą pistoletu. W rezultacie przez pierwsze dwa lata jego panowania mafia przechodziła kryzys, mszczono się i wyrównywano rachunki. Opanował ten chaos i postanowił nie dopuścić więcej do podobnych jatek osłabiających organizację. Jego postanowienia charakteryzowały się tym, że zamieniały się w krew i ciało, toteż krew przestała płynąć i przeżywali boom pod jego rządami.

Don Anzelmo posiadał wszystkie cechy przywódcy charyzmatycznego i tylko jedną wadę — w rzeczywistości nie był nieśmiertelny i nie mógł przeżyć samego siebie. Właśnie dlatego teraz, gdy lekarze powiedzieli mu prawdę, wezwał do siebie ich trzech, by jednego uczynić królem — capo di tutti capi.

Zgodnie z rozkazem Vittorio wraz z trzema swoimi goryłami dojechał zielonym highwayem Interstate nr 95 do Elko. Na stacji benzynowej przed miasteczkiem czekało nań w białym pontiacu dwóch gwardzistów szefa. Pojechał za nimi na północ, odnogą speedwayu, w kierunku Tuscarora. Nie dojeżdżając do Tuscarora skręcili w prawo i jechali wzdłuż brzegu rzeczki South Fork aż do wysokiej bramy w ogrodzeniu z metalowej siatki. Na krańcu szerokiej alei widać było piętrową rezydencję otoczoną wysokim azurem starodrzewu. Był absolutnie pewien, że prędzej wciśnie się do tej twierdzy niedostrzeżony słoń niż policjant. Teraz, gdy zobaczył mundury, pomyślał, że ktoś z obstawy szefa zdradził — inaczej słychać byłoby strzały. Powinni bronić się goryle don Anzelma, a już na pewno trzej jego chłopcy, których tu przywiózł i zostawił w przedpokoju. Frank i Giuliano też przywieźli po trzech

uzbrojonych po zęby i cała ta gromada zawodowców dała się zaskoczyć i rozbroić jak stado baranów! Było to niepojęte i nie dawało się wytłumaczyć inaczej jak zdradą.

Policja wdarła się do pokoju na piętrze w momencie, gdy don Anzelmo podawał im krzyż, by przysięgli, że uszanują jego decyzję i nie będą wydzierać sobie władzy siłą. Był to gest symboliczny — jeden z tych, w których szef kochał się na starość — i zupełnie zbyteczny. Poszanowania decyzji i tak dopilnowałaby tajemnicza grupa egzekucyjna, którą utworzono przed ośmiu laty jako żandarmerię wewnętrzną organizacji i której dowódcę, zwanego capitano, znał tylko don Anzelmo.

Stojąc bez ruchu Vittorio czuł, jak powoli ogarnia go wściekłość. Kiedy pozwolono im opuścić ręce i odwrócić się, ujrzał kilkunastu policjantów z wymierzonymi w nich pistoletami i wysokiego szatyna w garniturze koloru marengo. Człowiek ten stał z rękami wsuniętymi w kieszenie marynarki, przyglądał się im uważnie i milczał. Pierwszy nie wytrzymał Giuliano:

— Dlaczego panowie nas napastują? Co znaczy ten teatr? Jestem starszym człowiekiem, szanowanym obywatelem, regularnie płacę podatki, przyjechałem tu odwiedzić przyjaciela... Jakim prawem...

— Stul pysk.

Cywil powiedział to tym samym spokojnym głosem, którym odezwał się od progu i tylko w oczach zalśniło mu coś takiego, że Giuliano skulił się jak smagnięty batem i zamilkł.

Vittorio opanował nerwy i zwrócił się to tamtego:

— Tak nie można, panie władzo, nie macie prawa... To jakaś pomyłka. Chcę skontaktować się z moim adwokatem.

Wówczas cywil zrobił kilka kroków, stanął przed Vittorioem i patrząc mu w oczy powiedział:

— Chwilowo nie mogę ci tego obiecać. Obiecuję co innego — jeśli któryś z was odezwie się od tej chwili bez pytania, dostanie po buzi. Zrozumiano?

Vittorio nie odwrócił wzroku. Znał ten typ utytułowanych gnojków, których nadyma posiadana siła i chwilowa przewaga w grze. Idealny przedziałek, wypielegnowane paznokietki, kołnierzyk zmieniany dwa razy dziennie, dezodorant w pysku. Silny i bezczelny, kiedy ma przewagę. Dopadnięty kwiczy jak zarzynane prosię. Nie warto się szarpać, trzeba odczekać. Z boku dobiegł go głos Franka:

— To skandal! Konstytucja Stanów Zjednoczonych gwarantuje każdemu obywatelowi...



W tam samym momencie cywil zrobił błyskawiczny półobrót i jego prawa pięść wylądowała na twarzy Franka. Szef nowojorskiej mafii poleciał do tyłu, odbił się od masywnej donicy z eukaliptusem i runął na łóżko don Anzelma, paskudząc pościel na czerwono.

Mimo że cała ta sytuacja wyglądała podle, Vittorio uśmiechnął się w duchu. Frank takich bubków, jak ten, który go uderzył, lubił topić z nogami wsadzonymi w kubeł z cementem, po odczekaniu aż cement stwardnieje — był to jego wynalazek i dlatego nazywano go „Frankiem—betoniarzem”. Teraz taki glina wybił mu zęby i Frank siedział na podłodze jak skrzywdzone dziecko, a spomiędzy palców, którymi zasłaniał twarz, skapywała krew. Vittorio poczuł satysfakcję — to był doprawdy fajny obrazek, szkoda, że nie widzą tego podwładni Franka.

Cywil przyglądał się teraz baczniej oddychającemu z trudem don Anzelmowi.

— Sprawdziliście tego starego? — zapytał swoich ludzi.

Mundurowi kiwnęli głowami, że nie.

— No to już!

Podskoczyło dwóch. Jeden wyszarpnął spod głowy starca poduszkę, drugi odkrył kołdrę i otworzył szufladę nocnego stolika. Nie znaleźli broni, tak jak uprzednio nie znaleźli jej u Vittoria, Franka i Giuliana — wszyscy musieli ją oddać w przedpokoju, przed wejściem do szefa. Cywil założył ręce na plecy, przeszedł się kilka razy od ściany do ściany, potem zatrzymał na środku pokoju i zaczął mówić:

— Jestem starszym inspektorem FBI oddelegowanym czasowo na stanowisko komendanta sekcji antymafijnej policji stanu Nevada. Nazywam się Ramsey Callaghan. przedstawiłem się, kolej na was.

Vittorio chciał powiedzieć, że mafię zna tylko z gazet i z telewizji, lecz w porę przypomniał sobie twarz Franka i powiedział krótko:

— Vittorio Matta.

— Mało! — inspektor podniósł głos. — Zawód, pochodzenie, wszystko!

— Macie moje dokumenty — przypomniał Vittorio.

Callaghan spojrział na niego spod przymrużonych powiek i Vittorio, nie czekając, wyrzucił z siebie:

— Vittorio Matta, urodzony 28 marca 1922 roku w Tampa na Florydzie. Zawód — przemysłowiec.

— Pytałem o pochodzenie!

— Włoskie.

— Konkretniej. Miejsce urodzenia ojca.

— Sycylia.

— Bardzo ładnie, a wy? — zwrócił się w kierunku Giuliana i Franka.

— Giuliano Gramsci, urodzony 8 sierpnia 1910 roku w Palermo...

— Gdzie to jest? — Na Sycylii.

— Tak myślałem. Zawód?

— Jestem na emeryturze.

— W porządku. A ty?... Też jesteś na emeryturze?

— Nie... ja... jestem bankierem... — odpowiedział Frank i zlizując krew z rozbitych warg. 5

— Nazwisko!

— Frank... Frank Buonfortuna... urodzony w czerwcu... 1912... w Caltanizetta...

— Spróbuję zgadnąć. To na Sycylii?...

— Tak.

— No proszę! — Callaghan uśmiechnął się po raz pierwszy. — Sami Sycylijczycy, rodzinny nastrój, prawda?

— Nasz przyjaciel jest ciężko chory. On też jest Sycylijczykiem, przyjechaliśmy go odwiedzić. To dlatego jesteśmy tutaj — wyjaśnił Vittorio. — To nie jest chyba zabronione?

— Nie. Zabronione jest należeć do mafii i posługiwać się terrorem i zbrodnią dla osiągnięcia zysków!

— Do jakiej mafii, na Boga! — krzyknął Giuliano.

— Do amerykańskiej. O ile wiem, na naszym kontynencie jest tylko jedna, którą przeflancowaliście tu z Sycylii, j Uczyniliście z niej ośmiornicę, która oplotła cały kraj, od Atlantyku do Pacyfiku. Do takich jak ja należy obcinanie ramion ośmiornicy. Chcesz coś jeszcze powiedzieć? — spytał Giuliana.

— Tak, panie inspektorze.

— To mów, pozwalam ci, jestem tu po to, by was słuchać.

— Chcę powiedzieć — powiedział Giuliano akcentując mocno każdy wyraz — że pan się naczytał komiksów o Alu Capone. Chcę także powiedzieć, że organizacje włoskie w tym kraju od dawna już protestują przeciw insynuacjom i utożsamianiu każdego uczciwego Włocha z mafioso!

— A ty jesteś uczciwym Włochem?

— Jestem uczciwym członkiem społeczeństwa amerykańskiego, podobnie jak moi obecni tu przyjaciele.

Callaghan zastanowił się, po czym wygłosił stwierdzenie, które świadczyło, że don Giuliano nie opanował sztuki przekonywania w dostatecznym stopniu.

— Rozumiem. Teraz, kiedy już ustaliliśmy, że jesteście uczciwymi i pracowitymi członkami mafii...

— Nie mamy nic wspólnego z mafią! — przerwali mu wszyscy trzej z najszczerzym oburzeniem, prawie jednocześnie, tak iż głosy ich zlały się w jeden chór, którego tonację psuł tylko charkot poturbowanego Franka.

— Znowu kłamiecie, a to bardzo nieładnie — Callaghan mówiąc to pogroził im palcem. — Udowodnię, że kłamiecie!

Ciekawe jak? — pomyślał Vittorio. — Odpowiesz już za samo uderzenie Franka, kochasiu. Wszystko, co robisz, to bezprawie, nie pokazałeś nawet nakazu rewizji. Skończy się to przed sądem, a potem zajmiemy się tobą, najlepiej metodą Franka, nóżki w cement. Albo nie, wymyśli się coś lepszego, specjalnie dla ciebie.

Wszystko to było trudne do zrozumienia. Mieli w policji swoich informatorów, w każdym stanie, i naraz takie zaskoczenie! Przeklęty los, FBI co chwila tworzy nowe komórki i instaluje w policjach stanowych nieznanych i nie skorumpowanych ludzi z centrali, a don Anzelmo jest już za stary, by trzymać rękę na pulsie. Teraz to się mści. Wszystko zresztą było do wytłumaczenia, tylko w jaki sposób policja wdarła się do rezydencji don Anzelma bez jednego strzału?! Tego wciąż, nie mógł pojąć. Zakładając nawet, że ktoś zdradził, było to trudne do zrozumienia. Przecież nie zdradzili wszyscy na raz, a i goryle nie mogli gromadnie ogłupieć i stracić refleksu.

Callaghan, jakby odgadując jego myśli, wytłumaczył:

— Ciekawi was, jak się tu dostałem... Te bardzo proste. Jadąc tu dwaj z was mijali styk szosy numer jedenaście z nowym skrótem na Tuscarorę, który od trzech miesięcy jest w budowie. Od trzech miesięcy w budowie był też tunel do tego domu. Przed dwoma laty wyszedł z ciupy wasz kompan, niejaki Lombardo. Śledziliśmy chłopczyka, potem śledziliśmy tych, z którymi nawiązał kontakt, a potem jeszcze innych, z którymi tamci nawiązali kontakt, aż w końcu jeden z nich zaprowadził nas tutaj. Przez ponad rok obserwowaliśmy dom, oba wyloty szosy, rzeczkę, las Humboldta, wszystko. Tunel prowadzi z lasu i ma ponad trzysta metrów, niezła robota, co? Dwa tygodnie temu uderzyliśmy łopata o piwnice tego gniazdka i zainstalowaliśmy się w nich. Potem już tylko czekałem na takich gości jak wy. Słyszałem, o czym mówiliście na parterze, mamy takie małe pchełki, które podczepia się do sufitu i wówczas słycać wszystko, nawet przez półmetrowy mur. Tego, o czym mieliście zamiar rozmawiać tutaj, na piętrze, nie mógłbym już usłyszeć z piwnicy. Postanowiłem więc przyłączyć się do towarzystwa. Będę was słuchał bezpośrednio, bez elektronicznych sztuczek, dobrze? Wiem, że macie mi dużo

do powiedzenia, przynajmniej jeden z was jest capo mafioso. Ten mi powie to, co chcę wiedzieć, a chcę wiedzieć dużo, z natury jestem ciekawy.

Vittorio słuchając tego czuł, jak mu się robi słabo. Zaświtało mu w głowie, że chyba źle ocenił Callaghana. Teraz już nie widział w nim ulizanego bubka... Zastanowił się nad sytuacją. Ten cholerny glina o zimnych oczach i miękkich ruchach zawodowego mordercy miał rację. Taki tunel to rzeczywiście niezła robota, artystyczna... Duża rzecz, parszywie piękna robota! Zaraz!... Słyszeli wszystko, co działo się na parterze, gdy witał ich szef obstawy doń Anzelma, Andrea Righi. Starał się gorączkowo przypomnieć sobie, co wówczas mówił, czy nie powiedział czegoś, co mogłoby teraz utrudnić mu obronę.

Nagle zadzwieczał telefon na nocnej szafce.

Callaghan wyjął rewolwer, podszedł do łóżka i przykładając lufę do skroni don Anzelma powiedział:

— Odbierz!

Starzec spojrział na niego z pogardą i odwrócił głowę do ściany. Telefon wciąż dzwonił.

Inspektor skoczył do drzwi, otworzył je szarpnięciem i krzyknął:

— Dawać tego łysielca, piorunem!

Usłyszeli szybki tupot kroków na schodach i do pokoju wbiegł Andrea w asyście dwóch policjantów. Miał podniesione ręce, bladą twarz i wytrzeszczone oczy.

— Odbierz! — warknął Callaghan — i bez trików, jeśli chcesz żyć!

Andrea podniósł słuchawkę drżącą dłonią. Po chwili odwrócił się do inspektora i powiedział:

— To do pana, z Nowego Jorku... Callaghan podszedł do telefonu.

— Callaghan... Tak jest, szefie, wszystko w porządku, trzymam czterech VIP-ów i ich goryli... Tak... Co?! Ależ szefie!... Szefie, niech pan posłucha. Jeśli oddamy ich teraz tym mądralom z policji stanowej, to koniec! Prawie wszyscy są skorumpowani, biorą łapówki na prawo i lewo, zrobią wszystko za forszę! Przez te kilka miesięcy, odkąd u nich pracuję, dobrałem sobie tylko dziewięciu chłopaków, do których mam zaufanie. Harowałem wraz z nimi właśnie na ten dzień i nie chcę teraz stracić wszystkiego! Jeśli zaraz oddam tych łobuzów, to skończy się jak zawsze: procesy, kaucje, stare chwyty, znowu nas wyrolują, szefie!... Ja to rozumiem, szefie, ale mamy szansę, nie mieliśmy podobnej od wielu lat. Szefie, proszę zostawić mi ich na tydzień. Cztery dni, do niedzieli wieczorem, błagam pana! W poniedziałek przetransportuję ich do Carson City. Jeśli przegram, całą odpowiedzialność wezmę na siebie, zna mnie pan! Ale ja nie przegram, nie mogę teraz przegrać, przysięgam panu!... Tak jest. Dziękuję, szefie.

Położył słuchawkę na widelki, otarł pot z czoła i powiedział do swoich ludzi:

— Sprowadźcie ich na dół. Staruchem zajmiemy się później.

Na parterze Vittorio zobaczył lekarza, całą obstawę don Anzelma, goryli swoich oraz chłopców Franka i Giuliana z rękami opartymi wysoko na ścianie.

Lekarzowi policjanci kazali pójść do chorego, a goryli wyprowadzili z salonu. Im trzem kazano usiąść w fotelach i czekać. Vittorio zamknął oczy. Dawno już nie bał się, to inni bali się jego. Teraz przypomniał sobie, jak smakują strach.

Callaghan usiadł naprzeciwko nich, obok mahoniowego biurka, zgasił niedopałek i powiedział:

— Słyszeliście, mam cztery dni i cztery noce. Przez te cztery doby dowiem się od was wszystkiego o organizacji. Jestem waszym spowiednikiem, ten pokój to konfesjonał. Im prędzej to zrozumiecie, tym lepiej dla was. Który chce zacząć?

Milczeli, odwracając wzrok. Vittorio pomyślał, że ta komedia nie może trwać długo. Nie wątpił, że to komedia obliczona na zastraszenie i że lada chwila zabiorą ich stąd i przewiozą do Carson City. Tam będzie mógł skontaktować się z adwokatem. Wiedział już jedną, bardzo ważną rzecz: Callaghan, narzucony skorumpowanej policji stanowej w Nevadzie przez centralę FBI, dobrał sobie grupę „komandosów” i działa w sekrecie. To dlatego don Anzelmo nie dostał cynku z Carson City i nie wiedział o tym tunelu... Najważniejsze, że Callaghan w tej chwili łamie prawo i nawet fakt, że jest chwilowo kryty przez jakiegoś wysokiego urzędnika FBI, niczego nie zmienia. Przez cztery dni, nawet uwzględniając, że to weekend, nie będzie mógł ich trzymać w tym domu, bo w Carson City zainteresują się jego nieobecnością. Błefujesz draniu! — pomyślał z nienawiścią. Nagle usłyszał: „może ty?” i spostrzegł, że inspektor zwraca się do niego.

— Mówiłem już, nie mam nic wspólnego z mafią, to tragiczna pomyłka. Pańskie postępowanie jest bezprawne, nie pokazano nam nawet nakazu aresztowania. Odpowie pan za to, jest jeszcze w tym kraju sprawiedliwość!

— Jeszcze jest, to prawda i rzecz doprawdy dziwna, zważywszy, że już tyle lat pracujecie nad zamordowaniem sprawiedliwości w tym kraju.

— Pan nie ma prawa tak mówić do nas — krzyknął Vittorio ośmielony spokojnym głosem tamtego. — Odpowie pan za to wszystko przed sądem! Dopiero wówczas sprawiedliwości stanie się zadość!

Starał się powiedzieć to jak najbardziej pompatycznie, niczym Lincoln z trybuny, z naiwną nadzieją, że zrobi na tamtym wrażenie.

Callaghan patrzył na niego z ironią i milczał przez chwilę. Potem odezwał się, ciągle tym samym łagodnym głosem, który w każdym z nich budził przerażenie:

— Nie strasz, od straszenia tutaj jestem ja. Właśnie w imię sprawiedliwości wyduszę z was wszystko, co wiecie. Całe życie pracowałem w policji; zaczynałem od posterunkowego i miałem czas, by się napatrzeć, jak robiliście ze sprawiedliwości prostytutkę. Przez te cztery doby nie dostaniecie nic do żarcia i picia. W nocy będziecie polewani wodą, w ten sposób odbiorę wam sen. Sprawdzicie swoją wytrzymałość...

Wstał.

— Teraz macie kilka godzin do namysłu. Jeśli się nie zdecydujecie, wieczorem moi chłopcy dadzą wam pierwszą lekcję.

Zapalił papierosa i nie patrząc na nich wyszedł.

Zostali w pokoju z dwoma roslymi policjantami, z których każdy trzymał w dłoni odbezpieczony pistolet. Vittorio przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy z tego, jak szybko obracają się wskazówki zegara. Wydawało mu się, że minęły dwa lub trzy kwadranse. Gdy odchylił mankiet koszuli, zorientował się, że to już cztery godziny. Inspektor dwukrotnie w ciągu tego czasu wchodził do pokoju i pytał ich, czy zmiękli. Odpowiadało mu milczenie.

Pilnującym ich policjantom przyniesiono gorący posiłek. Vittorio nie czuł głodu, tylko suchość w gardle i z chęcią napiłby się czegoś. Nie wiedział już, w co ma wierzyć, a w co nie i co jest tu grane. Cztery dni. Można chyba wytrzymać, jeśli to wszystko nie jest blefem. Nia miał pojęcia, ile może wytrzymać organizm bez jedzenia, picia i snu, ale chyba przez cztery dni nie zdycha się bez tego wszystkiego?

Wieczorem zawleczono go do piwnicy i ciężko pobito. Zastłaniał się i starał nie krzyczeć. Po kolejnym ciosie w żołądek zemdłał.

Ocknął się na tym samym fotelu w salonie. Miał mokre ubranie i twarz. Pierwszym obrazem, który do niego dotarł, był widok policjanta wylewającego kubek wody na nieprzytomnego Franka.

Policjanci zmieniali się co kilka godzin i regularnie oblewali ich zimną wodą. Vittorio drżał z zimna, bielizna przylepiła mu się do ciała, dostał gęsiej skórki. Podobnie musiało być z tamtymi, słyszał jak zęby Giuliana uderzają o siebie.

Rano pojawił się Callaghan i spytał krótko:

— Macie dość? Zaczynamy?

Nie odpowiedzieli nic.

W ciągu dnia torturowano ich widokiem posiłków, które policjanci pożerali demonstracyjnie, patrząc na nich z jawną satysfakcją. Vittorio, o

dziwo, wciąż nie czuł głodu. Nie doskwierało mu też pragnienie. Zlizywał wodę z rąk i ssał moką koszulę, wystarczało to w zupełności. Tylko brzuch bolał go mocno i stamtąd, gdzieś od dołu, wędrowały mu do gardła mdłości.

Po południu, gdy Callaghan wszedł po raz któryś z kolei, Frank zaczął błagać:

— Panie inspektorze... proszę... proszę o coś do jedzenia, umrę bez jedzenia!... Nie może pan tak postępować, to nieludzkie... .

— Mogę, zapewniam cię, mogę jeszcze przez dwie i pół doby — przerwał mu Callaghan. — Czy sposób, w jaki wy wykańczacie ludzi, jest ludzki? Którykolwiek z tych waszych sposobów?... Są szybsze, wiem, ale mnie się nie spieszy, jeszcze nie. Kiedy zacznie mi się spieszyć, znajdę lepszą metodę. Mówisz, że umrzesz bez jedzenia. To twoja sprawa. Jesteś panem swego losu, złóż zeznanie, a dam ci zjeść, ile zechcesz.

— Jakie zeznanie, o czym? — jęknął Frank.

— O mafii...

— Nie znam mafii!

— ... o jej strukturze organizacyjnej, kontaktach, informatorach, melinach. Nazwiska, strefy działania, hasła, wszystko.

— Ja nie jestem mafioso, przysięgam panu, ja...

— No to masz pecha.

Callaghan odwrócił się i wyszedł.

Vittorio pomyślał, że gdyby tacy ludzie, jak ten glina, byli w mafii, nie doszłoby do tej wsypy. Podziwiał Callaghana i nienawidził. Nienawidził w swym życiu wielu ludzi i wielu z nich zabił, lecz nikogo dotychczas nie nienawidził z taką siłą i nikogo tak bardzo nie pragnął zamordować jak tego człowieka. Jawiły mu się przed oczami makabryczne obrazy, wymyślał dla inspektora przeróżne rodzaje śmierci, jeden okrutniejszy od drugiego, i żaden nie wydawał mu się wystarczająco okrutny. Pod wieczór zaczęły mu doskwierać nogi. Który to był wieczór? Pierwszy... nie. Drugi czy trzeci?... Nie mógł sobie z tym poradzić, wszystko mu się poplątało. W skroniach narastał mu tępy ból i te nogi... Drętwiały. Próbował zmieniać ich położenie i ruszać palcami, ale to niewiele pomagało. W końcu wstał, lecz jeden z policjantów natychmiast zareagował krzykiem:

— Posadzić cię, czy sam usiądziesz?!

— Chcę rozprostować nogi, tylko chwilę...

Policjant zrobił krok w jego kierunku i Vittorio czym prędzej opadł na fotel.

Gdy zapadał zmrok i chciano ich zabrać do piwnicy Frank zaskomlał:

— Nie, nieee!!! Będę mówił, powiem wszystko!

Vittorio i Giuliano zrozumieli, co wykombinował Frank i również zgodzili się zeznawać. Callaghan wywoływał ich kolejno do sąsiedniego gabinetu, naciskał klawisz kasetowego magnetofonu i słuchał.

Vittorio zeznawał przez niecałą godzinę. Podawał jakieś lipne adresy, nazwy i nazwiska, aż wreszcie zabrakło mu wyobraźni. Potem, w Carson City, odwoła się to wszystko, kiedy już wyzwolą ich spod władzy tego sadysty. To był dobry pomysł.

Kiedy powrócili na swoje fotele, Frank spytał inspektora:

— A jedzenie? Obiecywał pan... obiecywał pan nam jedzenie, dużo jedzenia, jeśli powiemy...

— Dotrzymuję obietnic, ale nie obiecywałem, że dam z siebie zrobić idiotę. Jeśli mówiliście prawdę, to wkrótce będziecie żreć.

Gdy Callaghan wyszedł, Vittorio zrozumiał, że pomysł wcale nie był dobry. Był głupi i naiwny. Inspektor bez wątpienia przekaże informacje telefonicznie i tajniacy sprawdzą przynajmniej część z nich. A to wystarczy. Domyślał się, co zrobią z nimi za kilka godzin.

Przez całą noc raziło ich światło z żyrandola, a gdzieś zza drzwi dochodziło straszliwe, pełne przejmującego bólu wycie któregoś z chłopców z obstawy don Anzelma.

Pobito ich nad ranem. Giuliano miał zapuchnięte oko, Frank, któremu złamano palec u lewej ręki, jęczał żałośnie. Vittorio miał zbite piersi i oddychał z trudem. Głód doskwierał im coraz bardziej. Vittorio też już nie był od tego wolny.

Gdy kilka minut po dwunastej inspektor wszedł do pokoju z uśmiechem na ustach, Vittorio domyślił się, że nastąpiło coś, co zmienia sytuację.

— Wiedziałem, że jesteście grube ryby — powiedział Callaghan — ale że aż tak grube, nie miałem pojęcia. Goryle dziadzia Anzelma pękli. I to dwóch naraz... A więc złożyłem wam wizytę w momencie koronacji, jeden z was to niedoszły capo di tutti capi.

Sięgnął po papierosy, włożył jednego do ust i przypalając płomieniem zapalniczki, z głową lekko przechyloną, przyglądał się im przez przymrużone powieki. Potem zaciągnął się kilka razy w milczeniu, strzepnął popiół na dywan i oznajmił:

— Chcę wam zakomunikować, że tron jest wolny. Dziadzio umarł.

Zamilkł, czekając na efekt tych słów. Vittorio spojrział na Franka i Giuliana. Mieli głowy opuszczone na piersi. Wyprostował się z trudem i powiedział cicho:

— Zamordowałeś go... zamordowałeś go i już nic cię nie uratuje!



Callaghan zbliżył się do Vittoria, położył ręce na oparciach fotela i nachylając swą twarz do niego syknął:

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałem, że to zbrodnia i że zapłacisz za nią.

Callaghan upuścił papierosa, przydeptał go butem, po czym lewą ręką chwycił Vittoria za włosy, a prawą zaczął go policzkować na odlew, z jednej i z drugiej strony.. Uderzył kilka razy i spojrzał na swoje dłonie. Były mokre. Wytał je starannie o klapy marynarki Vittoria, następnie cofnął się na środek pokoju i kontynuował spokojnie, tak jakby nic się nie stało:

— Należy do mnie mówić: panie inspektorze. Straszyć mnie nie wolno, bo to boli straszącego. Zapamiętajcie to. A więc, jak mówiłem, dziadzio odwalił kitę. Lekarz też jest zdania, że to ja go wykończyłem, ale to nieprawda. Sam się wykończył. Nie chciał mówić, więc nie dostawał jedzenia. Taki już los upartych.

Przerwał, chcąc zapalić papierosa, ale miał już pustą paczkę. Poczestował go jeden z policjantów.

— Myślę — powiedział Callaghan zaciągawszy się głęboko dymem — że już dostatecznie skruszeliście, ale nie mogę tego sprawdzać dotychczasowymi metodami, bo czas mi się kończy. Mam tylko półtorej doby w zapasie. Zmieniam więc reguły gry, panowie capi. Macie do wieczora czas na podjęcie decyzji. Wieczorem otrzymacie papier i długopisy i napiszecie wszystko, co wiecie o mafii. Będzie to rodzaj konkursu — zwycięzca wygrywa życie. Zanim opuszczę ten dom, dokonam selekcji. Każdy z was po tysiącokroć zasługuje na śmierć, lecz jeden będzie nam potrzebny żywy, jako przynęta i pomagier w dalszych fazach śledztwa. Ten, który napisze najwięcej, najszczerzej i najprecyzyjniej, przeżyje. Dwóch zastrzelę. To wszystko.

Podszedł do drzwi, odwrócił się i dodał tym samym spokojnym tonem:

— Nie żartuję i nie straszę. Do tej pory dotrzymywałem wszystkich obietnic i tej też dotrzymam. Zrobiłem już tyle, że i tak będę siedział, a jeśli nic z was nie wyduszę, to nie będę miał żadnych argumentów przed sądem i posadzą mnie do końca życia. Nie mam wyboru.

Zamknął za sobą drzwi i w pokoju zapanowała straszliwa cisza. Przerwał ją Frank błagając policjantów, by ułatwili mu ucieczkę za sto tysięcy dolarów, na które natychmiast wypisze im czek. Vittorio i Giuliano dołożyli drugie tyle.

Vittorio, widząc wahanie policjantów, ostrzegł ich przed konsekwencjami udziału w linczu i podwoił stawkę. Jeden z młodych chłopców w mundurach, piegowaty blondyn o zwalistym cielsku, mruknął:

— Przestańcie bredzić. Co mi po forsie, jeśli i tak poszedłbym za to gnić. To, co się tu dzieje, to sprawa Callaghana, my tylko spełniamy rozkazy, nikt

nie będzie nas winił. Nie podoba mi się to wszystko, ale moją rzeczą jest słuchać.

— To nieprawda! — krzyknął Vittorio. — Jest akurat odwrotnie! Właśnie za wypełnianie tych zbrodniczych rozkazów, czyli za współudział w przestępstwie, będziecie siedzieć! Natomiast gdybyście pomogli nam uratować się...

— Wtedy Callaghan rozwaliby nas tak samo, jak to zrobi z wami. Odnalazłby mnie, choćbym się wkopał pod ziemię...

— Przecież jest was tyłu, a on jeden! — wyszeptał Giuliano. — Obezwładnijcie go, nic wam z jego strony nie grozi... Przecież to zbrodniarz albo psychicznie chory. Za to, co tu robi, zamkną go w więzieniu lub w domu wariatów, nie potrzebujecie się go bać!

Policjant pokiwał głową i powiedział niezdecydowanie:

— Tak, ale...

W tej samej chwili jego kolega krzyknął:

— Przestań z nimi gadać!

— Odpieprz się, co ci to przeszkadza?

— Inspektor zabronił nam...

— Okay! Nie martw się, nie dam się kupić.

Vittorio sięgnął po książeczkę czekową. Była mokra i zlepiona.

— Panowie — powiedział — wypiszę wam czek za...

— Odwal się! — warknął drugi z policjantów.

— Nie, nie, nie o to chodzi... Nie cofam słowa, wypiszę wam czek, jeśli powiecie, co się tu dzieje. Tylko za to... Czy ten człowiek naprawdę chce nas zabić?

Rozmowniejszy policjant wzruszył ramionami i odparł:

— Nie wiem, on nigdy nie żartuje, a poza tym...

— Co poza tym?

— Kilka lat temu, chyba w siedemdziesiątym trzecim albo w siedemdziesiątym czwartym, nie pamiętam już, zakatrupiliście mu młodszego brata...

— Nikogo w swym życiu nie zabiłem! — skłamał najszczerzej Vittorio.

— No, może nie wy osobiście, ale mafia. Chłopak miał dwadzieścia trzy lata i pierwszy raz brał udział w obławie. Callaghan wtedy omal nie zwariował.

Teraz Vittorio nie miał już wątpliwości, że Callaghan rzeczywiście zwariował i że znajdują się w ręku szaleńca, który celebruje zemstę.

Wieczorem zaczęli pisać. Vittorio długo zastanawiał się, od czego zacząć, podczas gdy Frank i Giuliano pracowicie zapełniali stronę za stroną. Był straszliwie zmęczony, ręce mu drżały, z trudnością utrzymywał w dłoni

długopis. Nad ranem zrozumiał, że jest bez szans. Był najmłodszy, szefem mafii na południowe Stany został przed trzema laty, a poza tym nie urodził się na Sycylii i don Anzelmo nie miał do niego takiego zaufania, jak do tamtych dwóch. W rezultacie wiedział najmniej.

O szóstej rano uświadomił sobie, że jest już za późno. Nawet gdyby zaczął pisać teraz najszybciej, jak tylko potrafił, nie zdążyłby już dogonić Franka i Giuliana. Wsunął się głębiej w fotel i zamknął oczy. Pragnął zasnąć, ale sen nie chciał przyjść. Myślał o tym, że na tych kartkach, na których nie napisał ani jednego słowa, jest wypisany jego wyrok i że nic się już nie może zmienić, chyba że Callaghan oprzytomnieje lub zdąży tu przyjechać policja z Carson City.

Kiedy o siódmej rano Callaghan wszedł do pokoju, Frank i Giuliano byli gotowi, a Vittorio powiedział:

— Jeszcze tylko jedno zdanie.

Callaghan uśmiechnął się.

— Proszę bardzo.

Vittorio wziął długopis i na czystej kartce napisał kilka słów, których nie ośmieliłoby się wydrukować najodważniejsze pismo pornograficzne.

Inspektor zebrał kartki nie patrząc na nie i wyszedł. Vittorio przytulił się do fotela i odetchnął głęboko. Ulżyło mu i już się nie bał, sam nie wiedział dlaczego, ale nie bał się. Chciał, żeby już nastąpił koniec tego koszmaru, jakikolwiek, byle prędko.

W południe Callaghan wszedł do pokoju z rewolwerem w dłoni. Miał rysy wykrzywione wściekłością.

— Sprawdziłem wasze bajeczki! Znowu chcieliście mnie wykiwać, sukinsyny!!!

Pierwszy strzał dosięgnął Franka. Frank zwinął się jak poczwarka i osunął na ziemię. Giuliano poderwał się na nogi, zdążył jeszcze krzyknąć: „nieeee!!!” i padł na wznak z przestreloną głową. Wówczas Callaghan podszedł do Vittoria, podniósł go za klapy marynarki i pchnął w kierunku schodów na górę.

— Ciebie, za to, co napisałeś, załatwię tam i to nie zwyczajnie! Wymyśliłem ci taki koniec, że zanim zdechniesz, pożałujesz, że w ogóle przyszedłeś na świat!

Vittorio z trudem wspinał się stopień po stopniu, bolały go nogi i całe ciało. Gdy inspektor otworzył drzwi do sypialni bossa, Vittorio Matta ujrzał don Anzelma ze szklanką mleka w dłoni. Callaghan podszedł do łóżka i pocałował starca w rękę.

— Już? — spytał don Anzelmo.

— Tak, padre, już.

— Dziękuję ci, Marco, dobrze się spisałeś.

Don Anzelmo sięgnął po słuchawkę telefonu i wykrecił numer. Vittorio domyślił się, że szef dzwoni do dowódcy tajnej grupy egzekucyjnej, która miała dopilnować respektowania decyzji o następstwie. Stary człowiek mówił cicho, często przerywając:

— Tu Anzelmo, czy to ty, Luigi?... Słuchaj uważnie... Frank i Giuliano zdradzili, nie żyją... Od tej chwili będziecie słuchać Vittoria, od tej chwili on jest capo di tutti capi! Zrozumiałeś mnie?... Pozostań w zdrowiu.

W pół godziny później, po krótkiej konferencji z don Anzelmem i zjedzeniu kilku kanapek, Vittorio zszedł na dół. Pragnął się dobrze wyspać i dobrze najeść, ale nie w tym domu.

— Odjeżdżam — powiedział do Marca — zobaczymy się w Dallas.

— Nie ma pan chyba do mnie żalu, don Vittorio — uśmiechnął się Marco. — Musiałem urządzić tę maskaradę, bo tak chciał padrone.

— Rozumiem, nie martw się, odpocznij. Ale, ale, zabraliście mi pistolet.

— Proszę — Marco sięgnął do kieszeni — nietknięty.

Don Vittorio wziął broń do ręki, błyskawicznie odbezpieczył i wpakował dwie kule w brzuch człowiekowi, który męczył go przez siedemdziesiąt godzin i którego nienawidził jak nikogo na świecie. W tej samej chwili trzej jego goryle wyszarpnęli spod płaszczy pistolety maszynowe i kilkoma seriami położyli trupem wszystkich ludzi z obstawy don Anzelma, goryli Franka i Giuliana, a także mafiosów przebranych w mundury. Potem Vittorio Matta raz jeszcze wszedł po schodach na górę. Otworzył drzwi do sypialni, spojrzął na starego człowieka i opróżnił magazynek do końca.

## HISZPAŃSKA SZPADA

Gary Taylor zaczął podejrzewać swego szefa od chwili, kiedy ten wyrzucił go za drzwi bez powodu.

Porucznika Taylora, jednego z sześciu „special agents” III Oddziału Biura Narkotyków, łączyły z szefem niemal familiarne stosunki, jako że inspektor Lingle był przyjacielem starego Taylora. Obaj w czasie II wojny walczyli w piechocie morskiej na Filipinach, a po demobilizacji w tym samym czasie wstąpili do FBI. Gdy ojciec zginął w strzelaninie na Coney Island, Lingle zaopiekował się dwudziestotrzyletnim wówczas synem przyjaciela, pomógł Gary’emu we wstąpieniu do akademii FBI w Quantico i kiedy Gary ukończył ją, przyjął go do swego oddziału w Narcotic Bureau.

Koledzy nie lubili Gary’ego, gdyż był pupilem szefa i jego nieformalnym zastępcą. Gary odpłacał im pięknym za nadobne. Właściwie nie lubił nikogo, nie miał przyjaciół ani nawet sympatii. Załatwiał te sprawy z prostytutkami i to aż w Filadelfii, gdzie go nie znano i gdzie nie musiał obawiać się kompromitacji w wyniku przypadkowego spotkania.

Świat wydawał się Gary’emu Taylorowi podłą speluną w której każdy czyha na każdego, frajerzy dostają w tyłek i giną, a wygrywają tylko cwaniacy wysokiego rzędu. Sam pragnął być królem cwaniaków, ale do tego musiał jeszcze kilkakrotnie awansować, więc starał się, jak mógł. Był skrupulatny i obowiązkowy, nigdy się nie spóźniał, równie zimno traktował kolegów z oddziału, jak i aresztantów. Umiarkowaną sympatią darzył jedynie inspektora Lingle’a. Do owej chwili, kiedy Lingle potraktował go jak gnojka, i to w obecności osób trzecich.

Nastąpiło to w tydzień po największym dotychczasowym sukcesie III Oddziału. Po dłuższej obserwacji kanału przerzutowego Sztambuł—Marsylia—Meksyk—Nowy Jork, prowadzonej przy współpracy z policjami francuską i meksykańską, zlikwidowano gang Goldsteina, aresztując większość jego członków, z grubymi rybami na czele, a nie same płotki jak zazwyczaj. Po raz pierwszy w swej działalności Narcotic Bureau położyło rękę na dziesięciu tonach heroiny. Nigdy dotąd nie mieli tak dobrej prasy, nie mówiąc o premiach i pochwałach od władz federalnych.

I wówczas, po tygodniu euforii, Gary Taylor poczuł się jak człowiek obłany zniecka kubłem wody.

Kończyli już przesłuchania i byli blisko oddania sprawy w ręce prokuratora. Gary czuł dumę, że to właśnie jemu powierzył Lingle obrabianie „króla heroiny”. Goldstein nie mógł odparować żadnego ciosu, był zupełnie bezradny wobec materiału dowodowego i zeznań, jakie złożyli jego ludzie. Z zapisem „śpiewu” Goldsteina w ręce, Gary zapukał do drzwi gabinetu szefa w

czasie przesłuchiwania kochanki herszta, Diany Lucas. I jak zawsze, natychmiast po tym nacisnął klamkę.

Kobieta siedziała tyłem do drzwi, Lingle stał obok niej pochylony. Słyszając głos Gary'ego: „panie inspekto...” wyprostował się i wrzasnął:

- Wynoś się!
- Przepraszam, sir, chciałem tylko...
- Precz!!!

Gary zamknął drzwi. Korytarzem przechodzili właśnie Littlejohn i Serlio, z pokoju teleksów wychyliła głowę telefonistka. Mieli w oczach złośliwą satysfakcję, a on musiał przejść obok ze swoim wstydem. Gary Taylor nie znał jeszcze tego ciężaru. Czuł, że palą go policzki i że w sercu zakwita mu nienawiść.

Powlókł się do swego pokoju i opadł na krzesło. I zaczął myśleć.. Na zimno, bez uniesienia, którym napompował go sukces, starając się zaprząć do pracy ten rodzaj „komputerowej” logiki, do którego wdrażano jego umysł przez kilka lat w Quantico. Robiono to skutecznie, przynajmniej w stosunku do niego, bo we wszystkich testach bił kolegów na głowę. Było to myślenie, które powieściopisarze nazywają dedukcją, a które w Quantico określano mianem retrospekcji analitycznej.

Nagle wiele zdarzeń z ostatniego tygodnia przestało być dla niego tak oczywistymi, jak uprzednio. Przypomniawszy sobie, jak przesłuchiwana po raz pierwszy przez; Lingle'a i trzech jego współpracowników panna Lucas po kilku minutach odmówiła kontynuowania zeznań. Wówczas Lingle spytał:

— Czy nie rozumie pani, że wyczerpujące zeznanie będzie wzięte pod uwagę przez sąd?

— Nie wiem nic ponad to, co już powiedziałam. I tak powiedziałam za dużo — odparła panna Lucas.

— Naszym zdaniem o wiele za mało, panno Lucas.

— Nic więcej nie wiem!

— Jeśli pani się boi, proszę mi wierzyć, zupełnie bezpodstawnie. Nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo. Goldstein i wszyscy członkowie bandy wylądają dożywotnio za kratkami.

— Czyli macie już dość dowodów. Po co wam więcej?

— To nie pani sprawa. Wszyscy, poza panią, złożyli już wyczerpujące zeznania. Sąd weźmie to pod uwagę. Pani została poważnie obciążona tymi zeznaniami. Może się pani bronić, ale z zamkniętymi ustami będzie raczej trudno. Proszę się więc zdecydować! Obecnie ma pani piętnaście lat za kratkami murowane, a i to tylko przy bardzo dobrym humorze sędziego. No więc?

Ta przemowa wyraźnie zrobiła na niej wrażenie. Myślała przez chwilę. Potem rzekła:

— Dobrze, będę zeznawać, ale...

— O co chodzi? — spytał Lingle.

— Gdyby to doszło do pewnych uszu, nie obroniłyby mnie wszystkie policje świata i najgrubsze mury.

— Nie ma pani do nas zaufania, panno Lucas?

— Odkąd nie jestem dziewczynką, nie mam zaufania do nikogo, panie inspektorze. Ale rozumiem, że im więcej zeznam, tym lepiej dla mnie, więc komuś muszę zaufać.

— Ja natomiast nie bardzo rozumiem, co pani proponuje?

— Będę zeznawać tylko przed panem i bez magnetofonu. W przeciwnym razie nie powiem słowa więcej!

Lingle wyraził zgodę i od tej pory sam przesłuchiwał Dianę Lucas. Gary uświadomił sobie, że chociaż Lingle zamykał się z nią już dwukrotnie, dotychczas nie pisał słowa na temat tych rozmów. Przypomniał sobie też, jak Serlio przyniósł zeznanie prawej ręki Goldsteina, Rona Schultza, które mocno obciążało kochankę bossa. Schultz ujawnił jej rolę w organizowaniu detalicznej sprzedaży przywożonego zza oceanu hurtu. Lingle po przeczytaniu tego zeznania warknął gniewnie:

— Ta świnią mści się na niej za to, że ona sypie ich wszystkich! Nie można tego brać poważnie. Serlio, przyciśnij bydlaka jeszcze raz i powiedz mu, że jak będzie dalej robił z panny Lucas Ala Capone, to mu nogi z tyłka powyrywam!... Albo nie, sam to załatwię.

Po rozmowie z Linglem Schultz zmienił zeznanie. Tym razem było ono o wiele bardziej korzystne dla kochanki Goldsteina.

Wszystkie te fakty zaatakowały teraz mózg Gary'ego niczym błyski flesza. Zrodziło się w nim podejrzenie o takiej wadze, że się przestraszył swych myśli. I zapewne porucznik Gary Taylor szybko pozbyłby się tego balastu kładąc wszystko na karb rozdrażnienia, gdyby nie fakt w całej tej historii najdziwniejszy. W kilkanaście minut po wywaleniu porucznika za drzwi, Lingle przyszedł doń, uśmiechnął się serdecznie i klepiąc po ramieniu powiedział:

— Wybacz, synu, nie chciałem cię urazić, wyrwało mi się. Wiesz, jak cię lubię. Jestem trochę zmęczony tym wszystkim. No, nie miej już żalu do starego sklerotyka.

Mrugnął szelmowsko i wyszedł. Ale Gary Taylor nie dał się kupić na ten ojcowski tonik; zbyt dobrze znał swego szefa, by nie dostrzec, że ten gra przed nim komedię z przyklepionym na twarzy uśmiechem szulera, który deklaruje

swój wstręt do kart. Pierwszy raz widział takiego Lingle'a, ale nie pierwszy ludzi tak reagujących, kiedy znajdują się w kłopotcie. Dzwonek pod czaszką podnosił coraz głośniejszy alarm. I porucznika Taylora ogarnęła przemożna chęć, by poznać scenariusz całej sztuki.

Następnego dnia Gary przyszedł do biura wcześniej niż zwykle i umieścił „pchłę” podsłuchową w ścianie, archiwum, które sąsiadowało z gabinetem szefa. Urządzenie miało wielkość zapalniczki kieszonkowej i dało się bez trudu ukryć za gablota. Przez archiwum przewijało się kilkanaście osób na godzinę. Gary miał nadzieję, że żadnej z tych osób nie przyjdzie ochota zaglądać za gablota ze sprawozdaniami ze szpitali. Wystarczyłoby wówczas zainstalować inną „pchełkę”, która sfotografowałaby go w momencie wyjmowania mikromagnetofonu zza gablota. Gdyby został przyłapany, mógłby w jakiejś innej branży wystartować od zera po sześciu latach, nie wcześniej.

Po południu, kiedy już Lingle opuścił gabinet, Gary zaczął grzebać w archiwum, szukając jakichś dokumentów i piekląc się, że nigdzie ich nie ma. Przez całą godzinę węszył i nie dostrzegł niczego podejrzanego. W końcu zdjął swoją „pchłę” i pojechał do domu. Po drodze raz po raz zdejmował prawą rękę z kierownicy i wkładał ją do kieszeni sprawdzając, czy „pchełka” nie uciekła. Czuł się dziwnie podniecony, jak zamachowiec, który trzyma w zanadrzu bombę. Obserwował w lusterku, czy nikt za nim nie jedzie i wszystko to wcale nie wydawało mu się śmieszne — porucznik Taylor popełnił pierwsze w swoim życiu przestępstwo.

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił po przekroczeniu progu, było zamknięcie drzwi na zasuwę i zaciągnięcie rolet w oknach. Potem delikatnie wyjął z „pchły” mikroskopijną kasetę z taśmą, wsadził ją w odtwarzacz i słuchał.

Pierwsze sto czterdzieści minut było bezwartościowe; Lingle wydawał przez telefon dyspozycje, potem coś czytał (kwadrans ciszy), wezwał Littlejohna i wypytywał go w sprawie konferencji prasowej, którą zaplanowano na następny dzień, wyszedł, po powrocie rozmawiał z prokuratorem Williamsem, znowu czytał, w końcu Taylor usłyszał swój głos (czytał Lingle'owi raport). Od chwili, kiedy przyprawiono do gabinetu pannę Lucas, taśma pracowała jeszcze tylko przez pół godziny. Lecz każda z tych trzydziestu minut była na wagę złota. Gary zrozumiał to już po wysłuchaniu kilku zdań z tej bardzo osobliwej jak na przesłuchanie rozmowy.

Lingle: — Dzień dobry, panno Lucas.

Diana Lucas: — Dzień dobry, panie inspektorze. Świetnie pan wygląda. Miałam rację namawiając pana na przesunięcie przedziałka o centymetr w dół. To pana odmładza. Tak to już jest, przystojni mężczyźni uważają zazwyczaj, że nie muszą podkreślać swej urody. Dlatego potrzebne im są kobiety, które



przypomną i doradzą. Pańska żona, panie inspektorze, powinna bardziej dbać o pana.

L: — Nie będziemy mówić o mojej żonie, panno Lucas!

DL: — Słusznie, mówmy o mojej wczorajszej propozycji. Zgadza się pan?

L: — To niebezpieczna gra, panno Lucas. Pani niewiele ryzykuje, ja ryzykowałbym wszystko. Trudno podjął taką decyzję w jedną noc.

DL: — To zależy od tego, z kim się spędza tę noc, panie inspektorze. A ryzyko? Jak powiadają Francuzi: „qui risque rien, n’a rien”. Ja też ryzykuję. Jaką mam gwarancję, że pan mnie potem nie wykiwa lub nawet nie zabije?! Ale jedno wiem na pewno: Buchanan posiada dokładnie pięć milionów dolarów w gotówce. Czy taka suma nie jest warta ryzyka?

L: — Ja też nie mam żadnej gwarancji, panno Lucas.

DL: — Cóż mogę panu dać poza sobą? Chcę być pańską gwarancją na całe życie, inspektorze... Oboje ryzykujemy, ale to się nam opłaci. Mówiłam już panu, Buchanan jest skarbnikiem wielkiej rady syndykatu gangów Wschodniego Wybrzeża i wolno mu wydać całość lubi część tego „funduszu natychmiastowego” tylko na hasło i znak od jednego z czterech bossów: mafijnego capo di tutti capi oraz trzech szefów regionalnych. Goldstein był zbyt małym pionkiem, by zostać dopuszczonym do tajemnicy, lecz jakimś cudem zdołał się dowiedzieć, a ja ukradłam mu tę tajemnicę. Pięciu milionów dolarów nie zarobi pan przy swojej pensyjce przez cały wiek harówki.

L: — Założmy, że poszedłbym na to... Czyżby nie zamierzała pani wziąć swojej części?

DL: — Czy koniecznie musimy dzielić taką okrągłą sumę, panie inspektorze?... Chcę, żeby pan mnie dobrze zrozumiał. Ja nie marzę wyłącznie o wielkiej forsie. Przede wszystkim marzę o spokojnym życiu z kimś, kto wzięłby mnie pod opiekę i traktował jak damę. Mam dopiero trzydzieści lat, lecz zmęczyła mnie już ta zabawa w policjantów i złodziei, wieczny strach i niepewność jutra. Mam dość oglądania prawdziwych mężczyzn tylko na ekranie, chcę mieć takiego mężczyznę, kochać go...

L: — Nie kochała pani Goldsteina?

DL: — W łóżku i to ze wstrętem. Brzydzę się tymi bydlakami, którzy są mocni, dopóki nie wpadną w ręce policji. To nie są prawdziwi mężczyźni. Można z nimi spać, ale kochać ich?... A przecież ja także mam serce i nigdy nie kochałam. W każdym razie do tej pory, bo... bo teraz... wydaje mi się — Gary usłyszał, jak chlipnęła nosem — czy ja się panu podobam? Ja...

L: — Pani jest tak piękna, że musi się pani podobać każdemu, panno Lucas. Ale niebezpiecznie jest panią kochać, czytałem dane o pani...

DL: — Czy to moja wina, że mężczyźni strzelają do siebie z mojego powodu? Nie chcę tego i sama jestem ofiarą! Goldstein zastrzelił Harry'ego Browna i zgwałcił mnie. Żyłam z nim ze strachu, pan wie najlepiej do czego są zdolni. A ja pragnę żyć, jak inne kobiety, z kochanym przeze mnie mężczyzną! Gdyby ten mężczyzna chciał wraz ze mną i z pięcioma milionami dolarów wyjechać na przykład do Ameryki Południowej, byłabym szczęśliwa do końca życia. I dawałabym mu co dzień i co noc tyle szczęścia, ile tylko by zapragnął!... Czy rozumiesz mnie, Joseph?... Czemu nic nie mówisz?

Po tym była długa chwila milczenia, następnie Lingle wstał (Gary poznał skrzywienie jego butów), zrobił kilka kroków i powiedział:

— Nie wiem, co robić... Pani ma olbrzymią siłę perswazji, panno Lucas, ale ja nie wiem... nie mogę, boję się tej gry, to jest... Widzisz, Diano...

W tym momencie Gary zaklął soczyście. Taśma się skończyła. Jak w filmie — pomyślał. Te cholerne taśmy mają to do siebie, że zawsze kończą się w najciekawszym momencie! Wstał i nalał sobie szklanekę szkockiej. Potem puścił taśmę od początku i jeszcze raz i za każdym razem wsłuchiwał się uważnie w ostatnie, ciche i drżące słowa Lingle'a nie Lingle'a, w to szeptane: „widzisz, Diano...”. Materiał, który uzyskał Gary Taylor, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Cekał od lat właśnie na taką okazję, wierzył, że ona przyjdzie, ale nie mógł przewidzieć, że dostarczy mu jej właśnie Lingle. Ten sam Lingle, który tępił bezlitośnie korupcję i który wsadził już kilku policjantów za branie łapówek! Niepojęte, jak ludzie głupieją na starość!

Pierwszą rzeczą, której Gary teraz potrzebował, było dossier panny Lucas. Dostarczono je im z centralnej kartoteki FBI, lecz Lingle wszystko zabrał do siebie. Gary wolał nie prosić go o te informacje, by nie wzbudzić podejrzeń. Znalazł inne wyjście. W centralnej kartotece pracował jego szkolny kolega, Avery Kahn. Kahn miał bzika na punkcie starej broni — koledzy żartowali, że za muszkiet sprzedałby duszę diabłu. Od kilku już lat Kahn starał się namówić Gary'ego do odsprzedania mu siedemnastowiecznej hiszpańskiej szpady, którą stary Taylor przywiózł z Manili. Dzwonił w tej sprawie regularnie co pół roku, bardziej z przyzwyczajenia niż z wiary w powodzenie. Gary bowiem nie chciał się pozbyć pamiątki po ojcu. Teraz on sam zadzwonił do Kahna.

— Cześć Ave, tu Gary. Mam interes.

— Cześć! O co chodzi?

— O tę szpadę. Ciągłe cię interesuje?

— O rany, jeszcze pytasz?! Człowieku, ja zwariuję!... Ile chcesz za nią?

— Trzy tysiące.

Gary usłyszał jęk Kahna i w słuchawce zapanowała cisza.

— No więc jak? Chcesz ją?

— Jasne, że chcę... tylko...

— To bierz.

— Tak... tylko... Wiesz, Gary... tyle... tyle forsy nie będę w stanie... To za drogo!

— Wcale nie za drogo, Ave. Byłem dzisiaj na Madison Avenue — zablefował Taylor. — W tym domu aukcyjnym.

— U Parke Berneta?

— Tak. Od takiej właśnie sumy wywoławczej rozpoczęliby licytację. Gdybyś wziął udział, to kosztowałoby cię to kilka razy drożej, a tak możesz mieć ją za minimum.

— Wiem, ale ja naprawdę nie mogę, nie mam tyle, Gary! Ostatnio kupiłem dwa pistolety skałkowe i ładownicę bukanierską i teraz jestem bez grosza.

— Trudno...

— Gary, poczekaj! Nie odkładaj słuchawki!... Chryste Panie, zwariowałbym tracąc taką okazję... poczekaj, może sprzedam wóz, coś wykombinuję...

— Ja już wykombinowałem za ciebie, Avery — powiedział Taylor. — Opuścę tysiąc, za który dasz mi wszystko, co możesz wyszperać o Dianie Lucas.

— Przecież daliśmy wam komplet informacji.

— Tak, daliście nam. A ja chcę, żebyś dał to mnie.

— Człowieku, wolno mi to zrobić tylko na polecenie...

— To też wiem, nie jestem idiotą, Avery! Gdybym mógł wziąć od ciebie te informacje drogą urzędową, nie proponowałbym szpady. No więc?

— Ja nie wiem, Gary, doprawdy...

— Zaczynam się niecierpliwić, Ave! Zdaje się, że niezbyt zależy ci na tej szpadzie!... Człowieku, nic nie ryzykujesz, nie musisz nic pisać, po prostu opowiesz mi to przy szklance manhattanu. Czysta sprawa.

Cisza w słuchawce. Gary drżał z podniecenia. Wreszcie Kahn powiedział:

— Okay... Ale...

— Mnie to mówisz, Ave?! Nikt się nie dowie, nie obawiaj się!

Spotkali się w jednej z małych knajpek Bronxu. Gary przyniósł szpadę w tekturowym pudełku po kijach golfowych, zainkasował czek i sącząc ulubiony koktajl słuchał tego, co mówił Kahn:

— Stary, zapracowałem na tę szpadę solidnie! Przedtem, kiedy wasz oddział prosił o dane, wrzuciłem kartę perforowaną do automatu i przesłałem wam maszynopis i zdjęcie ani na to patrząc. A teraz, kiedy musiałem

przeczytać, wciągnęło mnie. Niech ja skonam, co za historia! Jeszcze wszyscy żyjecie?

— Co to znaczy?

— Nic nie wiesz? Przez nią chłopaki dostają obłędu i rozwalają się! To, że Goldstein zastrzelił jej kochanka, niejakiego Browna, to jeszcze nic. Czy ty wiesz, człowieku, że sześć lat temu, kiedy ją aresztowano we Frisco, nasi z obyczajówki postrzelali się na posterunku?!... Dwóch chłopaków zginęło!— Zatuszowano tę sprawę w obawie przed prasą.

— Coś o tym słyszałem, nie wiedziałem tylko, że to właśnie o nią chodzi.

— O nią, Gary, o nią! Kiedy zacząłem czytać o tej kurwie, wciągnęło mnie i zatelefonowałem do Frisco, mam tam kumpla. I wiesz, co mi powiedział w końcu? Powiedział: takiej pięknej dziewczyny nie widziałem nigdy przedtem ani potem! Żebyś ty słyszał, jak on to powiedział! Oni wszyscy powariowali, bracie, zbiorowa aberacja... Ja tego nie pojmuję, tak się podniecać dziewczyną?

Gary Taylor uśmiechnął się w duchu. Przypomniawszy sobie, co słyszał kiedyś o Kahnie, że woli chłopców od dziewczyn. Coś musiało być w tej plotce.

— Ale to nie wszystko. Wsadzono ją na dwa lata i w ciągu tych dwóch lat wyrzucono z pudła dwie strażniczki, bo owinęła je dookoła palca, a raczej dookoła dupy! Możesz to zrozumieć, stary?

Gary mruknął na odczepnego:

— Mogę.

— Naprawdę?

— Naprawdę... Przejdź do rzeczy.

— Tak?... No więc masz. Córka austriackich emigrantów sprzed drugiej wojny. Pierwszy raz notowana w sześćdziesiątym dziewiątym. Miała wtedy siedemnaście lat, związała z domu i ukradła jakieś kosmetyki. W trzy lata później rąbnęła grubszą forszę klientowi, adwokatowi. Puszczala się tylko z panami z towarzystwa. W pierdłu nazywano ją „kloaczna Venus”. Bawiła się też w szantażowanie. Weszła w spółkę z jednym alfonsiem z Atlanty. Wynajęła luksusowy apartament i zapraszała tam swoich klientów, a ten alfons robił im zdjęcia przez otwór w ścianie i nagrywał rozmowy. Potem ściągali od frajerów haracze. Aż nadziali się na jakiegoś senatora, który miał wpływy i wsadził ich... Zaraz, co jeszcze? W siedemdziesiątym ta heca we Frisco, to już mówiłem... Potem siedziała przez dwa lata, potem wyszła, potem... Tak, w siedemdziesiątym czwartym znowu siedziała przez tego senatora. Wyciągnął ją z pierdła Goldstein. Od tej pory pracowała dla niego. Ostatni raz notowana w siedemdziesiątym piątym, podejrzana o współudział w zabójstwie Browna. Zwolniona z braku dowodów.

— To wszystko? — spytał Gary.

— To wszystko, co jest w papierach. A teraz posłuchaj, co ja myślę, będziesz wiedział, co jest grane. Ta dziewczyna potrafi owinać dookoła palca prawie każdego faceta. Nie wiem, jak to robi. To jest chyba tak, jak ze zdolnością do posługiwania się energią biologiczną do sztuk parapsychologicznych. Podobno każdy z nas ma to w sobie, tylko nie każdy potrafi wyzwolić. Myślę, że to, co ona ma w sobie, ma każda kobieta, tylko nie każda umie się tym posługiwać. A ona jest w tym czymś profesorem! Jeśli chce, to doprowadza facetów do amoku. I czai się obok niej śmierć, trzeba uważać. Encyklopedyczny przykład „femme fatale”. W sam raz trafiła właśnie w wasze łapy, bo widzisz, ona jest jak narkotyk, jak heroina albo jeszcze gorzej. Jeśli już cię kupiła, to pisz testament!

— Skończyłeś?

— Tak i teraz będę się narkotyzował... tą szpadą! Widzisz, każdy ma jakiegoś zajoba, którym się szprycuje.

— No to się szprycuj. Cześć.

W dwa dni później Gary Taylor nagrał kolejną taśmę w archiwum. Kiedy ją przesłuchał, podjął decyzję. Potem minął jeszcze jeden dzień i Lingle zwołał naradę, w czasie której podsumował wyniki dotychczasowego śledztwa. Między innymi oznajmił podwładnym, że Diana Lucas nie zostanie chwilowo przekazana do dyspozycji prokuratury, gdyż z jej pomocą poprowadzą kolejną grę uderzając w gangsterski syndykat. Pierwszą fazę tej nowej, gry zrealizuje on sam. Zakończył przekazując Gary'emu kierowanie oddziałem na dwa dni z powodu swego nagłego wyjazdu służbowego do Waszyngtonu.

Gary wiedział już co to za wyjazd i przygotowywał się do niego również. Wiedział, że Lingle pojedzie do Bostonu, a nie do Waszyngtonu, i wiedział jeszcze kilka innych rzeczy, które pozwalały mu wierzyć w swój sukces.

W tajemnicy przed szefem udał się, do magazynu aresztanckiego i zażądał pokazania mu rzeczy osobistych panny Lucas, po czym wpiął w pasek jej torebki igłowy mikrofon, nie większy od szpilki z kolorowym łebkiem. Rankiem tego dnia, kiedy inspektor Lingle wsiadł do swego samochodu wraz z Dianą Lucas, porucznik Gary Taylor zadzwonił do biura i poinformował, że ma silną anginę. Następnie wskoczył do wozu i pomknął w kierunku Bostonu.

Tuż za White Plains dostrzegł zielonego forda szefa. Lingle jechał z przepisową szybkością, dokładnie pięćdziesiąt pięć mil na godzinę, tollwayem nr 95 przez Stamford, Norwalk, Bridgeport i New Haven. Gary trzymał się w bezpiecznej odległości za nim i zwalniał za każdym razem, kiedy dostrzegał przejazdy płatnicze tollwayu, przy których Lingle hamował dla wrzucenia dwudziestopięciocentówki do białego koszyka. Dopiero przed New London

zjechali z tollwayu na bezpłatny zielony highway Interstate, na którym mógł zmniejszyć czujność i uważniej przysłuchiwać się temu, o czym inspektor Lingle gawędził z panną Lucas.

O czternastej, po czterech godzinach jazdy, samochód Lingle'a dosięgnął skraju Bostonu i skręcił w prawo, na szosę nr 93. Kiedy w kilkanaście minut później wjechał między willowe domy przedmieścia Braintree, Gary usłyszał pisk opon i sam również zahamował. Potem doszedł go ze słuchawki zgrzyt butów na żwirowej alejce, chwila ciszy i głos Diany Lucas:

— Dzień dobry, czy kuzynka Billa wróciła z wakacji?

Znowu chwila ciszy i męski, lekko ochryply głos:

— Zdała wczoraj ostatni egzamin i wyjeżdża na praktykę.

— Mam nadzieję, że nie dalej jak do Sioux Falls. Tam często pada — podała dalszą część hasła panna Lucas.

— Do San Diego — padło w odpowiedzi — tam świeci słońce... W porządku, już otwieram.

Potem zgrzyt zamka u furtki, kroki, trzask zamykanych drzwi i znowu ten sam męski głos, z wnętrza domu:

— Pokażcie znak od bossa.

— Chwileczkę (to mówił Lingle), kim jest ten facet?

— To mój chłopiec, taki zdolniak w szybkim wyciąganiu spluwy. No więc, gdzie znak?

— Proszę (Lingle).

I zaraz potem dwa strzały, czyjś jęk i cisza. I znowu Lingle:

— Nie rób głupstw, Buchanan, rączki w górę! Twój gorylek był za słabo zdolny, jak widzisz. Diano, odbierz mu spluwę... Dobrze. Teraz...

Buchanan przerwał mu:

— Człowieku, czyś ty zwariował?! Wiesz kogo napadłeś?!... Gdzie się schowasz, na biegunie północnym?

Lingle:

— Za dużo mówisz, Buchanan. Nie mów nic więcej, tylko posłuchaj. Otóż ja jestem z tych facetów, co to z braku poczucia humoru mają cholernie nerwowy palec na spuście i nigdy niczego nie powtarzają dwa razy. Jeśli nie chcesz iść za tym twoim zdolniakiem, pokaż gdzie jest sejf! Ruszaj!

Kroki na schodach.

— Otwórz! (Lingle).

Cichy pisk przesuwanych zamków.

— Wystarczy. Sam wyjmę kasetkę, daj klucz... Dziękuję... No, to do widzenia, Buchanan.

Dwa strzały i po nich jeszcze jeden. Gary poderwał samochód i ruszył na pełnym gazie.

Drzwi w ogrodzeniu willi były zamknięte tylko na klamkę. Pobiegł asfaltową alejką do schodków z białą balustradą i ostrożnie nacisnął klamkę u drzwi wejściowych. Pchnął je... Miał przed sobą pusty korytarzyk. Wyjął rewolwer, odbezpieczył i zaczął się skradać. Puszysty dywan tłumił odgłosy kroków. Na końcu korytarza, obok wejścia do hallu, zobaczył otwarte drzwi do piwnicy. Na pierwszym stopniu leżał młody mężczyzna z przestrzelonym czołem. Na twarzy zakrzepła mu cienka strużka krwi, sięgająca szyi i niknąca pod kołnierzem koszuli. W prawej dłoni trzymał pistolet. Gary zdjął buty, przekroczył ciało zabitego i zaczął schodzić w dół po kamiennych schodach. Kiedy stanął na ostatnim, ujrzał na posadzce smużkę światła ze szpary w ostatnich drzwiach i usłyszał ich przytłumione głosy.

Lingle pakował banknoty do skórzanej walizki i nie zdążył sięgnąć po broń. Gary, zanim strzelił, przez kilka sekund smakował swój triumf patrząc na zmartwiałą z przerażenia twarz inspektora.

W momencie, gdy Lingle padał, kobieta osunęła się na kolana.

— Proszę cię... proszę! — krzyknęła histerycznie. — Nie, ja nie chcę umierać, proszę, nie zabijaj mnie!... Proszę...

Po twarzy ciekły jej łzy zmieszane z zielonym tuszem. Ręce złożyła jak do modlitwy.

— Nie rób tego, nie strzelaj!... Ja przecież chciałam tylko odrobinę szczęścia w życiu... być daleko od tych strzałów, morderstw, od tej całej ohydy... O Boże, czy to tak wiele? Całe życie marzyłam o mężczyźnie, który by mnie kochał! Gdybyś chciał... gdybyś... Czy budzę w tobie wstręt? Powiedz...

Podniosła się i zaczęła iść w jego kierunku. Idąc rozpiniała bluzkę.

— Powiedz, czy mógłbyś tak łatwo zabić kobietę? Nie odtrącaj mnie, proszę...

Wcale nie miał zamiaru jej odtrącać. Gdy wyciągnęła rękę i dotknęła dłonią jego policzka, poczuł jak przenika go nieznany dreszcz. Zabezpieczył broń, wsunął ją do kieszeni i jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, poddając się fali gorąca, a potem przyciągnął kobietę do siebie i zamknął ją w swoich ramionach.

Tak właśnie miało być. Ona i te pięć milionów, które wystarczą mu do końca życia. Marzył o jednym i o drugim i zdobył wszystko! Wszystko!

Kiedy oderwał usta od jej ust, spojrzał na zegarek i spytał szeptem:

— O której odlot?

— Niedługo, Taylor, a ja będę pilotem! Tylko nie do Rio, ale do paki. Zdejmij płaszcz, zanim staniesz pod ścianą, i nie sięgaj ręką do kieszeni, bo możesz jej już nie wyjąć! O tak, w porządku.

Ten głos zza pleców, głos Avery'ego Kahna, dotarł do Gary'ego przez falę erotycznego uniesienia z małym opóźnieniem. Lecz gdy już dotarł — ogłuszył. Gary oczekiwał na strzał, lecz zamiast tego usłyszał, jak Kahn podnosi słuchawkę telefonu i wykręca numer.

— Halo, proszę mnie połączyć z nadinspektorem Clarkiem... Co? Radzę pani, żeby był! To niezmiernie ważne!... Dobrze, czekam.

W tym momencie Gary przestał cokolwiek rozumieć. Czuł się pusty, jakby uszło zeń całe życie. Usłyszał głos Diany:

— Proszę pana... panie...

— Kahn, Avery Kahn.

— Panie Kahn, pięć milionów dolarów można podzielić...

— Przez trzy?

— Nie, przez dwa.

— Słyszysz, Taylor? — zaśmiał się Kahn. — Ach, ty frajerze, widzisz, jak cię lubi ta mała!

Gary oparł czoło o ścianę i zamknął oczy. Chłód tynku przynosił mu ulgę.

Kahn wciąż czekał. Panna Lucas próbowała jeszcze raz dogadać się z nim, lecz Avery z miejsca jej przerwał:

— Zamknij się, laleczko! Nie próbuj mnie oczarować, w moim przypadku twoje sztuczki trafiają w próżnię. To wina natury, po prostu ja nie przepadam za dziewczynkami, rozumiesz, co mam na myśli? Więc nie wysilaj się.

— Tym bardziej potrzebna panu forsa...

— Sam wiem, co mi najbardziej potrzebne!... Hallo!... Hallo, tu Kahn z centralnej kartoteki. Panie nadinspektorze, inspektor Lingle nie żyje! Dzwonię z Bostonu, z Braintree, ulica...

Gdy Gary usłyszał syreny wozów policyjnych, był już spokojny i mógł spytać:

— Avery, powiedz mi dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego mnie śledziłeś i co z tego masz? Głupią pochwałę, premię, może awans... Najpierw myślałem, że chodzi ci o tę forszę, potem że o dziewczynę, a teraz już nic nie wiem. Nienawidzisz mnie?

— Brawo, zgadłeś — odpowiedział Kahn.

— Dlaczego?... Dlaczego mnie nienawidzisz? Myślałem, że mnie lubisz, dałem ci przecież tę szpadę, na której tak ci zależało.



Kahn podszedł do niego, szarpnął go za ramię i odwrócił plecami do ściany, a potem, patrząc mu w twarz, wycodził:

— To jest falsyfikat z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, przyjacielu, wart sto dolarów! Nigdy w życiu nie nabrano mnie tak perfidnie i nigdy nie śmiano się ze mnie tak głośno, jak na posiedzeniu Towarzystwa Zbieraczy Militariów, kiedy pochwaliłem się tym szmelcem!

## Część II

# BYŁ SOBIE CZAS

*Czas jest węzłem, który kęsa  
tych, co  
nie umieją go użyć, i który*

**PERFIDIA**

*pieści  
tych, co wiedzą, jak nim mani-  
pulować.*

(Aleksander Dumas – ojciec:  
*Urban Grenadier*, akt I.)

PROFESORA MEADOWSA TEORIA  
KOŁA

— Dobrze już, dobrze, niech będzie. Co prawda to jest mój czas karmienia Dicka, ale skoro pofatygował się pan i... Kto to jest Dick? Delfin. Słucham?... Tak, prawdziwy delfin. Właściwie już oswojony, z czego jestem bardzo dumny. Mam wśród morskich stworów kilku kumpli i z każdym spotykam się gdzie indziej, w różne dni, a Dick to mój faworyt numer dwa. Mam z nim *rendez-vous* co poniedziałek, środę i piątek o pół mili od brzegu, w miejscu, które tylko my znamy. Bawimy się razem w morzu, ale nie za darmo. Ten łobuz to nienasycony żebrak, bez jakiegoś dobrego kąska nie mam po co wchodzić do wody... Najchętniej zje czekoladę, jak bym o tym powiedział zoologom, osiwieliby ze zdziwienia. O, niech pan spojrzy, tam, nad tą półką, wisi jego zdjęcie... Sympatyczna morda, co?... A ten facet w czepku i okularach to ja. Widzi pan, jak patrzy na mnie?... Przy nim nie muszę się obawiać rekinów, pilnuje mnie jak niańka i ostrzega w porę. Nie wyobraża pan sobie, jaka to inteligentna bestia, znam wielu ludzi głupszych od niego o co najmniej czterdzieści punktów! Nigdy się nie pomyli, przy pływa tylko w poniedziałki, środy i piątki. Czasami wydaje mi się, że rozumie, co do niego mówię. Kiedyś krzyknąłem do mojego sternika, żeby mi podał... Słucham?... No tak, proszę mi darować, rozgadałem się... Tak jest, rozumiem, że pan nie po to... Tak, oczywiście, proszę pana, już przechodzę do rzeczy. Trudno, dzisiaj Dick będzie musiał pohulać beze mnie. Może mu to zresztą wyjdzie na dobre, uważam, że skurczybyk już dawno zamiast uganiać się za moim jachtem i opychać czekoladą, powinien był poszukać sobie jakiejś zgrabnej i w miarę potulnej delfinicy. Chociaż może to i lepiej, że jest kawalerem, bo czuję, że jak

się drań ożeni, to będzie ją zapraszał do wyżerki, a ja będę musiał zabierać podwójne porcje. Cadbury i inne firmy podwoją sobie kapitał przez moją sympatię dla tego żarłoka... Och, *sorry*, ma pan rację, znowu zawracam panu głowę, przyrzekam, że więcej nie będę! Tak więc, chce pan wiedzieć... Zaraz, ustalmy najpierw, od czego mam zacząć?... Wiedziałem, że pan tak właśnie odpowie. Na pytanie: „od czego zacząć?” faceci pańskiego pokroju odpowiadają: „od początku”, zwłaszcza gdy znają ów początek. Ale czy pan go rzeczywiście zna? Jeśli tak, to czemu pan nalega, bym opowiedział całą tę historię? Blefuje pan, czy tylko chce sprawdzić detale?... Początek to teoria koła czasu. Czy zgłębił pan teorię koła czasu?... No już dobrze, dobrze, proszę nie podnosić głosu. Jak pan sobie życzy, nie będę zadawał pytań, tylko odpowiadał. Proszę mi przerywać, kiedy coś nie będzie jasne. A więc, tak jak mówiłem, jeśli mamy wystartować rzeczywiście od początku, to musimy zacząć od koła czasu. Wątpię, czy zna pan *Obrót czasu*, ale zapewne słyszał pan o teorii mojego ojca w radiu, w telewizji lub może czytał pan coś w prasie. Pisali o tym sporo, rozpętała się taka karuzela polemik, że sam przestałem się w tym orientować. Głównie w czasopiśmie fachowych, lecz w „**Washington Post**” i w „**New York Herald Tribune**” też zrobili z tego wstępniaki. Co prawda dziennikarzom chodziło przede wszystkim o sensację, wie pan: jajogłowi obrzucają się zgniłymi jajami, dla pismaków taki numer to gratka, żerują na takich hecach, ale też trudno sobie wymarzyć lepszą reklamę. NBC nagrało z ojcem dwa programy i jeszcze dyskusję dotyczącą tej książki... To była jego czwarta książka. Mój stary był fizykiem, wykładał w kilku uczelniach i prowadził różne badania, które mocno krytykowano. Właściwie od pierwszej jego publikacji — był nią studencki artykuł — rzucano się na niego. Trwało to całe lata, zdążył nauczyć się tańczenia w ogniu zarzutów i niełatwo było przyprzeć go do muru... Nazywano go alchemikiem, czym się nie przejmował, mimo że przez to musiał ciągle zmieniać pracę. Pamiętam, włóczyliśmy się z matką po całych Stanach, jak pierwsi osadnicy na Zachodzie. A za nami włóczyli się dziennikarze i zbijali forszę na szaleństwach ojca. Woziliśmy ze sobą pudło po telewizorze, pełne wycinków prasowych: Pomagałem staremu segregować je i naklejać, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Nie rozumiałem słów, ale fascynowały mnie wielkie tytuły z nazwiskiem ojca i moim. Litery z tego nazwiska były pierwszymi, jakie poznałem i zapamiętałem. Wszystkie te artykułiki, pamflety i „rewolwerowe” notki, cała ta aura sensacji wokół wędrującego alchemika, były niczym, stanowiły tylko preludium kolosalnego rozgłosu, jaki ojciec uzyskał w wiele lat później, po opublikowaniu *Obrotu czasu*... Po raz pierwszy napomknął o tym, to jest o kole czasu, w swojej drugiej książce. Powiadam: napomknął,

gdyż znalazły się tam jedynie elementy ostatecznej wersji teorii, która narodziła się później. W tej książce ojciec zajął się analizą napięć elektromagnetycznych w kole Vernhorsta i wynikającymi z nich możliwościami badania zależności czasoprzestrzennych. Już wówczas miał naszkicowany zarys swej teorii, wolał jej jednak nie przedstawiać przed usamodzielnieniem się i uzyskaniem dorobku naukowego, który zapewniłby mu nietykalność ze strony akademickich prominentów, pamiętających dobrze jego wcześniejsze „nieodpowiedzialne wybryki”. Musiał przycichnąć, przybrać na wadze i godności, odczekać, aż kilku sędziwych dinozaurów, jego zagorzałych wrogów, opuści ten padół i przeniesie się na łono Wielkiej Niewiadomej. Dlatego przez kilkanaście następnych lat formalnie zajmował się wyłącznie fizyką tradycyjną, dokonał kilku ciekawych odkryć i nawet otarł się o nagrodę Nobla. W rzeczywistości poświęcił się doskonaleniu teorii koła i budowie wzmacniacza psychofizycznego w oparciu o koncepcję Vernhorsta... Trwało to długo, matka zdążyła w tym czasie umrzeć, a ja dorosłem, skończyłem studia i zacząłem pomagać staremu... Właśnie wtedy, gdy zacząłem pracować w jego Instytucie, ojciec ogłosił swoją teorię w książce pod tytułem *Obrót czasu*. Nie wiem, jak długo ją pisał, chyba przez te wszystkie minione lata. Żył tym, żył tym tak bardzo, tak morderczo intensywnie, że mnie, matkę i wszystko inne dookoła z ledwością dostrzegał. Tolerował nas. Bez przerwy korygował zawartość tej książki, zmieniał, do ostatniej chwili uzupełniał tabele i wykresy. Nawet dwukrotnie cofał z drukarni i jeszcze w korekcie przewrócił do góry nogami jeden z rozdziałów, za co wydawca potracił mu jakąś część honorarium. Zabronił reklamowania książki przed jej ukazaniem się na półkach księgarskich, było to zagwarantowane w umowie. Trząsał się ze strachu, że mu ktoś wykradnie pomysły z maszyn drukarskich, toteż zmajstrował sobie wtyczkę, „trzecie oko” — opłacił jednego z drukarzy, by ten mu pilnował składania i donosił o wszystkim. Dopiął swego... zresztą zawsze dopinał swego, był jak czołg skrzyżowany z najbardziej upartym mułem świata. Książka, zgodnie z jego oczekiwaniami, okazała się bombą, wybuch dobrze wstrząsnął całym światem naukowym. Dzisiaj jest to już biały kruk, myślę oczywiście o pierwszym wydaniu, było bowiem wiele wznowień, nawet w kieszonkowcach. A także konferencje, spotkania, polemiki w gronie akademickich gwiazd w togach, no i telewizja, mówiłem już o tym. Słowem, po eksplozji wewnątrzrodowiskowej eksplozja reklamy w środkach masowego przekazu i — co za tym szło — popularności na miarę Myszki Miki, tylko że o wiele krótszej, krótkiej jak sława sportowca. Pamięta pan, kto zdobył w Meksyku złoty medal w skoku wzwyż?... Jasne, że nie, nikt nie pamięta, chociaż od nazwiska Fosbury’ego wzięła się nazwa stylu Fosbury

Flop, używana do dzisiaj. Nawiasem mówiąc Fossbury był moim idolem, bo też trenowałem skok wzwyż. Jako szczeniak wielbiłem go, a jego autograf powiesiłem w swojej sypialni, nad łóżkiem, ale potem mi zaginął podczas którejś z przeprowadzek. Fossbury miał na imię Dick, dlatego nazwałem tym imieniem mojego delfina. Dick skacze prawie cztery metry w górę, potrafi wyjąć mi z ręki czekoladę, którą trzymam siedząc na szczycie masztu... Co?... Tak, już wracam do sedna. No więc, jak powiedziałem, mój ojciec był jak sportowiec. Właściwie to on był sportowcem, był wielkim „fighterem”. Dobił się sławy, ale potem zaczęła ona blaknąć i gdyby nie ta masakra, zapewne jego nazwisko nigdy już nie powróciłoby na pierwsze strony dzienników... Dzisiaj wspominają go tylko fizycy. Ale wówczas, po opublikowaniu *Obrotu czasu*, był gwiazdorem i forsował reklamę swojej osoby i swojej teorii bez skrupułów. Wtedy już mógł sobie pozwolić: przestał być Meadowsem czy alchemikiem Meadowsem, stał się profesorem Meadowsem, sławą o międzynarodowym autorytecie. Mógł i zarazem musiał. Musiał z dwóch powodów. Po pierwsze — kilkunastoletnie badania wyczerpały go zupełnie finansowo, zjadły cały posag matki i nagrody, które otrzymywał za tradycyjne odkrycia. Książka, a jeszcze bardziej szum podniesiony wokół niej, przyniosły mu fortunę. Ważniejszy był jednak drugi powód — ojciec musiał nadać sprawie rozgłos, by znieść ku sobie media... Z mediami jest zawsze najwięcej kłopotu. Nie, nie chodzi o szarlatanów, tych rozszyfrowuje się w kilka godzin, czasami po kilku minutach. Problem polega na znalezieniu mediów autentycznych, których jest niezbyt wiele. W wypadku ojca w grę mogły wchodzić tylko media o specyficznych predyspozycjach, bardzo rzadkich. Chodziło o osobników jasnowidzących lub wykazujących przynajmniej predyspozycje tego typu oraz o ludzi, u których zaobserwowano funkcjonowanie czegoś, co można nazwać pamięcią genetyczną. Klasycznym przykładem jest tu wydarzenie, które miało miejsce w naszym kraju i którym ojciec bardzo się interesował. Nie tylko zresztą on, przez całe lata przypadek ten zaprzętał umysły naukowców u nas i w Europie, zwłaszcza w Niemczech. Otóż pięćdziesięcioczeroletnia żona pewnego pastora z New Mexico, nie pamiętam nazwiska... zaraz, to chyba..., no, nie pamiętam! W każdym razie miała na imię Mary, nazwisko nie jest tu zresztą istotne... A więc ta stara kobieta cierpiała na uporczywe silne bóle głowy. Leczone ją na wszelkie sposoby, ale bez skutku, co nie jest niczym dziwnym, zna pan lekarzy. Po pewnym czasie zacny pastor stracił wiarę w naszych konowalów i postanowił sam zabrać się do roboty. Był hipnotyzerem—amatorem, bawił się tym, ktoś mu podszeptał, że hipnozą można też leczyć. No i zahipnotyzował małżonkę. Wówczas zaczęły się dziać cuda. Podczas kolejnych seansów hipnotycznych Mary zaczęła mówić po niemiecku, chociaż

nie знаła tego języka i nigdy dotąd się nim nie posługiwała! Jej monologi zostały nagrane na taśmę magnetofonową i poddane analizie filologicznej. Okazało się, że jej niemczyzna jest niemczyzną z epoki Bismarcka. Nie to wszakże zaszokowało naukowców, lecz wynik analizy treściowej gaworzenia Mary. Podczas jednego z seansów pani pastorowa oświadczyła, że gdy miała szesnaście lat i nazywała się Gretchen Gottlieb, została zamordowana w lesie, kiedy czekała w karecie na swego ojca, burmistrza. Sprawdzono tę historię. Okazało się, że Mary istotnie pochodziła z rodziny emigrantów niemieckich i że w tej rodzinie zdarzył się około roku 1870 opisany wypadek — zamordowana została szesnastoletnia Gretchen Gottlieb. Wytłumaczono to, lub raczej próbowano wytłumaczyć, właśnie istnieniem pamięci genetycznej bądź, jak powiadali inni jajogłowi, pamięci gatunku, pozwalającej na odtwarzanie wydarzeń z czasów niemal zamierzchłych drogą przekazywania ich przez geny z pokolenia na pokolenie. Zastanawiano się, jak tę pamięć wyzwolić. Hipnozą? Przeprowadzono liczne eksperymenty, z miernym skutkiem. Farmakologicznie? Przez ćwiczenie psychiczne, kontemplację, jogę? Oto jest pytanie! Fascynujące, prawda?... Że co?... Że to nie ma nic do rzeczy? Pan raczy żartować sobie! To ma wiele do rzeczy, bo w końcu to mój ojciec skonstruował wzmacniacz psychofizyczny, który... Słucham?... Drogi panie, trochę cierpliwości, sam pan życzył sobie pełnego opisu wydarzeń, a teraz pogania mnie pan jak konia!... Przez cały czas trzymam się ściśle sedna sprawy, proszę się nie niecierpliwić. Opowiedziałem o przypadku pani Gottlieb dokładnie, gdyż ma to istotne znaczenie dla zrozumienia teorii ojca. Staram się to panu wyjaśnić jak najprościej, ale jeśli to zbyt skomplikowane, zacznę z jeszcze innej beczki. Może coś uproszczę, mój stary wściekłby się na mnie za takie wulgaryzowanie, ale to łatwo trafia do wyobraźni... Hmm, jakby to... Miałem nie zadawać pytań, lecz wybaczy pan jedno odstępstwo od reguły. Chcę spytać, czy zdarzyło się panu znać doskonale miejsca, układy ulic i placów, szyldy i krajobrazy, w których zjawił się pan po raz pierwszy?... Idzie pan ulicą miasteczka, w którym — jest to absolutnie pewne — nigdy pan nie był, nie mógł być, a wie pan, co znajduje się za rogiem! Albo śni się panu owo miasto, zanim po raz pierwszy w życiu pan je odwiedzi. To samo z ludzkimi twarzami. Co prawda istnieją sobowtóry, a kobiety w nocy tak się do siebie upodabiają jak sąsiednie klatki na taśmie filmowej, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Przepraszam, ma pan rację, wiem, że nie przyszedł pan tu żartować i wiem, że to poważna sprawa, zapomniałem się. Ale, przyzna pan, zdarza się ludziom widzieć twarze, które ich bulwersują, zaczyna się mocowanie z pamięcią, gorączkowa łamigłówka, często beznadziejna. Wówczas, jeśli nie udaje się otworzyć właściwej furki w zachwaszczonym ogrodzie pamięci, składamy nie roz-

szyfrowane skojarzenia na karb jakiegoś starego filmu lub przypadkowego ‘spotkania przed laty. A to nie zawsze jest odpowiedź prawidłowa. Problem sobowtórów... Nie chcę się nad tym rozwodzić, zwłaszcza że badania ojca nad sobowtórami okazały się niewypałem, zaprowadziły w ślepą uliczkę, ale to z powodu braku odpowiedniej liczby idealnych osobników, tak zwanych fenomenów, z powodu błędów popełnionych w trakcie prac, lecz, proszę mi wierzyć — ten problem jest pasjonujący! Ojciec w pewnym momencie przerwał badania, oładnęła nim bowiem pasja przeanalizowania więzi między bliźniakami jednojajowymi. Kolejny problem, fascynujący! Wie pan, że jeśli jeden z takich bliźniaków złamie rękę, drugi czuje straszliwy ból w tym samym miejscu, nawet jeśli znajduje się w tym samym czasie na innym kontynencie. Jeśli jeden choruje, drugi zapada na tę samą chorobę, jeśli jeden umiera na zawał serca, drugi dostaje ataku symultanicznie i zdarza się, że też umiera... Takich osobnych zagadnień było kilkanaście, a wszystkie składały się na mozaikę cokołu pod teorią ojca. Wśród tych problemów zagadnienie sekretów pamięci ludzkiej grało główną rolę. Właśnie te ulice, szyldy, krajobrazy, które już się kiedyś widziało... Nie odpowiedział mi pan na pytanie, czy zetknął się pan z czymś takim w swoim życiu, zdarzyło się to panu?... No właśnie! Tak jest nie tylko z panem, identycznych wrażeń doznaje wielu ludzi, można bez większego ryzyka powiedzieć, że prawie każdy. Mój ojciec w młodości sam dwukrotnie zetknął się z czymś takim i zaczął nad tym przemyśliwać, szukał przyczyn. Szukając poszedł inną drogą niż te, które wybrali przed nim zafascynowani tą sprawą entuzjaści i doszedł do swej teorii koła... Proszę teraz zamienić się w słuch, bo i my dotarliśmy do najważniejszego. Gdybym chciał wyjaśnić to panu szczegółowo, musiałbym nie tylko powtórzyć cały *Obrót czasu*, ale i wyniki późniejszych badań. Darujmy to sobie, postaram się streszczać, podam panu uproszczony opis i motywację tak lapidarną, jak tylko można... Zresztą już jest... czwarta! Widzi pan, czas oszalał... Nie jest pan głodny?... To może napijemy się. Whisky czy dżin? Albo może... Jak pan chce. Wobec tego powracam do rzeczy. Podstawowe pytanie: dlaczego koło czasu? Niech pan zauważy, że wszystko co istotne we wszechświecie ma formy koliste lub wręcz jest kołem. Ziemia, ruchy planet, człowieka również można wpisać w okrąg, czynili to już starożytni, a z jeszcze większym upodobaniem wielcy mistrzowie renesansu, poszukujący idealnych proporcji i modułów ciała ludzkiego, zwłaszcza malarze i architekci. W naszych czasach bawił się w to Le Corbusier, to znana sprawa... Linia prosta? Nawet dzieci wiedzą, że zakrzywia się ona w przestrzeni, jeśli więc nieustannie się zakrzywia — tworzy układ zamknięty, koło... Mój ojciec, proszę pana, odrzucił linearną koncepcję czasu i przyjął za



epicentrum swych rozważań koło czasu. Samo to nie jest jeszcze rewelacją, gdyż taka hipoteza też wlecze się za ludzkością, chyba od czasów antycznych, lecz teoria profesora Meadowsa zakłada ściśle określony i zdeterminowany ruch jednostek czasu po obwodzie koła. Mówiąc najprościej: ojciec twierdził, że każdy moment lub raczej zdarzenie zaistniałe w czasie powtarza się wielokrotnie. Wszystko nie tylko już było, lecz i będzie ponownie, powtórzy się. Dziecku można to najprościej wytłumaczyć posługując się jakimkolwiek faktem historycznym. Na przykład, że bitwa pod Gettysburgiem, jeśli nawet wydarzyła się dopiero raz, to wydarzy się jeszcze w przyszłości i to wielokrotnie, choćbyśmy dokonali wcześniej wielkiego bang!... Owszem, istnieją na to dowody, przynajmniej mój ojciec tak twierdził. Niewątpliwie słyszał pan o Erichu von Dänikenie, tym Szwajcarze, który tropi ślady kosmitów na Ziemi. Odnalazł on i rozreklamował liczne ikonograficzne przekazy z przeszłości pokazujące skafandry do lotów kosmicznych, pojazdy kosmiczne i temu podobne rzeczy. Postawił także wiele pytań w rodzaju: jakim cudem starożytni mogli przenosić na dalekie odległości bloki kamienne, których technika współczesna nie jest w stanie nawet ruszyć z miejsca? Däniken twierdzi, że wszystko to, te starojapońskie figurki w skafandrach kosmicznych i te bloki kamienne liczące sobie po dwadzieścia ton, są relikami supertechniki, jaką przed wiekami przynieśli na Ziemię mieszkańcy innej planety, czyli kosmici. Podstawowy zarzut wysunięty przeciw Dänikenowi przez świat naukowy brzmiał: jeśli te skafandry na ikonografii sprzed wieków i tysiącleci są takie podobne do używanych przez współczesnych kosmonautów, to znaczy, że owi kosmici musieli być fizycznie bardzo podobni do ludzi, co jest jawnym nonsensem. Zarzut ten jednak tracił na wadze, jeśli przyjęło się teorię koła czasu. Bo mój ojciec inaczej zinterpretował znaleziska, na które powoływał się Däniken. Ojciec twierdził, że ludzie już kiedyś dokonywali lotów kosmicznych i mieli bardzo wysoko rozwiniętą technikę. I że to się teraz zaczyna powtarzać na kole czasu... Rozumie pan?... Ja wiem, że to niełatwo zrozumieć, może nawet trudniej niż „metateorię” Hugh’a Everetta z roku 1957... Everett to fizyk z Princeton, twierdzący, że nie istnieje pojedyncza sekwencja wydarzeń w czasie, lecz że od momentu narodzin wszechświata rzeczywistość rozgałęziła się na różne stany względne, których liczba może być nieskończona, to jest, że istnieją równoległe do siebie światy, z których każdy jest tak samo prawdziwy... Co?... Dobrze, wracam do tematu... Mój ojciec wyśmiewał „metateorię” Everetta, nazwał ją „pieprzeniem jednej kobiety przez stu facetów w tym samym momencie” i dalej reklamował swoje koło czasu... Wspomniałem już, że pojęcie koła czasu nie jest czymś nowym w historii. Z tym, że w przeciwieństwie do starych teorii tego typu, mgławicowo

nieokreślonych i mistycyzujących, bazujących wyłącznie na spekulacjach filozoficznych, w teorii mojego ojca był dobrze rozbudowany aparat naukowo-badawczy i zawierała ona ściśle determinanty matematyczne. Według niej — znowu najkrócej i najprościej to ujmując — częstotliwość powtarzania się zdarzeń jest wprost proporcjonalna do wielkości średnicy koła pomnożonej przez współczynnik stężenia tak zwanej masy podstawowej, czyli pierwotnej. Czy mam to wyjaśnić bardziej precyzyjnie?... Dobrze, idźmy więc dalej. W *Obrocie czasu* ojciec wyłożył swą teorię tak fachowo i szczegółowo, że pewne fragmenty tego wykładu mogły być zrozumiałe tylko dla specjalistów. I specjaliści — to oczywiście — najżywiej na nią zareagowali. Jednakże wystarczyły podobne do tego, jakim ja uraczyłem pana, wulgaryzujące streszczenia w gazetach, by zainteresowali się tym też ludzie, całe rzesze ludzi, ojciec otrzymywał mnóstwo listów. Jedni nazywali go szarlatanem, inni geniuszem, jak to zwykle w takich wypadkach. Dla wielu była to sezonowa sensacja typu potwór z Loch Ness, ale byli i tacy, którzy przejęli się na dobre, podsuwali ojcu pomysły, podawali wypadki z własnego życia lub zasłyszane historie, które miały związek z pracami ojca... Wie pan, w Azji na przykład największe zainteresowanie wzbudził rozdział, w którym ojciec tłumaczy za pomocą swej teorii reinkarnację. Tu zresztą nawet terminologia się zgadza, gdyż jedno z największych świąt lamaickich, w którym mistrzem rytuału jest Dalaj Lama, zwie się *Kalachakra*, co znaczy właśnie Koło Czasu. Nawet dla azjatyckich teologów dowodzenia ojca w tej materii były rewelacją, co oczywiście nie znaczy, że przyjęli wszystko brawami. W każdym razie musieli przyznać, że jego, jak to nazwali, „zachodnie spojrzenie na reinkarnację” jest oryginalne i warte dyskusji. Najbardziej nie podobało się im — znowu cytuję, chociaż może niezbyt dokładnie — „natrętne sprowadzanie przez profesora Meadowsa świętej przemiany duchowej do formułek matematycznych, wzorów fizycznych i figur geometrycznych”. Ma to związek z tą częścią teorii ojca, która mówi, iż obwód wielkiego koła czasu składa się z małych kół, których obwody utworzone są przez jeszcze mniejsze koła i tak dalej. Najmniejsze koła to egzystencje ludzkie... Ale nie o to przede wszystkim chodzi... Ojca najbardziej interesowała podstawa, wielkie koło czasu, koło wszechświata. By obliczyć precyzyjnie średnicę tego koła i stwierdzić, czy żyjemy w drugim obrocie czasu czy też w... Słucham?... Ależ nie! Myślałem, że pan mnie zrozumiał, kiedy mówiłem o Dänikenie! Te właśnie historyczne i prehistoryczne relikty, które Szwajcar interpretuje jako dowód, że niegdyś odwiedzali Ziemię kosmici, mój ojciec zinterpretował jako świadectwo tej wielkiej cywilizacji technicznej człowieka, która miała miejsce w poprzednim obrocie. Nie może więc być mowy o obrocie premierowym, w każdym razie...

ojciec zawsze przy tym obstawał... Ja tu właściwie nie mam wyrobionego zdania, powtarzam panu tylko twierdzenia ojca. Ojciec nie wiedział, ile obrotów już się dokonało, był jednak pewien, że przynajmniej jeden mamy za sobą... Właśnie po to, żeby zdobyć dokładniejszą wiedzę na ten temat i żeby obliczyć średnicę koła, ojciec potrzebował mediów. Potrzebował ich przedtem i potem, to jest w trakcie pisania *Obrotu czasu* i później, kiedy rozwijał i uzupełniał swoje dowodzenie... Przedtem było mu bardzo trudno znaleźć dobre media, dlatego spieszył się z opublikowaniem książki, chociaż teoria miała jeszcze spore luki; Zdawał sobie sprawę z ryzyka publikowania tak niekompletnej hipotezy, ale wiedział, że tylko to może mu przynieść rozgłos potrzebny do ściągnięcia większej liczby mediów. Chyba już o tym wspominałem?... Naraził się więc środowisku naukowemu, ale dzięki krzykliwej reklamie osiągnął swój podstawowy cel... Co? O tym też mówiłem?... No proszę, widać już jestem zmęczony. Jeśli pan nie chce, to pozwoli pan, że przynajmniej ja się napiję, zaschło mi w gardle... Już lepiej. No więc... zaraz, na czym to stanąłem?... Na mediach, dziękuję. Otóż stary szukał ludzi mogących udowodnić jakiś fakt objawienia się pamięci genetycznej oraz mediów jasnowidzących, czytających w przeszłości lub w przyszłości. Medium takie, znajdując się w kabinie skonstruowanego przez mego ojca wzmacniacza psychofizycznego, otrzymywało rysunek pełen różnej wielkości kół kreślonych przez jakąś osobę i czytało jej życie, przeszłe lub przyszłe. Przewody łączące czaszkę medium z aparatem pomiarowo-kontrolnym, również wynalazkiem ojca, przenosiły na ekran wymierne natężenie reakcji mózgu. Sumy odcyfrowań ujmowaliśmy w specjalnej tabeli, która miała być podstawą do wyciągania wniosków... Nie wyobraża pan sobie, jak potwornie żmudna była ta praca. Ojciec założył, że na pierwszym etapie... oczywiście na pierwszym etapie tych dalszych, uzupełniających teorię koła poszukiwań, tych realizowanych już po wydaniu *Obrotu czasu*, pan mnie rozumie?... No więc ojciec założył, że na tym pierwszym etapie bazę do wnioskowania może stanowić przebadanie minimum trzydziestu właściwych mediów. Lecz skąd brać takie fenomeny parapsychologiczne?... W ciągu pierwszych dwóch lat przebadaliśmy dwunastu ludzi, a wywaliliśmy za drzwi ponad setkę oszustów. Wśród tej dwunastki było aż dziewięć kobiet, ale to medium, o którym chce pan usłyszeć, było mężczyzną. Był to numer trzynasty... Zawiadomiono nas o nim telefonicznie, jakiś anonimowy rozmówca, jakiś facet, który nie chciał się przedstawić. Poinformował ojca o hippim noszącym nazwisko Anderson. Powiedział, że chłopak wysiaduje w spelunie „Blue Moon” w Detroit i czyta ludziom w życiorysach, po czym odłożył słuchawkę. Takich telefonów mieliśmy wiele. Na ogół dzwonili dowcipnisie albo naciągacze, najczęściej ci

pierwsi. Byliśmy na takie informacje uczuleni i traktowaliśmy je nieufnie, ale — uwierzy pan — zawsze je sprawdzaliśmy! Kosztowało to cholernie dużo pieniędzy i czasu, lecz ojciec nie chciał stracić żadnej okazji. Mówiłem panu — potrzebowaliśmy najmniej trzydziestu. Tym razem byliśmy podwójnie nieufni. Hippi! I do tego okazało się, że narkoman! Oni wszyscy czytają w przeszłości i w przyszłości wędrując w upojeniu po swych błękitnych łąkach. Wystarczy jedna dawka LSD albo kilka sztachnięć „trawą”... Co?... Tak, tak, cały czas o nim mówię. Ściągnęliśmy go do Instytutu obiecując dużą forszę, jeśli się sprawdzi. I co pan powie — sprawdził się fantastycznie! Ojciec był zachwycony, żadne z dotychczasowych mediów nie wykazało się takimi zdolnościami, jak ten szczeniak... Miał dwadzieścia trzy lata. Blondas, z włosami na łopatkach, oczy zawsze szeroko otwarte, taki — wie pan — wiecznie nieobecny. Wyraźnie było widać, że ma nas gdzieś, ale potrzebuje pieniędzy na „trawkę” czy jakieś inne świństwo, więc godził się posłusznie na wszystko. Mówił cichym, zachrypniętym głosem, południowym slangiem, tak jakoś lekceważąco, jakby od niechcienia, dziwnie miękko i rytmicznie, przypominał mówiącego robota. Ale to, co mówił, było fenomenalne! Stary zaczął, jak zwykle, od nas samych. To już był rytuał. Na początek podał mu kartkę z kołami nagryzmołonymi przez swoją sekretarkę, Kate Anderson siedział w kabinie i trzymał kartkę w dłoniach złożonych jak do modlitwy. Nie patrzył na nią, zaczął mówić po jakiejś minucie... To było dla ojca wniebowstąpienie! Anderson opowiedział kilka zdarzeń z życia Kate, powtórzył kilka jej rozmów z ojcem, opisał nawet jej bliznę na lewej nodze. Nigdy jej nie widział, nie stykał się z nią i raczej nie mógł dowiedzieć się czegokolwiek o niej w normalny sposób. Mówił także o jej ojcu i dziadku, i prapradziadkach, coraz głębiej w czasie, tak jak życzył sobie mój stary. Spytałiśmy Kate, czy to wszystko się zgadza. Ona sama wiedziała o swych przodkach o wiele mniej niż Anderson, ale to, co wiedziała, zgadzało się idealnie!... Potem daliśmy Andersonowi wypocząć. Poprosiłem ojca, by spróbował ze mną. Zgodził się. Narysowałem kilkadziesiąt kół. Anderson był genialny, czytał w moim życiu jak w otwartej księdze. Kiedy doszedł do mego nocnego spotkania z Betty, moją koleżanką ze studiów, krzyknąłem: dość! i wyłączyłem wzmacniacz. Ojciec nie tylko się nie zdenerwował, lecz śmiał się. Pogroził mi palcem i powiedział: bezwstydniku! Był szczęśliwy... Na tym skończyliśmy pierwszego dnia. Anderson był wypompowany, a okazał się zbyt cenny, byśmy mogli narażać jego zdrowie przeciągając strunę. Dalsze eksperymenty odłożyliśmy do następnego dnia. Ustaliliśmy z ojcem listę kilku osób, naszych bliskich i przyjaciół, którzy mieli posłużyć do dalszych badań. Rozumie pan, w pierwszym etapie pracy z Andersonem była to nie tyle

działalność naukowa, ile sprawdzanie go, a do tego potrzebowaliśmy znajomych, bo inaczej nie dałoby się sprawdzić wiarygodności jego słów... Tak więc kilka znajomych osób dało nam kartki z kołami. Była wśród nich i karta z kołami narysowanymi przez Gladys... Pan zapewne wie, że Gladys była moją macochą? Młodsza ode mnie! Ojciec ożenił się z nią w kilka lat po śmierci matki. Poznał ją na jakimś party... Niewiarygodne — była „króliczkiem” w klubie „Playboya”, uwierzy pan! A mój stary nigdy nie był w takim klubie, nigdy nie miał w ręku „Hustlera” ani nawet „Playboya”, nie mówiąc już o innych porno-szmatławcach, w których są zdjęcia takich dziewczyn, wydawałoby się, że gardzi takimi dziewczynkami. W ogóle wydawało się, że kobiety go nie interesują i tak chyba było przez te lata, kiedy pracował nad *Obrotom czasu*. Spalał się na tym, matki prawie nie dostrzegał, służyła mu do gotowania, wychowywania mnie, załatwiania drobnych spraw i może czasami do łóżka, kiedy mu się zachciało, tak jak zachciewa się łać albo zjeść kolację... Ale potem, po jej śmierci i po sukcesie z *Obrotom czasu*, kiedy już sprofesorzał na dobre i stał się VIP-em, i kiedy opadło zeń napięcie tych wszystkich minionych lat, zaczęło mu brakować gołego damskiego tyłka. Jakby ocknął się i szerzej otworzył oczy. Zaczął się rozglądać, szukać, ruszać nozdrzami jak podniecony ogier. Przypomniwał sobie lub po prostu przypomniał mu rozluźniony organizm, że jest mężczyzną. Było jasne, że pierwsza, która mu się nawinie i podsunie cycki pod nos, ma kolosalną szansę. Przypadek sprawił, że nawinęła się Gladys, mała, tania kurewka do rąbania w biegu, której zamarzyło się przespać ze sławnym profesorem Meadowsem! Z początku pojęcia nie miała, że on pragnie czegoś więcej, bo skąd?... O ślubie z nim nawet nie mogła marzyć, przez głowę jej nie przeszło... Chwali się jej, że była taka inteligentna, a raczej cwana, iż szybko spostrzegła, że cud jest możliwy. On nie miał czasu ani ochoty na playboyowanie w klubach, potrzebował atrakcyjnej dupy w domu, żeby była pod ręką na noc i przy okazji w dzień czyniła honory pani domu profesora Meadowsa. Dostrzegłszy to, zagrała bezbłędnie i osiągnęła maksimum tego, co możliwe — doprowadziła go do amoku, rozkochała w sobie starego durnia!... Nie musiała się zresztą zbytnio wysilać. Miała nogi długie jak Empire State, a biust jak Raquel Welch — wystarczy? Jemu wystarczyło, żeby zwariować... Ale wróćmy do tamtego eksperymentu. Tego dnia, to był dziesiąty lipca, będę zawsze pamiętał, daliśmy Andersonowi najpierw kartkę zarysowaną przez przyjaciela ojca, doktora Davisa, a dopiero potem kółka Gladys. Wszystko, co o niej mówił, zgadzało się bezbłędnie. W pewnym momencie przeskoczył na jej przodków, kilkaset lat wstecz, a potem wrócił do współczesności i wówczas zaczęło się!... Opisał pokój z różowymi tapetami i lustrzanym sufitem — to była sypialnia starego i

Gladys. Opisał dokładnie. Gdy wspomniał o kalendarzu na nocnej szafce, spytałem, jaka jest na nim data. Powiedział, że czwarty lipca tego roku, a więc sprzed tygodnia... Mówił tak sugestywnie, że widzieliśmy tę scenę. Gladys wchodzi do pokoju, a z nią jakiś mężczyzna, młody, wysoki, smagły brunet w sportowej koszulce, džinsach i sandałach. Typ południowy, kelnersko-włoski, klasyczny Jebus-żigolo z tych, co to wiecznie balują między plażą a sportowym wozem i zarabiają różną bogate dziewczyny w dowolnym wieku... Ona częstuje go rumem, potem gasi światło i wyświetlają sobie na ścianie jakieś perwersyjne chwytły, potem ona ściąga go na dywan, rozpina mu koszulę, zamek błyskawiczny i... domyśla się pan. Opisywał to ze szczegółami. Mówił beznamiętnie, jak zawsze, wypluwał te szczegóły z siebie wolno i miarowo, jak komputer. Ciężko było słuchać tej historyjki opowiedanej głosem z waty. A ona... żeby jeszcze tak normalnie, ale... trudno mi o tym mówić, wie pan, nie wszystkie kobiety dogadzają w ten sposób swym chłopakom... Ale ona to lubiła!... Patrzyłem na ojca. Zbladł, stał się biały jak papier, ręce mu drżały. Myślałem, że przerwie, że wyłączy wzmacniacz, ale nie. Chciał wysłuchać do końca, męczył się, lecz trwał. To był masochizm. Bolało go straszliwie, ale chłonał, wsysał to w siebie, jakby się tym upajał, twarz nawet mu nie drgnęła, tylko zwięziły się oczy i oddychał coraz prędzej... Kiedy Anderson skończył, ojciec wybiegł z laboratorium. Bez słowa. Resztę pan zna, tak jak wszyscy... Gazety oszalały z radości, znowu przez kilka tygodni nazwisko profesora Meadowsa pulsowało wielkimi czcionkami na pierwszych stronach... Wówczas stary bezpośrednio z Instytutu pojechał do domu. Nie... niezupełnie bezpośrednio. Po drodze kupił rewolwer i sześć naboń. Zastał ją opalającą się w hamaku i wpakował jej te kule w usta, właśnie w usta... Może gdyby nie była aż tak perwersyjna, może... Chociaż wątpię, zabiłby ją i tak. Kiedy usłyszał tę scenę z żigolakiem, a właściwie zobaczył, bo miał cudowną wyobraźnię, jego mózg przetwarzał litery i dźwięki na kolorowe obrazy szybciej i sprawniej niż mózg przeciętnego człowieka — poczuł się zeszmacony i całe jego koło czasu spadło z osi, wykoleiło się, rozumie pan? Trafił go szlag zabijający myśli o czymś innym. Miał w głowie tylko jej pysk złożony w zgrabne kółeczko i całą tę ohydłą scenę, rozszarpywało go to. Strzelał jak wariat, nawet gdy już nie żyła. Potem chciał strzelić do siebie, ale zabrakło naboń. Usiadł w fotelu i siedział pusty, jak magazynek tej spluwy, patrząc w ścianę. Kiedy zjawiły się gliny, poszedł z nimi jak nakręcana lalka. Nic nie mówił, nie odpowiadał na pytania, uśmiechał się do każdego, kto się do niego odezwał i milczał... W szpitalu więziennym dostał zawału. Nie miał szans na przeżycie, był już po dwóch zawałach... Tak, nigdy nie wiemy, kiedy przyjdzie koniec. Człowiek jest pełen nadziei i wiary w swoje możliwości, nie spodziewa się niczego

złego, tryska radością życia, puszy się i wierzy w dobrą passę, która będzie trwała wiecznie. To inni umierają, dla nas zaś śmierć jest obca, nierealna, jest odległym mitem, nie myślimy o niej, wyrzucamy poza nawias świadomości, jakby nie była nam przypisana w kole czasu. Dotyczy ona bliźnich, nas nie... Ale ona przychodzi, mój panie, wcześniej czy później, spada nagle, jak jastrząb, ogłusza i zabiera myśl, zostawiając pusty zewłok jak opróżniony worek na śmiecie. Banał, prawda?... Najbardziej ponury banał świata. Chcemy żyć, wędrować w nieskończoność po obwodzie naszego kółka czasu, gdy naraz... A właśnie, jak to jest z czasem?... No proszę, to już zmierzch, godziny pędzą jak oszalały chart! Ale tak miło się gawędzi, prawda, mój panie?... Niecierpliwie pana?... Mam kończyć?... Proszę nie krzyczeć, drogi panie, już kończę i do tego będę mówił prawie wyłącznie o pańskich sprawach, co powinno pana zainteresować! Przedtem muszę się jednak napić... O, tak... Dziwne, minęło już pół dnia, odkąd wdarł się pan tu, bo jak inaczej nazwać pańskie natrętne żądanie rozmowy ze mną w cztery oczy, a ja nie jestem zmęczony!... No dobrze, o czym to mówiliśmy? O tym, że śmierć przychodzi niespodziewanie, często wówczas, gdy jesteśmy pewni kolejnego sukcesu, kiedy wydaje się nam, że podskoczyliśmy bardzo wysoko i weźmiemy poprzeczkę na rekordowej wysokości. Ale nie wszystko można przeskoczyć, trzeba posiadać chłodną umiejętność oceniania własnych możliwości. Inaczej się przegrywa, mój panie... Dick, na przykład, nigdy nie wyskoczy po czekoladę, jeśli widzi, że znajduje się ona na nieosiągalnej dla niego wysokości. Należy postępować tak jak on, kto tego nie robi, naraża się na przykrości. Weźmy teraz jako przykład siebie, przyjacielu... Przyszedłeś tu, jak to mówią, mając mnie w ręku. Wykonałeś wielki skok i zawisłeś nad poprzeczką, którą była ta rozmowa. Ale po drugiej stronie, na zeskoku, nie zawsze leży gąbka... Żeby już nie przedłużać tej tragikomedii, przejdę do autentycznego sedna sprawy. Otóż zdziwisz się, przyjacielu... Słucham?... O nie, z tym się nie mogę zgodzić. To jest tragikomedia i zaraz to udowodnię. Komedia już była i właśnie się kończy, jako że wszelka zabawa musi mieć kres, inaczej gubi cały smak, tragedia zaś zbliża się wraz ze zbliżaniem się gwiazd, co ma swój głęboki sens, albowiem tragedia odziewa się w szaty ciemności... Ale może dość już będzie tych pseudopoetyckich metafor, przejdźmy do konkretów... Zdziwi cię, przyjacielu, to co teraz powiem: znam cię od roku!... Tak, dokładnie od jedenastu miesięcy. Inaczej mówiąc poznaliśmy się w miesiąc po tym, jak rodzina Kate zleciła ci poszukiwanie dziewczyny. Było to obustronne poznawanie. Ty grzebałeś się we wszystkim, co dotyczyło mojego ojca i mnie, a moi chłopcy obserwowali twoją robotę i ciebie i podsuwali ci bajeczki oraz dokumenty, które ja spreparowałem.

Szybko wykryli, że zanim zostałeś prywatnym detektywem, byłeś szantażystą. Potem zmieniłeś sobie papiery i nazwisko. Od chwili, kiedy się tego dowiedziałem, byłem już spokojny, mogłem grać z tobą bez obaw, wiedziałem bowiem, że przyjdiesz tu, zanim ujawnisz swoje zdobywcze zleceniodawcom... Notabene zdobyłeś bzdury, dowiedziałeś się tego, czego ja chciałem, byś się dowiedział. Teraz dopiero poznasz prawdę. Kate pomagała mi wykończyć Gladys aranżując mistyfikację z Andersonem. To ona go znalazła. Ale po śmierci Gladys i starego stała się bezczelna, za dużo chciała... Za dużo pieniędzy i ślubu! Przyznasz, że nie mogłem się żenić ze współniczką zbrodni, czy mógłbym spokojnie spać?... Żeby więc spokojnie spać, musiałem ją usunąć... Wcześniej jeszcze spotkało to Andersona. To był początkujący aktorzyzna, którego kupiliśmy za tysiąc dolarów. Odegrał swoją rolę cudownego medium genialnie!... Nie odnalazłeś śladu po nich, przyjacielu, i nie miej o to do siebie pretensji, nie mogłeś. Nie może tego uczynić najbieglejsza policja świata. Nawet te trupy, które mafia zabetonowuje w fundamentach wieżowców, teoretycznie można odnaleźć, ale nie Kate Brown i Phila Andersona... Pamiętasz, na początku wspomniałem, że delfin Dick jest moim ulubieńcem numer dwa. Nie spytałeś wówczas, kto jest tym pierwszym. Gdybyś to uczynił, być może instynkt ostrzegłby cię i próbowałbyś zwać z tego domu bez rozmowy, a już na pewno nie byłbyś taki władczy i bezczelny wobec mnie. To zresztą niewiele by zmieniło... No więc ten mój faworyt numer jeden to Mat. Mat jest rekinem, a może rekinką, cholera wie. Mniejszy niż ten, którego oglądałeś w *Szczękach*, ale o nie mniejszym apetycie. Spotykamy się przy skałach, na południowym cyplu zatoki. Chyba mnie lubi, myślę, że zjadłby mnie z rozkoszą... Uwielbia ludzi. Ma tam gdzieś swoją jaskinię i przyplęwa zawsze, kiedy poczuje krew... Teraz rozumiesz, przyjacielu?... Pełniesz za mną od roku jak wąż, nie dostrzegając, że to ja rzucam ci przynęty. Wreszcie, tak jak oczekiwałem, dopełniłeś do mego domu i zacząłeś mnie straszyć. Sądziłeś, że szantażem wydusisz ze mnie więcej, niż zapłaci rodzina Kate... To dlatego nie informowałeś ich na bieżąco... To był błąd! Nie dzieląc się z nimi podejrzeniami wobec mnie, nie zabezpieczyłeś się i... Co takiego?... Znowu się mylisz, przyjacielu, nie strasz, nie masz czym. Nie byłem na tyle niedomyślny, by sądzić, że przed wejściem w paszczę lwa nie zostawisz małej relacji z moim nazwiskiem i adresem u zaufanego człowieka. Zostawiłeś nawet dwie. Jedną u notariusza, drugą u przyjaciela. Notariusz miał ostatnio kłopoty finansowe, ale już je zlikwidował, wydając mi twoją kopertę za jeden czek i dwie obietnice: że ty nigdy się już u niego nie pojawisz i że on sam nie ulegnie nieszczęśliwemu wypadkowi w ciągu dwudziestu czterech godzin. Natomiast twój przyjaciel miał pecha. Nie tylko nie chciał nam wydać



koperty, ale jeszcze próbował zawiadomić cię o naszych staraniach. Nie-szczęśliwy człowiek... potknął się dzisiaj rano, wpadł do morza i natrafił na Mata... Spociłeś się, przyjacielu?... Te noce są ostatnio niemożliwie gorące. Wracając do rzeczy — jesteś goły, mój ty Pinkertonie, zdarto ci pancerz. Ja zaś jestem ci wdzięczny, że przyszedłeś tu ze swoją zabawną bezczelnością. Wcale nie musiałem opowiadać ci *story* mojego ojca i mojej, ale bawiło mnie to. Bawiło mnie udawać przyłapanego i patrzeć, jak ty, który nie przyszedłeś tu żartować, dajesz robić z siebie arlekina... Gdy już ma się tyle forsy, że nie trzeba pracować, życie staje się nudne i trzeba je sobie urozmaicać. Być może byłem trochę męczący, zbyt rozciągałem opowieść, ale miało to swój cel. Oto nadszedł już mrok. Jeśli nawet ktoś widział cię zajeżdżającego pod mój dom, to zobaczy cię teraz wyjeżdżającego, całego i zdrowego za kierownicą. Jak wiesz, w nocy wszystkie koty są czarne... Będziesz tylko musiał pożyczyć ubranie jednemu z moich chłopców... Nazywasz się Morris, prawda? Otóż posłuchaj, Morris, dam ci radę. Ludzie dzielą się na cwaniaków mądrych i głupich, ostrożnych i nieostrożnych, szczęśliwych i pechowych. Ty jesteś z drugiej kategorii, a ja z pierwszej. Szczęście i pech, co prawda, należą do czynników irracjonalnych... Moje szczęście polegało na tym, że ojciec zareagował tak, jak zareagował, czyli tak, jak przewidywałem znając go, a przecież mógł zareagować inaczej albo coś mogło mu przeszkodzić w dokonaniu zbrodni... Ale i szczęściem można sterować... Jesteś, co prawda, pracowity i wytrwały, słowem jesteś dobrym detektywem, lecz na tym okrutnym świecie być dobrym to mało — wygrywają tylko bardzo dobrzy. Ja do nich należę... Pracowitość i wytrwałość, którymi się odznaczasz, Morris, nie prowadzą do sukcesu. Prowadzi tam brak skrupułów i przebiegłość pierwszej kategorii. Weź to sobie do serca i zastosuj w swym następnym życiu, gdy dopełni się twoja reinkarnacja. Jeśli się dopełni, nie mam co do tego pewności... Nie próbowałem jej zresztą osiągnąć, wymagałoby to bowiem dużego wysiłku, galerniczego kontynuowania badań ojca. A mnie nie chodziło o pracę, człowieku, rzygam, jak myślę o pracy! Chodziło mi o forszę po starym i przetańczeniu życia w słońcu. Wiedziałem, że ojciec długo ze swym sercem nie pociągnie. I co, miałem pozwolić, by ta dziwka zagarnęła cały majątek po nim? Byłbym skończonym durniem i płaciłbym za swą głupotę nędzą przez całe życie. Życie ma się tylko jedno i nie warto czekać, aż się ono powtórzy na kole czasu. A jeśli nawet ma się powtórzyć, to chodzi o to, by powtórzyło się słodkie i złote, bez potu!... Powiem ci coś w zaufaniu, Morris. Ja naprawdę wierzę w koło czasu i w jego mniejsze kółka na obwodzie. Wszystko się powtarza. Życie kopiuje się bez przerwy, pomaga mu ludzka głupota i nikczemność. Ja wybrałem tę drugą, jest dochodowa... Mój ojciec odwrotnie...

Koło czasu! Tacy starzy, sześćdziesięcioletni durnie jak mój ojciec zawsze wpadają i będą wpadać w łapki takich „króliczków” jak Gladys. Tak się dzieje od stworzenia świata... I to jest, Morris, najlepszy przykład na potwierdzenie teorii świętej pamięci profesora Meadowsa... Zmęczyłeś się, Morris? Nie wyglądasz najlepiej... Na koniec zabawię się w jasnowidza. Opowiem ci historyjkę, jedną z wielu, która będzie się powtarzać na kole czasu. Co ileś milionów, a może bilionów lat pewien facet, który uważa się za bardzo sprytnego, będzie chciał szantażować innego faceta, który naprawdę jest sprytny. Będzie przyjeżdżał do jego willi w Miami, zostawiając przedtem dossier sprawy w zaufanych rękach, by czuć się bezpiecznym. Wówczas ten drugi, udając zastraszonego, będzie się bawił, opowiadając tamtemu o teorii profesora Meadowsa, a gdy skończy, będzie naciskał butem guzik pod stołem. Wtedy do pokoju będzie wchodził goryl tego drugiego i będzie trzymał lufę rewolweru w odległości dwudziestu centymetrów od głowy szantażysty, tak jak Jerry trzyma teraz lufę za twoją potylicą. I wiesz, co będzie dalej?... Po strzale chłopcy Meadowsa—juniora zapakują ciało głupca do plastikowego worka i wywiozą jachtem daleko w morze, ku skałom, przy których mieszka stary rekin Mat... Ciekawe, Morris, ile razy powtórzy się to na kole czasu?

## **OPERACJA „WATERLOO”**

24 maja 2131 roku, godzina 10.00.  
Gabinet generalnego komandora  
Brytyjskiego Instytutu Czasonautyki,  
Hamiltona Smitha.

Smith wyłączył tunofon i zamyślił się. Ton głosu człowieka, z którym rozmawiał przed chwilą, był groźniejszy niż wypowiedane słowa. Czego może

chcieć?... Właściwie powinien był zbyć go lub też skłąć i kazać odczepić się, ale w porę dotarło do niego, że jeśli ten człowiek zna zastrzeżony kod połączeniowy Instytutu, to widocznie nie jest byle kim. Maniak? Nie, na pewno nie. Szantażysta? Być może, ale czym mógłby go szantażować?... Zamachowiec?... Nacisnął guzik łączący jego gabinet z sekretariatem i ujrzał na ekranie twarz panny Bishop.

— Panno Bishop!

— Słucham, panie komandorze.

— Za kilkanaście minut na dole pojawi się człowiek o nazwisku Hellman. Jest ze mną umówiony. Proszę polecić straży, by kazali mu przejść przez drzwi bezpieczeństwa i sprawdzili go w komorze sygnalizacyjnej.

— Co mają zarekwirować, panie komandorze, broń?

Zastanawiał się przez chwilę.

— Wszystko. Niech wyjmą mu z kieszeni i przekażą do depozytu każdy metalowy śmieć. Pióro, papierośnicę, zapalniczkę, dosłownie wszystko! Do mnie może wejść tylko w miękkim ubraniu, a z metalowych rzeczy mieć tylko obrączkę! Jeśli ją posiada... Zrozumiała mnie pani?

— Tak jest, panie komandorze.

— Proszę wykonać.

Potem czekał przez kwadrans i odczuwał niepokój. O 10.20 brzęczyk wyrwał go z zamyślenia. Panna Bishop powiedziała z ekranu:

— On już tu jest, panie komandorze.

— Sprawdzony?

— Idealnie, panie komandorze.

— Niech wejdzie.

Drzwi do gabinetu rozsunęły się bezszelestnie i Smith ujrzał w nich człowieka średniego wzrostu i wieku, ze starannie ułożonymi włosami, ubranego z ekskluzywną elegancją, tak rzadką w Londynie. Już na pierwszy rzut oka człowiek ten sprawiał wrażenie cudzoziemca. Miał lekko różową twarz i wielkie czarne oczy, które wbijały się w Smitha spojrzeniem na pozór obojętnym, lecz kryjącym jakąś zagadkę, którą komandor czuł i której irracjonalnie się bał, chociaż nie wiedział jeszcze, o co tamtemu chodzi.

— Kim pan jest i czego pan chce?! — spytał szorstko.

— Nazywam się Hellman i mam do pana interes, komandorze.

Nieznajomy postąpił dwa kroki do przodu i drzwi zamknęły się za nim. Jego akcent — Smith od razu to zauważył — potwierdzał cudzoziemskie pochodzenie. Palec komandora dotknął guzika mezofonu i od tej chwili ich rozmowa utrzymywała się na płycie mezofonicznej.

— Już raz przedstawił mi się pan, podając to samo nazwisko, przypuszczam, że fałszywe.

— Zgadł pan, komandorze, nie widzę potrzeby ujawniania prawdziwego.

— Dlatego ja dostrzegłem potrzebę zrewidowania pana — wycedził Smith.

Tamten uśmiechnął się.

— To mi nie przeszkadza, komandorze. Nie jestem skrytobójcą, przyszedłem tu w innych zamiarach.

— Więc proszę je jak najszybciej wyjawić, mój czas jest ograniczony! Przez tunofon mówił pan...

— To co istotne, powiem teraz. Ale może najpierw pozwoli mi pan usiąść, komandorze?

— Niech pan siada!

— Nie jest pan zbyt uprzejmy, komandorze — rzekł mężczyzna siadając. — Ja byłem grzeczniejszy dla pańskich dzieci.

— Dla moich dzieci? Moje dzieci spędzają teraz wakacje na...

— Chciał pan powiedzieć, komandorze, na Costa Brava, czyż nie tak?... Ale ta informacja jest już trochę zdezaktualizowana. O całą dobę. Chwilowo pańskie dzieci spędzają wakacje gdzie indziej, w zamkniętym pomieszczeniu.

Teraz Smith tuż wiedział. Poczul, że ogarnia go paraliżujący strach. Chcąc go przełamać, ryknął:

— Cooo!!! Co to ma znaczyć?!.. Pan oszalał, wezwę policję! Elegancki mężczyzna, siedzący po drugiej stronie biurka, uśmiechnął się ponownie i zadrwił:

— Idealny sposób, by pozbyć się dzieci... Ładna parka, chłopak już pełnoletni, trzeba przyznać, że walczył jak lew, kiedy moi ludzie porywali oboje. Są przyzwyczajone do luksusu, muszą sporo kosztować. Pan chce sobie zaoszczędzić tych wydatków, komandorze?...

Zapanowała śmiertelna cisza. Mężczyzna odczekał chwilę i powiedział:

— Widzę, że bardzo pan się przejął, komandorze. Niepotrzebnie. Może pan odzyskać te szczenięta.

— Ile? — wyszeptał ochryple Smith.

— Nie ile, lecz co. Nie jestem zbrodniarzem porywającym dla okupu.

— A kim?

— Idealistą, komandorze. Marzą mi się rozwiązania idealne, zwłaszcza jedno, historyczne. Pan mi w tym pomoże, a ja zwrócę panu potomstwo.

— Czego pan chce?

— Chcę, żeby mnie pan przeniósł w przeszłość.

— Takie wyprawy, panie Hellman, są zastrzeżone tylko dla badań naukowych prowadzonych przez czasonautów. Zresztą w tej chwili wszystkie wehikuły czasu są w drodze. Powinien pan wiedzieć o tym...

— Hola, komandorze! — tamten po raz pierwszy podniósł głos. — Proszę nie robić ze mnie durnia, bo to się źle skończy dla pana, a jeszcze gorzej dla pańskich pociech! Wiem o wiele więcej, niż się panu wydaje!... Pan chciał mnie oszukać, komandorze, a to brzydko, bardzo brzydko!

— A co pan robi? Porwał pan moje dzieci. To zbrodnia!

— To gwarancja, komandorze, moja kłapa bezpieczeństwa i furtka do sukcesu. A także prawo, którego pan nie ma wobec mnie, do obrażania się o cokolwiek. Niech więc pan nie próbuje po raz drugi mnie wykiwać, bo mogę się pogniewać i już nie ujrzy pan swoich aniołków! Wehikuły czasu, dobre sobie!... Wiem, że prowadziliście badania nad bezwehikułowym, pozamaterialnym przenoszeniem w przeszłość za pomocą czasograwitacji spiralnej, psychoineksji oraz innych rzeczy, na których się nie znam, ale o których opowiedziano mi wystarczająco dokładnie, bym mógł uświadomić sobie, co można osiągnąć dzięki ich zastosowaniu... Nie tylko wy nad tym pracowaliście, lecz wy pierwsi osiągnęliście cel. Moje gratulacje, panie komandorze... Jak pan widzi bardzo dużo mogę. Te badania i eksperymenty były ściśle tajne, a jednak dowiedziałem się o wszystkim. Wiem nawet, jaki przebieg ma proces psychoineksyjny i jak wygląda kabina czasograwitacyjna. Zamknij mnie pan w niej, komandorze, a ja sam nastawię miejsce i datę wysłania, bo nie chcę, byście je znali.

Smith zerwał się z fotela.

— Jeśli tyle pan wie, to powinien pan też wiedzieć, iż rząd zakazał wykorzystywania tego wynalazku! Przygotowuje się międzynarodową konwencję zakazującą, tak jak niegdyś praktycznie zakazano eksperymentowania z cząsteczkami DNA i z...

— Wiem! — przerwał mu mężczyzna ze złym błyskiem w oczach. — Wiem o tym wszystkim, ale wiem też, że pan złamie ten zakaz!

— Ależ!...

— Zrobi to pan! Po raz pierwszy i ostatni w swym życiu!

— Nie mogę tego zrobić! — jęknął Smith.

— A któż inny może! Dysponuje pan aparaturą i jest pan tu szefem! Owszem, łamiąc prawo narazi się pan na przykrości, ale czyż cel nie uświęca środków? Pańskie władze nadrzędne, czyli władze państwowe, bo podlega im pan bezpośrednio, wybaczą panu rozumiejąc krytyczną sytuację, w jakiej pana postawiłem. Jako komandor Instytutu ma pan wybór decyzji, jako ojciec nie ma pan żadnego wyboru. Zrobi pan to, czego żądam!

— A jeśli tego nie zrobię? — spytał Smith.

— To pańskie dzieci zostaną uduszone. Uduszone. Zrozumiał pan, komandorze... Za ile dni możemy przystąpić do realizacji mojego planu? Spiesz mi się, a panu powinno się jeszcze bardziej spieszyć, bo dzieciom wystarczy żywności zaledwie na dziesięć dni.

Nad biurkiem zapanowała cisza nagłońska ciężkim oddechem komandora, rozsadzająca mu bębniaki uszu, wprawiająca wszystkie nerwy w rozpaczliwe drżenie. Tamten zniecierpliwiał się.

— No więc?!

— Nie wiem... ja... nie wiem... Mężczyzna poderwał się z fotela.

— Mam wyjść?

— Nie! — krzyknął Smith. — Nie, proszę wrócić!

Po czym spuścił głowę i dodał szeptem:

— Pojutrze... Przygotuję wszystko na piątą rano.

— W porządku. Jeśli zmieni pan zdanie do tej pory i zawiadomi policję, pańskie dzieci będą miały ciężką śmierć... A teraz proszę rozkazać swoim cerberom, by oddali mi moje rzeczy, przeprosili grzecznie i pożegnali. Do zobaczenia!

Smith siedział nieruchomo w fotelu i wpatrywał się w plecy tamtego, potem w drzwi, które już się za tamtym zamknęły i w końcu w twarze swoich dzieci.

26 maja 2131 roku, godzina 6.20.  
Sala startowa Brytyjskiego Instytutu  
Czasonautyki.

O 5.00 tego dnia Smith wpuścił szantażystę do Instytutu. Poza nimi i strażnikami nie było w całym gmachu żywej duszy. Dokładnie o 6.20 Hellman zajął miejsce w kabinie startowej. Smith założył mu hełm i zapiął mu klamry, po czym rzekł:

— Teraz straci pan świadomość na około pięć minut.

— Dlaczego?

— Powinien pan wiedzieć dlaczego...

— Panie komandorze, pan mi chwilami przypomina masochistę! Pozwala pan sobie na złośliwe odezwania wobec człowieka, który może panu wyrządzić straszną krzywdę, zamiast starać się go ułagodzić. Doprawdy, nie pojmuję tego... Przecież pan nie ma nawet gwarancji, czy ja dotrzymam słowa, jest pan całkowicie na mojej łasce i niełasce i przy tym wszystkim raz po raz rozdrażnia mnie pan! Czy pan zwariował?

— Przepraszam — bąknął Smith — to się nie powtórzy.

— Mam nadzieję. No więc dlaczego chce mi pan odebrać świadomość na całe pięć minut?

— Przejdzie pan psychoineksję.

— Ach tak, racja... No cóż, oddaję się w pańskie ręce, komandorze, z przekonaniem, że pan dobrze pamięta, co jest moją klapą bezpieczeństwa i że nie będzie pan próbował... powiedzmy popełnić błędu w sztuce.

— Proszę być spokojnym. Teraz niech pan zamknie oczy.

Przez następne pięć minut wpatrywał się w twarz uspiętego człowieka, którego nienawidził. Mógł zrobić z nim wszystko — jak z niemowlęciem. Ale nie mógł zrobić niczego... Poza zdjęciem stereoskopowym.

Aparatura wyłączyła się automatycznie i Hellman otworzył oczy. Przez chwilę wpatrywał się w blat sterowniczy, jakby nie pojmując, skąd się wziął w tym dziwnym miejscu. Potem uśmiechnął się i spytał:

— Już?

— Tak. Teraz proszę uważać. Za chwilę zamknę włącz kabiny. Kiedy to uczynię, proszę patrzeć na mnie. Sprawdzę tylko, czy ciśnienie i temperatura są prawidłowe, po czym dam panu ręką znak. Wówczas nastawi pan na tablicy rozdzielczej datę i godzinę, w którą chce się pan przenieść oraz...

— A wy odnotujecie to wszystko!

— Nie, bo wystarczy, że zrobi to pan raz i może pan wyłączyć tablicę. Tam stoi urządzenie rejestrujące, które wyłączę na pańskich oczach.

Podszedł do aparatury rejestrującej i wyłączył ją.

— Jest jeszcze problem punktu geograficznego, w który chce się pan przenieść. Czy jest panu wszystko jedno, czy też chce się pan znaleźć na określonym kontynencie?

— Gdyby mi było wszystko jedno, to by świadczyło, że jestem maniakiem. Mam ważną misję do spełnienia w starej Europie.

— Dobrze, proszę więc włączyć mapę Europy przyciskiem numer jeden... tak, w porządku. Skieruje pan promień ceonu na wybrany punkt i naciśnie guzik...

— Czy i to nie zostanie zarejestrowane?

— Nie, bo zaraz może pan przesunąć lufę ceonoskopu, z tym, że — proszę uważać — poza mapę, a nie na inny jej punkt. Urządzenie rejestrujące wyłączyłem, sam pan widział. Innych nie mamy, przecież to prototyp... Najlepiej będzie, jeśli ustawi pan lufę ceonoskopu z powrotem w pozycji poziomej.

— Dobrze, co dalej?

— Kiedy zobaczy pan czerwone światełko na pulpicie górnym, o tu, proszę pomyśleć o osobie, w której ciało chce się pan przenieść. Proszę myśleć o niej bardzo intensywnie, przez cały czas od chwili, kiedy ujrzy pan światełko.

— Gwarantuje pan, komandorze, że znajdę się w jej ciele?

— Tak... chyba tak...

— Dlaczego chyba?

— Bo to jest prototyp i urządzenie może zawieść, tak jak wszystko na tym świecie!

— Rozumiem. Niech pan się modli, panie komandorze, by nie zawiodło... Na jaki czas znajdę się w ciele tej osoby?

— Na około trzydzieści, najwyżej czterdzieści godzin.

— Wystarczy. A potem?

— Potem powróci pan w swoje ciało na skutek działania czasograwitacji spiralnej. Chyba że...

— Proszę mówić! Chyba że co?

— Chyba że osoba, w którą pan się wcieli, zginie.

— Co wtedy?

— Wówczas, po odczekaniu stu godzin, pańskie ciało zostanie wyjęte z kabiny i pochowane.

— W porządku, komandorze. Mam nadzieję, że wrócę... Teraz niech pan posłucha, w jaki sposób odzyska pan dzieci. Nie jestem idiotą i bez sprawdzenia, czy mnie pan nie wykiwał, Smith, nie oddałbym ich. Wiadomość, gdzie się znajdują, przekażę panu telepatycznie dopiero wówczas, gdy moja świadomość znajdzie się w ciele wybranego przeze mnie człowieka. Proszę nastawić czasolokator telepatyczny na północną Europę, między Bretanią a Renem, i zaprogramować go hasłem „Kondor”. Wywołam to hasło i podam miejsce, w którym znajdują się pańskie pociechy.

W tym momencie Smith zaryzykował jeszcze raz:

— Podał pan lokalizację zbyt mało precyzyjną, czasolokator telepatyczny musi być dokładniej zaprogramowany. Proszę uściślić miejsce...

Tamten spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. Smith poczuł, jak ciało pokrywa mu gęsia skórka. Starał się całą siłą woli zachować minę nie budzącą podejrzeń.

— Dobrze — powiedział po chwili Hellman. — Nastawcie czasolokator telepatyczny na teren zamknięty kwadratem Antwerpia–Lille–Hirson–Liège.

— A jeśli coś się nie uda? — spytał Smith blady z niewyspania i strachu.

— O tym już mówiliśmy. Jeśli aparatura zawiedzie...

— Myślę o połączeniu telepatycznym!



— Ach tak?... No cóż, to by znaczyło, że ma pan, komandorze, cholernego pecha. Ale nie sędzę. Czasolokator telepatyczny nie powinien zawieść, przecież to wielokrotnie sprawdzona zabawka. Miejmy nadzieję, że i czasograwitator spisie się dobrze... I jeszcze jedno. Niech pan zrezygnuje z jakichkolwiek sztuczek, Smith! Dla dobra swoich aniołków, przewidziałem tę możliwość, że odzyskawszy dzieci zechce się pan zemścić i zniszczy moje ciało przed powrotem. Otóż mam w pańskim instytucie zaufanego człowieka. Jeśli pan to robi, ten człowiek da znać moim ludziom, a ci odbiorą życie chłopcu i dziewczynce. Nie warto trzymać dzieci miesiącami w pancерnej szafie, co zresztą też może się okazać nie całkiem skutecznym zabezpieczeniem... Lepiej więc nie ryzykować, komandorze... A teraz niech pan zamknie kabinę, zaczynamy!

26 maja 2131 roku, godzina 9.48.  
Gabinet szefa Scotland Yardu,  
Artura Lyttletona.

Przy niskim stole w charakterystycznym dla drugiej połowy XXI wieku stylu metabolik siedziało czterech mężczyzn. Lyttleton, jego podwładny, porucznik Eigworth, kapitan Wright z kontrwywiadu oraz szef kontrwywiadu, generał McCormick. Lyttleton zwrócił się do tego ostatniego, mówiąc:

— Panie generale. Otrzymałem właśnie rozkaz premiera, by przekazać sprawę w wasze ręce. Wiemy, że ten facet ma swoją wtyczkę w Instytucie Smitha, a badania tam prowadzone są ściśle tajne. Dlatego jest to sprawa kontrwywiadu, my ograniczymy się do współpracy.

McCormick wyjął fajkę z ust i powiedział:

— W porządku. Chociaż, szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jest to raczej gra policyjna i nie sędzę, bym był tu potrzebny. Dziwię się, że premier kazał nam się tym zająć. To, że facet jest cudzoziemcem, nie oznacza automatycznie, że chodzi o szpiegostwo.

— Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem, generale — odparł Lyttleton.  
— Powtarzam, ten facet ustawił sobie wtyczkę w Instytucie, który...

— To już słyshałem, inspektorze! Moi ludzie zajęli się tym i od godziny sprawdzają wszystkich pracowników Instytutu. Ale nie jestem przekonany, że chodzi o dywersję lub też szpiegostwo natury politycznej. Ten wielbiciel podróży do historii mógł po prostu przekupić kogoś, by zorientować się w

możliwościach Smitha, a jeszcze bardziej prawdopodobne jest to, że blefował, by zastraszyć komandora i powstrzymać go od odwetu.

— Pan bagatelizuje sprawę, generale! Ten człowiek wyraźnie mówił o misji, jaką ma do spełnienia! Nie jest to żaden maniak ani hobbysta...

— Niczego nie bagatelizuję, inspektorze Lyttleton! Ale też staram się zachować spokój i nie popadać w panikę!... Nie mamy żadnych dowodów, które świadczyłyby o politycznym charakterze zamierzeń tego typu. Uważam właśnie za możliwe, że jest to maniak, który chce się zabawić w przeszłości, lub też człowiek psychicznie chory!... Co z tego, że mówił o misji? Mówił wiele rzeczy, co tylko chciał!... Ale przejdźmy do sprawy. Co wy osiągnęliście do tej pory?

— Sporo, panie generale. Terrorysta spełnił obietnicę i przekazał telepatycznie wiadomość o miejscu pobytu dzieci. Odnaleźliśmy je i wzięliśmy pod ochronę. Mamy też jego personalia...

— To nie nasza zasługa, lecz komandora Smitha — wtrącił Eigworth.

— Nie pytałem pana o zdanie, Eigworth! — warknął Lyttleton. — Hmm... to prawda, że dzięki Smithowi wiemy już dużo. Zrobił facetowi w sekrecie zdjęcie steoskopowe. Przesłaliśmy odbitki do wszystkich stolic. Przed chwilą przysłała z Paryża wiadomość, że ten amator wędrówek w czasie nazywa się Jean Percier. Urodzony 2 lutego 2080 roku w Vannes, obecnie mieszka w Brienne-le-Château, w swojej posiadłości, zamożny producent specyfiku na zwiększanie wzrostu. Koledzy z paryskiej Sûreté obiecali jak najszybciej zdobyć inne dane, są już chyba w jego posiadłości... Smith zarejestrował także, iż Percier przeniósł się w jeden ze środkowych miesięcy 1815 roku, w ciało niejakiego Armanda Rebonnet. Francuzi na razie nie wiedzą, kto to może być, nasi historycy również...

— Słowem — McCormick pyknął kilka razy dymkiem z fajki — słowem wiemy sporo i nie wiemy nic. Nie wiemy bowiem najważniejszego: po co? Dlaczego ten facet wybrał się w przeszłość? Być może dla zabawy, w co wierzę, ale jeśli nie dla zabawy, a tej hipotezy odrzucić mi nie wolno, to znaczy, że stoimy w martwym punkcie i nie ruszymy z miejsca dopóty, dopóki nie rozszyfrujemy jego celu... Interesuje mnie, dlaczego Smith, którego tak panowie chwalicie, a który dysponuje najlepszą na świecie aparaturą, nie prześwietlił tego Perciera tak, by wydobyć coś więcej, coś o celu jego wyprawy? Aż tak dał się zastraszyć?

— Dobrze sobie! A pan nie dałby się zastraszyć, generale, wiedząc, iż pańskim dzieciom grozi uduszenie?! — spytał Eigworth.

— Nie mam dzieci! — burknął McCormick.

— No właśnie... Moim zdaniem — kontynuował Eigworth — Smith i tak zrobił dużo wykonując zdjęcie, rejestrując rok docelowy oraz nazwisko człowieka, w którego Percier się wcielił. W ciągu dwudziestu czterech godzin Smith skonstruował ze swoim asystentem urządzenie dublujące aparaturę rejestrującą. W ten sposób wyprowadził Perciera w pole. To jest wyczyn...

Przerwał mu ostry dźwięk dzwonka. Lyttleton wcisnął guzik i na ekranie tunofonu ukazała się twarz zażywej blondynki.

— Mówi inspektor Chevelot. Sûreté. Dzwonię w sprawie Perciera. Sprawdziliśmy wszystkich jego znajomych, kochankę, dzieci i tak dalej. Niczego nie wiemy. Przeryliśmy jego dom — nic, co wzbudzałoby podejrzenia... *Sacrebleu!* Ale nadaliście robotę! Cały dzień nam teraz zejdzie na porządkowaniu tego cholernego pałacu, na wieszaniu od nowa wszystkich tych portretów cesarza, orłów, sztandarów, uuuff. Niech was diabli!.. No, żegnam panów Holmesów, przykro mi, że nie możemy więcej pomóc...

— Rozumiem — mruknął Lyttleton — trudno, dziękuję wam...

— Chwileczkę! — krzyknął McCormick pochylając się w kierunku mikrofonu. — Halo! Proszę się nie wyłączać! O jakich portretach pani mówi?

— O portretach Napoleona. Jest tam ich ze czterdzieści i kupa innych pamiątek po cesarzu. Cały dom jak muzeum albo jak świątynia. Pan Percier to bonapartystowski maniak, znają go z tego historycy... To właśnie dlatego zamieszkał w Brienne-le-Château, bo w tej miejscinie Napoleon chodził do pierwszej szkoły.

— Dziękuję, pani inspektor! — McCormick aż zatarł ręce z radości. — Pani nam bardzo pomogła, nawet nie wie pani jak bardzo! Do zobaczenia!

Wyłączył tunofon i odwrócił się w kierunku kapitana Wrighta.

— Wright! Natychmiast dowie się pan, kto jest najlepszym na świecie znawcą epoki napoleońskiej i ściągnie go pan tutaj bez zwłoki, choćby żył na biegunie! Wykonać!

Wright trzasnął obcasami i wybiegł, a generał zwrócił się do Lyttletona:

— Powiedział pan: rok 1815, jeden ze środkowych miesięcy? W czerwcu tego roku wygraliśmy bitwę pod Waterloo!... Psiakrew., wszyscy jesteście durniami! Znając tę datę i kwadrat podany przez Perciera dla kontaktu telepatycznego, można było wcześniej bez trudu wydedukować o co chodzi!

Zerwał się od stołu i podszedł do wiszącej na ścianie mapy Europyi po czym zaczął prowadzić palec wskazujący po terenie znajdującym się wysoko na północy kontynentu.

— Spójrzcie! Kwadrat Antwerpia-Lille-Hirson-Liège. Blisko jego centrum znajduje się Bruksela, lecz jego pepkiem jest niemal dokładnie Waterloo!

— To potwierdza pańskie przypuszczenia, generale — rzekł Lyttleton. — Mamy do czynienia z bonapartystą, czyli z maniakiem, którw chce powalczyć w napoleońskim mundurze i nic więcej.

— Ależ nie! — krzyknął McCormick w odpowiedzi. — Chciałbym żeby tak było i przedtem wierzyłem w to, ale teraz zmieniłem zdanie i zgadzam się z pańską poprzednią opinią! Sam pan przedtem przypomniał, że Percier realizuje jakąś misję. Teraz wierzę, że jego działania ma charakter ściśle określony, i to charakter polityczny!

— Co pan przypuszcza? — spytał Lyttleton.

— Myślę, że Percier chce zmienić bieg historii, pragnie sprawić, by Napoleon wygrał pod Waterloo!

Zapanowała cisza, którą przerwał po dłuższej chwili inspektor Eigworth:

— To chyba niemożliwe, generale! Przecież historii nie można zmienić. Czegokolwiek by ten szaleniec dokonał, to i tak w świadomości wszystkich jest zakodowane, że bitwę my wygraliśmy.

McCormick pokręcił głową ze złością.

— Człowieku, nic o tym nie wiesz! Wynalazek Smitha sprawił, że można historią zonglować. I świadomością też! Dlatego właśnie chcieliśmy zakazać stosowania tego wynalazku, gdyż jest on potworny!... Rzecz polega na sile bioenergii czasograwitacyjnej. Szczegóły lepiej panu wyjaśni Smith, ja tylko powiem, że jeśli ten facet dokona czegoś, co pozwoli Francuzom wygrać pod Waterloo, automatycznie cała ludzka świadomość ulegnie zmianie, zmieni się bieg historii, wszystkie następstwa, zapisy historyczne, wszystko! W momencie, gdy tego dokona, przestaniemy być razem w tym pokoju, może nawet nie będziemy żyli, pan na przykład ocknie się jako barman w Afryce, bo pańska nowa sytuacja będzie relatywna do nowego biegu historii, a ja...

Gwałtownie otwarły się drzwi i stanął w nich Wright.

— Wykonane, generale! Profesor Selinger z Oxfordu poinformował mnie, że bezsprzecznie najlepszym znawcą epoki napoleońskiej jest niejaki Jerzy Botsch... Bouch... Boutschinsky... To Polak, starszy gość. Uzgodniłem sprawę z Warszawą i za kilka minut przywiozą go w raketowej Sky—taxi!

— Doskonale! — McCormick zaczerpnął głęboko powietrza. — Panowie, rozpoczynamy operację „Waterloo”. Jest godzina 11.05. Percier będzie w roku 1815 jeszcze przez około dobę, najwyżej trzydzieści godzin. My mamy o wiele mniej czasu!

26 maja 2131 roku, godzina 11.42.  
Gabinet szefa kontrwywiadu brytyjskiego, generała McCormicka.

Opowiedzenie Polakowi całej historii zabrało generałowi pięć minut. Potem spytał:

— Profesorze Boutschinsky, czego pan potrzebuje, by rozszyfrować tego Rebonneta, w którego wcielił się Percier?

— Spisu oficerów i podoficerów francuskich z kampanii 1815 roku — odparł starszek bez wahania. — Zwróćcie się do Francuzów, w paryskim Archiwum Narodowym muszą to mieć.

— Wright!

Kapitan szczechnął: „Tak jest” i wybiegł, a McCormick zadał kolejne pytanie:

— W jaki sposób pańskim zdaniem, profesorze, można byłoby odwrócić losy bitwy pod Waterloo?

— Eliminując francuskiego pecha, panie generale.

— Pan raczy żartować, doprawdy, profesorze!... Przecież to generał Wellington rozstrzygnął...

Polak roześmiał się głośno.

— Bzdura! Tylko Anglik może coś takiego powiedzieć. Wy, Anglicy, nie wygraliście bitwy, to los ją dla was rozstrzygnął. Deszcz, który spadł w nocy, zamienił drogi w grzęzawiska i działa Napoleona utknęły. Potem była sprawa wąwozu śmierci i belgijskiego przewodnika—zdrajcy. Napoleon chciał rzucić do decydującej szarży swą ciężką kawalerię, kirasjerów Kellermanna, lecz zdziwiło go, że na polu, którym miała pójść kawaleria, stoi mała kapliczka. Spojrzał na mapę — nie było tam żadnej drogi, ani nawet ścieżki. Rzecz dziwna, bo nie zdarzyło się, by kapliczka stała w szczerym polu, na łące lub ugorze. Spytał więc Belga, przewodnika, czy nie ma tam jakiejś drogi, parowu lub czegoś w tym rodzaju, a zdrajca odpowiedział, że nie. Wówczas Bonaparte dał rozkaz do ataku i rozpędzone masy kawalerii francuskiej wpadły jak w wilczy dół do wąwozu i wypełniły go po brzegi trupami. To był wąwóz śmierci, panie generale, bo ta kapliczka stała nad przepaścią... Mimo to cesarz wygrywał. Pod wieczór wasz genialny Wellington siedział w swym namiocie zrozpaczony, przekonany, że wszystko stracone, z twarzą w dłoniach i płakał! Kolejni wysłannicy przybiegali z wieściami, iż utrzymanie pozycji jest niemożliwe i błagali go o posiłki, a on krzyczał: „Nie mam już żadnych rezerw! Niech zginą wszyscy, co do jednego, ale niech walczą! Może zdąży nadciągnąć Blücher!...” No i zdążył. Na horyzoncie ukazały się masy świeżych wojsk. Napoleon sądził, że to francuski korpus Grouchy’ego. Ale to byli Prusacy Blüchera. Ot i wszystko.

— No cóż... tak... no, tak... dziękujemy panu, profesorze Boutschinsky, za ten interesujący wykład. Mam nadzieję, że z pańską pomocą wygramy operację „Waterloo” po raz drugi i...

W gabinecie ponownie zjawił się Wright i zameldował:

— Panie generale, jest wiadomość z Paryża! Ten Rebonnet był adiutantem generała Drouet d’Erlona!

Usłyszawszy to Polak zerwał się z krzesła i złapał za głowę.

— O Boże, ależ ze mnie oferma!

— Co się stało, profesorze?! — podbiegł do niego McCormick.1

— Nic. Proszę mi natychmiast dostarczyć stereowid książki Charrasa *Historia kampanii 1815 roku!*, wydanie brukselskie, 1857 rok!

— Wright!

Kapitan w mgnieniu oka zniknął za drzwiami, a profesor wyjaśnił«

— Popełniłem błąd w rozumowaniu, generale. Sądziłem, że ten Percier przeniósł się w dzień osiemnasty czerwca, w dzień bitwy pod Waterloo...

— A tak nie jest?

— Nie, sędzę, że nie... Pod Waterloo jedyną szansą Napoleona było ściągnięcie w porę korpusu marszałka Grouchy’ego, który mógłby zneutralizować Prusaków. Grouchy nie przybył, gdyż nie miał ścisłych informacji, a ja myślałem, że Percier chce mu ich dostarczyć i ściągnąć go na pole bitwy. Trochę mnie to dziwiło, gdyż korpus Grouchy’ego znajdował się daleko, w Wavre, i szansa była mizerna. Teraz rozumiem, że Percier wybrał coś o wiele lepszego... Co za przebiegły człowiek. I jaki wspaniały znawca epoki, przyznaję, że zaskoczył mnie tym i wprowadził w podziw!

— Niech pan się przestanie zachwycać tym terrorystą i niech pan wreszcie powie, o co tu chodzi, profesorze!

— O „spacer d’Erlona”. Pańska operacja, generale, winna nosić kryptonim „Spacer d’Erlona”. Ten spacer miał miejsce dwa dni wcześniej, szesnastego czerwca.

— „Spacer d’Erlona”? Co to takiego?

— Dzisiaj, generale, już nawet historycy o tym nie wiedzą, ale przed wiekami było to znane pojęcie związane z kampanią 1815 roku. Otóż musi pan wiedzieć, generale, że na dwa dni przed Waterloo, szesnastego czerwca, rozegrane zostały symultanicznie dwie inne bitwy. Pod Ligny Napoleon walczył z Prusakami Blüchera, a nie opodal, pod Quatre-Bras, marszałek Ney z Anglikami. Między nimi znajdował się francuski korpus generała Drouet d’Erlona. Najpierw wezwał go do siebie Ney, ale w trakcie marszu d’Erlon otrzymał rozkaz cesarza nakazujący mu skierować się do Ligny, zawrócił więc. Kiedy był blisko Ligny, dopadł go drugi wysłannik Neya i nakazał wracać

bezzwłocznie do Quatre-Bras! D'Erlon ponownie zawrócił i w rezultacie nie zdążył już wziąć udziału w żadnej z tych dwóch bitew. Przez cały czas, na skutek sprzecznych rozkazów, pętał się między Napoleonem a Neyem! To był właśnie „spacer d'Erlona”, który skazał Francuzów na porażkę pod Waterloo.

— Przecież Waterloo było w dwa dni później. Nie rozumiem...

— Zaraz to panu wyjaśnię, generale. Widzi pan, szesnastego czerwca Prusacy zostali przez Napoleona pobici pod Ligny, ale nie rozbici. To spora różnica. Gdyby d'Erlon nie został odwołany przez Neyą i połączył się z cesarzem, zostaliby unicestwieni i nie mogliby rozstrzygnąć Waterloo na waszą korzyść. Czy teraz pan rozumie, generale?

— Tak. A więc Percier...

— Percier bez najmniejszej wątpliwości wcielił się w skórę adiutanta d'Erlona, Rebonneta, po to, by zatrzymać wysłannika Neyą z kolejnym rozkazem zawrócenia. Jeśli mu się to uda, d'Erlon połączy się z Napoleonem. Wówczas armia pruska przestanie istnieć i nikt już nie pomoże Wellingtonowi pod Waterloo.

— Kto był tym wysłannikiem?! — krzyknął McCormick patrząc na zegarek.

— Na to pytanie odpowie nam książka owego Belga. „Spacer d'Erlona” jest tam opisany ze szczegółami, w osobnym rozdziale.

W kilka minut później powrócił Wright i wyświetlili taśmę stereowidową z książką Charrasa. Czekala ich przykra niespodzianka — Charras nie rozstrzygnął, kto był wysłannikiem Neyą i podał dwie wersje. Według wspomnień Napoleona był nim szef sztabu Neyą, pułkownik Heymes, natomiast według d'Erlona generał Delcambre. McCormick zaklął i zwrócił się do Polaka:

— Profesorze, niech pan wskaże jedno z tych nazwisk!

Staruszek rozłożył ręce.

— Jakim cudem? Jestem historykiem, a nie jasnowidzem. Jeśli Charras, który badał sprawę, kiedy żyli uczestnicy bitwy, nie rozstrzygnął jej, to jak ja mogę teraz...

— Na miłość boską, musi pan!

— Ale jak? Równie dobrze może pan rzucić monetę, generale. Jeśli wyjdzie...

— Nie wiem jak! Na wycucie, niech pan zgadnie, na miłość boską, ale niech pan poda jednego... Ile mamy czasu?

Profesor przesunął taśmę stereowiduu i rzekł:

— Ten rozkaz został wysłany około drugiej po południu.

— Więc zaledwie półtorej godziny! Musi się pan natychmiast zdecydować, profesorze... Błagam pana!

— Dlaczego to takie ważne? — spytał Polak. — Co chcecie zrobić?

— Chcemy wysłać naszego człowieka w ciało wysłannika!

— To wyślijcie dwóch ludzi, jednego w ciało Heymesa, a drugiego w ciało Delcambre'a, w ten sposób będziecie mieli pewność, że któryś i z nich trafił w ciało wysłannika.

— Nie możemy, mamy tylko jedną kabinę czasograwitacyjną, którą trzeba regenerować przez około trzy godziny! Profesorze!!!

Polak pokiwał głową, niezdecydowany, co ma odpowiedzieć. Ale musiał coś odpowiedzieć. Odpowiedział:

— Delcambre.

— Dlaczego on?

— Bo Napoleon mógł zostać źle poinformowany, a d'Erlon chyba wiedział, kto mu przyniósł ten fatalny dla Francuzów rozkaz.

— Dziękuję, profesorze! Wright! Jedziemy do Instytutu Smitha! Do zobaczenia, profesorze! Jeszcze raz dziękuję!

W drzwiach zatrzymała McCormicka jakaś myśl. Odwrócił się i zadał jeszcze jedno pytanie:

— A jeśli się pan pomylił, profesorze Boutschinsky?

Polak zrobił nieokreślony gest ręką.

— To możliwe, generale. Wówczas przegracie i tę operację, i bitwę pod Waterloo.

16 czerwca 1815 roku, godzina  
15.03. Polna droga między Ligny a  
Quatre-Bras

Człowiek w generalskim mundurze, galopujący w kierunku, z którego dochodziły głuchoe odgłosy dział, usłyszał zza pleców krzyk i tętent kopyt. Zatrzymał się. Oficer, który go gonił, podjechał bliżej i spytał:

— Czy mam honor z generałem Delcambre?

Generał zamiast odpowiedzi wymierzył w tamtego pistolet. Zaskoczony oficer krzyknął:

— Co to ma znaczyć? Dlaczego?!

— Dlatego, przyjacielu, by udaremnić twój plan. To nie ty mnie zabijesz, ale ja ciebie. Tylko chwilowo posiadam ciało generała Delcambre'a, tak jak ty Rebonneta, Percier... Jestem kapitan Wright, z londyńskiej Secret Service!... Tak, Percier, zdążyliśmy, a ty przegrałeś tę grę! Rączki, rączki, Percier, bez



kawałów, bo nawet nie zdążysz się dowiedzieć, jak przegrałeś! Rozgryzł cię szef kontrwywiadu, McCormick, a Smith usunął twoje ciało z kabiny i wyekspediował mnie tutaj w cielesną powłokę generała Delcambre'a. Ten rozkaz dotrze do d'Erlona i d'Erlon nie połączy się z Bonapartem... Nie zmienisz dziejów świata, Percier, najwyżej los rodziny nieszczęsnego Rebonneta. Przykro mi, że zabijając ciebie, zabiję i jego. On jest niewinny. Zawsze niewinni płacą za łajdaków!

Po czym nacisnął spust.

## PERFIDIA

# ELIKSIR MŁODOŚCI

Podszedł do niej w momencie, gdy robiła makijaż i obserwował, jak kąpie w lustrze (tak zawsze mówił) swą piękną twarz. Odbicie w małym, owalnym, jej ulubionym lusterku ze złożonymi ramkami sprzed kilkuset lat, rzeźbionymi misternie w sploty winorośli, przypominało mu osiemnastowieczną miniaturę, jedną z tych, które podziwiał, będąc dzieckiem, w zabytkowym albumie swej matki. Czasami podnosiła wzrok i wówczas oczy damy z lusterka wpatrywały się weń przez chwilę, a on nie umiał odczytać, co kryją, jakie myśli, jakie uczucia. Uczucia... Czy darzyła go jeszcze miłością? Po tylu latach małżeństwa... W ciągu dwóch czy trzech ostatnich nie spisywał się zbyt dzielnie w łóżku i tłumaczył te sobie przepracowaniem, bo o zniechęceniu nie było mowy. Bał się, że z upływem dalszych lat będzie coraz gorzej i marzyło mu się nie starzeć, zatrzymać bieg czasu.

Już kilka razy chciał jej to powiedzieć i także teraz, kiedy wszedł do jej pokoju, niósł to w sobie, ale gdy stanął obok niej — znowu się zawahał. Milczał i patrzył, jak starannie ciągnie czarną kreskę po powiece.

Przerwała po chwili, odwróciła twarz do niego i spojrzała pytająco.

— Słucham, kochanie, szukasz czegoś? Pewnie spinek, jak zawsze...

— Nie, zastanawiam się — odpowiedział, gdyż rzeczywiście zastanawiał się.

Zachnęła się i wykręciła do niego plecami.

— Dobrą porę wybrałaś na medytacje! Za pół godziny musimy wyjść, nie przeszkadzaj mi!

— Nie przeszkadzam, stoję i milczę, co ci to szkodzi, kochanie?

— Szkodzi!... Nie potrafię się malować, gdy ktoś się gapi!

— Długo będziesz się jeszcze malować, kochanie?

— Nie gap się, nie pytaj i idź do licha!

— Mogłabyś być uprzejmieszka! — warknął. — Nie gapię się, po prostu patrzę!

— Więc już nie patrz i nie dąsaj się, i idź do siebie, i pozwól mi umalować się!

Miał ochotę rzucić czymś kruchym o ścianę i może właśnie ten ładunek złości na siebie, na własne tchórzostwo, przełamał w nim coś. Zawrócił z hallu, wszedł ponownie do jej pokoju i spytał:

— Chcę jednak wiedzieć, czy długo zamierzasz się malować?

Drgnęła i gwałtownym ruchem położyła lusterko na toalecie.

— Oooch! To znowu ty? Przestraszyłeś mnie, myślałam, że już poszedłeś do siebie... Co jeszcze?

— Spytałem tylko, czy długo jeszcze będziesz się malować.

— Za kwadrans skończę, jeśli wyjdiesz i przestaniesz mi przeszkadzać.

— A za ile lat skończysz?

Spojrzała na niego uważniej.

— Czy ty się dobrze czujesz, Adrianie?

— Owszem, czuję się znakomicie. Inaczej mówiąc, nie zwariowałem ani nie jestem złośliwy. I wcale nie chciałem sprawić ci przykrości, kochanie. Nie bez powodu spytałem, za ile lat skończysz z malowaniem.

— To bądź tak uprzejmy i możliwie szybko wyjaw mi ten ważny powód, dla którego opóźniasz nasze wyjście, bawiąc się w sfinksa, bo ja twojego pytania nie rozumiem, nie chcę rozumieć!

— Zastanawiam się po prostu, przez ile lat będziesz się jeszcze malowała, skarbie. Z każdym rokiem coraz grubiej i coraz mniej skutecznie.

— Przestań! O co ci chodzi?! Jesteś okrutny!

— To nie ja, kochanie, to czas.

— Mam jeszcze dużo czasu. A potem poszukasz sobie młodszej, jeśli będziesz do tego zdolny, bo nie będę cię oszczędzała przez te lata, ha, ha, ha, ha, ha, ha...

Śmiała się nieszczerze i oboje to czuli.

— Mylisz się, Luizo, to czas ma ciebie i to on nie będzie cię oszczędzał.

— Znalazł się... filozof! Czas nie oszczędza nikogo, ale ja mam jeszcze czas, żeby się tym martwić.

— Ładnie powiedziane, kochanie. Tylko widzisz — mnie właśnie o to chodzi... Ile masz jeszcze czasu do momentu, kiedy nie pomoże już żadne malowanie?

— Adrianie!... Słuchaj, a może ty dzisiaj piłeś?

— Nie, nie piłem.

— To dlaczego się wygłupiasz? I to właśnie teraz! Już jesteśmy przez ciebie spóźnieni. Czy ty nie wiesz o tym, że malują się również kobiety dwudziestoletnie, które tak jak i ja wcale nie muszą czymkolwiek sobie pomagać? To kwestia mody, stylu, dopasowania makijażu do koloru sukni, wreszcie tysiąca innych rzeczy i to trwa od czasu Adama i Ewy. Pojmujesz wreszcie, mój ty głuptasie?

Potargąła mu włosy czułym gestem, który miał znaczyć „odczep się wreszcie”, a on zrozumiał, że to wszystko, co chciał, zaczynając od okazji z malowaniem, powiedziec dowcipnie, lekko, tak by oscyloowało między żartem a poważną sprawą i pozwalało zręcznie wycofać się w razie potrzeby, stało się niespodziewanie idiotyczną szermierką, jakimś naprawdę żenującym pseudofilozofowaniem i wmanewrowało go w makijaż!

— Posłuchaj, kochanie, to wszystko idzie nie tak, jak chciałem, ale jeśli już zacząłem, to skończę. Chcę ci powiedzieć...

Zerwała się z taboretu i stanęła przed nim z oczami pałającymi gniewem.

— Przestań mnie drażnić, czemu to robisz?! Stało się coś?... No dobrze, mój ty filozofie, zestarzeję się kiedyś i stanę megierą, ale na razie jestem w formie i możesz się wypchać swoimi strachami. Będę jeszcze młoda aż przez dwadzieścia lat, tobie na złość!

— Tylko przez dwadzieścia lat, Luizo — wpadł w ten sam ton co uprzednio.

Opadła na taborecik, jakby ją uderzono.

— Na miłość boską, co cię dzisiaj opętało, Adrianie?... W porządku, tylko przez dwadzieścia lat, a teraz wynoś się i daj mi skończyć. Jesteś „wirtuozem chirurgii mózgu”, jeśli wierzyć gazetom, które jakoś dziwnie zapominają, że pracujemy razem i że korzystasz z moich odkryć, ale na razie w żadnej z nich nie napisano, że jesteś genialnym wskrzesicielem młodości, więc nie możesz mi pomóc. Na razie tylko przeszkadzasz... Adrianie, proszę cię, idź już.

— Widzisz, kochanie, a ja myślę, że mógłbym ci pomóc.

— Co ty powiesz?! Na przykład przeszczepisz mój mózg w młodziutkie ciało, gwizdząc na Konwencję Brukselską, która tego zabrania, co?

— Nie o tym myślałem. Wydaje mi się, że znam inny sposób, by ci pomóc, kochanie, tobie i sobie. Myślę o tym od pewnego czasu, a dzisiaj, kiedy ujrzałem twoją twarz w lustrze... O tutaj, widzisz, tu po lewej, zrobiła ci się zmarszczka, chyba pierwsza...

— Bzdura! Jestem po prostu zmęczona, od rana przeprowadziłam trzy operacje, to chyba wystarczy! Koń by nie wytrzymał tego tempa! Mam już dość twojej kliniki, i ciebie, i tej pracy, i wszystkiego!!! Dość!!!

Cisnęła z furją słoik z kremem i stojąc przed Forrotem niczym uosobienie Bogini Szału, wrzeszczała:

— Kiedy przyszedłam tu po studiach jako młoda, wyjątkowa uzdolniona asystentka, ganiałeś za mną jak sztubak, śliniłeś się i skamlałeś, zebrałeś o jeden uśmiech i klękałeś z kwiatami! Wielki profesor Forrot, „genialny zegarmistrz mózgów” i skromna panienka! Zastanawiałam się wówczas, o co ci bardziej chodziło, o moje odkrycia czy o moje ciało... Już nie pamiętasz, jaki byłeś miły? A teraz wyszukujesz mi zmarszczki, których nie ma! W jakim celu! Znalazłeś sobie inną? Proszę bardzo, uszczęśliw ją, obiecaj złote góry, tak jak mnie, tylko nie obiecuj, że będziesz Casanovą, bo się dziewczyna oszuka, tak jak ja!

I zaraz, przestraszona, uświadomiwszy sobie jak boleśnie mógł odczuć ostatnie słowa, dodała ciszej ich fałszywe usprawiedliwienie:

— To nie przeze mnie nie mamy dziecka...

Rozpłakała się. Podeszedł i wziął ją w ramiona.

— Nie płacz, przepraszam cię, nie miałem niczego złego na myśli. Ja cię kocham, tak bardzo cię kocham, Luizo... no, proszę, przestań już.

— Przecież nie mam zmarszczek, dlaczego mi robisz przykrość?

— Oczywiście, że nie masz, kochanie.

— A jak się pojawia, to je usunę operacyjnie, cóż prostszego?

— Wewnętrznych procesów starzenia się organizmu nie usuniesz, kochanie.

— Znowu zaczynasz? Mam się teraz martwić, że nie można powstrzymać starzenia? Nie chcę się zamartwiać, nie jestem mniszka! Co cię dzisiaj napadło, czemu mnie torturujesz?... Można opóźnić starzenie o kilkanaście lat, przecież ci Rumuni, a potem Japończycy, wypracowali metody...

— Daj spokój, Luizo, cała ta geriatryka to dobre dla staruszków, którym przywraca się na chwilę część pamięci i sprawności. Ja... widzisz, ja myślę o czymś innym, o zatrzymaniu młodości na jej najpiękniejszym, dojrzałym etapie. Wydaje mi się, że wiem, jak to zrobić... to znaczy... mógłbym przynajmniej spróbować... Wpadłem na pomysł, kiedy zapoznałem się z pracami Maurycego. To dlatego zacząłem z to rozmawiać...

— Maurycy?... To ten młodzik, który robi u ciebie doktorat?

— Właśnie. Maurycy Lebon.

Nie poszli do teatru. Siedzieli do późnej nocy w jej sypialni i on tłumaczył w czym rzecz. Właśnie do tego zmierzał. Od kilku tygodni każdego dnia chciał to uczynić i każdego dnia przekładał to na dzień następny. Aż przyszła ta chwila, kiedy dokonało się jakoś samo, w czasie tej rozmowy. Czekał na taką właśnie chwilę.

— Widzisz — mówił — jego ojciec, stary Lebon, bawił się w alchemię, czytał księgi Albertusa Magnusa, Bacona, Lullusa, Basiliusa Valentinusa, Paracelsusa, Le Coera, znał dokonania Trismegistosa, Trevisanusa, Dżafara-al-Sofi, Sendivogiusa, Saint-Germaina, Cagliostro i wszystkich starożytnych, Egipcjan i Asyryjczyków...

— O kim ty mówisz, Adrianie? Co to za nazwiska?

— O alchemikach, kochanie. Od pewnego czasu staram się zostać ekspertem w tej dziedzinie, chociaż daleko mi do starego Lebona, który od wiedzy teoretycznej przeszedł do praktycznej, zabrał się do warzenia mikstur...

— Adrianie, ty wierzysz w te brednie?

— Moja droga, przed stu laty ludzie nie wierzyli w odwiedziny przybyszów z kosmosu i naśmiewali się ze zwolenników takiej hipotezy

— To co innego. Ten stary Lebon miał szczęście, że nie urodził się w średniowieczu, bo spalono by go na stosie.

— Nie jestem taki pewien. Wówczas palono uczonych i poetów—heretyków oraz czarownice. Magów podejmowano na dworach.

— I co z tego? Ty, wybitny naukowiec, uważasz to za dowód? Cyrkowców, komedianów, minstrelów, wszelkiego rodzaju sztukmistrzów zapraszano na dwory równie ochoczo. To dobre dla publiki łaknącej taniej sensacji. Alchemicy, retorty, tajemne pracownie z krętymi lochami i zapadniami, dymy, kadzidła, klątwy i zaklęcia, kabalistyczne receptury... Adrianie! Doprawdy, zaskakujesz mnie.

— Wiem i zaskoczę cię jeszcze bardziej. Poświęciłem trochę czasu na studiowanie tych spraw. Szukałem w bibliotekach i archiwach, sprowadziłem mikrofilmy z zagranicy, przeczytałem wiele z tego, co czytał stary Lebon i wreszcie skontaktowałem się z doktorem Herrendorfem z Wiednia, najlepszym specjalistą od spraw alchemii. Złośliwi mówią, że to „ostatni z alchemików”, ale w rzeczy samej to człowiek mądry, poczułem do niego sympatię. Odbyliśmy kilka konferencji i on...

— Więc to dlatego tak zaniedbałeś w ciągu ostatniego roku klinikę, zwalając wszystko na moją głowę! Teraz rozumiem... To stąd te wyjazdy i późne powroty do domu...

— A ty pewnie myślałaś, że mam kochankę, co?

Z trudem powstrzymała śmiech. Odparła poważnie:

— Nie, Adrianie, nie podejrzewałam cię o to.

Gdyby był mniej zaaferowany sprawą, powaga tej odpowiedzi smagnęłaby go, lecz nie zwrócił uwagi na ton.

— Słuchaj dalej. Właściwie to nie chodzi mi o alchemię klasyczną, o wszystkie te sztuczki z zamienianiem metali nieszlachetnych w złoto,

powiększaniem drogich kamieni i tym podobną szarlatanerią, lecz o jatrochemię, czyli medycynę alchemiczną. Zajmował się nią już „ojciec alchemii”, Hermes Trismegistos, a członkowie tajnej sekty, którą założył, żyli pono bardzo długo. Inny gigant alchemii, Arab Dżafar-al-Sofi, znany we wczesnośredniowiecznej Europie jako Geber, poszukiwał substancji leczącej wszystkie choroby i zwanej *panaceum* lub *aurum potabile*, czyli złoto do picia...

— Dość kosztowne panaceum, Adrianie.

— Bądź tak dobra i nie przerywaj mi drwinkami! Rozumiem, że to cię śmieszy, ale...

— To mnie nudzi, Adrianie, czuję się jak w szkole.

— Zapewniam cię, kochanie, że wkrótce przestanę cię to nudzić, tylko pozwól mi kontynuować. No więc... zaraz, mówiłem o jatrochemii. Otóż ci, którzy się nią zajmowali, myślę oczywiście o gigantach alchemii, dokonali bardzo ciekawych wynalazków. Przykładowo: Szwajcar von Hohenheim alias Filip Paracelsus, znakomity szesnastowieczny lekarz, przyrodnik i filozof, odkrył tlen, zaś Libavius pierwszy otrzymał kwas węglowy, sole bizmutu i chlorek cyny.

— A Glauber sól glauberską. Pamiętam to ze szkoły.

— Dobrze pamiętasz, ale strzeliłaś swoją złośliwością w płot, bo — o czym zapewne nie jest ci wiadomo — Glauber był również alchemikiem, uprawiał jatrochemię i swoją sól odkrył w trakcie doświadczeń hermetycznych, czyli alchemicznych. Tak on, jak i inni jatrochemicy ogłaszali te swoje poboczne odkrycia, natomiast zachowywali dla siebie] lub dla bardzo wąskiego kręgu wtajemniczonych sekrety badań głównych — nad Wielkim Eliksirem zwanym również Wielkim Magisterium. Eliksir, po arabsku el—iksis, znaczy: kwintesencja lub kamień mądrości. Początkowo otrzymywano takie preparaty, jak na przykład *amarum*, czyli Eliksir Gorzki, z mieszaniny wyciągów winnych, olejków eterycznych, soli i różnych innych ekstraktów, lecz były one mało skuteczne. Potem udoskonalano recepturę... Trudno powiedzieć kiedy, ale pewne szyfrowane przekazy średniowieczne, na które natrafił Lebon i które są znane Herrendorfowi, wskazują, że już w starożytności znano Eliksir Długowieczności — eliksir *ad longam vitam*. Nie była to znajomość powszechna i być może ten eliksir nie był jeszcze doskonały, bo kilku alchemików średniowiecznych ostro pracowało nad jego optymalizacją i stworzeniem Eliksiru Młodości. Trudno powiedzieć, czy udoskonalili oni receptę starożytnych, czy też ją popsuli, w każdym razie ta walka z czasem pustoszącym organizm człowieka została zaszyfrowana w ich notatkach, co

pozwala dzisiaj, przy obecnym stanie medycyny i nauki, wykorzystać te doświadczenia.

— I kto je wykorzystuje, Adrianie?

— Na przykład doktor Herrendorf.

— Nie rozśmieszaj mnie! Ta cała jego geriatria...

— Ależ to nie jest geriatria...

— Jest to przedłużanie jakiej takiej aktywności starców do stu dwudziestu lat, przedłużanie spróchniałej wegetacji! Z Rumunów i Japończyków dopiero co sam się śmiałeś...

— Przecież to zupełnie co innego. Widzę, że nie rozumiesz istoty badań Herrendorfa, nie znasz ich...

— Owszem, znam. Teraz przypominam sobie, że niedawno czytałam jego sprawozdanie z konferencji w San Antonio. Wyraźnie była tam mowa...

— Luizo! To była konferencja geriatryczna, więc Herrendorf wypowiadał się na temat geriatry, natomiast jego badania alchemiczne to prawdziwa walka z czasem. Zresztą nie o nim chciałem mówić, lecz o starym Lebonie, który posunął się o wiele dalej.

— Na polu walki z czasem. Paradne!

— Proszę cię, nie kpij! Daj mi skończyć. Lebon wpadł na ten sam trop co alchemicy starożytni i średniowieczni, i osiągnął zadziwiające rezultaty.

— A najbardziej zadziwiającym z nich jest to, że już umarł!

— Popełnił błąd, to się zdarza, ale...

— Adrianie, czy któryś z tych, którzy parali się w minionych wiekach wynajdowaniem Elixiru Młodości i całą tą jatrochemią, czy któryś nich nie popełnił błędu i przeżył więcej niż sto... no, powiedzmy: sto pięćdziesiąt lat?

— Mam podstawy przypuszczać, że tak. Wskazują na to źródła historyczne.

— Ty to mówisz poważnie?

— Najzupełniej. Zbyt wiele czasu poświęciłem na badanie tej sprawy, żebym miał teraz żartować. Nie jestem mistykiem ani fantastą, jestem naukowcem. Umieję oddzielać ziarna od plew... Na przykład Saint-Germaina od Cagliostro.

— Czy to właśnie oni?

— Jeden z nich. Saint-Germain. Cagliostro, który był genialnym telepatą i magiem, popisywał się swoją długowiecznością, twierdził na przykład, że znał osobiście Jezusa Chrystusa i był przy nim na uczcie w Kanie Galilejskiej, lecz najprawdopodobniej łągał. Nie upieram się przy tym, że był szarlatanem, czytałem wydaną w początkach ubiegłego stulecia, chyba tuż przed pierwszą wojną światową, pracę o Cagliostrze autorstwa doktora Marca Havena, który



podaje wiele zadziwiających informacji, lecz nie mam do Cagliostro zaufania. Zupełnie inna sprawa z hrabią Saint–Germainem, współczesnym Cagliostro, który nie tylko nie robił z siebie nieśmiertelnego, ale — wiedząc, że go o to posądzają — unikał rozmów na ten temat... Zbyt wiele osób widywało go na przestrzeni kilkuset lat, by można było, kochanie, to lekceważyć. Przeczytam ci fragment książki pewnego Polaka, który spotkał się z Saint–Germainem w latach siedemdziesiątych minionego wieku.

Mówiąc to wstał, wyszedł i po chwili wrócił z niewielkim tomikiem w ręku.

— To właśnie to. *La sente française*. Autor w swoim opisie podróży po Francji rekapitułuje pokrótce stan wiedzy o Saint–Germainie.

Kartkował przez chwilę, aż znalazł. Wówczas spojrzął na nią niespokojnie i spytał:

— Czy chcesz?... Bo jeśli cię to wszystko znudziło...

— Nie, teraz mnie to już nie nudzi, Adrianie, wprost przeciwnie, zaczyna mnie bawić.

Rozpromienił się.

— To cudownie. Więc słuchaj: „Identycznie jak w przypadku Cagliostro — nie wiadomo, kiedy się urodził (przypuszczalnie w pierwszej dekadzie XVIII wieku) i czyim był dzieckiem. Istnieje kilka wersji odpowiedzi, przy czym za najbardziej prawdopodobną uważa się, że był naturalnym synem królowej Hiszpanii, małżonki Karola II. Mówiono też w swoim czasie, iż był synem króla Portugalii, a Horacy Walpole twierdził, że hrabia Saint–Germain to człowiek, który ożenił się bogato w Meksyku, po czym umknął z fortuną żony via Konstantynopol do Europy. Co zaś do daty urodzenia, to zainteresowała mnie niezwykle rozmowa, która odbyła się w paryskim salonie Anno Domini 1758. Wcześniej Saint–Germain przebywał w swej niemieckiej posiadłości, oddając się badaniom alchemicznym i parapsychologicznym. Do Paryża przybył w glorii mistrza nauk tajemnych i wielkiego odkrywcy, z miejsca uzyskując zaufanie dworu. I oto mamy obiad, na którym hrabia jest honorowym gościem. Obecna przy stole Mme de Gergy, kobieta starsza już, lecz słynąca z doskonałej pamięci, przygląda mu się przez dłuższą chwilę po czym mówi:

— Pięćdziesiąt lat temu byłam ambasadorką w Wenecji i dobrze pana pamiętam. Nazywał się pan wówczas markiz Balletti i miał parę kilka drobnych zmarszczek, których dzisiaj nie widzę. Pańska twarz **pr**l wie się nie zmieniła. Jak pan to robi, że się pan odmładza?

— Dbam o damy, pani — odpowiada Saint–Germain, próbując śmiechem osłonić zmieszanie.

Wieść o tej rozmowie zbulwersowała Paryż i Wersal. Zaczęto szeptać, że hrabia ma ponad sto lat i jest nieśmiertelny. Reakcja Saint-Germaina zaskakuje. Cóż uczyniłby na jego miejscu typowy szarlatan? Oczywiście staraliby się utwierdzać ludzi w przekonaniu o swej długowieczności i czerpać z tego zyski, tak jak Cagliostro, który podawał się za przyjaciela Chrystusa, oraz głośny sobowtór Saint-Germaina, lord Hower, który twierdził bezczelnie, że był obecny na soborze w Nicei (IV wiek). Saint-Germain nic podobnego nie czynił, unikał rozmów na temat dotyczących go pogłosek, a zmuszony — krył się za zasłoną dowcipu lub wymanewrowywał rozmowę na inne tory. Dwukrotnie nagabywała go jego protektorka, faworyta królewska, pani de Pompadour:

— Czemu pan nie ujawnia swego wieku? Hrabina de Gergy twierdzi, że widziała pana przed pięćdziesięciu laty w Wenecji takiego samego jak dzisiaj.

— Prawdą jest, pani, że znam hrabinę od dawna.

— Ależ, zgodnie z tym, co ona mówi, musi pan mieć ponad sto lat!

— To niewykluczone, pani — odpowiedział ze śmiechem Saint-Germain.

Z relacji pani du Hausset znamy drugą rozmowę, podczas której Saint-Germain zaczął opowiadać ze szczegółami o dworze Franciszka I. Mme de Pompadour krzyknęła zdziwiona:

— Wygląda na to, że pan to wszystko widział!

Hrabia zbył ją słowami, na które nigdy nie zdobyłby się hochsztapler:

— Wiele czytałem o historii Francji, pani, a mam dobrą pamięć. To wszystko.

Widząc zaś niedowierzanie, dodał śmiejąc się:

— Pani, nie bawi mnie sprawianie, by wierzono, że żyłem przed wiekami. Bawi mnie obserwowanie tej wiary.

Starłem się znaleźć chociaż jedno świadectwo o przyłapaniu Saint-Germaina na sztuczki alchemicznych lub innych i nie znalazłem żadnego, nawet w pracach autorów wyraźnie wrogich temu człowiekowi. Znalazłem natomiast kilka zaskakujących opinii. Książę heski, Karol, na którego garnuszkę Saint-Germain przeżył swe ostatnie lata (według oficjalnej wersji zmarł na atak paraliżu w Eckenförde 27 lutego 1784 roku), zaświadczył, iż hrabia wynalazł na bazie herbaty lekarstwo, które rozdawał bezpłatnie chorym w Schlezwigu — wynikiem były setki uzdrowień, w tym część uznana przez lekarzy za cudowne. «Nigdy nie widziałem człowieka większego ducha niż on», powiedział książę.

Oczywiście, świadectwo niemieckiego książątka, któremu obecność maga dodawała chwały, trudno uznać za miarodajne. O wiele trudniej kwestionować

opinie o Saint–Germainie wydane przez dwóch znakomitych dyplomatów austriackich, Kaunitza i Cobenzla, szczywanych lisów, których niełatwo było omamić, a którzy — zetknąwszy się z hrabią — stali się jego zagorzałymi wielbicielami. Cobenzl powiedział o nim:

— Najdziwniejszy człowiek, jakiego poznałem w swym życiu. Posiadał bogactwa, a żył skromnie. Jego szlachetność, dobroć i uczciwość były najwyższej próby i napełniały wzruszeniem. Posiadał przewyborną znajomość kilku języków i wszystkich sztuk. Był poetą, muzykiem, pisarzem, lekarzem, fizykiem, chemikiem, malarzem, krótko mówiąc: posiadał kulturę i wykształcenie, jakich nie posiadał żaden inny człowiek epoki.

I jeszcze świadectwo Voltaire’a, człowieka o laserowym umyśle, któremu zarzucić naiwność byłoby szczytem naiwności. Voltair o Saint–Germainie do Fryderyka II:

„— Ten człowiek jest nieśmiertelny i wie wszystko!”

Przerwał, zmęczony głośnym czytaniem, i popatrzył na nią.

— Czy to wszystko, mój drogi? — spytała.

— Nie, kochanie, najważniejsze dopiero będzie. Pozwól tylko, że przepłuczę gardło.

Zanim odstawił szklanę, ona wzięła książkę do ręki, przez chwilę szukała miejsca, w którym przerwał, i sama zaczęła czytać:

— „Już w roku 1785 sygnalizowano obecność Saint–Germaina na zjeździe masońskim w Paryżu; w roku 1788 hrabia de Chalons spotkał go na placu Świętego Marka w Wenecji, rozmawiali przez godzin, w roku 1789 księżna Adhemar spotkała go w jednym z paryskich kościołów; w roku 1821 doszło do podobnego spotkania w Wiedniu (z Mme de Genlis), a w roku 1835 w Paryżu (z niemieckim historykiem Ottingerem); w roku 1846 Anglik Vandam spotkał Saint–Germaina podającego się za majora Frazera na dworze Ludwika Filipa; pani Blavatsky odnalazła go w Tybecie w końcu ubiegłego stulecia; również w Tybecie (w roku 1905), a potem w Rzymie (1926) spotkał go i rozmawiał z nią Anglik Leadbeater; w roku 1934 rozmawiał z Saint–Germainem włoski pisarz Contardi—Rhodio; w roku 1945 widział go Roger Lannes; w roku 1951 w jednej z tybetańskich świątyń gościł człowiek, o którym mówionej że to Saint–Germain”...

— Adrianie, jaką mamy gwarancję, że te przekazy są uczciwe?

— Rachunek prawdopodobieństwa, kochanie. Autor tej książki wymienił tylko kilka z wielu spotkań z Saint–Germainem, nie ma tu na przykład świadectwa Franciszka Greffera, którego wspomnienia wydał w roku 1945 w Wiedniu. Pokazywał mi je Herrendorf. Takich świadectw jest o wiele więcej. Ów Polak rozmawiał z Saint–Germainem w roku 1971 lub 1972 w Chambord

— jest to ostatni znany wypadek. Widzisz, chodzi mi o to, że jeśli istnieje aż tyle niezależnych od siebie przekazów, to zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa — przynajmniej część z nich jest autentyczna. Notabene historycy czynili spore wysiłki by zdezawuować te świadectwa i przez prawie trzysta lat do dzisiaj udało się im obalić tylko jedno, księżnej Adhemar, której rzekome wspomnienia sfabrykował Lamothe—Langon.

— Czy przypuszczasz, Adrianie, że ten Saint—Germain żyje do dzisiaj?

— Nic podobnego, kochanie. Może tak, a może nie, tego nie można wiedzieć. Nie wierzę w to, by był nieśmiertelny, jest to bowiem niemożliwe z czysto biologicznego punktu widzenia, nawet biorąc pod wagę supertransplantacje, protezy i inne sztuczki. Komórki mózgu zużywają się tak jak każde inne, prawdopodobnie jednak można osłabić tempo ich zużywania i wzmocnić procesy regeneracyjne, przedłużając młodość człowieka w znacznym stopniu. A więc pokonując czas, kochanie, przynajmniej na jakiś czas. To jest właśnie sekret Elixiru Młodości i sędzę, że Lebon go odkrył.

— Aby zaraz potem wyzionąć ducha.

— Mówię o Lebonie—juniorze. Stary Lebon wykonał lwią część pracy, ale popełnił jakiś błąd i zapłacił za to śmiercią.

— O ile dobrze pamiętam, to zmarł przed pięciu laty w bardzo niejasnych okolicznościach.

— Przed sześciu laty. Policja prowadziła żmudne śledztwo, w końcu stwierdzono otrucie, nie znaleziono jednak mordercy. Mam powody przypuszczać, że on po prostu wypił swoją miksturę...

— I w ten sposób odmłodził się na wieczność.

— Popełnił błąd...

— To już mówiłeś. Dalej mi powiesz, że Maurycy Lebon skorygował ten błąd.

— Właśnie tak. Maurycy przejął spuściznę po ojcu i najpierw chciał tylko znaleźć przyczynę śmierci starego. Potem zapalił się i zaczął się w tym babrać. Do doświadczeń używał już jednak nie samego siebie, ale zwierząt...

— Wspomniałeś kiedyś, że pracuje nad szczepionką antynowotworową...

— Bo tak mi powiedział. Ale kiedy chorował, poszedłem do jego laboratorium po próbki odczynników zetonowych, a gdy pogrzebałem tam, stwierdziłem zadziwiającą rzecz. Jego zwierzęta nie starzeją się!

— Niemożliwe!... Zdawało ci się!

— Nie, kochanie. Zrobiłem analizę dwóch próbek tkanek. Zachodzą tam jakieś dziwne reakcje stabilno—regeneracyjne, których istoty nie sposób zbadać inaczej jak podczas długotrwałych badań. Chcąc je przeprowadzić, musiałbym dysponować jego menażerią. Ale nie wydaje mi się to konieczne, bo zadałem

sobie trud przeczytania notatek Lebona i wiesz... on... no, wydaje mi się, że on odczytał jeden z najbardziej tajemniczych manuskryptów w dziejach, o którym już przed wiekami mówiono, że zawiera „*formułę eliksiru życia*”!... Zresztą, może nie on to odczytał, lecz stary Lebon, w każdym razie w jego biurku leży fotokopia, pełne dwieście cztery strony i kartki z odcyfrowaniami szyfru. A z tym szyfrem nie zdołano się uporać przez setki lat! Nie znano jego autora, chociaż przypisywano książkę Baconowi, nie wiadomo było nawet, z którego wieku pochodzi rękopis. Dość długo przypuszczano, że z trzynastego, potem w roku 1974 czy 1975 profesor Uniwersytetu w Yale, Robert Brumbaugh, wysunął hipotezę, że z wieku szesnastego. Brumbaugh poświęcił wiele czasu na próby rozwikłania zagadki, ale niewiele zwojował. I oto nagle w szufladce Lebona leżą sobie jak gdyby nigdy nic odczytane fragmenty tekstu... Być może Lebonowie odnaleźli jakieś zapiski Saint-Germaina, może to właśnie on znalazł klucz do szyfru? Nic wiem. Ale jest faktem, że Maurycy zna treść manuskryptu. Jestem przekonany, że dzięki temu pokonał ostatnie przeszkody i dysponuje Elikirem Młodości!

— Ha, ha, ha, ha!... Adrianie, to cudowne! Słuchałam tego wszystkiego jak bajki...

— Z bajek się nie drwi, a ty przez cały czas...

— A co miałam robić widząc, że ty w to wszystko wierzysz? Maurycy Lebon, geniusz, który pobił czas! Ty sobie to wyobrażasz dokładnie tak, jak mówiłam! Już czuję dym kadzideł, słyszę szepty zaklęć i widzę bezzębne staruchy przemieniające się w rozkoszne niemowlaki! Cudowne!

— Nie, moja droga, to nie na tym polega. To nie odmładza, to zatrzymuje proces starzenia się — wyjaśnił chłodno. — Mówiłem ci już, że moim zdaniem niemożliwe jest wstrzymanie starzenia się na stałe, ale mnie wystarczyłoby mieć moje czterdzieści osiem lat...

— Czterdzieści dziewięć, kochanie.

— Dobrze, no więc mieć tę czterdziestkę dziewiątkę przez następne! czterdzieści dziewięć!

— A ja miałabym przez cały ten czas trzydzieści sześć! Bajecznie! — klasnęła w dłonie jak dziewczynka, której podarowano nową lalkę. — Szkoda, że to tylko „ecie—pecie”, bo ja nie wierzę, mój drogi, nie wierzę!

— Niesłusznie, kochanie. Powtarzam: takie mikstury musiały już istnieć w historii...

— Tak, tak, już słyszałam, Cagliostro, Saint-Germain...

— Nie tylko, również wiecznie młode kobiety.

— Co?

— O, właśnie. To cię zainteresowało, prawda? Spodziewałem się tego i dlatego zachowałem ten rarytasik na koniec. Słyszałaś o Ninon de Lanclos i o Julietcie Récamier? Znalazłem te nazwiska w notatkach starego Lebona i zapoznałem się z odpowiednimi pracami historyków. Pierwsza tych dam żyła w siedemnastym wieku i miała o wiele więcej kochanków, niż przeżyła lat, a przeżyła ich dokładnie osiemdziesiąt pięć.

— To ma być dużo?

— Poczekaj, nie o to chodzi. Otóż ta Ninon była najślawniejszą i najpiękniejszą kurtyzaną epoki...

— Co to znaczy?

— Ten wyraz? Ja też go nie znałem, ale zająłem do starej encyklopedii. Tak nazywano wówczas kurwę wyższej kategorii... Wróćmy jednak do meritum. Ta Ninon Lanclos pod koniec życia brała sobie dwudziestoletnich amantów i wyglądała przy nich jak rówieśnica!

— To nonsens!

— Taaak?... To jeszcze mało. Dowiedz się, że jeden z jej synów, wicehrabia de Villiers, zakochał się w niej szaleńczo, a gdy dowiedział się, że jest jego matką, popełnił samobójstwo! Teraz ta druga, pani Récamier. Była najpiękniejszą kobietą przełomu osiemnastego i dziewiętnastego stulecia, a gdy miała prawie siedemdziesiąt lat, zakochał się w niej jej kronikarz, młodzieńki Ludwik de Lomenie, gdyż wyglądała młodziej od jego rówieśnic. Odnotowano też, że na łożu śmierci wyglądała jak panienka przed ślubem. Jak widzisz, obie te kobiety żyły dość długo, a umierając nie wyglądały jak szekspirowskie czarownice, lecz jak podlotki. To są fakty, kochanie.

— To zapewne sprawa nietypowej reakcji organizmu na... na nadużywanie rozkoszy łoża.

— Nic podobnego, kochanie. Takich przykładów można by było znaleźć więcej, ale stary Lebon nie bez przyczyny wynotował sobie właśnie te dwa, obie te kobiety bowiem żyły w sposób zupełnie różny. Pierwsza nadużywała, jak to nazwałaś, rozkoszy łoża w sposób wprost szokujący. Co zaś do drugiej, to historycy przez półtora wieku po jej śmierci sprzeczali się jeszcze, czy umarła w stanie dziewictwa, czy też nie. Przypuszczano, że jedynym jej kochankiem był Chateaubriand, ale nie jest to pewne. Żyła w takim celibacie, że aż szokowała otoczenie. Większość badaczy przypuszcza, że do końca życia zachowała niewinność.

— No dobrze, niech ci będzie! Ale dalej twierdzę, że to były wyjątki, Adrianie, osobliwości, żarty natury! — zareplikowała szybko, za szybko, tak szybko, że wychwyił nutkę nadziei na obalenie i tego sprzeciwu. I uczynił to:

— Takie osobliwości natura produkuje tylko wówczas, gdy się jej w tym pomaga, kochanie. Jestem tego pewien.

Tym razem nic nie odpowiedziała. Milczeli, a on czuł na sobie ja wzrok.

Potem przedstawił swój plan. Zaprosi Lebona do ich willi w Alpach, uspi go, wypreparuje jego mózg i podłączy do biointegratora, a następnie zmusi albo do wyjawienia tajemnicy, jeśli Lebon już uzyskał efekt końcowy i dysponuje recepturą, albo do kontynuowania badań.

— Czy nie lepiej zostawić mu ciało i tylko uwięzić? — spytała. — Potem będziemy mogli go zlikwidować.

— Nie, kochanie, bo musielibyśmy albo najać strażników, co byłoby z naszej strony idiotyzmem, albo pilnować go na zmianę sami. Człowiek dysponujący mięśniami może zawsze w jakiś sposób wydostać się z klatki, mózg zaś będzie intelektualnie równie wartościowy w biointegratorze jak w ciele, jednakże ruchowo bezsilny.

— Ale jeśli pozbawimy go ciała, zrozumie, że jest skończony i może się nie zgodzić na nasze żądania! ,^,

— Żartujesz sobie, kochanie, doprawdy! Kiedy będzie krnąbrny będziemy podrażniać jego ośrodki bólowe. Wierz mi, już po pierwszym razie stanie się barankiem. W nagrodę zaś od czasu do czasu podrażnimy jego ośrodek podniecenia seksualnego. To sprawi mu rozkosz, a jak wiem, on jest zboczony i uwielbia te rzeczy. Połowa asystentek w klinice mogła się już o tym przekonać albo i więcej niż połowa, lecą do niego jak ćmy do światła! — mówił to z nienawistnym błyskiem w oczach i z półuśmiechem, który zwyrodniał jeszcze bardziej przy ostatnim zdaniu: — Jeśli chcesz, to drugie pozostawię tobie, kochanie...

— Pozostaw mi samą operację, mam pewniejsze ręce od ciebie, Adrianie.

W przeciągu tygodnia Forrot załatwił Maurycemu Lebonowi wyjazd służbowy do Meksyku po kłaczka rzadkiej odmiany kaktusa, o które tamten starał się od dawna. Zaprosił go do siebie na dobę przed odlotem i od tej pory nikt już nie widział syna alchemika. Wiedziano, że doktor Lebon bawi za oceanem i nie zaprzętało sobie głów jego osobą.

Wspomnianą roślinę Forrot przywiózł sam. W czasie jego nieobecności Luiza dokonała operacji z pomocą zaprogramowanego przezeń komputera „Medicus—FR” (głośny wynalazek Forrota) i podłączyła mózg Lebona do biointegratora.

Wydusili z tego mózgu wszystko bez większego trudu. Ostatnim i najważniejszym składnikiem mikstury były jaja bliźniacze z płodu młodej kobiety. Po dwóch miesiącach znaleźli taką i dokonali mordu, a ciało

rozpuścili bez śladu, podobnie jak ciało Lebona. Potem zostało im, już tylko regularne zażywanie eliksiru.

I stało się to, o czym marzyli — ich tkanki przestały się starzeć. Kilkakrotnie powtórzyli tę samą serię badań swoich organizmów, by uzyskać całkowitą pewność. Po siedmiu miesiącach byli pewni: czas stanął dla ich ciała.

Upewniwszy się, wpadli w euforię, która zaprowadziła ich do sypialni. Zaczęli się kochać w dzikim upojeniu, lecz Forrot szybko się zmęczył i zasnął. Rano, otwarszy oczy, poczuł drętwienie karku. Spróbował się przeciągnąć i mimo straszliwych wysiłków nie mógł poruszyć ani jednym palcem. Mózg przeszła mu paniczna myśl: wykiwał nas, wypiliśmy truciznę!... Ale przecież zwierzęta piły to samo, a żyją i są w dobrym zdrowiu! Zresztą po tylu tygodniach od chwili wzięcia ostatniej dawki?... Nie, to nie trucizna, niemożliwe... Z najwyższym trudem przekręcił głowę o cal i poszukał wzrokiem Luizy. Jej miejsce było puste. Może wróciła do siebie?... I zaraz potem dostrzegł na nocnej szafce strzykawkę, a z drugiej strony, zza pleców, dobiegł go jej głos:

— To już niedługo, Adrianie, wkrótce zaśniesz. Wstrzyknęłam ci denoxin... Nie cierpisz, prawda? Zbyt cię kochałam, bym mogła sprawić ci fizyczny ból... Postanowiłam, kochanie, oddać twoje ciało Maurycemu. Wymienię wam mózgi. Jego mózg powędruje w twoją głowę, a twój, wybaczone Adrianie, do rozpuszczalnika... Pomyśl, czy to nie cudowne? Prawie będziesz żył, profesor Forrot będzie nadal profesorem Forrotem. Tylko o ile piękniej będzie mnie kochał! I jak!...

## ODWET WIELKIEGO MUGA

Nie wiem, kiedy umrę. Może jutro, a może za dwieście cykli. Ale właśnie dlatego, że nie wiem, muszę zarejestrować całą tę historię już teraz, by później



można było ją odtwarzać, by ją znano i pamiętano o niej. Gdybym pozostał jedynym nosicielem tej tajemnicy i gdybym zabrał ją ze sobą w niebyt, nie miałbym pełnej satysfakcji z tego, co uczyniłem. A chcę ją mieć, chcę ją wysmakować do dna, chcę, by nawet wówczas, kiedy mnie już nie będzie, wiadano, że byłem zwycięzcą, gdyż zmusiłem dwóch kolejnych Największych Mugów do zapłacenia wystawionego przeze mnie rachunku.

Wszystko to zaczęło się przed kilkuset cyklami, gdy ściągnęliśmy na naszą planetę człowieka w czerni i Matkę Wielkich Mugów. Chociaż nie... zaczęło się jeszcze wcześniej. Chcę, żeby cała ta sprawa była znana również na planecie Stu Barw i na innych planetach i dlatego opowiem wszystko od początku.

Jestem mieszkańcem planety Meldmug w Galaktyce Meldmoon. Przed kilkoma tysiącami cykli Mugowie wypracowali dobrze funkcjonujący system komunikacji międzygalaktycznej i rozpoczęli poszukiwania innych śladów życia we wszechświecie. Napotykali podczas tych wypraw istoty żywe, wszelako były to osobniki pokraczne, w niczym nie przypominające Mugów, jakieś przezroczyste stwory lub plazmowate żyjątka, z którymi nie sposób było nawiązać kontaktu. Dopiero po około tysiącu cykli, gdy zbudowano pojazd kosmiczny Meld–Oga–Mug, wyprawa pod dowództwem Mii natrafiła na istoty mugokształtne na planecie leżącej na skraju podrzędnej galaktyki.

Mija nazwał tę planetę Stubarwną, gdyż w przeciwieństwie do naszej, czterobarwnej, mieni się ona wieloma kolorami — samych odcieni zielonego jest na Stu Barwach kilkanaście! Przez pewien czas używana była również nazwa: Jednosłoneczna, gdyż planeta owa posiada tylko jedno słońce, wokół którego krąży, później jednak za nazwę oficjalną przyjęto: planeta Stu Barw.

Istoty mieszkające na Stu Barwach i zwące się *homines*, są podobne do Mugów, mają ten sam wzrost i zbliżony do naszego układ anatomiczny. Zasadnicza różnica polega na tym, że są wyposażone w jedną parę oczu o bliskim zasięgu i bardzo słabej elastyczności manewrowej, i do tego z jednej tylko strony głowy. Aby zobaczyć, co dzieje się za plecami, muszą się odwrócić, lecz wówczas tracą kontakt z terenem, do którego stanęli tyłem. Pomagają sobie w tym względnie błyszczącymi powierzchniami odbijającymi przestrzeń. Przyrząd ten, zwany tam lustrem, jest świadectwem, jednym z wielu, ich prymitywności. Od czasu wyprawy Mii udoskonalili swój system życia, lecz ewolucja ta jest niezmiernie powolna i prymitywizm ich wegetacji pozostaje wciąż zatrważający. Mieszkają w ciężkich, wielkich i nieelastycznych budowlach ograniczających przestrzeń, żyją średnio trzy razy krócej niż Mugowie, nie są w stanie opanować wybryków atmosfery i nawet wyżywić się — setkami tysięcy mrą z głodu! Te i inne fakty są doskonale znane

Mugom, nie będę się więc nad nimi rozwodził; zasygnalizowałem je jedynie, by *homines* z planety Stu Barw, do których — mam nadzieję — trafi w przyszłości ta relacja, pojęli, jaka przepaść dzieli ich od naszego systemu.

Mugowie z wyprawy Mii i z kilku kolejnych wypraw stykali się z mieszkańcami Stu Barw. W czterech punktach tej planety urządzili nawet przy pomocy tubylców lądowiska ze znakami orientacyjnymi; jedno z nich przetrwało we fragmentach do dzisiaj na płaskowyżu Nazca w części Stu Barw, którą oni zwą Ameryką Południową. Dzisiaj już wiemy, że po tych mimicznych, ze względu na barierę językową, spotkaniach pozostały na kolorowej planecie, w grotach i budowlach, ilustracje naszych pojazdów i kosmomugów w starych i dość prymitywnych skafandrach, podobnych do tych, jakich *homines* używają obecnie podczas swoich mikroskopijnych spacerków w Kosmosie.

Jedna z naszych wypraw zabrała ze sobą ze Stu Barw parę osobników, lecz zmarli oni, zanim pojazd osiągnął Meldmug. Ich organizmy nie były przystosowane do takiej podróży, a Mugowie nie potrafili jeszcze wówczas zapewnić im warunków przetrwania w pojeździe.

Nasza technika osiągnęła odpowiedni poziom dopiero w czasie, który oni zwą wiekiem XV. Wysłaliśmy wówczas, po dwóch tysiącach cykli przerwy, wyprawę, która wylądowała na dużym półwyspie, w kraju o nazwie Hiszpania. Działy się tam rzeczy potworne, na widok których kosmomugów ogarnęło przerażenie. Jedni *homines* palili drugich na stosach. Żywcem! Ci, którzy palili, odziani byli w długie czarne szaty z kapturami i ciągnąc w podwójnych szeregach śpiewali jakieś ponure pieśni. Skazani wlekli za sobą ciężkie brzące więzy (nazywa się to: kajdany) mieli umęczone twarze, przekrwione oczy i zawodzili żałośnie.

Dowódca wyprawy, Tinoon Tin, na widok wleczonej na stos młodej i pięknej dziewczyny, zdecydował się uwolnić ją. W wywołanym za pomocą gazu cerenowego zamieszaniu kosmomugowie porwali dziewczynę i jednego z czarno odzianych *homines*, wsadzili ich do pojazdu i w ten sposób zostali przywiezieni na Meldmug pierwsi żywi mieszkańcy Stu Barw. I nikt nie przewidział, jak zaskakujące będą tego skutki.

Kobieta, niezwykle urodziwa, o długich czarnych włosach, nazywała się Dolores. Mężczyzna — Carlos Morena. Ona była cicha i zalekniona, często płakała. On przeciwnie — miotał się wściekle, potrząsał w powietrzu zaciśniętymi pięściami i często klękał przed przedmiotem, który wisiał mu u pasa, a który powiesił w oddanym mu do dyspozycji pomieszczeniu. Był to symbol władzy, którą uznawał — krzyż. W przeciwieństwie do kobiety miał

od początku znakomity apetyt, chociaż niektóre nasze potrawy odsuwał ze wstrętem.

Dopiero po około dwóch cyklach Morena nauczył się naszego języka. Po trzech mówił już doskonale. Zmienił się. Wydawał się być zadowolony. Chociaż bezpośrednio po wylądowaniu na Meldmug wygrażał dziewczynie, potem, gdy już zamienił swoje szaty na nasze odzienie, zbliżył się do niej i w końcu zaczął z nią płodzić potomstwo. Urodziła mu jedenaścioro dzieci, siedmiu chłopców i cztery córki. Potem zmarła. Do końca nie nauczyła się mówić w języku Mugów i nigdy się nie uśmiechała. Dzisiaj czcimy ją jako Matkę Wielkich Mugów.

Wybiegłem za daleko do przodu, cofnę się więc.

Morena opowiadał Mugom niestworzone rzeczy, niektóre wielce zajmujące. O swym kraju i o Europie, w której jest wiele krajów i wiele języków oraz jeden wspólny — łacina. Właśnie po łacinie mieszkańcy Stu Barw nazywają się *homines*, a ich planeta Terra. Mówił też o instytucji zwanej Inkwizycją, do której sam należał, a która paliła żywcem *homines* nie wierzących w istotę nadprzyrodzoną, zwaną Bogiem. Mugowie zdumieli się, gdy po dłuższej opowieści o miłości *homines* do Boga oświadczył, że kiedy syn tego Boga wylądował na Stu Barwach, *homines* zamordowali go, przybijając do wielkiego krzyża. Rozśmieszył natomiast Mugów twierdząc, że planeta Stu Barw jest płaska i nieruchoma i że słońce wędruje nad nią ze wschodu na zachód. Plótł jeszcze wiele innych podobnych głupstw.

Nauczył Morena Mugów ciekawych kompozycji potraw i ich smaków. Te kulinarne reformy przypadły Mugom do gustu. Inne nie przypadły, lecz nie potrafili ich odtrącić — Morena narzucił je siłą.

Słabością Mugów było to, że nie umieli się mścić. Gdy Morena zabił pierwszego Muga, doznali szoku i nie wiedzieli, jak zareagować. Mogli go zniszczyć, był jeden, sam, samiuteńki, a ich miliony! Lecz oni nie umieli odpowiadać siłą na siłę, nie umieli, bo do tej pory nie potrzebowali karać, a tym bardziej zabijać. Jak mogli umieć, jeśli nikt nigdy nikogo nie zabił na Meldmug, a zgony nienaturalne zdarzały się w wypadkach? Nie wiedzieli, co to kradzież, kłamstwo, przekupstwo, podział na lepszych i gorszych, rządzących i rządzonych, sytych i głodnych, nie potrafili płacić krwią za krew. Morena nauczył ich tego wszystkiego.

Wystarczyło mu czterdzieści cykli. W tym czasie dorosły jego dzieci i narodziły się dzieci mieszane, ze związków między potomstwem Moreny i Mugami. W ten sposób powstała kasta Wielkich Mugów, która narzuciła całej społeczności Meldmug swoje prawa. Prawa brutalne. Morena umarł, lecz oni zostali, mnożyli się i utrwalali narzucone przezeń reguły — pieniądze,

bezwzględna konkurencję, walkę o byt, hierarchiczny system rządów i nawet dziesiętny podział liczbowy ze Stu Barw. Przed Moreną wszystko na Meldmug było wspólne, za jego czasów zostało podzielone. Podział polegał na tym, że najpierw Wielcy Mugowie przydzielili sobie to, co chcieli, a potem resztę oddali Mugom.

W ciągu dwustu cykli ten nowy układ utrwalił się. Mugowie przeszli metamorfozę i nikt już na Meldmug nie dziwił się, że każdy ma swoje i walczy o to swoje z innymi, że kobiety nie należą już do wszystkich, lecz każdy ma własną (z tym że każda kobieta mogła stać się własnością Wielkiego Muga — ci mieli całe stada nałożnic), że trzeba kłamać, oszukiwać, kraść, donosić i zabijać. By przeżyć. Trwałości układu strzegli uzbrojeni siepacze władców, zwani „ramionami Największego Muga”, i szpicle, zwani „oczami Największego Muga”. Za najdrobniejszy sprzeciw groziła śmierć. Sprzeciwy szybko ustały.

Pierwszym największym Mugiem był Morena. Po nim jego najstarszy syn, Mugmor, potem drugi syn Moreny, Megamoren, a następnie syn Megamorena, okrutny Hengamug. On to właśnie wydał zarządzenie, że Wielkim Mugom nie wolno płodzić potomstwa ze zwykłymi Mużkami. Od tej pory Wielcy Mugowie rozmnażali się wyłącznie w obrębie własnej kasty i nie powiększali elity w nadmierny sposób. Zbyt wielka — przestałaby być elitą.

Za czasów Hengamuga dokonano drugiej jeszcze innowacji. Już za panowania Megamorena Mugowie opanowali metodę wcielania się się w *homines*. Metoda ta ma kilka etapów. W pierwszym wyodrębnia się z ciała Muga wszystkie jego pierwiastki zmysłowe i zamyka w nadajniku terrolowym. Następnie inny Mug zabiera nadajnik na Sto Barw pojazdem kosmicznym Meld—Ogadan i tam za pomocą fal terrolowych wtapia owe pierwiastki w powłokę cielesną któregoś z *homines*. W ten sposób Mug otrzymuje powłokę mieszkańca Stu Barw, zachowując swą osobowość; a zarazem nie tracąc umiejętności i wiedzy tamtego, który nie zdaje sobie sprawy, iż żyje w nim ktoś inny. Inaczej mówiąc: *homo* żyje sterowany od wewnątrz przez Muga. W odpowiednim, ustalonym z góry momencie, Mug—kontroler ponownie magazynuje w nadajniku pierwiastki zmysłowe Muga zhominizowanego, uwalniając w ten sposób nieświadomego *homo*, i odwozi je z powrotem na Meldmug, by zwrócić je pozostawionemu tam i odpowiednio konserwowanemu ciału Muga.

Cała ta operacja jest niezmiernie kosztowna i stać na nią tylko Wielkich Mugów. Zresztą, gdyby nawet była tania, nie pozwoliliby na korzystanie z niej zwykłym Mugom, gdyż to zachwiałoby ich poczuciem elitarności.

Wielcy Mugowie korzystali z niej w jednym tylko celu — by kochać się z najpiękniejszymi mieszkankami Stu Barw. Wtapiali się na dzień lub kilka dni w ciała książąt i królów ze Stu Barw i zaznawali rozkoszy z ich cudownymi metresami. Kobiety z rodu Wielkich Mugów, nie mówiąc już o zwykłych Mużkach, są o wiele brzydsze od mieszanek Stu Barw. Dlatego też Wielcy Mugowie z taką ochotą wyruszali na tamtą planetę.

Innowacja, której dokonano za czasów Hengamuga, polegała na wzbogaceniu metody o element ruchu wstecznego w czasie — w przeszłość. Hengamug rozkazał uczonym pokonać czas i dał im na wykonanie tego zadania pięć cykli obiecując, że jeśli w danym czasie nie rozwiążą problemu, zapłacą za to śmiercią. Dotrzymał słowa. Nie zdążyli i zgładzono ich wszystkich, czterystu dwudziestu siedmiu Mugów. Ich asystenci otrzymali następne pięć cykli. Mieli szczęście, gdyż mogli korzystać z osiągnięć swoich poprzedników i dzięki temu wynaleźli sposób wędrowania w przeszłość i powracania z niej.

Od tej pory mogli Wielcy Mugowie wcielać się w postaci historyczne ze Stu Barw — w Cezara, by zaznać objąć Kleopatry, we Franciszka I, by posiąść Dianę de Poitiers, bądź w Nelsona, by być amantem lady Hamilton. Wówczas to zegalitaryzowano metodę w specyficzny sposób — w dziedzinie egzekucji.

Do tej pory Wielcy Mugowie rozprawiali się ze swoimi przeciwnikami, z przestępcami lub z tymi, którym mieli cokolwiek za złe, na miejscu. Teraz zaś, dla zabawy i dla większego udręczenia, przenosili niektórych skazańców w ciała skazańców historycznych ze Stu Barw — heretyków, których Inkwizycja paliła na stosie, zamachowców, których łamano kołem i rozrywano końmi, bądź też Indian wbijanych na pal przez konkwistadorów.

Czas już przejść do szczegółów mojej osobistej sprawy. Urodziłem się Wielkim Mugiem, chociaż nie z linii władców. Każdemu z Wielkich Mugów, jeszcze przed urodzeniem, zostaje przypisana odpowiednia specjalizacja — ze mnie uczyniono specjalistę od kontaktów z planetą Stu Barw. Od dziecka studiowałem dzieje tej planety i kiedy dorosłem, kilkakrotnie wyruszałem na nią jako kontroler Największego Muga, Ragamona, syna Hengamuga, by czuwać nad jego erotycznymi przygodami.

Moja praca nie była łatwa, gdyż odpowiadałem za bezpieczeństwo lotów. Zdarza się, że *homines* dostrzegają nasze pojazdy. Zwą je „latającymi talerzami” i czynią wiele wysiłków, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Moim zadaniem było właśnie uniemożliwienie im tego i wykluczenie takich przypadków jak katastrofa, podczas której nasz pojazd rozbił się na obszarze Syberii (na szczęście udało się zaszczepić *homines* przekonanie, że był to

meteoryt). Lecz przede wszystkim musiałem wyszukiwać Ragamonowi smaczne stubarwne kąski.

Ragamon był wybredny — wybierał najpiękniejsze z mieszkańek Stu Barw. Czasami kończyło się to tragicznie dla tych kobiet. Tak było, gdy wcielił się w kochanka Marylin Monroe. W efekcie ta kobieta, sławna na Stu Barwach z tego, że przetworzona z trzech w dwa wymiary zabawiła *homines* poruszając się na białej płaszczyźnie w ciemnych pomieszczeniach (nazywa się to filmem) — zmarła w sposób dla mieszkańców owej planety tajemniczy. Ragamon przeniósł na nią jakieś zarazki, nieszkodliwe na Meldmugu, lecz dla niej zabójcze. Tamci wytłumaczyli to samobójstwem, lecz sami nie bardzo w nie wierzą.

Moja tragedia zaczęła się w dwa cykle później. Zakochałem się w Ami. Ami była zwykłą Mużką, bardzo ładną, prawie tak ładną jak muszkanki Stu Barw, ale zwykłą, nie wolno więc było mnie, Wielkiemu Mugowi płodzić z nią dzieci. Złamałem ten zakaz. Sądziłem, że ujdzie mi to płazem, gdyż byłem już wówczas szefem naczelnego urzędu kosmicznego organizatorem wypraw Wielkich Mugów na Sto Barw, a więc czwartą osobistością na Meldmugu po Największym Mugu, Ragamonie, jego młodszym bracie, Onomegu, oraz szefie policji meldmugańskiej i osobistej; ochrony Największego Muga, Vagamie.

Przeliczyłem się. Sam dostałem tylko naganę — byłem niezastąpionym specem od wyszukiwania Ragamonowi i Onomegowi atrakcyjnych kochanek na Stu Barwach, więc nie odebrali mi stanowiska. Ale mego syna zabito, zaś Ami została wysłana na Sto Barw w rok 1431 i wcielona w Joannę d'Arc w dniu jej śmierci. Spłonęła żywcem!

Musiałem zorganizować jej wysłanie osobiście! Myślałem, że umrę z bólu... Opór nic by nie dał, a raczej dałby tyle, że sam postradałbym życie. Wykonałem więc wyrok, udając spokój. Przez chwile wierzyłem, iż uda mi się wyprowadzić ich w pole. Chciałem wcielić Ami w jakąś inną dziewczynę na Stu Barwach. Ale dodali mi kontrolera. Był to agent Vagamy. Musiałem go zabrać ze sobą... Zgrywałem się na obojętność i mówiłem nawet, że się cieszę, gdyż w ten sposób uwalniam się od uciążliwej kochanki i zacieram ślad swej pomyłki. To gadanie było już pierwszym krokiem na szlaku mej zemsty.

Postanowiłem, że umrą. I to nie zwyczajnie i nie jeden raz. W owym czasie specjaliści z podległych mi laboratoriów wynaleźli metodę rytmicznego powielania uchwyconych jednostek czasu, nazwaną repulsacyjną, i skonstruowali na bazie tego wynalazku przyrząd, za pomocą którego można wielokrotnie odtwarzać ten sam miniony czas tak jak sygnał dźwiękowy. Oczywiście poinformowałem Ragamona i Onomega o wynalazku. Byli zachwyceni. Pogratulowali mi i przyznali wysoką nagrodę. Powiedziałem im,

że model Pulsamegu — tak nazwaliśmy przyrząd — musi jeszcze przejść fazę ostatecznych sprawdzianów i że wersja operacyjna będzie gotowa nie wcześniej, jak po przeminieciu cyklu. Było to kłamstwo. Pierwszy ukończony Pulsameg był idealnie sprawny.

Musiałem ich wywabić obydwu jednocześnie. Było to trudne, ale miałem trochę szczęścia. Wreszcie miałem! Po tylu cyklach pecha i po śmierci Ami należała mi się odrobina szczęścia. Schodząc do lądowania na Stu Barwach, w trakcie wyprawy rekonesansowej dokonywanej z polecenia Ragamona, dostrzegłem na olbrzymim zbiorniku wody, zwanym Pacyfikiem, maleńką tratwę gumową, a w niej dwóch *homines*. Musieli już bardzo długo błąkać się po bezmiarze oceanu. Byli straszliwie wychudzeni i wpatrywali się w siebie półprzytomnymi oczami. W ich oczach czaił się głód. Nie mogłem marzyć o czymś lepszym.

Błyskawicznie wróciłem na Meldmug i pokazałem Ragamonowi i Onomegowi trójwymiarowe obrazy dwóch cudownych modelek, sióstr pracujących w sławnym na Stu Barwach zakładzie produkcji strojów o nazwie Dior. Powiedziałem, że następnej stubarwnej nocy są umówione ze swymi amantami. Chwycili przynętę.

Reszta była bardzo prosta. Poleciałem z nimi jako kontroler i wziąłem ze sobą Pulsameg. Trochę czasu zabrało mi odnalezienie tratwy. Był najwyższy czas, tamci dwaj zdychali już z głodu. Zaledwie zdążyłem dokonać wcieleń, jeden z rozbitków zaatakował drugiego, ogłuszył go i zaczął rozrywać zębami, pić jego krew i pożerać ciało. Wkrótce potem sam zdechł w męczarniach. Konkretnie to Ragamon pożerał żywcem Onomega, a potem zdychał na tratwie w palącym słońcu Stu Barw.

Pulsameg ustawiłem na pustej wysepce koralowej i włączyłem przed odlotem na Meldmug. Będzie powtarzał śmierć Ragamona i jego braciszka aż do wyczerpania się ładunku bateryjnego. Co wcale nie będzie oznaczało końca, gdyż moi Mugowie powrócą tam, by ładować aparat. Ragamon i Onomeg będą konali w potwornych mękach setki razy — tak długo, aż mi się to znudzi, a nie znudzi mi się wcześniej, niż zapomnę Ami. Pamięć zaś mam wyborną.

To jeszcze nie koniec. Po wykończeniu Ragamona i Onomega sięgnąłem po władzę, eksterminując ich najbliższe rodziny i wszystkich zwolenników. Teraz ja jestem Najwyższym Mugiem. Dokonałem zamachu przy pomocy szefa policji meldmugańskiej, Vagamy. Kobiety nie pasjonowały go, za to uwielbiał hazard, który rozplecił się na Meldmugu od czasów Moreny. Nauczyłem Vagame stubarwnej gry zwanej pokerem i obiecałem mu wspaniałą rozgrywkę na Stu Barwach.

Dotrzymałem słowa. Wysłałem Vagame na sławną partię pokera w stubarwny rok 1876 do miasteczka Deadwood (w Ameryce Północnej) i wcieliłem w postać głośnego szeryfa i rewolwerowca, Jamesa Butlera Hickoka. Przezorny Vagama zabrał ze sobą kilku swoich Mugów z obstawy, którzy wcielili się w kowboi mających go pilnować w saloonie w Deadwood i kilku własnych kontrolerów. Nic to nie pomogło — Vagama nie znał historii planety Stu Barw. Gdyby ją znał, być może wiedziałby, że w stubarwnym roku 1876 Hickok został zastrzelony strzałami w plecy przez bandytę McCalla w momencie, gdy miał w ręku fula z trzech asów i dwóch ósemek, którego to fula pokerzyści na Stu Barwach nazywają do dzisiaj „fulem śmierci”. I słusznie.

Vagama zapłacił mi za wykonanie wyroku na moim synku. Był tylko narzędziem, więc wybrałem mu łagodną i jednorazową śmierć — jestem władcą sprawiedliwym i liberalnym, ojcem swego ludu.

## Część **III**

# **BYŁ SOBIE STRACH**



*Jeden strach można wyleczyć  
innym strachem. Strach przed  
śmiercią – strachem przed  
spodleniem się.*

(Diderot – *Dzieła*, t.III)

## ŚMIERĆ MOTYLA

O wysoką szybę banku obijał się tęczoskrzydły motyl. Przecinał chybotliwą sinusoidą przestrzeń pod sufitem, a potem raz jeszcze zawracał ku słońcu i nurkował w swój zagadkowy ból. Odrzucony, powtarzał manewr. Zmęczy się albo rozwali łeb — pomyślał Robert — ma mniejsze szanse niż ja.

Pocił się. Strach, który paraliżował ich od godziny, przylepił mu koszulę do pleców. Kazali im stać i nie rozmawiać ze sobą. Stał i bolały go nogi.

Już raz, przed laty, dusił w sobie ten zwierzęcy strach. Stracono ich z Chrisem nad Normandią. Wylądowali w chwili, gdy od strony szosy skręcał ku nim niemiecki samochód terenowy. Potem bieg przez płytkie bagno i decyzja Chrisa, że powstrzymają Niemców na początku grobli. Leżąc w wodzie nie widział przed sobą nic, jakby i oczy pociły mu się ze strachu. Nie wytrzymał. Zanim tamci nadbiegli na odległość strzału, zerwał się i pobiegł wstecz, ku życiu, półprzytomny z przerażenia. Gdzieś za jego plecami zachłystywał się coraz ciszej automat przyjaciela, a on biegł przed siebie, przez grzęzawisko i przez własny wstyd, dalej i dalej. Dotarł do „maquis” i przez Hiszpanię przerzucono go do Anglii. W rok później do wiedział się, że Chris, chociaż ranny, wyszedł cało z opresji i że po operacji w Londynie odwieziono go do Stanów. Spotkali się po wojnie we Frisco i Chris wyrobił mu etat w banku, w którym sam pracował. I nie powiedział nawet: ty świnió!

Nie przypuszczał, że to uczucie mdłości i odrętwienia ciała powróci raz jeszcze. Ale powróciło. Otworzyło lśniące metalem i szkłem drzwi na salę wypłat i wśliznęło się wraz z czterema zamaskowanymi mężczyznami, którzy wyjęli spod płaszczy pistolety maszynowe. Jeden z nich zablokował wejście, trzej inni obstawili salę. Z tych trzech jeden wskoczył na pulpit kas i wówczas wszyscy urzędnicy i klienci znaleźli się w polu śmierci.

Strach zaczął w nich pracować na dobre, gdy rozległy się chropawe, tłumione maską słowa:

— Niech każdy pozostanie na swoim miejscu i przypomni sobie, że ma tylko jedno życie! Zabijemy za każdy głupi ruch!

Nie trzeba mu było tego przypominać i Chrisowi też. Wojna nauczyła ich szacunku do życia. Ale ten młody czarnuch w mundurze, który naczytał się komiksów i śnił o awansie, nie wierzył w śmierć i dlatego przestał żyć. Napiszą o nim, że „spełnił swój obowiązek”. Spełnił obowiązek – co za cholerny nonsens! Obowiązkiem było zachować życie, bez względu na koszty. Wiedział o tym najlepiej, w każdym razie lepiej niż ten policyjny kamikaze i ten wyblakły, niski chłopak, przyjęty przed tygodniem i posadzony w okienku numer trzystaście.

Strach nie mógł przeszkodzić żadnemu z nich w naciśnięciu stopami guzików alarmowych. To był odruch warunkowy, wyprzedzający rozsądek. Ale system alarmowy nie działał, bandyci nie byli amatorami. Kazali im cofnąć się, odwrócić i przyłożyć do ściany podniesione ręce. Tych kilkanaście kroków z okienka numer trzystaście, które było skrajne w szeregu kas, prowadziło dokładnie do narożnika, gdzie wystawała ze ściany rączka zwykłej, mechanicznej syreny alarmowej na dachu. I ten głupi szczeniak, którego przezywali „albinos”, położył obie dłonie na uchwycie i pociągnął całym ciężarem ciała!

Było to coś, co wykraczało poza reguły gry, coś, czego „Pułkownik” nie przewidział. Robert nie wątpił, że napad jest dziełem byłego zastępcy szefa policji stanowej, „Pułkownika”, którego banda obrabowała już banki w Modesto i Bakarsfield oraz furgon poczty federalnej. Łącznie dziewięć milionów dolarów w ciągu osiemnastu miesięcy. Zarobiły na tym gazety, radio i telewizja, podczas gdy gubernator tracił szansę na wygraną kolejnych wyborów.

Bank stanowy, w którym pracował Robert, przez trzy tygodnie był pilnowany przez policję stanową i specjalnych agentów FBI. Zdjęto ich wczoraj w nocy, gdy przyszła wiadomość, że „Pułkownik” zginął w strzelaniu na granicy meksykańskiej.

Kretyni! - pomyślał Robert - znowu ich wykiwał! Każde dziecko mogło przeczytać na pierwszych stronach gazet, że facet jest po operacji plastycznej, ale te wszechwiedzące mędrki „rozpoznały” go w jakimś cholernym trupie!

„Pułkownik”, odkąd uciekł z dziewczyną, którą zamknęto za morderstwo, stał się czymś większym od wszystkich supergwiazd Hollywoodu. To było... Robert nie pamiętał dobrze, jakieś trzy lata temu. Wrzeszczano o tym we wszystkich programach radia i telewizji, prasa zrobiła z tej pary nowych

Bonnie and Clyde, a dziewczynę nazwano drugą Calamity Jane. Zapamiętał twarz pięknej, cynicznie uśmiechniętej blondynki. Na innym zdjęciu dziewczyna leżała bezwładnie na przednim siedzeniu wozu, miała twarz spokojną i szeroko otwarte usta. Dosięła ją policyjna kula podczas peścigu w pobliżu Fresno. „Pułkownik” zdążył wyskoczyć z samochodu, sterroryzować obsługę stacji benzynowej, porwać sportowego forda i umknąć. Potem przez dłuższy czas było o nim cicho. A on przez kilkanaście miesięcy przygotowywał zemstę. Zaczął od banku w Modesto i od tej pory mścił się już regularnie, a jego nazwisko nie schodziło z pierwszych stron dzienników.

Teraz obiektem zemsty tego człowieka stał się także on i to było dla Roberta jedyną prawdą życia. Jutro zapewne napiszą, że wśród ofiar jest także Robert Turner, wymienią go na którymś miejscu listy trupów, na trzeciej stronie reportażu, podczas gdy nazwisko mordercy ozdobi tytuły.

Nazwisko?... Robert nie mógł go sobie przypomnieć, chociaż widywał je i słyszał tak często. Fisher, Fisherman... nie, Fisherson... też nie! Do diabła z nazwiskiem! Pamiętał tylko ten pseudonim, „Pułkownik”, którym najczęściej określano bandytę w środkach masowego przekazu.

Prasa pisała, że „Pułkownik” ma za sobą dwadzieścia trzy lata praktyki policyjnej i nie robi błędów, że jest „lepszy od komputerów Stanowego Ośrodka Planowania” i że działa „jak szwajcarski zegarek ożeniony z jasnowidzem”. Jasne, że jest lepszy, nietrudno być lepszym od kretynów!

Ale teraz okazało się, że „Pułkownik” przewidując reakcje ludzi, którymi rządzi rozum i strach, pominął szaleńców. I dlatego smarkacz z trzynastki, uwieszony na ręczce syreny alarmowej, zaskoczył go tak, jak zaskoczył Roberta i wszystkich, którzy stali pod ścianą i którzy chcieli przeżyć.

Robert nie lubił „albinosa”, tak jak zresztą wszyscy „starzy”. Plotkowano, że chłopak dostał posadę z wyższej protekcji; podobno jego ojciec, mechanik samochodowy, opiekował się mercedesem dyrektora. Z natury rzeczy nie kochano takich bezczelnych gówniarzy wskakujących na posadę prosto po szkole i robiących minę startującego Rockefellera. Chris żartował, że stanowią oni „zagrożenie biologiczne”. Teraz „albinos” dowiódł tego w makabryczny sposób. Gdyby nie on, „Pułkownik” najprawdopodobniej zgarnąłby pieniądze, wziął kilku zakładników i wyniósłby się cichaczem. Nikomu, poza samą firmą, nie stałaby się krzywda. „Albinos” szarpnąwszy dźwignię alarmową spotęgował „zagrożenie biologiczne” ich wszystkich do granic ekstremalnych. Za to właśnie Robert nienawidził go tak, jak tylko można nienawidzić trupa i nie żałował ani przez chwilę.

Wszystko to, co zmieniło sytuację w koszmar, stało się w ciągu sekund... kilkunastu, kilkadziesiątu?... Przeciągłe wycie syreny zagłuszyło wystrzeloną

przez tłumik serię pocisków. W plecach chłopaka wyrwało strzępiaste otwory, puścił uchwyt, odwrócił się i padł piersią na niedomkniętą szufladę biurka. Robert przez chwilę widział jego szklane oczy, a potem już tylko jasne włosy na stercie papierów. Odwrócił wzrok.

Bandyci skoczyli do wyjścia. Mieli dwadzieścia kroków do samochodu, lecz nim dotknęli drzwi, ich szofer nie wytrzymał ryku syreny i ruszył. W tym samym momencie czarny policjant, biegnący przez plac pod prąd ogarniętego paniką tłumu, przyklęknął i wyprostował uzbrojone ręce. Mierzył starannie. Miał dziecięcą twarz gorliwca i naciskając spust rozchylił wargi uśmiechem. Trafił w bak z benzyną i silnik maszyny rozerwało na strzępy. Jeden z odłamków uderzył strzelającego w skroń i zdmuchnął uśmiech wraz z życiem. W chwilę później czarne kłęby dymu z płonącej furgonetki przesłoniły obraz za szybą i Robert powrócił wzrokiem do wnętrza.

Właśnie wtedy, wraz z falą gryzącego smrodu, wpadł do sali zabłąkany motyl. Jego pojawienie się nie zdziwiło nikogo, żadnej z tych osób, które tak jak Robert spostrzegły go od razu. Strach doprowadził ich do stanu, w którym nie mogłoby ich zdziwić nawet pojawienie się we wnętrzu żyrafy, chociaż nigdy przedtem nie widzieli żywego motyla w centrum miasta. Zbyt wiele stało się rzeczy, które znali tylko z gazet i uważali za coś mitycznego, coś, o czym się czyta, słyszy, co się ogląda w kinie i co jest przypisane innym, tak jak śmierć, która jest udziałem bliźnich, daleka, nierealna, gdzieś obok. Ale to przyszło — tak jak przychodzi śmierć — zostało przypisane właśnie im i już nie mogli od tego uciec.

Bandyci, zaskoczeni biegiem wydarzeń, stali nieruchomo przy drzwiach. Przez kilka sekund wahali się i przez te kilka sekund Robert miał jeszcze nadzieję, że zaryzykują, wybiegną, będą próbowali przedrzeć się, dopaść jakichś samochodów. Nagle jeden z nich dał znak ręką i wycofali się w głąb, ku pulpitowi kas.

Od strony placu słyhać było krzyki kobiet i rozkazy, zagłuszane wyciem policyjnych samochodów, które z piskiem opon wyjeżdżały z sąsiednich ulic.

Po chwili bandyci zaczęli działać. Kobietę z dzieckiem na ręku i dwóch innych wczesnych interesantów ustawili na krańcu sali, między tablicą ogłoszeniową a biurkiem Chrisa. Urzędników, kasjerów i dwóch strażników, którym odebrano broń, zapędzono do napełniania worków sztabkami złota i banknotami. Gdy skończyli, pchnięto ich w kierunku tamtej trójki pod ścianą. Jeden z bandytów przysunął sobie fotel i pilnował stojących z odbezpieczonym pistoletem. Jego kumple również usiedli i przestali rozmawiać.

W sali zapanowało milczenie. Każdy — zarówno bandyci, jak i oni — zamknął się w swoim strachu i każdy spoglądał w kierunku drzwi, które były

furtką do życia. Dym z palącego się samochodu rzedniał z wolna odsłaniając panoramę placu. W ekranikach elektrycznego zegara nad wejściem, wyskakiwały rytmicznie cyferki. Zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć szum air-condition. Wszystko zamarło, na podłodze leżały stosy papierów zrzuconych z pulpitu, przewrócona tablica informacyjna osunęła się na palmę w donicy, zasnęły maszyny liczące. Tylko motyl szamoczący się w dziwacznych skrętach kaleczył bezruch oczekiwania.

Poprzedniej nocy Robert pił na przyjęciu. Pił chyba trochę za dużo, ale to przez tę smarkulę, córkę Louisa, która najpierw opowiadała mu o kampusowych orgietkach, a potem zaciągnęła go do łazienki i rozebrała się tak szybko, że nie zdążył się nawet podniecić. Zaraz potem dopadła ich Connie, zrobiła się piekielna awantura, ktoś wszedł na stół, a stół się przewrócił, wszystko się zamazało i stało jakieś parszywe, ale chętnie by się tam teraz przeniósł, nawet gdyby Connie miała wrzeszczeć i drapać sto razy mocniej.

Dzisiejszego ranka obudził się późno i nie zdążył nic zjeść. Golił się dopinając spodnie i już na ulicy chwycił w powietrzu śniadanie, które Connie rzuciła mu przez okno. Teraz jeden z bandytów znalazł je w szufladzie, rozwinął i podzielił między kompanów. Jedli nie zdejmując rękawiczek i uchylając przed każdym kęsem rąbki płótna maskującego twarz. Po co się tak wygłupiają — pomyślał — czemu nie zdejmą tych szmat? Wierzą jeszcze, że wyfruną stąd nierozpoznani? Och, Connie, czemu nie posypałaś bekonu arsenikiem? I zaraz odpowiedział sobie: idiota!

Nie czuł głodu, tylko odrętwienie nóg i parcie strachu na stolec. Z każdą mijającą sekundą strach coraz gruntowniej zabijał w nim wszystko to, co nie było miłością do jutra, do następnego poranka i zmroku. Nawet Connie, wszystko. Jak wówczas, na grobli, kiedy uciekał z otwartymi ustami tak długo, że nie słyszał już strzałów, aż przykucnął w rowie i wypróżnił to przerażenie, doznając ulgi. Ale teraz ani on, ani jego strach, nie mieli mocy podejmowania decyzji. Mogli tylko czekać.

Z początku zastanawiał się nad tym, co czują i co myślą inni. Chris, ta dźwigająca małe dziecko kobieta w kolorowej sukience i reszta, zbite stado zdrętwiałych istot, z których uchodziło powietrze. Plątały mu się po głowie najróżniejsze myśli, docierały jakiejs obrazy, istny kalejdoskop, zwariowane panoptikum, którego ściany powstały z jednego materiału — ze strachu. Na ułamki chwil — kiedy ujrzał motyla lub kiedy przypomniał sobie wczorajsze party — zapominał o swym przerażeniu, ale ono nie dawało się oszukać, zaciskało mu pętlę na szyi mocniej i znowu przywracało tę jedną myśl — wątpliwość czy przeżyje ten koszmar.

Dopiero po upływie godziny, gdy zmęczenie i ból w nogach podziałały na strach niczym morfina, zaczął powoli przytomnieć.

W sali wciąż panowało milczenie, pełne napięcia i oczekiwania na coś, co miało przyjść z zewnątrz. Jak długo ci na placu będą się namyślać i przygotowywać? I co zrobią? Przecież muszą coś zrobić i wówczas w pozorną martwość tej klatki wdrze się śmierć, ich lub bandytów, a może wszystkich razem. W serialach telewizyjnych kończyło się to zawsze cudem, jakimś genialnym trikiem glin, brawurowym atakiem w stylu komandosów, rozwaleniem łobuzów i koniecznie zdrową, pseudofilozoficzną sentencją, żeby wszyscy byli zadowoleni. Tylko że tu nie było kamer i to nie był serial, lecz cholerna rzeczywistość, może ostatni odcinek życia.

Usłyszał, jak stojąca za nim kobieta załkała cicho. Czyż nie myślała o tym samym? I naraz poczuł czyjąś dłoń usuwającą go na bok. To Chris zrobił krok do przodu, w kierunku pilnującego ich mężczyzny.

Chris. Dla chłopaków w dywizjonie „Rakieta–Chris”. Dwa ordery, ciało pełne blizn, legenda teksaskiego przebojowca, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, a potem naczelnik wydziału rozliczeń, żona, dzieci, brzuch i weekendy. I grobla, o której wiedzieli tylko oni dwaj, bo gdyby wiedział ktoś z dowództwa, Robert dostałby wyrok i kulę. Lecz by tak się stało, Chris musiałby nie być tym Chrisem, którego wszyscy kochali i podziwiali. Kiedy teraz on jeden zdecydował się na coś, Robert nie poczuł zdziwienia. To był przecież Chris! Któż inny mógł uczynić to coś, bez względu na to, co to będzie.

Przez sekundę owładnęła nim obawa, że przyjaciel pociągnie go za sobą i narazi. Ale Chris przeszedł mimo i idąc wolno w kierunku siedzącego bandyty mówił:

— Panowie, puście tę kobietę i dziecko... Nas jest tylu, że przecież...

Był coraz bliżej. Cały strach w Robercie zamienił się w zwierzęcą ciekawość. Więc tak?... Ostatni z wielkich skoków, jakimi „Rakieta–Chris” czarował przed laty.

— ... przecież wystarczy wam zakładników... To dziecko jest małe, ono nie może...

Już wiedział. Zagadywanka, nagły kop w spluwę i poprawka w pachwinę albo w jaja... Trzeba uważać. Kiedy Chris zwinie tamtego i padnie, należy skoczyć za filar, nim tamci puszczą pierwsze serie. A potem... potem Chris będzie osłaniał, aż wpadnie policja z placu. Byle tylko dopadł spluwy!

— ... przebywać w tej atmosferze... Jest głodne... panowie, zrozumcie...

Skacząc przewróci tę kobietę, będzie miała szansę, ale... czy inni też zrozumieli, co się kroi i wiedzą, że natychmiast trzeba paść na ziemię?... Na

pewno nie wszyscy, podreśli ze strachu. Ci, którzy tego nie zrobią... skoszą ich jedną serią, zamienią w czerwone błocko. Cholerny świat, nie może im pomóc, przecież nie będzie im teraz wyjaśniał, już za późno, niech się martwią sami.

— ... panowie, pozwólcie jej wyjść, proszę...

Był tuż. Wreszcie stanął o krok przed fotelem. Dopiero wówczas bandyta wstał (teraz! — pomyślał Robert, sprężając się), popatrzył zdziwionym wzrokiem na Chrisa i nagle pięścią zwartą na kolbie pistoletu uderzył go w twarz. Chris zachwiał się, lecz utrzymał równowagę.

— Wracaj na miejsce, skurwysynu!

Pięść uniosła się raz jeszcze, lecz nie opadła. Chris stał skulony, zasłaniając twarz rękami. Bandyta odwrócił go i kopnął z rozmachem. Przez dłonie idącego z powrotem kapłała krew z rozbitych warg.

Robert zamknął oczy — przed tym widokiem i przed strachem, który powracał. Nie odmykał ich przez długą chwilę. Gdy to uczynił, zobaczył motyla na tle szyby, ciągle w tym samym bezradnym tańcu.

Za oknem, w dalekiej perspektywie placu, dostrzegał oparkaniony kordonem policji tłum. Bydlaki! Nagle przestali się spieszyć do biur, zapomnieli o biznesie i spotkaniach, wyrzucili bilety do kin. Odżałowali mandat, który dostaną za parkowanie przy placu. Będą stać cierpliwie na spuchniętych nogach i czekać, choćby do nocy, aż piasek na arenie nasiąknie. Darmowy cyrk, w którym on musi grać!

Nienawidził ich bardziej niż tych czterech, którzy nawet w maskach byli mniej anonimowi i bardziej ludzcy. Zabiją go, gdy uznają, że muszą, lub gdy wpadną w szal. Ale nie pragną tego. Chcą tylko wydostać się z pułapki i zniknąć z forszą. To tamten tłum, podniecony krwią, pragnie jej więcej i czeka na nią. I miliony bezpiecznych sukinsynów w swych domach.

Zanim dostrzegł kamery i górujący nad dalekim morzem głów wóz transmisyjny, zobaczył ścianę banku na ekranie odbiornika, który bandyci wynieśli z gabinetu szefa i ustawili przy wejściu do sali sejfów. Wpatrywali się w niebieski obraz z taką samą nadzieją jak on, jakby stamtąd miał przyjść ratunek. Na pozór byli spokojni i panowali nad sytuacją. Mieli zakładników. Robert domyślał się, że panują tylko nad własnym przerażeniem, jeszcze panują. „Pułkownik” zrobił błąd w rachunku i to musiało wywołać u każdego z nich wewnętrzny szok. Czekanie zakładników było ich czekaniem, strach zakładników, ich strachem, ukrytym pod szmatami masek. Czy już się domyślili, że tu, w tym pomieszczeniu, nie ma podziałów, że wszyscy są identycznymi ofiarami układu? Po utracie dziewięciu milionów i wymysłach demokratów władze stanowe tak łatwo nie oddadzą więcej. Co będzie, jeśli nie zechcą



oddać?... Chryste, to niemożliwe, by ci tutaj wystrzelali na zimno trzydziestu ludzi!... A jeśli jednak?... Czuł jak strach narasta w nim do fizycznego bólu.

Wiedział... myślał o tym gorączkowo i wiedział już, co zrobi, gdyby jednak... Przynajmniej spróbuje — paść od razu i udawać zabitego. Może się uda, to jest szansa. Nędzna, ale dobra i taka...

Kamera musnęła pierzeje placu, przejechała po gębach gapiów (gęby żuły gumę, chrupały świńskie skórki i lizały lody), uniosła się, dosięgając snajperów policyjnych na dachach, uchwyciła helikopter krążący nad bankiem i zjechała w dół, by pokazać człowieka w mundurze, który odpowiadał na pytania reportera.

— ... ście, zdajemy sobie z tego sprawę, sytuacja jest bardzo... no, bardzo, prawda, delikatna, ale, prawda, taka sytuacja, która, no, jest bardzo delikatna...

Widać było, jak po policzkach oficera spływają krople potu. Dziennikarz przerwał jego bełkot następnym pytaniem:

— Co zamierzacie zrobić? Czas mija, a sytuacja sama się nie rozwiąże. Czy macie jakiś plan?

— Plan, tak, plan... no, tego... nie, nie mamy...

— Dlaczego?! Na co czekacie?!

— Czekamy na... na decyzje władz. Pan gubernator... on zadecyduje. Jak tylko będzie decyzja, to zaraz...

— Co?

— No, tego... zrealizujemy ją.

— Dziękuję panu. Proszę państwa, ten program, program stulecia, transmisję na żywo z najbardziej sensacyjnego wydarzenia na naszym kontynencie, oglądacie państwo dzięki firmie Robins and Starveys, która produkuje najlepszy na świecie proszek do prania. Zapamiętajcie tę nazwę: ALFA—X!!!

Kamera pokazała dziewczynę w kostiumie kąpielowym tulącą do piersi wielkie pudełko z napisem „Alfa—X”, potem znowu elewacja banku, gęby, guma i lody, snajperzy, helikopter, kolejny wywiad i znowu „Alfa—X”. I jeszcze jakiś wóz pancerny z armatką wodną czy też kulomiotem.

Robert patrzył z nienawiścią. Rozumiał, jakie to wszystko żalosne, dobre dla filmu i dla gapiów. Wobec niego i sytuacji bezradne, z tą idiotyczną armatką i setkami kretynów w mundurach. Ale nie potrafił pozbyć się nadziei, że właśnie stamtąd przyjdzie pomoc i dalej wbijał wzrok w ekran.

Motyl również uległ złudzeniu i zawirował na tle, świecącego kineskopu, lecz zaraz powrócił w kierunku okien i dalej zmagął się z niewidzialną barierą hamującą jego lot ku swobodzie. Ruchy miał ciężkie i senne, coraz rzadziej

odrywał się od szkła. Widzisz, braciszku, zmęczyłeś się, boś głupi. Nie trzeba szaleć, trzeba czekać i przetrwać.

Wyobraził sobie, że gdy już wszystko się skończy, weźmie motyla na dłoń i wyjdzie z nim na plac, a potem dmuchnie i będzie patrzył, jak kolorowe skrzydełka maleją i nikną na tle nieba. A potem pójdzie do Connie i będzie ją kochał tak, jak nigdy dotąd, i już nigdy jej nie zdradzi, da sobie spokój z tymi dziewczynami i w ogóle wszystko będzie inaczej. Na pewno!

Bandyci poderwali się raptownie i stanęli po obu stronach wejścia. Przez plac kroczył oficer z białą chustką w rękę. Na ekranie widać było jego plecy, przez szybę twarz, coraz wyraźniej i bliżej. Miał rudawe włosy i długie wąsy w aureoli piegów. Irlandczyk, cholerny Irishman! — pomyślał Robert. Boże, spraw, żeby coś załatwił! Policjant maszerował z podniesioną głową, zdecydowanym krokiem, jak na paradzie. Odważniak. Boże, spraw!... Mijając zabitego kolegę oficer zatrzymał się i pochylił, lecz zaraz ruszył dalej. Gdy dotarł do celu, jeden z bandytów otworzył drzwi. Rudzielec zrobił dwa kroki do wewnątrz i rozejrzał się. Przez moment zatrzymał wzrok na zakładnikach i speszony błaganiem wlepionych w niego oczu odwrócił głowę.

— Chcę mówić z pułkownikiem Fishbackiem! — powiedział głośno.

— To ja — odpowiedział mu „Pułkownik”.

Był najmniejszy, szpakowaty, o wysokim pomarszczonym czole nad czarnym welwetem maski.

— Panie pułkowniku! Do godziny dwunastej ma pan czas do namysłu! Ma pan złożyć broń i poddać się! Bank i całe miasto są obstawione, nie ma pan szans!

„Pułkownik” pokiwał głową, jakby rozbawiony.

— Czemu pan tak krzyczy? Czy pan jest zdenerwowany? — spytał. — Słyszę dobrze, proszę mówić ciszej. Chciałbym wiedzieć, kto mi mówi to, co pan już przekazał?

— Gubernator Payton.

— Co dalej?

— To wszystko. O dwunastej wyjdzie pan sam lub z naszą pomocą!

— Ostro, no, no!...

„Pułkownik” popatrzył na oficera w milczeniu i chociaż miał maskę na twarzy, widać było, że jest to ta ciekawość, z jaką uczone patrzy na robaka zastanawiając się: puścić wolno czy wrzucić do formaliny? Potem zbliżył się do wysłannika i powiedział tak cicho, że Robert z ledwością usłyszał:

— Posłuchaj, synku. Do dwunastej dostarczycie mi dwie furgonetki. Jedną dla mnie, drugą dla zakładników. Mam ich trzydziestu dwóch. Na lotnisku ma czekać samolot z obsługą. To wszystko.

— To niemożliwe... — wybąkał oficer.

— O dwunastej — kontynuował „Pułkownik” z niezmańczonym spokojem — zastrzele pierwszego zakładnika, a każdego następnego co kwadrans, aż do skutku. Jeśli gubernator będzie mi chciał coś powiedzieć, niech to zrobi przez telewizję, mam tu odbiornik. I niech pajacyki z FBI nie schodzą z helikoptera na dach, bo zrobię takie jatki, że partia pana Paytona do końca stulecia nie odzyska władzy w tym stanie... Jesteś wolny, synku. Nie wracaj już z żadnym poleceniem, bo następnym razem zabiję.

Oficer zbladł, powiódł wzrokiem po sali i po zakładnikach i cofnął się przez próg tyłem. Zrobił tyłem jeszcze kilka kroków, po czym odwrócił się i zaczął biec.

Robert spojrzął na zegar. Był kwadrans po jedenastej.

Przez te czterdzieści minut starał się nie myśleć o niczym i myślał o setce spraw. O Connie, kolejnej Connie, z którą się nie ożenił, tak jak nie ożenił się z innymi kobietami, z którymi żył, o Chrisie zasłaniającym twarz, o „Pułkowniku” i o szefie, który nigdy nie przychodził przed dziewiątą i dzięki temu uniknął tego piekła. Cholerny farciarz! Tak to jest — im więcej forsy, tym więcej fartu. Gdyby stał tutaj z nimi, strach w portkach zrównałby go ze sprzątaczem—Murzynem lepiej niż Pan Bóg po śmierci. Ale nie stoi. Ma fart.

Cyferki na ekranikach zegara zmieniały się teraz szybciej, coraz szybciej, powariowały. Najwyraźniej bały się i one, toteż uciekały w popłochu, ustępując miejsca następnym. Robert dostrzegał je jak przez mgłę. Czuł ściskanie w dołku i coraz większy szum w głowie. Budził się z tego stanu i znowu zapadał weń, samochcąc, bo nie kontrolował już w sobie niczego:

Za kwadrans dwunasta szukał w pamięci jakiejś modlitwy, ale uświadomił sobie, że jeśli Bóg istnieje, to tylko rozeźli się takim skomleniem w potrzebie, pierwszym od kilkunastu lat. Przez resztę czasu przekonywał siebie, że za chwilę podjadą furgonetki, muszą podjechać, przecież tamci z placu nie pozwolą ich zabić!

Po twarzy stojącego obok Chrisa spływały żółtawe krople. Przebijały się przez bruzdy zmarszczek ku rozbitym ustom, drżały w sekundzie wahania na podbródku i spadały w dół.

— Nie płacz — szepnął — proszę, nie płacz!... Wyleziemy z tego... na pewno wyleziemy...

Nie pojmował, dlaczego to mówi, sam potrzebował Pocieszenia. Gdyby mógł zrealizować jedno marzenie — chciałby być znowu małym chłopcem i przytulić się do kolan matki. Nie pamiętał ani matki, ani takiej sceny, ale chciał, aby tak właśnie się stało.

Nagle w uszy wdarł mu się rytmiczny świst. To Chris przestał płakać i oddychał ciężko przez nos, przetykając i raz po raz ślinę i zamykając oczy. Czy któryś z dawnych kumpli, którzy znali supermana Chrisa, uwierzyłby w ten widok?... Boi się tak samo jak ja — pomyślał Robert — na pewno nie więcej, bo już bardziej ode mnie nie można, ale dlaczego tak to okazuje! Przecież to i tak nic nie pomoże, nic a nic! Poczul przez chwilę dziwną satysfakcję, że oto ten wielki Chris, który niegdyś był wzorem dla niego i dla całego batalionu, nawet, pułku, i który wpędzał wszystkich w kompleksy... Nie, tak nie można... Chris to Chris, kiedyś uratował mu życie, kiedy on uciekał na grobli, potem nie sypnął go za tę ucieczkę, a teraz... Teraz to co innego! Trzeba być świnią, żeby myśleć o Chrisie tak podle!... Wreszcie on nie ma dzieci, a Chris trójkę i żonę... Ma za czym płakać.

Poczul zaskakujący przyływ spokoju i zapragnął przekazać część tego spokoju, który wyrósł na pożywcę otępienia, Chrisowi.

— Chris, słuchaj...

Pilnujący ich mężczyzna poderwał się z fotela.

— Zamknij mordę, chłoptysiu!

Robert skulił się i poczul w gardle skurcz. Cholerny strach, znowu... Nie na widok wylotu lufy, która zaraz opadła, lecz oczu tamtego, zwięzionych nad płótnem zasłaniającym twarz.

Bandyta powrócił na swój tron, Robert poczul chęć, by dotknąć dłoni przyjaciela. Natrafił na próżnię. Chris odsunął się o kilka centymetrów, potem jeszcze kilka i jeszcze. Patrzył przed siebie wzrokiem ślepcy, pusty i bezwładny, z krwawiącym strupem w kąciku ust. Rozdzielała ich teraz kobieta płacząca bezgłośnie, z głową zwieszoną ku twarzy śpiącego dziecka.

Robert przestał patrzeć na Chrisa i spojrzał uważniej na dziecko... Dziecko!... O Boże, przecież to jest dziecko!...

Znalazł swą szansę. Tyle czasu jej szukał, a była tak blisko, tylko wyciągnąć dłoń. Skierował ręce ku kobiecie.

— Pomogę pani, proszę mi go dać. Oddała mu ufnie śpiącego chłopczyka.

Dziecko było ciężkie, ale to był ciężar na wagę życia, w każdym razie kilku godzin życia więcej. To nic, że jest świnią. Jest mądrą świnią, bo pierwszy wpadł na ten pomysł. Człowieka z dzieckiem na ręku nie rozwalą w pierwszej kolejności, a przed nim, odliczając kobietę, której też od razu nie zabiją, będzie trzydziestu pozostałych!

Spojrzał na dziecko z czułością — kupowało mu w najgorszym razie czas do wieczora. Ileż się może zdarzyć przez te kilka godzin!... Zresztą tamci nie pozwolą „Pułkownikowi” zabijać co kwadrans, nie dopuszczą do takiej

masakry, zaatakują albo złamią się, muszą się złamać! Z dzieckiem przetrwa to wszystko, musi, musi!

W okienkach zegara pojawiły się cyfry, jeden, dwa, zero, zero. Na znak „Pułkownika” pilnujący ich bandyta wstał i zaczął iść w kierunku zakładników. Cofnęli się przed nim i stłoczyli pod ścianą.

Bandyta wyszarpnął z szeregu Donalda, kasjera z szóstki. Donald, stary poczciwy „Kaczor Donald”. To miał być ostatni rok jego pracy, a potem emerytura i uwielbia majsterkowanie. Żartowano z niego, że jest najlepszym w Kalifornii ekspertem od perpetuum mobile, a on kwitował to tylko swoim cichym uśmiechem, takim trochę nieśmiałym, że przypominał uczniaka. Jeden z tych ludzi, którym nawet łajdak nie zrobi krzywdy, bo mu jakoś głupio. Właśnie on.

Stary człowiek szedł martwym krokiem, ze zwieszoną głową. Gdy przekroczyli próg, bandyta przystawił mu pistolet do skroni. Robert znowu zamknął oczy. Usłyszał huk wystrzału i zaraz potem krzyk tłumu, odbijający się echem o pierzeje placu. Dziecko obudziło się i zaczęło płakać.

Na ekranie telewizora ukazała się raptownie twarz gubernatora.

— Fishback!... Fishback!!!... Pójdziemy na kompromis... Dostaniesz samochód i samolot, ale zostawisz rezerwy banku! Fishback!... Słyszysz mnie?! Wypuść jednego zakładnika na znak, że przyjmujesz warunki!... Fishback, pamiętaj, że...

Gdyby nie dziecko, zatkałby uszy, by nie słyszeć tego krety. Ty bydlaku, ty cholerny przekłety sukinsynu, czemu jesteś taki głupi, czy za to cię wybrano?! Pokazujesz swoją słabość, swoją cholerną bezradną goliznę i żebrzesz, i drzesz mordę, żeby zagłuszyć swoją zasraną bezsilność, a oni mają cię w dupie! Teraz, kiedy już widzą jaki jesteś słaby, będą zabijać i zabijać, aż złamią cię, aż się rozplaszczysz jak łajno, którym jesteś, i zwieją, a tyłu ludzi już nie będzie żyło!

Kwadrans po dwunastej wzięli młodego strażnika, Petera. Prosił na kolanach, całując nogi morderców i wyrywał się, krzycząc rozpaczliwie. Uderzony kolbą w głowę i wypchnięty na zewnątrz, dostał dwie kule w plecy i upadł obok zabitego Donalda.

Bandyta, który strzelał, nie zdążył się cofnąć. Robert nie słyszał strzału oddanego przez snajpera z okna hotelu po przeciwległej stronie placu, zobaczył tylko, jak morderca chwyta się za twarz, zdiera maskę rozcapierzonymi bólem palcami, jak oślepiiony strugą krwi odwraca się idzie przez plac, w swoją śmierć. Z odbiornika znowu rozległ się wrzask:

— Nie strzelać bez rozkazu! Nie strzelać!!!... Fishback!... Fishback, słyszysz mnie?!... Zaczekaj na miłość boską!...

„Pułkownik” podszedł do telewizora i zgasił go. Potem usiadł i odwrócił się do zakładników. Miał spokojny, obojętny wzrok. Para milczących oczu w wycięciach maski, jakby był nieobecny.

Motyl, zmęczony swoją walką lub może ogłuszony kolejnym uderzeniem o szybę, przeciął salę i spoczął na krótkim guziku przy wejściu do sali sejfów. Guzik wyglądał jak wyłącznik światła, ale nim nie był. Był tu spust kurtyny bezpieczeństwa, odcinającej w razie potrzeby sejfy od reszty banku. Wystarczyło nacisnąć, by ze szczeliny w suficie spadła płaszczyzna pancernego szkła i oddzieliła ich od bandytów. Gdyby tak motyl mógł przycisnąć guzik z potrzebną siłą. Robert wpatrywał się w kolorowe skrzydełka owada i błagał go rozpaczliwie i bezsensownie: naciśnij, braciszku, zrób to, proszę cię, naciśnij, naciśnij!

„Pułkownik” spojrzął na zegarek i znowu na nich. To on powiedział rano, że każdy ma tylko jedno życie. Na zegarze ściennym wystrzeliło przy dwunastce dwadzieścia dziewięć. Robert pocałował dziecko i odął je matce. Zza jej pleców patrzyły nań oczy Chrisa. On też musiał spostrzec wysepkę motyla, ten spust kurtyny, który tak łatwo nacisnąć, gdy się już, wbrew przerażeniu, które tłucze sercem, podejmie tę idiotyczną, irracjonalną decyzję, by przejść swoją groblę w drugą stronę.

Chris zrozumiał i w oczach zalśniło mu coś, czego Robert nie odgadywał — ni to wdzięczność, ni to błogosławieństwo. Nie miał już czasu, by się na tym zastanawiać, tak jak nie mógł zastanawiać się nad funkcjonowaniem tego spustu. Wiedział, że bandyci wyłączyli elektryczny system alarmowy, jeśli więc i kurtyna pracowała pod wpływem impulsu elektrycznego, wówczas wszystko, co chciał zrobić, nie miało sensu. Gdyby jednak był to spust mechaniczny lub też dublowany, mechaniczny i elektryczny, to... Nie znał się na tym i nie miał czasu, by o tym rozmyślać.

„Pułkownik” wstał z fotela i wówczas Robert ruszył. Musiał iść szybko, tak, by żaden z tamtych nie wyszedł mu naprzeciw na tyle, aby przekroczyć linię zasięgu kurtyny. Zaskoczyło to bandytów — może myśleli, że zgłasza się na ochotnika do zastrzelenia? Znieruchomieli z wycelowanymi w niego lufami i patrzyli ze zdziwieniem, jak przemierza salę. Na to właśnie liczył: że jego inicjatywa zamuruje ich na moment.

Nie widział ich twarzy ani otworów wymierzonych w niego luf, tylko kolorowe wzory na skrzydłach motyla. Musiał coś mówić, więc mówił jak automat:

— Panowie... panie pułkowniku, jest droga na zewnątrz przez podziemie sejfów... o, tam...

Jeszcze tylko kilka kroków, już nie zdążą się wymknąć, a strzelać nie będą, bo już chwycili sens jego słów, bo to, co on mówi, jest ich szansą, jeszcze tylko ułamki sekund...

— Tędy możecie uciec..., o, tutaj...

Wyciągnął dłoń w kierunku przycisku, na którym trwał motyl. Nie zdążył cię odgonić, braciszku — pomyślał — umrzemy razem, nawet nie poczujesz. Położył kciuk na motyłu i zmiażdżył jego kruchy tułów z taką siłą, że lepka maź trysnęła na obie strony, brudząc ścianę. Za jego plecami tona szkła w żelaznej ramie runęła z hukiem ku posadzce, zamykając pudełko przedsionka do sali sejfów.

Oparł się plecami o ścianę i patrzył przed siebie, obojętny na osłupienie bandytów i na wszystko, co dotyczyło jego samego. Widział kolegów po tamtej stronie, jak siadają na podłodze i oddychają głęboko. Kobieta otworzyła drzwi i biegła przez plac z dzieckiem na rękę. Chris podszedł do plastikowej szyby, porysowanej siatką wtopionego druta, przylepił do niej twarz i dłonie i patrzył mu w oczy. Po ruchach warg Robert zrozumiał, że Chris coś mówi, ale nie mógł tego słyszeć przez przegrodę i w ogłuszającym huku pistoletu maszynowego. To jeden z bandytów opróżniał magazynek, próbując roztrzaskać kurtynę. Bezradne kule rysowały plastik i wydobywały zeń dziesiątki matowych gwiazdek, zasłaniających widok.

„Pułkownik” wiedział już, że to koniec. Zdjął wolno maskę, ukazując mądrą, starannie pielęgnowaną twarz, odbezpieczył pistolet i wymierzył go w stronę człowieka, który zamknął się z nim w jednym grobowcu i odebrał mu dwadzieścia, a może trzydzieści lat życia.

Robert nie chciał patrzeć w jego oczy, pełne nienawiści i napelniające się lękiem. Nie dlatego, żeby się bał. Strach pożegnał już wtedy, gdy oddał dziecko matce. Teraz czuł tylko zmęczenie i satysfakcję: odebrał „Pułkownikowi” moc dysponowania ich życiem i tamto swoje przerażenie wepchnął w jego oczy. Ale nie chciał w nie patrzeć, by bandyta nie pomyślał, że błaga. Opuścił głowę i zobaczył, że do palca przylepiło mu się skrzydełko motyla.

## NIEŚMIAŁY

Potęźny oliwkowy dodge zahamował gwałtownie przed werandą z nadłamaną balustradą, z dziurami w spadzistym daszku i z przegniłymi szczątkami schodów. Gromada małych, obszarpanych umorusańców, jakich pełno w każdej wiejskiej dziurze po meksykańskiej stronie Rio Grande, nadbiegła z wrzaskiem i otoczyła chmurę rdzawego pyłu. Pył opadał powoli, ukazując kierowcę, rośłego blondyna, otrzepującego mundur do wtóru przekleństw. Dzieci zamilkły i stały bez ruchu z otwartymi ustami. Mężczyzna krzyknął ponad czeredą w kierunku ciemnej czeluści drzwi w wewnętrznej ścianie werandy:

— Panie Sanchez!... Hej, panie Sanchez!

Nikt nie odpowiedział, nic się nie poruszyło, rudy pejzaż zamarł w słońcu.

— Panie Sanchez!

Odpowiedział mu ryk muła, gdzieś zza domu, i znowu wszystko zastygło w spiekocie. Mężczyzna wysiadł z wozu, otrzepał nogawki munduru i zrobił krok w kierunku schodów.

— Hej, jest tam kto?

Czekał kilkanaście sekund, odwrócił się, zlustrował pierścień twarzy wpatrzonych w colta wiszącego mu na biodrze, wybrał najroślejszego chłopaka i wskazując go ruchem dłoni powiedział z jankeskim akcentem:

— Ty!... Gdzie Sanchez jest?

Chłopiec zmrużył oczy i odparł sennie:

— W domu.

Po ziemi przepłynął między nimi cień ptaka, słońce wyciskało pot spod kapelusza i przyklejało koszulę do pleców. Mężczyzna zdjął białego stetsona i otarł pot z czoła.

— W którym domu on jest? — spytał.

Chłopiec wyciągnął dłoń przed siebie.

— W tym.

— To dlaczego nie odpowiada on?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Po co?

— Jak to po co?... Bo wołam na niego ja!

— Po co? — powtórzył chłopiec.



Właściciel olbrzymiego dodge'a spojrział na chłopca ze złością i ponownie odwrócił się w stronę werandy. Wskoczył na nią ponad schodami i omijając dziury w podłodze wszedł do wnętrza.

W niskim ciemnym pokoju ujrzał starca w wytartym poncho. Stary żuł peyotl i dłubał nożem w kawałku drewna przypominającym coś pośredniego między fajką a łyżką do butów. Nawet nie podniósł głowy.

Mężczyzna w mundurze położył stetsona na stole, przysunął sobie wyplatany taboret, usiadł naprzeciwko tamtego tak blisko, że prawie dotykał go kolanami, i spytał:

— Pan jest Sanchez?

Stary dalej dłubał w drewnie i trwało irytująco długo, zanim odpowiedział:

— Ja.

— A ja porucznik Hamilton Downey jestem. Ja mówię meksykański źle bardzo. Czy pan mówi amerykański, panie Sanchez?

Sanchez podniósł zmęczone oczy, przyjrzał się gościowi i odpowiedział po angielsku:

— Mówię.

I zanim powrócił do dłubaniny, dodał:

— Pracowałem na waszej plantacji, w Arizonie... Dawno, byłem młody.

— To świetnie! — mężczyzna w mundurze błyskawicznie przeszedł na angielski i uśmiechnął się — bo ja właśnie...

— Mnie nie było u was świetnie — przerwał mu stary. Downeyowi uśmiech spelzł z twarzy.

— Ach tak... no... wie pan, panie Sanchez, różnie bywa w życiu. Są ludzie i ludzie... Ja nie jestem z Arizony.

— A skąd?

— Skąd? Z policji stanowej w Oklahomie. Działam za zgodą waszych władz, oto moje dokumenty. Tu zezwolenie z policji w Mexico City, widzi pan, co tu jest napisane: „Uprasza się o udzielenie jak najdalej idącej pomocy”, a tu moja legitymacja i znaczek...

Stary podniósł głowę, ale nie spojrział na to, co Downey trzymał w dłoniach, spojrział mu w twarz. Potem spytał, wymawiając każdą sylabę tak dokładnie, jakby się bał, że nie zostanie zrozumiany:

— Czego ty chcesz, gringo?

— Przyjechałem w sprawie Pabla Alonso — wyjaśnił pospiesznie mężczyzna o nazwisku Downey.

— Znałeś go?

— Nie, ale polecono mi przyjechać tu i dowiedzieć się.

— Przyjechałeś za późno, gringo — burknął stary tonem, w którym wyczuwało się tę samą niechęć czy obojętność, co w głosie i w oczach chłopca spod werandy.

— Dlaczego za późno, panie Sanchez?

— Za późno o cały rok. Pablito wyjechał.

— To wiem.

— Więc dlaczego przyjechałeś do mnie?... Jedź do Pablita.

— Policja w Mexico City dała mi pański adres.

Stary odłożył drewno i nożyk, splótł ręce i prostując kark warknął raz jeszcze:

— Czego ty chcesz, gringo?!

— Chcę wiedzieć...

W ostatniej chwili zreflektował się. Chciał spytać: gdzie jest Pablo Alonso?, ale w porę do niego dotarło, że wówczas stary odpowie: nie wiem, albo: nawet gdybym wiedział, to bym pi nie powiedział. Dlatego dokończył:

— ...chciałbym się dowiedzieć jak najwięcej o Alonso, o jego życiu, o nim samym, jaki był i jak to się stało, no wie pan, ta tragedia przed rokiem. Chcę mu pomóc.

— Jemu nikt nie może pomóc, gringo.

— Przepraszam pana, panie Sanchez, ale byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan nie nazywać mnie w ten sposób!

W oczach starego zamigotał zły błysk.

— Kiedy pracowałem u was na plantacji, nazywano mnie brudny Mexicano!

— Możliwe, panie Sanchez, ale sam pan powiedział, że było to dawno temu i nie powie mi pan, że każdy z moich rodaków tak pana nazywał. Wszędzie są bydlaki, i u nas, i u was, ale czasy się zmieniają i bydlaków jest coraz mniej.

— Znam takich, którzy mówią, że jest odwrotnie. Ale to ludzie nieuczni, więc pewnie się mylą, he?

— Panie Sanchez, proszę mi wierzyć...

— Ja wierzę, wierzę we wszystko.

— Do diabła, Sanchez, nie przyjechałem tu tylko z obowiązku, żeby odwalić robotę którą mi zlecono!

— Tak? To widocznie przedtem się przesłyszałem, to wina moich starych uszu...

— Prowadzę tę sprawę od dwóch miesięcy i proszę mi wierzyć, Sanchez, przejąłem się nią. Ta krzywda, której doznał Alonso... A teraz i jemu grozi niebezpieczeństwo.

Stary pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Słowem, pan ma takie dobre serce, poruczniku... To ładnie.

— Sanchez, do diabła, niech pan przestanie kpić sobie! Jasne, że nie przyjechałem tu tylko z dobrego serca, płacą mi za to, więc odwalam robotę, ale płacą mi dobrze, więc staram się odwalać ją porządnie. Im więcej dowiem się o Alonso i o tamtej historii z jego żoną, tym lepiej będę mógł mu pomóc! Powtarzam: grozi mu niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo? — spytał stary.

— Panie Sanchez. Najpierw pan mi opowie o Alonso, a potem, obiecuję, odpowiem panu na każde pytanie, jeśli tylko odpowiedź nie będzie godziła w tajemnicę śledztwa. Zgoda?

— Policja już tu prowadziła śledztwo. Przed rokiem. Zeznawałem wówczas. Pan nie zna wyników tego śledztwa, poruczniku?

— Znam, Sanchez. I dlatego tu przyjechałem. Tyłek można sobie podetrzeć tymi wynikami... Pańskie zeznanie jest bardzo skąpe, nie był pan gadatliwy...

— Urodziłem się mało gadatliwy... I dziwię się...

— Czemu się pan dziwi, Sanchez?

— Dziwi mnie, dlaczego przyjechał pan sam, bez naszych gliniarzy?... Wtedy towarzyszyli wam i patrzyli na ręce...

— Wiem. Może za bardzo patrzyli. A teraz mają to gdzieś. W Mexico City oświadczono mi, że dla meksykańskiej policji sprawa Alonso jest zamknięta. Dali mi ten paperek i powiedzieli, żebym radził sobie sam... Co to jest, słyszy pan?

— Nie słyszę, poruczniku, niczego nie słyszę.

— Jak to?... Goddam!

Przekleństwo wyrwał mu ostry dźwięk klaksonu. Skoczył na werandę i ujrzał swój wóz wypełniony rozradowaną dzieciarnią tak szczelnie, jak budka telefoniczna podczas bicia uniwersyteckiego rekordu jej pojemności.

— Jazda stąd, gnojki! — wrzasnął. — Jak zobaczę jeszcze któregoś przy maszynie, to kości poprzetrącam!

Krzyczał po angielsku, ale samo jego pojawienie się wystarczyło, by bractwo rozpierschło się niczym stado spłoszonych ptaków. Podszedł do samochodu, zamknął szyby, wyjął z torby z bagażnika highland grand i wrócił do starego. Otworzył butelkę i postawił na stole.

— Whisky, dobra whisky — powiedział.

— Whisky zawsze jest dobra — mruknął stary.

— Ma pan kieliszki?

— Są kubki, tam, w kredensie. Niech pan wyjmie, poruczniku. Moje nogi...

— Wiem, postrzelili pana, dranie, gdy próbował jej pan bronić. Niech pan się nie rusza, ja przyniosę.

Kubki nie wyglądały na zbyt czyste. Downey rozejrzał się za ścierką, lecz ta, która wisiała na ścianie, wzbudzała jeszcze mniej zaufania. Zrezygnowany dmuchnął do środka każdego z nich, postawił je na stole i chwycił za butelkę. Sobie nalał odrobinę, Sanchezowi pół kubka.

— Proszę mi wierzyć, Sanchez, te łobuzy zapłacą i za pańskie nogi i za wszystko. Obiecuję to panu!

— Ciągłe pan coś obiecuje, poruczniku... Co to, tylko do połowy? Więcej, więcej, lubię wypić, jak jest co dobrego.

Downey dolał mu do pełna.

— Pańskie zdrowie, Sanchez!

— Moje zdrowie, poruczniku, to jedno wielkie gówno! Najlepsza gorzała mu nie pomoże... Pańskie obietnice również... Nie jestem mściwy.

— Przecież kochał pan Pabla Alonso.

— Może kochałem, a może i nie, to nie pańska rzecz. Bóg zabrania mścić krzywdy na tym świecie, to grzech, grzech śmiertelny, poruczniku... No, wypijmy.

Wypili. Sanchez do dna i nawet się nie skrzywił. Downey ledwo umoczył usta.

— Panu chyba nie smakuje, poruczniku, co? To pewnie ten upał albo pan zakochany. Ale jedno nie przeszkadza drugiemu, ja to panu mówię! Gorzała najlepiej leczy od upału, a i w tym drugim, no wie pan, też pomaga. Jak byłem młody, to zawsze przedtem rąbnąłem sobie garnuszek pulque i dopiero brałem się do dziewczuchy...

— Panie Sanchez, wróćmy do sprawy.

— Do sprawy?... No to nalej jeszcze, grin... panie poruczniku. O czym to mówiliśmy?

— O Pablu Alonso.

— Nie, mówiliśmy o mszczeniu się, że to grzech śmiertelny i że...

— Mnie nie chodzi o zemstę, Sanchez, jestem tylko trybikiem maszyny, która stoi na straży prawa. A prawo, chociaż jest bezlitosne, nie kieruje się nienawiścią i emocjami, karze po prostu zgodnie z paragrafami kodeksu. Karze między innymi za to, co zrobili ci, którzy pana postrzelili. Dlatego powiedziałem, że zapłacą.

— Bóg im zapłaci, poruczniku.

— Albo wybaczy. Bóg jest miłosierny.

— Pan wierzy w Boga, Downey?

— Ja?... Oczywiście!

— To niech pan jeszcze naleje... O tak, do pełna.

Nie czekając na Downeya wychylił kubek, strzepnął resztę na ziemię i spytał:

— Od czego mam zacząć?

— Od początku, panie Sanchez.

— Na początku to było tak, że stary Pablito, Juan, wypędził jego matkę z domu, bo zrobiła Pabla z żołnierzem. A przedtem sprzął ją bykowcem do krwi, potem zerznął, a potem znowu sprzął i pogonił. I nie dał nawet zabrać z domu jednego łacha. Taki był Juan. Służyliśmy razem w wojsku za prezydenta Callesa. Juan to był twardy chłop...

Downey nie wytrzymał.

— Niech pan da spokój, Sanchez. Nie o to mi chodzi!

— A o co, poruczniku?

— O Alonso i tamtą sprawę z jego żoną. Jaki był i jak do tego doszło.

— Jaki był Pablito?... He, he, dziwny był. Całkiem inny niż ojciec, może dlatego, że Juan nie był jego ojcem. Juan był jak stal. A Pablito miękki, taki... taki, no... taki inny niż wszyscy. Po matce. Zahukany, bojaźliwy, nieśmiały... O, to jest dobre słowo, poruczniku, on był nieśmiały! Delikatniutki, chuchro, w dzieciństwie ciągle chorował, bo nie miał się nim kto zająć. Juan pił, dzieciakiem opiekowała się stara Conchita, ale też piła, więc... Czasami wydawało się, że widać przez niego na wylot... Chowali się obok siebie, dom w dom, mój Antonio i on. Antonio — w głosie starego zabrzmiała duma — jest teraz archi... archilo...

— Architektem?... Archiwistą?...

— Nie, caramba! Archo... no takim, co wykopuje z ziemi złote kolczyki!

— Archeologiem.

— Oooo!... No więc razem tyłtali się w piachu i potem razem chodzili do szkoły, do zakonników. Pablito był bojaźliwy, potraćano go, bito... Nie umiał oddać, bał się, nawet się nie odszczeknął, tylko płakał. Nie mogłem ja zrozumieć, poruczniku, jak to jest, że w jednym tyle się nabiera odwagi, a w drugim tyle strachu. I jeszcze żeby Juan, jego ojciec, był strachliwy, ale gdzie tam! Diabłu by zęby powybił! A syn, jak na złość, z samego strachu uszyty i przez to taki nieśmiały...

— Przecież powiedział pan, Sanchez, że to nie był jego syn.

— Tak powiedziałem?... To widocznie tak było. Ale przecież mógł się napatrzeć na Juana i wziąć przykład! Tak czy nie?... A on wszędzie miał ten strach, na twarzy, w oczach, w każdym poruszeniu. Strach to jest parszywa

rzecz, poruczniku, denerwuje. Juan prał Pablita, jak na to patrzył, i upijał się z wściekłości, aż całkiem się zapił i oddał ducha Panu Bogu. Ale to nic a nic nie pomogło, bo Pablito dalej bał się wszystkiego. Mój Antonio kiedy mógł, to go bronił. Ho, ho, Antonio miał krzepę, po mnie miał, jak dał w mordę, to!... Dolej pan, poruczniku, bo mi w gębie zasycha, w życiu tyle nie plotłem... No więc Antonio bił się za niego i trzymali się razem. Potem mnichy wysłały ich obu na naukę do Mexico City. Dobre były mnichy, poczciwe... Antonio został tym, no tym, wie pan, i wyjechał do Peru, a Pablito wykształcił się na nauczyciela i wrócił. Ale nic się nie zmienił, ani ociupinę! Belfrzył tak samo nieśmiało jak żył, oczy w ziemię, szeptem mówił, dzieciaki robiły z nim, co chciały, wie pan, poruczniku, jak to dzieciaki... No i przed kilku laty, już nie pamiętam kiedy, przyjechała ta kobieta... Pan może to sobie wyobrazić, poruczniku, taka dama z wielkiego świata, taka jak na okładkach w „Mercurio” albo w telewizji, taka kobieta przyjechała, żeby zamieszkać w naszej wsi, o której nie wiem, czy sam Pan Bóg pamięta. Do miasteczka dwadzieścia mil! Jakby sam archanioł Gabriel pojawił się u nas, mniej by się ludzie dziwili. A co było potem, jak wyszła za Pabla, lepiej nie mówić!...

Znowu wypił i poprosił o dolewkę.

— A pan, poruczniku? Niech pan też sobie chlapnie.

— W porządku, panie Sanchez, niech pan ciągnie dalej.

— Dalej to jest tak, że nie wiem, no nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nikt nie wiedział. Może dlatego, że wynajęła pokój w jego domu? Był blisko, a u nas noce są cholerne, poruczniku, robią z człowieka wariata... Piękna była.

— Kochali się? — spytał Downey.

— Czy się kochali? O tak, bardzo się kochali, chociaż tacy różni. Chyba sama mu się oświadczyła, bo on, Pablito, he, he, on by się w życiu nie ośmielił. On, poruczniku... wie pan, widziałem raz film puszczone w zwolnionym tempie, jeszcze jak pracowałem u was. Pablito żył właśnie tak, jak ludzie na tym filmie... Chodził przy niej cicho i pokornie jak piesek. Ludzie mówili: idzie pani Linda z pieskiem. Bo miała Linda na pierwsze, a na drugie jakoś tak, zapomniałem, ale dla mnie Linda Alonso. Żyli dostatnio, ona miała trochę forsy. Tyle czasu wytrzymała w tej dziurze, kobieta z wielkiego świata!... Jest tam co jeszcze w tej butelce?... Dziękuję... No więc w zeszłym roku oznajmiła, że wyjeżdżają do Europy.

— A on co na to?

— Jak to co? Nic. On tylko potakiwał albo w ogóle nic nie mówił. Przez całe życie, inaczej nie umiał... Na czym to stanąłem?

— Jak chciała wyjechać do Europy.

— Aha, no więc pojechała do Mexico City, żeby przygotować wszystko, co trzeba do wyjazdu. A jak wróciła, to Po dwóch dniach tamci przyjechali wozem i wciągnęli ją do środka. Pablito był wtedy w szkole. Broniła się, widziałem to z okna, złapałem za maczetę, o tę, na ścianie, wyskoczyłem przed dom i wtedy puścili mi serię po nogach... Później, jak przyjechała policja, dowiedziałem się, że ją zamęczyli na śmierć.

— A Pablo?

— Płakał, jak to on... Potem wyjechał.

Stary chlipnął nosem, wytarł go rękawem i upił głęboki łyk z kubka. Zapatrzył się w kubek i milczał.

— I co dalej, Sanchez?

— Co dalej?... Dalej nic.

— Jak to nic?

— Zwyczajnie, nic. Poruczniku, teraz pańska kolej, ja już powiedziałem wszystko.

Downey poprawił włosy, które spadły mu na czoło i rozejrzał się wokół.

— Ciemno tu u pana, Sanchez.

— Panu to przeszkadza, poruczniku? Niech pan mówi, a ja będę pił i słuchał.

— Dobrze... Otóż, panie Sanchez, ta kobieta, Roza Foster...

— Jaka Roza, poruczniku! Linda.

— Okłamała was, w rzeczywistości nazywała się Roza Foster.

— Coś podobnego, a tak jej dobrze patrzyło z oczu. Okłamała Pablita, no, no... Trzeba to zalać gorzałą! Niech pan dalej mówi o niej, poruczniku.

— Była kiedyś nocną tancerką w kasynie Golden Nugget w Las Vegas. Potem awansowała na kochankę Ruperta Bosco, szefa gangu kontrolującego hazard w Nevadzie. Była ich łącznikiem.

— Co pan powie!... Takie buty, caramba!

— Chce pan słuchać dalej czy nie, Sanchez?

— Jasne że chcę, poruczniku, pan tak ciekawie opowiada...

— To niech pan przestanie przerywać!

— To niech pan mi jeszcze należy... Dziękuję... Słucham, poruczniku.,

— Pewnego dnia, przed czterema laty, przewoziła do centrali dwa miliony dolarów. I zniknęła razem z forszą! Bosco i jego ludzie myśleli, że kropnęła ją konkurencja, ale to nie było tak. Panna Foster ukradła im tę forszę! Zdeponowała ją na hasło w banku szwajcarskim za pośrednictwem banku w Mexico City i ukryła się w waszej wsi jak w mysiej norze, żeby przeczekać, aż o niej zapomną. Ale o takiej forsie się nie zapomina.

— Jasne, że nie, ouppp!... Przepraszam, panie poruczniku.

— Była mądra. Wiedziała, że mają swoich ludzi w portach lotniczych i w biurach paszportowych, więc czekała, aż uwierzą, że przestała istnieć i wymażą ją z pamięci. Może nawet czekałaby dłużej niż trzy lata, ale przeczytała gazecie, że Bosco został kropnięty przez konkurencję i to ją uspokoiło. Zaczęła działać, a oni tylko na to czekali. Gdy tylko pojawiła się w dużym mieście, już była spalona. Porwali ją, chcieli zmusić do wydania hasła i zatłukli. Przedobrzyli... Twarda była, nie powiedziała. Dlatego teraz Alonso grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Przecież ten, jak mu tam, Bosco, nie żyje...

— Ale żyje jego gang, Sanchez, żyje i działa!

Stary sam sobie nalał do kubka i spytał ochryple:

— Czy to mafia? Bo słyszałem, poruczniku, że najgorszy gang to mafia.

— Nie wiemy, Sanchez. Gang Bosco nie należał do mafii, ale niewykluczone, że mafia już go wchłonęła razem ze wszystkimi aktywami i że to ona teraz szuka swojej forszy, tej ukradzonej przez żonę Alonso. Mogą już wiedzieć, gdzie on teraz mieszka, ja natomiast nie wiem i nie mogę dać mu ochrony. To kwestia już nie dni, może godzin... Pan mi musi pomóc, Sanchez!... To znaczy musi Pan pomóc Alonso!

— Ja?!... Jak mam to zrobić? Jestem kaleką...

— Niech mi pan poda jego obecny adres!

— Jaki adres?

— Sanchez, niech pan nie udaje głupiego!... Proszę pana, niech pan się ulituje nad Pablitem! Niech pan mi poda jego adres!

— Nie znam go, poruczniku, Pablito wyjechał bez słowa.

— Nie wierzę panu!

— Poruczniku, klnę się na świętego Jakuba, nie znam!

— A kto może znać?

— Nie wiem.

— Sanchez, na miłość boską!

— Nie wiem, przysięgam, że nie wiem!... Butelka pusta, poruczniku. Pan mnie zmęczył, spać mi się chce... Adios, adios amigo...

W dwa dni później kapitan Brian Hawk z Federalnego Biura Śledczego wsiadł na nowojorskim Kennedy Airport do boeinga 707 i poleciał do Mexico City. Był w złym humorze. Po pierwsze nie cierpiał podróży samolotem, gdyż przy każdym starcie i lądowaniu ciśnienie rozsadzało mu bębunki uszu i całą czaszkę, a po drugie leciał po to, by skłąć swego starego przyjaciela z policji meksykańskiej, co było zadaniem wyjątkowo parszywym. Ale też Sirrega dopuścił do najbardziej parszywego kataklizmu, jaki tylko może sobie wyobrazić człowiek, który walczy z przestępczym podziemiem i jest bliski



sukcesu. Teraz już Hawk wiedział, co znaczy, że kogoś — jak mówił inny jego przyjaciel, Niemiec z pochodzenia, doktor Scholke — trafia szlag.

Samolot z Hawkiem na pokładzie wylądował w stolicy Meksyku o trzeciej po południu. Na lotnisku przywitali Hawka wysłannicy Sirregi. Rozpływali się w uśmiechach i komplementach, których Hawk nie odwzajemniał.

W ponurym milczeniu dojechali do gmachu głównej komendy policji i o godzinie wpół do czwartej kapitan Hawk stanął w drzwiach gabinetu szefa antymafijnego komanda policji meksykańskiej, majora Carlosa Sirregi. Nawet nie odpowiedział na kordialne: „cześć stary” i od progu zaczął krzyczeć:

— Znowu spieprzyliście całą robotę! W ogóle nie można na was polegać! Szlag trafił, takie jatki. Jak w rzeźni!

Zwalił się ciężko na fotel i otarł czoło z potu.

— Gdybyśmy wiedzieli, że dopuścicie do tego, gównem byście dostali, a nie cynk!...

Sirredze blady uśmiech zgasł na twarzy.

— Co znaczy znowu? — spytał. — Zdarzyło się to nam po raz pierwszy od czasu, kiedy ja tu rządę. Wy macie więcej spieprzonych spraw!

— Ale swoich! — zareplikował wściekle Hawk — swoich własnych! A w tej sprawie zawarliśmy umowę o współpracy i do tego większą część roboty my odwaliliśmy, w podziękowaniu za co wy spieprzyliście całość! Niech was diabli, tyle zmarnowanego czasu!... No, co się tak patrzysz, jeszcze się obraż!... Masz colę albo piwo? Zdycham z pragnienia.

Sirrega kazał adiutantowi przynieść piwo i powiedział:

— Niepotrzebnie się wściekasz, Brian... I nie bądźcie tacy sprawiedliwi w tej Sodomie, bo u was też rozwalono dwie osoby podczas tej wspólnej sprawy, Littoria i Maracanę. A jeśli chodzi...

— To były płotki! — przerwał mu Hawk. — A wy dostaliście cynk o figurach i pozwoliliście figurom wykorkować!

— W porządku, w porządku, nic się nie stało.

Hawk zsiniał z wściekłości.

— Coś ty powiedział?!... Według ciebie ta rzeźnia to nic? Nic się nie stało?!

— No, dobrze, stało się — mruknął Sirrega — ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— A co ci tu wyszło na dobre, stary opoju? — ryknął Hawk. — Gdybyś nie był moim przyjacielem, to skłoniłbym moich szefów o poproszenie waszego rządu, żeby cię...

— A ja, gdybyś nie był moim przyjacielem — odciął się Sirrega — wsadziłbym cię teraz za kratki, bo jesteś cudzoziemcem, który dopuścił się znieważenia meksykańskiego munduru.

— Carlos!...

— Wypchaj się swoim straszeniem! — pisnął Sirrega uradowany, że przyjacielowi mija złość. — Posłuchaj, o co chodzi. Gdybyście nie dali nam cynku o tym Davisie, to wiesz, co by to zmieniło? Nic. Wszystko byłoby tak samo, taka sama draka, a w niej tyle samo trupów, z tym tylko, że ani wy, ani my, nie mielibyśmy o tym zielonego pojęcia i nie byłoby tej naszej rozmowy. A że daliście nam cynk i mogliśmy śledzić tego faceta, to przynajmniej wiemy, co było zagrane. W efekcie uzyskałeś pewność, że bandę Tandiniego masz już z głowy i możesz posłać swoich chłopców do innej roboty. Czysty zysk.

— Wiesz, gdzie ja mam taki zysk? — warknął Hawk. — Co ty mi tu opowiadasz, Carlos? Przecież po to właśnie dostaliście cynk, żeby zapobiec jatkom i przyskrzynić ptaszków, a ty mi tu co by było gdyby!... Miałeś być reżyserem, a nie biernym obserwatorem!... Mówisz, że mam ich z głowy. Człowieku, czy ty myślisz, że oni jedni rządzą w Las Vegas? Wiesz, jak trudno jest nakryć ich na czymkolwiek. A tu była okazja, przyjechali popełnić przestępstwo i można było ich nakryć na gorącym uczynku, a potem wsadzić, przycisnąć i wydusić kontakty! Nie mogliście zapobiec temu świniobicciu?

— Nie mogliśmy, Brian. Wierz mi, nie sposób było przewidzieć takiej masakry... Za szybko to się stało i... ja tego nie mogę pojąć! Od wczoraj przesłuchuję tego Alonso, w życiu nie widziałem takiego mięczaka. Chodzący strach. Słaby jak dziecko, lękliwy, pokorny jak pies, mruga rzęsami jak panienka, no... po prostu nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, nie widziałeś takiego faceta! Czwarta płeć, caramba! Słaby taki, że nie złamałby ołówka. Nie do wiary!... Wezwę go.

— Daj spokój! — burknął Hawk — mam go gdzieś. Opowiedz mi, jak było. Potem dasz mi to na piśmie, muszę przekazać szefom.

— Załatwione. Masz w tej teczce komplet jego zeznań i odpis z podsłuchu.

— Z podsłuchu?

— A tak. Ty ciągle masz nas za frajerów, co? A FBI to jedyna policja — na świecie, prawda? Reszta to amatorzy...

— Odwal się, pokaż co nagrałeś.

— Sporo, cały thriller. Tego Davisa śledziliśmy od granicy. W stolicy naprowadził nas na Tandiniego i jego dwóch goryli. Moi chłopcy wmontowali im na stacji benzynowej „pchełkę” w dodge’a. Od tej pory wisieliśmy im na ogonie, trzymając się dwa kilometry z tyłu, i nagrywaliśmy każde słowo.

— Otóż to. I kiedy doszło do masakry, wy byliście o dwa kilometry z tyłu, czy tak?

— No tak, ale...

— Widzisz, zabrakło ci tych dwóch kilometrów i nie zdążyłeś.

— A co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Urządziłbym zasadzkę w domu Alonso.

— Brian, to by nic nie dało... Chociaż, może przy nas Alonso nie ośmieliłby się, jest taki strachliwy...

— Czy na tej stacji benzynowej prześwietliliście ich wóz?

— Oczywiście.

— No i co?

— W podwoziu była skrytka z dwoma karabinami maszynowymi.

— Wystarczy. Mogłeś ich zamknąć z miejsca.

— Nie mogłem, Brian, bo ja jestem meksykańskim gliną i nie płacą mi za pilnowanie interesów FBI! Wam chodziło o gang Tandiniego i chcieliśmy wam pomóc, ale nam chodziło również o sprawę morderstwa żony Alonso, które popełniono na naszym terenie. Chcieliśmy mieć dowód, że to oni, dlatego musiałem być cierpliwy i nagrywać ich rozmowy.

— Carlos, przecież jedno nie przeszkadza drugiemu. Mogłeś równocześnie śledzić ich i czekać z zasadzką.

Sierrega zamyślił się. Był wyraźnie zdenerwowany, bo to, że popełnił błąd, nie ulegało wątpliwości.

— Może masz i rację, Brian. Psiakrew, człowiek się ciągle uczy! Widzisz, nie miałem żadnej pewności, czy oni w ogóle znajdą Alonso. A po drugie wszystkiego mogłem się spodziewać, ale tego... No dobra, słuchaj dalej. Najpierw Davis przebrał się w mundur porucznika FBI. Pojechał do Chichuano i odegrał komedyjkę przed starym Sanchezem. Próbował dowiedzieć się od starego, gdzie mieszka Pablo Alonso, bo oni sądzą, że ta nedorajda zna hasło, na które Roza Foster zdeponowała w banku ich forszę.

— A zna?

Sirrega zrobił zdziwioną minę.

— Nie wiem.

— Nie spytałeś go o to, tak po prostu? Dżentelmeni nie rozmawiają o forsie?

— O Nombre de Dios!... Rzeczywiście, po tej masakrze zająłem się wszystkim, tylko nie tym, nie przeszło mi przez głowę... Zresztą to ma małe znaczenie...

— Owszem, duże! Te pieniądze pochodzą z przestępstw popełnionych na terenie USA i chcę wiedzieć, czy są do odzyskania.

— Dobrze, dowiesz się. Ale jak będziesz mi przerywał, to nie poznasz całej tej historii.

— Umarłbyś, gaduło, gdyby ci zabroniono opowiadać, ha, ha, ha!

Sirrega rozchmurzył się słysząc śmiech przyjaciela i kontynuował:

— Davis nie wyłudził od starego Sancheza adresu, ale go nastraszył. Poza tym w czasie, gdy oni rozmawiali, piętnastoletni bratanek Sancheza grzebał przy wozie i odkrył obrotowe podwójne znaki rejestracyjne. Sanchez zrozumiał, z kim miał do czynienia i tego samego dnia wysłał do Alonso chłopca z ostrzeżeniem. Taka mała opuszczona farma u podnóża gór, cztery mile od Chichuano. Kiedyś koczowali tam hippisi. Domyślasz się, że chłopaka śledzono. Tandini i jego ludzie pojechali tam w nocy, my za nimi. Dojechali i potem poszło to już tak cholernie szybko, że nic nie można było zrobić! Posłuchaj, o czym rozmawiali.

Sirrega nacisnął guzik magnetofonu, przewinął kawałek taśmy, sprawdził, znowu przewinął i włączył odtwarzanie.

„— ... *nawet nie trzeba będzie grozić mu spluwą, szefie (to Davis — wyjaśnił Sirrega). Facet jest ciele, ma wiecznego pietra. Jak nas zobaczy, robi w portki ze strachu, założę się o stówę! ... On żyje strachem, tak jak inni chlebem... Stary nazywa go nieśmiały. Miękisz do kwadratu!...*”

— Wyłącz to gładzenie, Carlos! — krzyknął Hawk. — Chcę wiedzieć, jak to się stało.

— No to z samej taśmy niewiele się dowiesz, mogę ci dopowiedzieć. Ale posłuchajmy jeszcze.

Sirrega znowu przewinął kawałek nagrania.

— O, słyszysz, dojechali do bramy, stają, myślę, że teraz ukazał się im w świetle reflektorów, te kroki, słyszysz, to on, Alonso. Teraz będzie mówił Davis:

„— ... *Sukinsyn nie śpi, jakby czekał na nas. Tacy zawsze czekają na śmierć jak barany!... Nie wysiadać, może ma spluwę, uważajcie! (to Tandini — wyjaśnił Sirrega)... Szefie, on nie odróżnia lufy od kolby. Zemdlaliby od huku, boi się własnego cienia. Wyciśniemy go jednym palcem, jak zgnitą śliwkę! (to Davis)... witam, senores, witam uniżenie. Panowie do mnie? (to Alonso, słyszysz ten głosik? — powiedział Sirrega)... Tak, panie Alonso, mamy interes (to Davis)... Już otwieram bramę, senores, już otwieram, proszę...*”

— Teraz uważaj — powiedział Sirrega — uważaj!...

— To the hell, co to jest?! — Hawk zerwał się z krzesła słysząc straszliwy grzmot, po którym wszystko ucichło i z taśmy dobiegał już tylko jednostajny szum.

— Drobiazg, przyjacielu — wyjaśnił Sirrega. — Wilczy dół, trzy metry głębokości. Alonso wykopał go za bramą, zamaskował i czekał na nich. Wiele miesięcy. Był pewien, że kiedyś przyjadą po hasło.

— Chryste! — wyszeptał Hawk — to niemożliwe!

— A jednak, Brian. Tak wziął sobie odwet za cały wielki strach swego życia... I za tę jedyną kobietę, która poszła z nim do łóżka i nie śmiała się z niego... Wierz mi, on rzeczywiście nie odróżniłby lufy od kolby, ale wykopać dół — to nie przekraczało jego możliwości. Wóz wpadł, pogruchotało im kości, a on wlał naftę i podpalił. .. Byliśmy tam w kilka minut później, dopalali się już... Do dzisiaj słyszę to zwierzęce wycie, wierci mi mózg. A on siedział w kucki nad dołem, spokojny, płomienie oświetlały mu twarz, taką głupią, dziecięcą, taką cholernie naiwną i niewinną! O, Brian, w życiu nie widziałem czegoś tak potwornego, i ty też!...

# POKEROWY BŁĄD

## (opowiadanie przyjaciela)

Mój przyjaciel ma na imię Armand i jest pokerzystą. Ma już ponad sześćdziesiąt lat, jest więc pokerzystą bardzo doświadczonym. Złośliwi szepczą, że był kiedyś szulerem, w czym może jest trochę prawdy, ale w czym nie ma jej choć odrobiny? W każdym razie on sam twierdzi, że szulerką się brzydzi, chociaż przyznaje, że nie jest trudna. W szulerni niezbędna, przy pokerze towarzyskim zabija urok gry, bo chociaż i tu gra się na pieniądze, to jednak nie dla zysku, lecz dla przyjemności. Przyjemnością zaś jest smakowanie tajemnicy i gwiazdzista wielokierunkowość blefu, wszystkie te psychologiczne symfonie, które się kryją w mądrej licytacji i które sprawiają, że poker góruje nad brydżem, szachami et consortes. Większość niedzielnych pokerzystów to mali, tępi wyrobnicy, którzy klepią wciąż od nowa te same nudne schematy, spłaszczając sztukę pokera do młócki kartami o blat stolika. Poker jest królewską grą i nie znosi przeciętności, prostytuowany zaś przez partaczy zyskał złą sławę, nad czym należy ubolewać. Tak mówi Armand.

Armand jest szpakowaty i ma profil arystokratycznie dostojny (brakuje tylko monokla, patrząc na jego twarz niemal widzi się ten monokl), aczkolwiek otyłość zatarła zupełnie dawną ostrość rysów, której można się tylko domyślać widząc jak marszczy gniewnie kąciki ust. Robi to rzadko, zazwyczaj jest pogodny, chociaż nigdy się nie śmieje. Pokera uwielbia, darzy go miłością tak czułą, jaki najśłodsza kochankę i lubi trawestować powiedzenie sławnego XIX-wiecznego szachisty, niemieckiego profesora, A. Anderssena: „*Pokochaj szachy, a one ci się odwdzięczą*” na: „*Pokochaj pokera, a on ci się odwdzięczy*”.

Armand był moim pokerowym nauczycielem. Poznaliśmy się przed kilku laty w sanatorium dla chorych na serce i polubiliśmy. Byłem wówczas po zawale, który sprawił, że w wieku czterdziestu sześciu lat musiałem porzucić karierę naukową i katedrę uniwersytecką, by przejść na przedwczesną emeryturę. Nasze łóżka sąsiadowały ze sobą, przez co naturalnym biegiem rzeczy zaczęliśmy rozmawiać, pożyczać sobie gazety, konspirować wspólnie przeciw lekarzom i pielęgniarce i świadczyć sobie drobne uprzejmości. Ja pilnowałem korytarza, kiedy on zaciągał się dymem przy otwartym oknie (była ciepła jesień, drzewa złociły się baśniowo), moja żona przemycała dlań papierosy, on zaś w rewanżu słał za mnie łóżko, z czym nigdy nie potrafiłem dać sobie rady, tak jak on nie potrafił dać sobie rady ze swoim nałogiem. Miał zręczne palce, pod którymi prześcieradło, poduszka i kołdra, opierające się mnie z niezmordowaną przebiegłością, wijące, zaginające i wybrzuszące w stu miejscach naraz, zaczynały nagle być uległe i zamieniały się same w płaszczyzny o ostrych kantach, tak proste, jak politurowane siedzisko ławy.

Pewnego dnia Armand poprosił moją żonę, by mu kupiła talię kart. Bawił się nimi w cudowny sposób, pokazując mi różne sztuczki, które przedtem widziałem tylko w wykonaniu kabaretowych magików. Spytałem go, gdzie się tego nauczył. Odpowiedział, że w wojsku, gdy spadł z konia i złamał sobie obojczyk, nadwyreżył kręgosłup i naruszył mięśnie palców. Lekarz dał mu kilka talii kart i kazał sprężynować nimi, najpierw jedną, potem dwoma i trzema. Reszta była następstwem wrodzonych zdolności manualnych.

Wieczorami, przed zaśnięciem, Armand tasował karty i rozkładał je sobie w różne kombinacje, niektóre odkrywał, inne nie, czasami kiwał głową z zadowoleniem, a niekiedy dziwił się cmokając ze złości i mruczając pod nosem. „bałwan”! Po jakimś czasie zaczął mnie uczyć gry, od podstaw, gdyż z pokera znałem do tej pory jedynie nazwę. Pokazał mi co to jest strit, trójka, full, kareta, kolor i poker, po czym rozdawał karty i w trakcie gry wyjaśniał sekrety i niuanse licytacji, niezmierzone możliwości i ryzyko blefu, słowem wszystko. Czynił to z wprawą urodzonego pedagoga, cierpliwie i z fantazją, ja zaś okazałem się pojętym uczniem, chyba dlatego, że sam poker — niewątpliwie za sprawą Armanda — wydał mi się pasjonującą rozrywką.

Opuściłem sanatorium pierwszy i żegnając Armanda zaprosiłem go do siebie. Zjawił się w dwa miesiące później, chłodnym wieczorem, z butelką koniaku i z kartami, ubrany elegancko, w muszce i w butach lśniących jak dwa czarne lustra. Zasiadliśmy przy kominku i po godzinie rozmowy o niczym wznowiliśmy naukę.

W kilka tygodni po tym wieczorze przyłączyło się do nas jeszcze dwóch partnerów: znajomy Armanda, lekarz medycyny, Gabriel, i mój kolega z

uczelni, profesor historii, Karol. Od tej pory graliśmy co piątek w moim domu lub w domu Gabriela, od czwartej po południu do dziesiątej wieczorem, a czasami dłużej, do północy. Graliśmy niezbyt ostro, a jeśli tylko któryś z nas przegrał zbyt dużą sumę, już w następnym tygodniu odgrywał się mając cudowną passę i zgarniając wysokie pule, zwłaszcza po rozdaniach Armanda. W ten sposób uzyskiwaliśmy zawsze remis, za co byłem Armandowi wdzięczny.

Karol, gdy popadł w kłopoty finansowe po rozwodzie z żoną, nie chciał dalej grać z nami wymawiając się brakiem gotówki i niechęcią do pożyczania pieniędzy ustąpił jednak, by nie psuć nam przyjemności, poker bowiem jest najciekawszy, kiedy grany w czterech. Tego samego wieczoru wygrał około dziesięciu tysięcy franków, co ja potraktowałem jako pożyczkę. I rzeczywiście, gdy tylko Karol stanął na nogi po wydaniu jego dwutomowej *Historii wojen punickich*, przegrał do nas owe dziesięć tysięcy i to tak jakoś celnie, że każdy z nas odzyskał tyle, ile uprzednio stracił. Zdaje się, że tylko ja domyślałem się, komu to zawdzięczamy; Karol i Gabriel byli przekonani, że to sprawiedliwy los tak mądrze steruje przebiegiem naszych partyjek.

Opowieść, którą teraz chcę przytoczyć, usłyszeliśmy w wieczór przedwigilijny. Za oknami padał śnieg, przykrywając miasto ciężką białą kołdrą, a my siedzieliśmy przy kominku grzejąc się ciepłem rozżarzonych szczap i koniakiem, dyskutując o wszystkim i oczywiście grając. W pewnym momencie kupka monet i banknotów w banku urosła jak rzadko, gdyż Karol i Gabriel licytowali wysoko, pewni wygranej. Armand spasował na samym początku, a i ja musiałem uczynić po chwili to samo, z żalem żegnając swoją trojkę siódemek. Sprawdzał Gabriel, który miał karete asów, i aż jęknął, kiedy Karol rzucił na stół treflowego pokera. W tej samej chwili Armand zwrócił Karolowi uwagę, że to pomyłka. I tak było — na stole zamiast pokera leżał treflowy kolor, a więc karta niższa od karety. Karol pomylił ósemkę z dziewiątką.

Roześmieliśmy się z tego przeoczenia wszyscy, z wyjątkiem Armanda, który miał teraz rozdawać. Tasował karty zamyślony głęboko, tasował i tasował, w końcu położył je na stole, wziął do ręki kieliszek i upił odrobinę winiaku. Widziałem, że ręka mu drży.

— Wybaczcie — powiedział — ale ja już nie zagram dzisiaj— Czuję się trochę zmęczony.

Zgodziliśmy się i wtuleni w fotele zaczęliśmy komentować ostatnie wydarzenie, przypominać sobie wcześniejsze pomyłki i żartować z nich. Armand milczał uporczywie, ale kiedy odezwałem się, że tylko on jeden nie zrobił nigdy podobnego błędu, gdyż gra najlepiej z nas wszystkich, zaprzeczył:



— To przypadek. Nie ma takiego pokerzysty, który nigdy się nie pomylił. Im dłużej się gra, tym lepiej się to robi, ale tym większa jest możliwość popełnienia błędu, pomylenia kart.

— Chcesz powiedzieć — spytałem — że zdarza się to również zawodowcom?

— Tak. Nawet najlepszym... Nawet najlepszemu.

— Znasz tego najlepszego? — spytał z kolei Gabriel. — Kto nim jest?

Armand wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nie grywam w Monte Carlo, w Nicei, w Las Vegas... Kiedyś, dawno temu, znałem ówczesnego króla pokera, ale...

— Opowiedz nam o nim! — krzyknęliśmy mimowolnym chórem.

— Nie... nie, to długa historia... — bronił się Armand.

— Armandzie, prosimy! — nalegaliśmy.

Dał się prosić przez kilka minut i w końcu uległ, po czym popłynęła opowieść, którą chcę teraz przytoczyć. Nie będę cytował Armanda, w każdym razie nie w całości, może tylko poszczególne zdania i określenia. Żaden z nas nie notował tego, co opowiadał nasz przyjaciel a szkoda, gdyż była to cudowna opowieść, istna bajka Szeherezady, odkrywająca jeszcze jeden wspaniały talent Armanda. Nie tyle krasomówstwo, ile umiejętność budownia niesamowitych nastrojów, jednocześnie pełnych grozy i melancholii, drażniąc zmysły jakimiś dziwnymi obrazami ze świata nadrealnego, z tych pokładów majestatycznych namiętności, które wzrastają gdzieś w dalekich archipelagach, nieosiągalnych dla nas, zwykłych zjadaczy chleba unurzanych w pospolitości codziennego marszu, w bełkocie radia i telewizji, mogący liczyć tylko na zmianę pogody. Żałowałem wtedy, iż nie włączyłem sekretnie magnetofonu.

Dlatego też powtórzę teraz z pamięci opowieść Armanda i wybaczcie mi, że w porównaniu z nią będzie to relacja płaska jak pusty talerz, jak pierś kobiety, która nie przepelnia żadne uczucie. Będę wierny treści zawartej w jego słowach, lecz najlepsze chęci nie pozwolą mi wyczarować tego samego nastroju, nawet gdyby w domu każdego z was płonął podczas lektury kominek, tak jak płonął wówczas, miotając cienie po ścianach i naszych twarzach. Czasami człowiek jest uboższy od zwykłej taśmy magnetofonowej.

Działo się to w latach dwudziestych i w początkach lat trzydziestych. Żył wówczas pewien człowiek, którego nazwiska nikt nie znał. Jedni mówili, że pochodzi z Libanu, inni zaś gotowi byli przysiąc, że z Grecji i że jest półkrwi Włochem. Nazywano go messer Ricardo i mówiono o nim, że jest „gran diavolo” — wielkim diabłem. Messer Ricardo był arcymistrzem pokera. Nie słyszano, żeby kiedykolwiek przegrał, a przecież grał długo i śledzono jego karierę przez wiele lat. Z małą przerwą na czas pierwszej wojny światowej,

kiedy to messer Ricardo zniknął. Później szeptano, że był austriackim szpiegiem i że oddał Habsburgom znaczne usługi.

Po wojnie „gran diavolo” rozpoczął nową serię błyskotliwych sukcesów i trwało to aż do Wielkiego Kryzysu. Krach na Wall Street zniszczył go. Okazało się, że ów genialny pokerzysta ulokował wszystkie swoje pieniądze w akcjach amerykańskich, z których giełda w ciągu owego fatalnego dnia uczyniła stos bezwartościowych papierów. Wówczas zniknął na dobre. Nie widziano go od tej pory w świecie salonów i kasyn, ani w ogóle gdziekolwiek, tylko od czasu do czasu wspominali go starzy pokerzyści przy jakichś ciekawszych licytacjach, przyjęto za pewnik, że tak jak wielu innych bankrutów popełnił samobójstwo.

W rzeczywistości messer Ricardo żył nadal, chociaż mocno się postarzał i stracił dawny wigor. Po utracie majątku osiadł na Południu, najpierw koło Frejus we Francji, a potem we włoskiej Casercie, blisko Neapolu. Wygrzewał pod tamtejszym słońcem swoje zmęczone kości, podczas gdy jego syn prowadził mały sklepik z warzywami i towarami kolonialnymi.

W tym momencie Gabriel przerwał Armandowi:

— Czy nie mógł dalej zarabiać pokerem? Jeśli był takim geniuszem...

Armand potrząsnął przecząco głową.

— Nie, Gabrielu, to nie było możliwe. Widzisz, żeby dużo wygrywać w pokera trzeba obok wysokiego kunsztu w tej sztuce dysponować przed grą dużymi pieniędzmi. Grając o niewielkie sumki można zarobić na chleb, ale na chleb postny, bo od biedaków trudno dużo wygrać. Żeby zaś grać z bogatymi, trzeba mieć duże pieniądze. Z dwóch powodów. Po pierwsze żeby w ogóle móc zasiać do gry, gdyż przy takich grach kapitał wyjściowy gracza ma swój dolny limit. Po drugie nie można grać wysoko nie dysponując sporymi rezerwami, bo wówczas może się zdarzyć, że wylecisz z gry chociaż masz w ręku najsilniejszą karty.

— Jakim sposobem? — zdziwił się Karol.

— Wyjaśnię ci to na przykładzie. Powiedzmy, że w puli leży trzy tysiące franków i ty jesteś przy głosie. Zalicytowałeś tysiąc franków. Gracz numer dwa, zamiast cię sprawdzić, przebił do czterech tysięcy. Gracz numer trzy też nie sprawdził poprzednika, lecz przebił do dwunastu tysięcy. I znowu przychodzi kolej na ciebie. Dysponujesz jeszcze piętnastoma tysiącami franków, więc jesteś w stanie sprawdzić, dokładasz jedenaście tysięcy. Ale to nie koniec, bo głos ma teraz gracz numer dwa. Gdyby i on sprawdził gracza numer trzy, byłby to koniec licytacji i ty ze swoją najsilniejszą kartą wygrałbyś. Lecz on dalej przebija, do dwudziestu pięciu tysięcy franków. W tym momencie ty ze swoimi czterema tysiącami w kieszeni przestałeś się

liczyć. Nie możesz sprawdzić, bo zabrakło ci pieniędzy. I choćbyś miał wówczas w rękę wielkiego pikowego pokera, nic byś nie wygrał, bo wyrzucono cię z gry. Wyrzucił cię brak odpowiedniej sumy do gry. Teraz rozumiecie?

Po czym dalej popłynęła opowieść o messerze Ricardo. Pewnego dnia, a raczej pewnego parnego wieczoru, w ubogim mieszkanku na zapleczu sklepiu zjawilo się dwóch osobników. Rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

— Czy mamy honor z messerem Ricardo? — spytali dwaj nieznajomi.

— Tak — odpowiedział pokerzysta. — Kim panowie jesteście i czego chcecie?

— Jesteśmy przedstawicielami przedsiębiorstwa nastawionego na maksymalny zysk przy minimalnym nakładzie pracy — odpowiedział jeden z tych panów.

— Co to za przedsiębiorstwo i co ja mam z tym wspólnego?

— Nazwa przedsiębiorstwa nic panu nie powie, messer Ricardo. Zresztą ci, którzy mało wiedzą o tym przedsiębiorstwie, lepiej na tym wychodzą.

— Czego ode mnie chcecie?

— Żeby pan wrócił do swego fachu.

— Nie rozumiem?...

— Żeby pan zagrał w pokera o duże pieniądze.

— Żeby grać o duże pieniądze, trzeba mieć duże pieniądze — odparł smętnie messer Ricardo. — Ja ich niestety nie posiadam.

— Właśnie dlatego tu jesteśmy. Pieniądze otrzyma pan od nas.

Messer Ricardo oniemiał. Po chwili szepnął:

— A jeśli przegram te pieniądze?

— To spotka pana duża przykrość. Wypadek samochodowy albo utopi się pan podczas kąpieli w wannie, albo spadnie pan ze schodów i złamie sobie kręgosłup, bo to będą strome i twarde schody... Ale pan nie przegra, messer Ricardo, bo jak dobrze wiemy, pan nie umie przegrywać w pokera.

— Dawno nie grałem.

— Pacierza nie zapomina się nawet po dziesięciu latach. No więc?

Messer Ricardo zastanowił się, po czym spytał:

— A jeśli się nie zgodzę?

— To będzie się pan mógł spodziewać nieszczęśliwego wypadku w najbliższym czasie. Zbyt dużo już zainwestowaliśmy w ten interes.

— Przecież ja panów wcale o to nie prosiłem! Nie możecie mnie zmusić!

— Pozwoli pan, że wyrazimy odmienne zdanie. Możemy!

Zapanowało milczenie. Po chwili messer Ricardo zadał inne, bardziej konkretne pytanie:

— Z kim będę grał?

— Z księciem von Holstein–Sonnenberg, z panem Rusfeldem, bogatym przemysłowcem amerykańskim, oraz adwokatem Dolcinim z Mediolanu. Wszyscy oni są umówieni na grę z greckim armatorem Kristoforosem w dniu dwudziestego trzeciego sierpnia, a więc za tydzień — we wtorek, w prywatnym gabinecie dyrektora kasyna w Monte Carlo. Pan będzie Kristoforosem, messer Ricardo.

— Ja? Przecież...

— Proszę się nie obawiać. Wszyscy ci panowie to zapaleni pokerzyści, jednakże nigdy dotąd nie grali ze sobą. Umówiono ich listownie. Uczynił to dyrektor kasyna na prośbę Dolciniego i Rusfelda, który właśnie spędza urlop na Rivierze. Brakowało im czwartego gracza o takim samym kapitale, podsunęliśmy więc dyrektorowi kandydaturę Kristoforosa i dopilnowaliśmy, by nie doszło do żadnej wpadki. Otrzyma pan od nas odpowiednie ubranie, wszystkie akcesoria i pieniądze. Gra będzie prowadzona w języku francuskim, zna go pan?

— Tak. Ale jeśli rozdawał będzie pracownik kasyna, krupier albo jedna z tych nowoczesnych maszynek do rozdawania kart...

— To nie wchodzi w rachubę. Ci panowie są zwolennikami tradycyjnego kunsztu, z własnoręcznym rozdawaniem. Poza wami w gabinecie będzie obecny tylko dyrektor kasyna.

— A co... co ja będę miał z wygranej?

— Dziesięć procent, reszta należy do nas. W pańskim więc interesie leży, by wygrać jak najwięcej.

— A jeśli Kristoforos...

— Powiedzieliśmy już panu, messer Ricardo, żeby pan nie zawracał sobie głowy tym, co należy do nas. Otóż Kristoforos przed dwoma dniami ciężko zaniemógł, w czym pomógł mu sekretnie jego własny kucharz, z którym łączą nas przyjacielskie stosunki. Rodzina Kristoforosa utrzymuje jego chorobę w tajemnicy, bo nie chce, żeby akcje jego firmy spadły na giełdzie. Z kolei sama gra w kasynie też odbędzie się w wielkiej konspiracji, bo żadnemu z graczy nie zależy na rozgłosie, zwłaszcza zaś Księciu von Holstein–Sonnenberg, który jest skoligacony holenderskim domem panującym. Tak więc, messer Ricardo, uważamy, że doszliśmy do porozumienia. Proszę nas oczekiwać w przyszłym tygodniu.

W wigilię owego dnia gry, dwudziestego drugiego sierpnia rano, zawitał do sklepiku messer a Ricarda don Ottaviano Simone, zastępca szefa rodziny mafijnej rządzącej Kalabrią. To on odkrył messera Ricarda i wpadł na pomysł wykorzystania go w Monte Carlo, i jemu mafia zleciła organizację całego

przedsięwzięcia. Don Ottaviano przywiózł ze sobą trzech ludzi, którzy mieli grać rolę służących Kristoforosa i duży neseser zawierający milion franków w banknotach tysiącfrankowych.

O godzinie dziesiątej messer Ricardo wsiadł z synem, don Ottavianem i „służącymi” do samochodu i dał się powieźć do Neapolu, gdzie wszyscy przesiadli się do pociągu. Następnego dnia, o piętnastej, przed kasyno w Monte Carlo zajechały luksusowy bugati z panem Kristoforosem i jego synem oraz mniej luksusowy renault z osobami towarzyszącymi. Dyrektor kasyna powitał armatora jak udzielnego monarchę i osobiście wprowadził go do wspaniałego apartamentu hotelowego oznaczonego numerem ósmym.

W godzinę później armator vel messer Ricardo wymienił milion franków na sztony i udał się do gabinetu gry, gdzie już czekali na niego wszyscy partnerzy. Po prezentacji, której dokonał dyrektor, po wzajemnych komplementach i kieliszku koniaku, panowie zasiedli do gry.

Przez pierwsze dwie godziny gra toczyła się własnym torem. Messer Ricardo ingerował w układ kart w talft rzadko, dbając tylko o to, by nie przegrać więcej jak pięćdziesiąt tysięcy franków. Przez cały czas wygrywał Dolcini, najwięcej przegrywał książę. Około dziewiętnastej geniusz pokera uznał, że nadeszła pora rozstrzygnięcia. Właśnie przyszła jego kolej do rozdawania kart rozdał więc: księciu von Holstein–Sonnenberg trzy króle panu Rusfeldowi od razu fula–maxa, Dolciniemu cztery kara i kierową damę, sobie zaś cztery piki i dziewiątkę trefl. Spowodowało to duże ożywienie, które wszyscy panowie starannie maskowali. Książę dobrał czwartego króla i znalazł się w posiadaniu karety. Dolcini wyrzucił damę i w zamian otrzymał ósemkę karo, co razem dawało mu karowy kolor. Zaś messer Ricardo pozbył się dziewiątki trefl i zastąpił ją pikowym waletem, co w efekcie uczyniło go potentatem, gdyż miał pikowego pokera! Każdy z nich był pewien wygranej, toteż licytacja trwała długo...

W momencie, kiedy doszło do sprawdzenia, w puli leżały sztony o wartości trzech i pół miliona franków! Messer Ricardo odkrył i położył swoje karty na stole jako ostatni. I był pierwszym, który zauważył swą pomyłkę. W jego piątce obok pikowych: damy, waleta, dziesiątki i ósemki leżała... dziewiątka trefl! Nie miał więc pikowego pokera, nie miał nawet jednej pary, nie miał w karcie niczego! Był goły i skompromitowany, bo z jakiejś niepojętej przyczyny, przez roztargnienie, które nigdy przedtem nie było jego udziałem w czasie gry, popełnił błąd straszliwy, jakiego nie popełniłby laik siedzący po raz pierwszy przy zielonym stole — wyrzucił podczas wymiany dziewiątkę pikową zamiast treflowej!

Wstał od stołu ze zbielałą twarzą, myśląc o tym, co teraz zrobi don Ottaviano.

— Pan już nas opuszcza, Herr Kristoforos? — spytał jego Książęca wysokość.

— Tak... chwilowo... muszę się otrząsnąć... taka pomyłka Boże...

— Ach, to się zdarza każdemu — mruknął Rusfeld. — Wreszcie taka suma, cóż to dla pana...

— Tak, oczywiście, to nic wielkiego, ale poczułem się trochę niedobrze...

— Kiedy rewanz? — spytał książę. — Służymy panu każdej chwili, Herr Kristoforos. Może jutro albo pojutrze?

— Może... tak... powiadomię panów przez dyrektora.

— Może koniaku, to dobrze robi — zaproponował Dolcini.

— Dziękuję... dziękuję panom, do zobaczenia.

I wyszedł. Na korytarzu zatrzymał się i oparł o ścianę. Przez moment chciał uciekać, ale przypomniał sobie, że zostawił w pokoju syna. Zresztą dokąd mógłby uciec?

Kiedy otworzył drzwi do swego apartamentu, don Ottaviano zerwał się z fotela i krzyknął:

— No i co?... Ile?

— Panie Simone, ja... — wyszeptał messer Ricardo i nie dokończył.

Tamten wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, aż nagle dotarło doń, ta twarz i przerażone oczy powiedziały mu wszystko.

— Przegrałeś? — spytał cicho.

— Panie Simone... to... to była pomyłka, ja... wymieniłem nie tę kartę, którą... którą miałem wymienić, pomyliłem się... sam nie wiem, jak to się stało...

— Przegrałeś?! — zawył don Ottaviano. — Przegrałeś nasze pieniądze, ty szcurze?! Milion franków?!

— Panie Simone... ja...

Wargi messera Ricarda trzęsły się, nie mógł mówić.

Mafioso złapał się za głowę i jęknął:

— Santa Madonna!... Don Antonio ci tego nie daruje!... Co ja mu teraz powiem?! Co ja mu powiem, ty bydlaku?!

Sięgnął za rozpięcie marynarki i zamarł w tym ruchu, przytomniał z wolna. Wyjął powoli pustą dłoń i syknął.

— Jeszcze się zobaczymy!

Messer Ricardo cofnął się pod ścianę i cały drżał. Drżał nawet wówczas, gdy tamci wyszli. W chwilę później wybiegł za nimi jego syn. Dopędził ich na ulicy, gdy wsiadali do aut.

— Don Ottaviano... chwileczkę... niech pan zaczeka!

— Czego?! — warknął mafioso.

— Ojciec zwróci panu te pieniądze.

— Co?

— Mówię, że ojciec zwróci...

— W jaki sposób?

— Wygra. Ta przegrana to był głupi przypadek, pomyłka... Jeśli da mu pan jeszcze jedną szansę, odegra to zawiązką.

— Czyli że musiałbym dać mu jeszcze jeden milion?

— Tak.

— Słuchaj, synu — powiedział don Ottaviano zbliżając swoją twarz do twarzy młodzieńca — twój stary to już żywy trup! Nie darujemy mu tego, a ja modłę się, żeby mnie darował padrone. Bo teraz ja muszę zwrócić te pieniądze organizacji i nie wiem, na Boga, jak mam to zrobić, skąd wziąć! A ty chcesz, żebym poprosił don Antonia o jeszcze jeden milion!

— Tak, don Ottaviano. Wówczas otrzyma pan z powrotem wasze dwa i jeszcze drugie tyle wygranej... Proszę pana! Ojciec jest wirtuozem, wygrywa, kiedy chce...

Nagle ujrzeni obok messera Ricarda. Stał trzęsąc się i starał się coś powiedzieć, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło.

— Ojcie! — krzyknął rozpaczliwie młodzieniec, chwytając starego człowieka w ramiona.

— Nie róbmy zbiegowiska na ulicy! — wycedził don Ottaviano. — Do wozu!

Wciągnęli messera Ricarda do samochodu jak bezwładną kukłę. Za miastem zjechali w boczną drogę i stanęli nad brzegiem morza. Syn messera Ricarda spojrział ojcu w twarz i ujrzał szeroko otwarte oczy trupa, z których wyzierało potworne przerażenie. Zabił go strach. Don Ottaviano powiedział do chłopaka:

— Wsiadaj!

— Panie Simone, mój ojciec nie żyje!

— Widzę, zaoszczędził nam kul. Wsiadaj!

— Pan chce mnie zabić?

— Muszę, nie zostawiam świadków. Weźcie go, chłopcy!

— Nie chce pan odzyskać tego miliona?

— Co?!... A jak mogę?

— Ja panu zwrócę.

— Ty?

— Ja. Gram nie gorzej od ojca, mogę rozdać karty tak, jak tylko chcę. Niech pan mi da talie, a udowodnię to. Ojciec uczył mnie przez wiele lat i nauczył wszystkiego. Ostatnio byłem już od niego lepszy, bo mam młodsze ręce. W kilka godzin ogram ich do dna!

Don Ottaviano zawahał się.

— Nie łżesz?

— Przysięgam panu!

— Jeśli kłamiesz, to poćwiartuję cię żywcem!... Chłopcy, wyrzućcie ciało starego i zawracamy!

Z ciałem messera Ricarda nie było kłopotów. Stali przy nadmorskim urwisku i wystarczyło zrzucić je w dół. Potem wrócili do hotelu przy kasynie i syn messera pokazał im, co potrafi robić z kartami. Goryle don Ottaviana nie mogli powstrzymać zachwytu i bili brawo, zaś sam don Ottaviano poszedł do dyrektora i oznajmił, że pan Kristoforos czuje się źle i prosi, by rewanż udzielono jego synowi. Propozycja została przyjęta.

W pół godziny później don Ottaviano wyjechał z Mote Carlo. Wrócił po dwóch dniach, wszedł do apartamentu, numer osiem i położył na stole pełny neseser.

— Don Antonio zgodził się. Masz tutaj milion. Ale nie pomyśl się, bo wówczas ja umrę, ale ty przede mną i w taki sposób, że nie życzyłbym najgorszemu wrogowi!

Rewanż rozegrano dwudziestego szóstego sierpnia w piątek. Po trzech godzinach gry syn messera Ricarda rozdał karty do decydującego ataku. W puli znajdowały się trzy miliony franków, kiedy Rusfeld przebił o półtora miliona. Dolcini spasował, a księżę przebił jeszcze o trzy miliony. Wówczas młodzieniec wstał i powiedział:

— Przepraszam panów, ale nie mam przy sobie sumy wystarczającej do sprawdzenia. Muszę iść po pieniądze do swego pokoju. Proszę, żeby pan dyrektor zechciał zapieczętować moje karty.

Dyrektor kasyna zerwał się z miejsca.

— Bardzo chętnie, służę panu.

— Chwileczkę, czy tylko pan sprawdza, czy będzie pan przebijał? — spytał księżę.

— Nie wiem. Muszę uzgodnić to z ojcem, gdyż gram za jego pieniądze. Za chwilę wrócę.

W apartamencie numer osiem odbyła się następująca rozmowa:

— Don Ottaviano, doszło do zderzenia — oświadczył syn messera Ricardâ.

— Co to znaczy?



— To znaczy, że na stole jest siedem i pół miliona franków, a ja, żeby sprawdzić, muszę mieć jeszcze trzy miliony. Jeśli mi ich nie dacie, stracimy wszystko. Ale jeśli dacie, wygramy najmniej sześć i pół miliona!

Młodzieniec spodziewał się, że Mafioso wpadnie w szal, ale reakcja don Ottaviana była zupełnie inna. powiedział spokojnie:

— Przewidziałem taką możliwość, a raczej przewidział don Antonio. On jest w mieście, zaraz do niego zadzwonię. Tylko czy tym razem...

— Nie ma mowy o pomyłce, don Ottaviano. Przysięgam panu na Zbawiciela i na jego Matkę, że wiem, co robię i że się nie pomyliłem!

— Co masz w karcie?

— Karowego pokera! Dolcini miał fula i spasował. Von Holstein i Rusfeld mają po karcie, z tym, że księżę wyższą. Właśnie jego chcę sprawdzić.

— Czy można zobaczyć twoje karty, synu?

— To niemożliwe, nie zgodzono by się na to. Poza tym zostały zapieczętowane w kopercie, zanim opuściłem gabinet dyrektora. Ale proszę się nie obawiać, don Ottaviano, już wygraliśmy, nie wiadomo tylko ile.

— Od czego to zależy?

— Od dwóch rzeczy. Czy Rusfeld też sprawdzi. Jeśli tak, to zyskamy półtora miliona więcej. Poza tym mogę jeszcze przebić, a wówczas...

— Co wówczas?

— Wówczas sędzę, że Rusfeld spasuje, chociaż to nie jest pewne, bo włożył już zbyt dużo do puli i będzie chciał tego bronić. Natomiast księżę sprawdzi prawie na pewno.

— O ile chciałby przebić?

— Niedużo, żeby nie przestraszyć księcia. Ale jeśli dołożę jeszcze trzy miliony, sędzę, że wówczas sprawdzi.

— Łącznie więc potrzebujesz aż sześciu milionów?

— Po to, żeby wygrać dziewięć i pół albo więcej, jeśli sprawdzi także Rusfeld.

Don Ottaviano zagwizdał cicho.

— Straszne pieniądze!... Dobrze, synu, wracaj tam i czekaj na mnie.

Dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi gabinetu dyrektora. Ten wstał i otworzył. Don Ottaviano podał mu pudełko z banknotami, mówiąc: |

— Tu jest sześć milionów franków. Proszę je przeliczyć wymienić na sztony i wręczyć synowi pana Kristoforosa.

Kiedy dokonano tej operacji, syn messera Ricarda powiedział:

— Panowie, wyrównuję do księcia i przebijam o trzy miliony.

Von Holstein zareagował natychmiast:

— Sprawdzam pana.

— Proszę nie odzywać się „przez rękę”, książę! — skarcił go dyrektor, który nadzorował grę. — Głos ma teraz pan Rusfeld!

Rusfeld długo wpatrywał się w swoje karty.

— Trudno! — powiedział w końcu z determinacją — Jestem chyba za słaby, ale... ale dam! Zaraz przyniosę pieniądze.

— Ja też, tak jak mówiłem! — powiedział książę. — Ale przedtem muszę wycofać pieniądze z konta. To potrwa pół godziny. Proszę zapieczętować moje karty.

— Nie wszyscy naraz! — odezwał się dyrektor. — Tylko jeden z panów może być nieobecny.

Najpierw przyniósł pieniądze Rusfeld. Potem wyszedł książę. Wrócił po chwili i powiedział:

— Moi ludzie już to załatwiają. Zadzwońłem do banku. Za kilkanaście minut dyrektor banku przywiezie pieniądze mojemu szambelanowi.

— Świetnie — rzekł na to syn messera Ricardo — wobec tego pozwolą panowie, że wyjdę do ubikacji.

— Nie musi pan, mam tu własną, te drzwi — wskazał mu dyrektor.

Młodzieniec wszedł do toalety, zamknął drzwi na zasuwkę i skonstatował z zadowoleniem, że plan hotelu, który obejrzał poprzedniego dnia, nie kłamał. Rozpiął koszulę i odwinął taśmę, którą był obwiązany. Zrobił na niej kilkanaście supłów, przywiązał jeden koniec do rury, drugi zaś wyrzucił przez okienko na zewnątrz. Potem położył na sedesie zieloną kopertę, przylepił sobie brodę i wąsy, założył perukę, podciągnął się, przecisnął przez okno i spuścił na dół.

W niecałe pół godziny później dyrektor kasyna wybiegł na korytarz i niemal wpadł na czekającego pod drzwiami don Ottaviana.

— Niech pan pozwoli, szybko!

— Co się stało?

— Syn pana Kristoforosa uciekł!

— Jak to uciekł?! Czyście powariowali?!

— Ależ proszę pana!... On naprawdę... ja tego, doprawdy, zupełnie nie pojmuję!

— Którędy uciekł?!

— Przez okno mojej toalety. Mój Boże, dlaczego on to zrobił?!... Zostawił tę kopertę z listem...

Don Ottaviano wyrwał mu z ręki kartkę papieru, na której było napisane: „*Dokończ za mnie tę grę, signor Simone*”. Zaskoczeni gracze ujrzeli, jak don Ottaviano sinieje i jak ręce zaczynają mu drżeć.

— Gdzie są jego karty?! — wyharczał.

Rozerwał kopertę i wyrzucił karty na stół. Była tam para ósemek, walet, dziesiątka i król! Książę von Holstein–Sonnenberg krzyknął:

— Mein Gott! Przecież tam nic nie ma, tylko para ósemek!... On blefował!... Ja mam karete asów! A pan, panie Rusfeld?

— Karete ósemek, niestety!

— Więc wygrałem! — wrzasnął uradowany książę. — Nigdy w życiu nie wygrałem tyle w jednym rozdaniu. Fantastyczne!

— Rzeczywiście — przytaknął Rusfeld — ma pan szczęście, książę, gratuluję... Ale ten młody człowiek, co to za maniery! Nie sądzę, żeby jego ojciec podziękował mu za takie zachowanie.

Don Ottaviano nie słyszał o czym mówili. Stał i patrzył w ścianę, a w oczach miał to samo przerażenie, ten sam potworny strach, który zabił messera Ricardo i w który syn messera ubrał teraz jego. Gdzieś tam, za murami hotelu, czekał padrone don Antonio, a świat stał się pustynią bez dróg, którymi można uciec. Don Ottaviano odwrócił się i wyszedł na korytarz martwym krokiem manekina.

Zaraz potem obecni w gabinecie dyrektora usłyszeli strzał. Kiedy wybiegli za drzwi, ujrzeli don Ottaviana, leżącego pod ścianą, z oderwanym wierzchem czaszki i rozprysniętym mózgiem...

— I to już wszystko — powiedział Armand.

Zamyśliliśmy się. Pierwszy przerwał to milczenie Karol, mówiąc:

— Wiele ryzykował. Gdyby w toalecie dyrektora nie było okna?...

— Wówczas znalazłby pretekst do wyjścia gdzie indziej — odpowiedział Armand. — Poszukałby innego wykrętu lub też... popełniłby samobójstwo. Miał przy sobie rewolwer i liczył się z taką możliwością, z tym że przedtem zastrzeliłby don Ottaviana. I to byłaby klęska, bo nie o to mu chodziło... Chciał, żeby tamtego zabił strach, ten sam strach, który zabił jego ojca.

— Czy mafia nie próbowała go odnaleźć? — spytał z kolei Gabriel.

— Nie wiem. Chyba tak, ale zaszył się w Indiach i zmienił nazwisko, nie zdołali go dopaść. Powrócił do Europy po trzynastu latach.

Chciałem i ja o coś zapytać, ale powstrzymałem się. Chciałem zapytać, skąd zna tak dokładnie wszystkie szczegóły tej sprawy, ale pomyślałem sobie, że byłoby to czymś więcej niż pokerowym błędem — byłoby to najzwyczajszym chamstwem.

# TWOJA MAMUSIA MUSI BYĆ ŚLICZNA...

Będzie to opowieść o zawodowym mordercy, dobrym strzelcu i równym kumplu, Franciszku Madellinie. A także o małej dziewczynce imieniem Alicja.

Kilka danych personalnych: Franciszek Madellin (nazwisko matki) urodzony 23 sierpnia 1932 roku w Oranie, wzrost 1,84 m, włosy czarne, oczy niebieskie; znaki szczególne: duża blizna postrzałowa na lewym udzie i tatuaż poniżej lewego łokcia (litery CES plus koło przecięte na krzyż); wykształcenie: nie ukończone średnie, dwanaście lat służby w oddziałach specjalnych (dywersja) w Wietnamie i Algierii (specjalność: snajper), odznaczenie bojowe za Dien Bien Fu (znajdował się w ostatniej grupie, która wyrwała się z oblężenia); zawód wyuczony: kierowca–mechanik; zawód wykonywany po demobilizowaniu: morderca do wynajęcia; ostatni zawód wykonywany: główny „ass” (od „assassin” —zabójca) czyli spec od wykonywania wyroków w gangu korsykańskim Paola Casalty. Ostatnie pseudo: „Tino”.

Kilka danych dotyczących dziewczynki: Alicja de Tournon, córka francuskiego „króla anyżku”, urodzona 12 stycznia 1969 roku w Paryżu, wzrost znormalizowany, włosy blond, oczy niebieskie.

Rankiem 3 grudnia 1976 roku, tak jak każdego z poprzednich dni, Alicja została odwieziona do szkoły przez specjalnego szofera, specjalnie do tego przeznaczonym mercedesem. Była godzina 10.15. Szofer wysadził dziewczynkę i obserwował, jak wchodzi wraz z gromadką innych dzieci do przyszkolnego ogrodu. Kiedy zniknęła w drzwiach budynku, zawrócił. Po ostatniej lekcji, o godzinie 13. 30, Alicja opuściła szkołę i wsiadła do tego

samego zielonego mercedesa, który jak zwykle czekał na nią przy krawężniku w odległości kilku metrów od furtki w ogrodzeniu.

Alarm wszczął ojciec jej koleżanki Lucille. Lucille, córka urzędnika bankowego, mieszkała w pobliżu willi de Tournonów i przyjaźniła się z Alicją, toteż często szofer „króla anyżku” zabierał ze szkoły obie dziewczynki. Tym razem stało się inaczej. Lucille po powrocie do domu poskarżyła się rodzicom, że *„ten pan w samochodzie odepchnął ją i był tam jeszcze drugi pan i ten, który ją odepchnął, to był całkiem inny pan i...”*. W tym momencie ojciec Lucille zerwał się od stołu strącając butelkę wina, chwycił za słuchawkę telefonu i połączył się z prefekturą. Zielonego mercedesa odnaleziono w lesie, trzydzieści kilometrów od Paryża. Szofera w Paryżu, w Sekwanie.

Tego samego dnia porywacze nawiązali pierwszy kontakt z de Tournonem. Rozpoczęły się pertraktacje, o których policja i prasa wiedziały niewiele. I zapewne pertraktacje te zakończyłyby się szybko sukcesem, gdyby policja okazała się mniej ciekawa i mniej natrętna. Porywacze nie zamierzali tolerować trzeciego partnera w grze, toteż rozmowy rwały się i przeciągały, policja zaś, mimo nacisków de Tournona, nie zamierzała postępować według zasady „laissez faire”.

Tak minęło kilka miesięcy, dla państwa de Tournon najczarniejszych miesięcy w życiu, aż przyszło lato i czas Franciszka Madellina pseudo „Tino”.

1 lipca 1977 roku Madellin wszedł do nadmorskiej rezydencji Casalty w Ajaccio, strzeżonej dniem i nocą przez psy i chłopców z obstawy. Znalazł się tam po raz pierwszy, do tej pory rozkazy przekazywano mu przez łącznika. Z szefem widywał się rzadko, tylko podczas narad odbywanych na zapleczu knajpy Ramona albo w samochodzie na przybrzeżnej autostradzie. Teraz wprowadzono go do „zamku”, rozumiał więc, że idzie o coś naprawdę wielkiego. Czuł dumę — zaproszenie do tego wnętrza było czymś w rodzaju nobilitacji.

Siedział w różowo tapetowanym hallu, na kanapie, obok gigantycznej donicy z jakąś egzotyczną rośliną i czekał. Naprzeciw niego warował w fotelu jeden z goryli starego, „Rubin”, tłusty wieprz ze szklanymi oczami, wiecznie ssący miętówki. Madellin nie lubił „Rubina”. Patrząc na jego nieustannie ruszającą się szczękę miał zawsze ochotę wyrznąć w nią pięścią tak, żeby miętówki zmieszały się z zębami. Odwrócił wzrok.

Za szklaną ścianą rozciągał się pomieszany lazur morza i nieba i tylko cienka smużka okrętowego dymu rysowała w oddali granicę między oboma królestwami. Chciał zapalić, ale nie dostrzegł żadnej popielniczki i pomyślał, że może nie wypada, tak tutaj czysto... „Rubina” nie chciał pytać, schował papierosa z powrotem do pudełka i znowu zapatrzył się w szybę.

Nagle rozległo się ciche brzęczenie. „Rubin” wstał, prawą dłonią otworzył ciężkie, brązowe drzwi, lewą zaś wykonał w kierunku Franciszka ruch, który znaczył: włącz, baranie! Madellin przeszedł przez cały hall, zapadając się w dywan i obiecując sobie, że kiedyś policzy miętówki w tej gębie, przekroczył próg i usłyszał, jak drzwi zamykają się za nim.

W pokoju panował półmrok. Story były zaciągnięte, a ciemność rozpraszała tylko lampka na biurku, przy którym siedział Casalta. Madellin z trudem przyzwyczyił wzrok do tego wnętrza. Zrobił nieśmiało krok do przodu.

— Jestem, szefie.

— Siadaj! — Casalta wskazał mu fotel. — Jest robota, pojedziesz do Bretanii.

— W porządku, szefie.

— Słuchaj, Tino, to jest ważna robota, cholernie ważna! Jeśli ją wykonasz, zarobisz więcej niż normalnie przez rok... Słyszałeś o tej małej porwanej w Paryżu?

— Jasne szefie, gazety i telewizja trąbią o tym od kilku miesięcy. Glinom coś kiepsko idzie...

— Otóż to. Gliny były na dobrej drodze, ale przedobrziły, pchały się zbyt nachalnie... Teraz nic nie wiedzą i są bezradni, a ci, którzy chapnęli małą, zerwali pertraktacje i zamilkli. Jej starzy wpadli w panikę, nie są nawet pewni, czy mała żyje. Niecały miesiąc temu jej ojciec nawiązał z nami kontakt. Daje milion franków za wiadomość o małej i dziesięć milionów za jej dostarczenie. Od wczoraj wiemy, gdzie ona jest. Porwali ją Marsylczycy, ci od Grubego Marcela...

— Przecież on wacha trawę, szefie, rąbnięto go w maju...

— Dlatego jego ludzie zamilkli. Mają teraz chaos w organizacji, skaczą sobie do oczu o szefostwo. Przerwali pertraktacje do momentu wyklarowania się sytuacji. Z tego, co wiem, szefem będzie Coulon, może już jest, udało mu się wyeliminować La Bottę...

— Aaaa, to stąd ta strzelanina w Casino de Monte-Christo!

— Zgadłeś... Widzisz, Tino, teraz mamy okazję, żeby zapłacić im za ten numer z narkotykami, który zrobili nam przed rokiem. Ale musimy się spieszyć!... Trzymają ją na farmie w okolicy Plouescat.

Casalta wstał, podszedł do starej, pięknie rzeźbionej sekretery, otworzył szufladkę i wyjął mapę. Rozłożył ją na biurku i przez chwilę studiował. Franciszek zmrużył oczy, światło bijące od lampy raziło go.

— Chodź no tu — powiedział Casalta — popatrz, to tutaj.

Cienki palec starego wskazywał punkt w Bretanii blisko wybrzeża, kilka kilometrów od La Manche.

— Pojedziesz tędy albo nie... tędy...

Palec zaczął sunąć przez Francję, aż dotarł ponownie do owego punktu.

— Tutaj gdzieś jest ta farma.

— Jak się nazywa? — spytał Franciszek.

— Mówią na nią „Farma starego Raoula”. Małej pilnują dwaj faceci i kobieta, która im gotuje.

Casalta rozparł się wygodnie i spojrzał Franciszkowi w twarz.

— Tino... Nie wolno ci spaprać tej roboty! Przywieziesz mi tę małą i nie pożalujesz... Muszę ją mieć! Widzisz, chłopcze, to jest prosty rachunek: milion już mamy za sam adres, ale ja chcę ją mieć, bo umiem liczyć i wypada mi, że dziesięć milionów to więcej niż jeden... Ale muszę ją mieć nietkniętą, nietkniętą, zrozumiałeś?

— Jasne, szefie.

— W porządku. Dam ci dwóch chłopaków i alfa romeo...

— Wolę jechać sam, szefie.

— Dlaczego?

— Szefie... ja zawsze pracuję sam.

— Tino, ale...

— Szefie, głupia strzelanina mogłaby małej zaszkodzić, prawda? A ja mam zaufanie tylko do samego siebie. Dam sobie radę sam.

— Jak chcesz — mruknął Casalta — ale nie wracaj mi bez małej albo z wiadomością, że ona nie żyje!... Przywieziesz ją do Cannes, do willi Maria.

Tego samego dnia Franciszek Madellin vel „Tino” ruszył w drogę. Po dopłynięciu promem do Nicei, przeciął Francję z południowego wschodu na północny zachód przez Lyons, Nevers, Tours i Rennes. Po raz drugi przemocował w Morlaix, około trzydziestu kilometrów od celu.

Wynajął pokój w małym hoteliku i chciał jak najszybciej położyć się do łóżka, ale na schodach zaczepiła go córka właściciela. Miała długie czarne włosy spadające na plecy i końskie zęby, które jej nie szpeciły. Powiedziała, że zaraz przyjdzie zmienić pościel. Powiedziała to tak, że już wiedział. Przewrócił ją chichoczącą na goły materac i szalał przez godzinę, aż się zmęczył. Potem wziął kąpiel i zasnął ciężkim snem.

Śniła mu się dżungla wietnamska. Uciekał przed partyzantami miotając za siebie granaty i strzelając bez przerwy z automatu, nogi zapadały mu się w bagno, coraz głębiej, woda sięgnęła mu piersi, próbował dotrzeć do kępy krzewów, na której siedziała dziewczynka wyciągająca do niego ręce, szarpał się jak oszalały w mule, zachłystywał wodą, zaczął krzyczeć rozpaczliwie... Ocknął się spocony obok łóżka i przez kilka minut siedział na podłodze,

oddychając ciężko. Kiedy ponownie się położył, długo nie mógł zasnąć i wpatrywał się w sufit przecięty smugą światła z ulicznej latarni.

Obudził się późno i leżąc przyglądał się obrazkom, którymi właściciel hotelu ozdobił pokój. Były tam jakieś martwe natury, akty, sceny myśliwskie, a także wizerunek młodej kobiety trefiącej włosy małemu chłopcu.

Wstał, umył się, ogolił, ubrał i sprawdziwszy, czy drzwi są zamknięte na klucz, rozłożył pistolet, kładąc wszystkie części na stoliku pod oknem. Przeczyścił je jeszcze raz, złożył, sprawdził, czy mechanizm spustowy funkcjonuje tak miękko jak powinien, i dopiero wówczas opuścił hotel. Dziewczyna pożegnała go wdzięcznym uśmiechem, a w jej „do zobaczenia” pobrzmiwała bezwstydna nadzieja.

W południe zjadł porządny, kilkudaniowy obiad w knajpce na rogu i kupił dokładną mapę okolicy. Farmy nie były na niej zaznaczone. Po południu ruszył trasą wzdłuż wybrzeża, przez St. Pol de Leon do Plouescat. Po obu stronach szosy migotały między drzewami pofałdowane krajobrazy, pełne ciepłej, lipcowej zieleni, upstrzonej domkami z kamienia i stadami owiec bez pastuchów. Słońce rzucało głębokie cienie, usypiając ziemię. Szosa była prawie pusta, czasami tylko mijał rowerzystę lub chłopski wózek.

W pobliżu miasteczka, za jakąś wiosczyną, zatrzymał wóz przy staruszce w białym koronkowym czepcu bretońskim.

— Matko, gdzie tu jest... — krzyknął, lecz ona, nie pozwalając mu dokończyć, otworzyła drzwiczki i pakując się na siedzenie obok niego, wysepleniła:

— Dziękuję ci, synu, dziękuję... Chociaż do kościoła już blisko, ale moje nogi stareńkie, a i tak jestem spóźniona. Musisz wiedzieć, że ksiądz Duvernois nie lubi spóźnialskich... Pan Bóg ci wynagrodzi za dobre serce. Tu musisz skręcić, o tu, w lewo...

Zanim ją wysadził przed małym spatynowanym kościołkiem, którego dzwonnice wieńczyło bocianie gniazdo, dowiedział się, że „Farma starego Raoula” leży dwa kilometry za Plouescat, po prawej stronie drogi, że nikt tam od dawna nie mieszka i że pozna ją po wielkiej, wymalowanej w żółte pasy, kamiennej stodole z nadpalonym dachem.

Przez wymarłe Plouescat przejechał w kilka minut, nie zatrzymując się. Za miastem zwolnił i uważnie spoglądał na prawo. Dwukrotnie, widząc w prześwitach zieleni jakieś zabudowania, zatrzymywał się, by skonstatować, że to jeszcze nie to i ruszał dalej. Za trzecim razem ujrzał cel do którego zdążał. Żółte pasy na ruinie stodoły wyblakły od deszczu i wiatru, a słońce wybieliło je jeszcze bardziej, ale były widoczne i nie mogło być wątpliwości, że to jest właśnie „Farma starego Raoula”.



W tym akurat miejscu, w którym ujrzał ją przez okno samochodu, nic nie osłaniało widoku na szosę i z szosy, przejechał więc, nie zwalniając, by nie wzbudzić podejrzeń. O kilkaset metrów dalej skręcił w leśną drogę i zaparkował wóz wśród drzew, na małej polanie. Starannie sprawdził, czy wszystkie drzwiczki samochodu są zamknięte i ruszył przed siebie, pochylony nisko, stąpając jak kot.

Dotarłszy do skraju lasu ujrzał otwartą przestrzeń, zaniedbane pole, pełne chwastów i dzikich kwiatów. Przeczółgał się przez nie do zasłony z krzewów rosnących nad błotnistym rowem i leżąc w wysokiej trawie wpatrywał się w zabudowania przez lornetkę.

W ciągu pierwszej godziny nie dostrzegł najmniejszych oznak życia. Wreszcie czyjaś ręka otworzyła okiennicę. Gdy zaczęło się zmierzchać, ukazał się mężczyzna z wiadrem. Rozejrzał się bacznie na wszystkie strony, potem szybko napompował wody na podwórzu i zniknął w drzwiach do niskiego budynku flankującego stodołę. Potem znowu zapanował bezruch, drażniąca martwota okrywana szarością gasnącego dnia.

Zmierzch zapadał powoli, dłużył się niemiłosiernie wilgotniejącą trawą i chłodem wędrującym z ziemi poprzez trawy w ciało Franciszka. Łokcie bolały go, przewracał się więc z boku na bok, trzymając lornetkę na przemian lewą albo prawą ręką i ani na moment nie przestał obserwować budynku. Kiedy minęła dziewiąta, ściągnął z grzbietu skórzaną kurtkę i położył pod siebie, po czym nakręcił tłumik na wylot lufy pistoletu i znowu wbił oczy w szkła lornetki. Widział coraz mniej wyraźnie. Ściany domu rozpływały się w mroku, milczące, zda się obumarłe i puste, lecz on czuł przez skórę sekretne życie które pulsowało we wnętrzu.

Poczekał jeszcze kwadrans i podniósł się. Przeskoczył rów i pobiegł zarośniętą bruzdą do kępy krzewów oddalonej od rozwalonego płotu nie więcej jak o dwadzieścia metrów. Uklęknął i znowu czekał.

Gdy zapadła noc, w jednym z okien rudery błysnęło blade światelko i umarło, zapewne za sprawą kotary. Fosforyzujące wskazówki zegarka poruszały się wolno odmierzając minuty dzielące go od zabijania. Kiedy wskazały jedenastą, zrobił krok w kierunku płotu, potem drugi i trzeci... Zbliżał się niemal po omacku i przez cały czas myślał, co zrobi z psem. Ale psa na szczęście nie było.

Dotknąwszy chłodnego tynku ściany poczuł się pewniej. Przytknął oko do szyby, penetrując wnętrze przez szparę między framugą a odchyleniem kotary.

W dużej izbie lampa naftowa ledwie rozpraszała mrok. Z wielkich wykruszeń tynku wyzierały szorstkie lica kamieni, potężne bloki stropu czerniały nisko nad stołem, obok którego leżała balia i brudne naczynia. Na

sznurach rozwieszonych między szafą a jakimś punktem, którego nie sięgał wzrokiem, wisiała mokra bielizna. Po ścianach i mokrym prześcieradle fruwały cienie owadów kotłujących się wokół lampy. Dawały one pozór życia temu obskurnemu wnętrzu, w którym istoty ludzkie zdawały się trwać w letargu.

Dziewczynka siedziała przy stole i jadła. Miała czarne włosy w lokach i nie była podobnado porwanej. Niezle ją przerobili — pomyślał. Obok niej rosły mężczyzna w kraciastej, rozpiętej na piersi koszuli wbił łokcie w stół i spoglądał tępo w szklanekę wina. Miał na twarzy kilkudniowy zarost, który przeszkadzał Franciszkowi przypomnieć sobie, skąd go zna. Twarz mężczyzny nie była mu obca, toteż przez chwilę mocował się z pamięcią, ale bez skutku. Z drewnianego oparcia krzesła za plecami siedzącego zwisał skórzany pasek od kabury noszonej pod pachą.

Była tam też kobieta. Odwrócona do Madellina tyłem, siedziała na niskim stołku obok starej, dawno wygasłej kuchni i układała na drewnianej skrzyni równe rzędy kart. Brała je z talii troskliwie, czasami z wahaniem, jakby ze strachem, kładła obok już położonych i studiowała uważnie. Jeśli to porządny pasjans, to powinien ci wyjść feralny brunet wieczorową porą — pomyślał drwiąco.

Przez dłuższy czas szukał wzrokiem drugiego mężczyzny. W końcu dostrzegł nogi w butach na łóżku wystającym zza wielkiej szafy.

Zastanowił się. Sytuacja nie była dobra. Nie wiedział, czy kobieta ma przy sobie broń, nie wiedział, czy ten na łóżku śpi, nie wiedział, czy mężczyzna przy stole ma spluwę w wiszącej na krześle kaburze, czy za pasem. Mało wiedział. Za mało. Pierwszego trzeba załatwić tego przy stole, ale strzał w półmroku, gdy obok siedzi dziecko... Najgorszy był problem drzwi. Nie wiedział, czy są zamknięte na klucz, a naciśnięcia klamki nie mógł zaryzykować. Jeszcze raz musiał się uzbroić w cierpliwość. Zrozumiał, że musi czekać, może nawet do rana.

Czekał godzinę. Kobieta położyła dziecko spać w sąsiedniej izbie, a pijącemu poleciła obejść farmę i rozejrzeć się. Mężczyzna otworzył drzwi, wyszedł za próg, spojrział w rozgwieżdżone niebo i ziewnął. W tym samym momencie Madellin, stojąc z ręką wyciągniętą tak, że tłumik niemal dotykał skroni tamtego, nacisnął spust. Kopnięcie w drzwi, dwa skoki, otwarte oczy i usta kobiety, strzał, cichy jak pstryknięcie palcami. Upadła na kuchnię, spadł jakiś garnek, grzmotnęło. Nie widział tego, odwrócony już w kierunku łóżka, ze spustem cofniętym tak, że brakowało dziesiątej części milimetra do strzału. Nieruchomość śpiącego powstrzymała jego palec.

Mężczyzna leżący na łóżku był stary, miał siwe włosy i zapadnięte policzki ze szkarłatną siatką cienkich żyłek. Madellin podszedł bliżej i

przyjrzał mu się. Stara żalosna poczwarka, której obiecano jakiś ochłap za pilnowanie małej. Śpiący zamruczał przez sen i przewrócił się na drugi bok. Madellin włożył mu wylot tłumika w muszlę ucha i po raz trzeci nacisnął spust.

Nasłuchiwał. Z pokoju obok nie dobiegał żaden szmer. Zajrzał tam ostrożnie z bronią gotową do strzału. Dziewczynka spała przykryta kocem, widać było tylko czubek jej głowy. Cofnął się i przeszedł wzdłuż ścian kuchni. Zatrzymał się przy skrzyni okutej na narożach zardzewiałą blachą. Ostatnią kartą w najniższym rzędzie był pikowy walet.

Na podłodze w kącie izby leżał metalowy krążek. Franciszek podniósł klapę i zajrzał w ciemną czeluść. Zobaczył tylko kilka schodków. Zdjął lampę z półki wiszącej na ścianie i poświecił sobie. Pierwszą przyciągnął do otworu kobietę, potem mężczyzn i zepchnął wszystkie ciała do piwnicy. Zamknął klapę i rozejrzał się. Podeszedł do skrzyni, strącił karty na ziemię i przesunął ciężkie pudło w narożnik izby, tak iż całkowicie pokryło klapę. Rozejrzał się i odetchnął. Było dziesięć minut po jedenastej. Nie przypuszczał, że pójdzie tak łatwo.

Zasunął sztabę w drzwiach wejściowych, położył się na tapczanie stojącym obok łóżka dziewczynki i drzemał snem komandosa, gotowy zerwać się na najłżejszy szmer: Wstał o pierwszym brzasku, odszukał samochód i podjechał nim pod dom. Dziewczynka nie obudziła się, gdy przenosił ją na rękach. Ułożył ją delikatnie na tylnym siedzeniu. Skuliła się jak małe zwierzątko, a na twarzy wykwitł jej motyli uśmiech. Wrócił do domu, wziął poduszkę i koc, którym szczelnie opatulił drobne ciało. Dotykając go doznał uczucia dziwnej nieśmiałości. Ruszył tak ostrożnie, jak jeszcze nigdy w swym życiu, klnąc w duchu każdą wyboinę, która zarzucała wozem. Wyjeżdżając na asfalt odwrócił głowę. Dom był tak samo cichy i martwy jak wczoraj, nic się nie zmieniło. Dziewczynka wciąż spała.

Obudziła się dopiero nad ranem, gdy mijali Vannes. Madellin wybrał trasę zachodnią i unikał większych miejscowości, chociaż mała ze zmienionym kolorem włosów nie przypominała porwanej. Obudziwszy się, przyglądała mu się długo bez słowa, patrząc to na jego plecy, to na twarz odbitą w lusterku.

— Serwus — powiedział.

— Dzień dobry — odpowiedziała z wahaniem. — Kim ty jesteś?

— Świętym Mikołajem.

— Nieprawda, kłamiesz!... Widziałam Świętego Mikołaja, on ma długą białą brodę i czerwoną czapkę... I jeszcze laskę!

Widział kiedyś Świętego Mikołaja w domu towarowym rozdającego dzieciom reklamówki i zabawki, za które zapłacili ich rodzice. Stał długo i

przyglądał się, aż ktoś krzyknął, że blokuje dzieciom dostęp. Zawstydził się wtedy, cofnął i szybko odszedł. Dziewczynka milczała, robiąc obrażoną minę.

— Nie noszę teraz białej brody i czerwonej czapki, bo jeszcze daleko do Nowego Roku — wyjaśnił.

— Nie wierzę ci — odburknęła. — Święty Mikołaj nie jeździ samochodem, a ty jeździsz. Nie oszukuj, bo to bardzo nieładnie! Mój tatuś powiedział, że kto oszukuje, idzie do piekła!

A kto nie oszukuje, idzie do dna — chciał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Twój stary, mała, ma już piekło zagwarantowane jak w szwajcarskim banku. Gdyby nie oszukiwał, nie poznalibyśmy się, bo nie miałby milionów i nikomu nie chciałoby się ciebie porywać. Naraz uświadomił sobie, że byłoby mu przykro, gdyby się nie poznali i pomyślał ciepłej o de Tournonie i o jego milionach, które sprawiły ten cud. Dziewczynka też myślała zawzięcie i wreszcie wymyśliła.

— Jak mi powiesz, kim jesteś, to powiem ci, kim ja jestem. Chcesz?... No?... Ja jestem Alicja... Widzisz, mogłam cię oszukać i powiedzieć, że jestem Alicją z Krainy Czarów, a powiedziałam ci prawdę, że jestem zwykłą Alicją. Teraz ty powiedz.

Madellin roześmiał się.

— Zgoda. Jestem Ludwik. Wiozę cię do twoich rodziców.

Dziewczynka klasnęła w ręce, piszcząc z radości:

— Naprawdę?... Och, to cudownie, znudziły mi się już te wakacje! Cały czas musiałam siedzieć w pokoju i było tam brudno i jedzenie było brzydkie i wiesz, nie miałam się z kim bawić. I tam śmierdziało... Naprawdę jedziemy do domu?

— Nie od razu. Najpierw pojedziemy do innego domu, a stamtąd za dzień, dwa lub trzy wrócisz do rodziców.

— A nie możemy od razu? — dziewczynka wyraźnie posmutniała.

— Nie.

— No to trudno... Ale za dwa dni, obiecujesz?

Madellin zastanowił się.

— Nie... nie wiem. Może to potrwać... tydzień, to nie ode mnie zależy...

— No więc za ile?

— Bo ja wiem, może dziesięć dni...

— Mówiłeś, że trzy! Znowu oszukujesz!

— Pomyliłem się, teraz już nie oszukuję.

— No dobrze, ale obiecaj, że najpóźniej za dziesięć dni!

Dziesięć dni powinno szefowi wystarczyć, aż za dużo. Franciszek szybko podliczył w myśli ile mogą potrwać ostatnie rozmowy. Wszystko już było przecież uzgodnione...

— Obiecuję, jeśli ty mi coś obiecasz — powiedział. Zgoda?

— Zgoda!

— Posłuchaj, mała. Kiedy cię ktoś po drodze zapyta, jak się nazywasz, powiesz, że Klara Duval. Zapamiętaj : Klara Duval. Zapamiętasz?

— Dobrze, obiecuję.

— Ale czy zapamiętasz?

— Klara Duval — powtórzyła dziewczynka — czy tak?

— Doskonale, masz świetną pamięć.

— A obietnica? Ja już ci obiecałam, teraz ty!

— Też obiecuję.

Mijali wsie i miasteczka, lasy i pola, wielkie skrzyżowania i stacje benzynowe. Na jednej z nich Madellin kupił dziecku paczkę cukierków, ale przedtem, zanim zatrzymał wóz, upewnił się:

— Pamiętasz, jak się teraz nazywasz?... To znaczy jak masz mówić, kiedy...

— Klara Duval — odpowiedziała dziewczynka.

— Brawo! Nie pomyliłem się, masz rzeczywiście dobrą pamięć.

— Wiem. Pani w szkole powiedziała, że jestem bardzo zdolna. Wszystko pamiętam i wierszyków uczyć się najszybciej... Chcesz, powiem ci wierszyk o...

— Poczekaj, teraz zatrzymamy się, dostaniesz w nagrodę cukierki.

Dziewczynka aż podskoczyła z uciechy.

— Kup takie długie czerwone! — krzyknęła, kiedy wysiadał.

Długich czerwonych nie było, ale te, które kupił, też jej smakowały. Obserwował w lusterku, jak ssie jeden po drugim mlaskając głośno. Każde mlaśnięcie było jak uśmiech, nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy. Naraz dziewczynka dotknęła jego ramienia.

— Zatrzymaj się!

— Po co?

— Muszę się wysiusiać!

Zjechał na pobocze. Potem znowu mijali wsie i miasteczka, a dziewczynka powiedziała mu dwa wiersze i za, śpiewała piosenkę „Sur le pont d’Avignon”. Pod koniec nucili razem... Kiedy poczuła głód, zatrzymał się znowu przy dużej stacji benzynowej, kupił kilka kanapek i sok pomarańczowy. Sam nie jadł, nie czuł głodu. Dziewczynka, skończywszy jeść, powiedziała:

— Wiesz co, zagrajmy w coś. Znasz zabawę w trzy koty za płoty?

— Nie.

— A w kapelusze?

— Też nie.

— Ojej, to ty nic nie znasz? Dlaczego twoja mamusia nie nauczyła cię?... Powiedz jej, zaraz jak wrócisz do domu, żeby cię nauczyła... Albo nie, ja cię nauczę.

— Nie teraz, mała, nie mamy czasu. Musimy szybko dojechać na miejsce.

— No dobrze, ale nie zapomnij powiedzieć swojej mamusi, żeby cię nauczyła. Czy ona kupuje ci zabawki?

— Tak — burknął na odczepnego.

— A lody?

— Też.

— A ty kupisz mi loda? Tak dawno już nie jadłam loda...

W najbliższym wiejskim sklepiku kupił jej porcję lodów. Skończywszy lizać stwierdziła z przekonaniem:

— Twoja mamusia musi być śliczna.

— Dlaczego? — zdziwił się.

— Bo kupuje ci zabawki i lody... A w ogóle to wszystkie mamusie powinny być śliczne. Moja jest bardzo śliczna, twoja też, prawda?

Ledwo pamiętał matkę. Należała do tych matek, które nie znają ojców swych dzieci. Wykończyła się w tanim burdelu w Oranie. Nie kupowała mu nic poza łachami i książkami do nauki. Kiedy umarła, zwał ze szkoły, pamiętał, że miała czarne włosy, wielkie czarne oczy, których nie odziedziczył, okrągłe kolczyki w uszach i wąskie żyłaste dłonie z żółtymi bransoletami, które brzęczały czułością, kiedy się przytulał zbity pałkami przez policjantów.

Obiad zjedli w Bergerac. Dziewczynka gryzła powoli, musiał pokroić jej mięso na drobne kawałki i usunąć żyły. Niecierpliwił się. Czekać, aż skończy jeść, zauważył przez szybę restauracji policjanta zagląającego do alfa romeo.

— Poczekaj, zaraz wracam! — szepnął dziewczynce i wybiegł.

Okazało się, że zaparkował w niewłaściwym miejscu. Zapłacił mandat i odprowadził wóz na pobliski parking. Kiedy wrócił, miejsce dziewczynki przy stoliku było puste. Poczł, jak robi mu się słabo, a nie była to obawa przed Casaltą. Zaczepił kelnera:

— Garçon, gdzie jest ta mała?

— Która mała, proszę pana?

— Ta, która była ze mną! — krzyknął.

Kelner wytrzeszczył oczy i jęknął:

— Boże, to boli! Ouuuu!... Niech pan mnie puści!

Rozluźnił uścisk na ramieniu przerażonego chłopaka.

— Gdzie ona jest?!

— Nie wiem... naprawdę nie wiem. Siedziała tu sama i jadła. Potem wyszła z jakimś facetem.

— Kiedy?!

— Przed chwilą, dopiero co... ja nic nie wiem, proszę pana, ja...

Wybiegł półprzytomny. W drzwiach dogoniły go słowa barmana: „*wariat, prawdziwy wariat, widzieliście, jak patrzył na Karola?*” Skrecił w boczną uliczkę i przebiegł kilkanaście metrów, zawrócił pędem i dotarł do drugiej — ani śladu dziewczynki! Na czoło wystąpił mu pot, a pod czaszką pojawił się obraz zboczeńca zrywającego z małej odzienię. Madellin czytał o takich. Chryste, musi go dopaść zaraz, bo będzie za późno, musi go rąbnąć tak, że łeb rozprysnie się o ścianę, będzie bił, aż zabije, zatłucze ścierwo, zakopie na śmierć, wydrze z niego bebechy...

— Hej, gdzie byłeś?

Odwrócił się gwałtownie. Stała przed nim i patrzyła karcąco, jakby to on się zgubił. Pochylił się, podniósł ją i przytulił, zamykając oczy.

— Szukałem cię... Gdzie byłaś?

— Robiłam siusiu.

— Przecież już robiłaś po drodze.

— Tak, ale teraz robiłam też kupkę.

— A ten człowiek?

— Jaki człowiek?

— No ten, z którym wyszłaś!

— Ten pan pokazał mi, gdzie jest ubikacja. Była podwórku i było tam okropnie brudno, ale była umywalka i umyłam ręce.

— Dobrze. Chodź, musimy jechać dalej.

— A kupisz mi komiks?

— Kupię.

— To chodź, tutaj obok można kupić *Asterixa* i *Pouffa*.

Kupił kilka książeczek, które ona oglądała w czasie jazdy. W pewnej chwili podsunęła mu pod nos otwartą stronę, pytając:

— Co tu jest napisane?

— Słuchaj, Alicjo, nie mogę czytać i prowadzić samochodu!

— Ale przeczytaj tylko to, więcej nie chcę...

— Przestań, mała, i zabierz mi to sprzed nosa!

Nadała się i milczała przez chwilę, by nagle wybuchnąć:

— Wcale nie jestem mała, jestem prawie najwyższa w klasie! Tylko Sylvia i Mireille są ode mnie wyższe. Jak będziesz mówił do mnie mała, to nie będę się do ciebie odzywać, zobaczysz!

- A jak mam do ciebie mówić?
- Tak jak już raz powiedziałaś: Alicjo.
- Dobrze, Alicjo.

Wieczorem Madellin był już bardzo zmęczony, wolał jednak nie ryzykować zatrzymywania się na noc w hotelu. Dziewczynka zasnęła w trakcie oglądania mijanych krajobrazów, jeszcze przed nadejściem zmroku. Zatrzymał wóz, okrył ją kocem i podłożył zamszową poduszkę pod głowę.

O drugiej w nocy dojechał do Cannes. Nad wejściem do willi paliło się światło. Nacisnął dzwonek przy furtce, raz krótko, dwa razy długo i jeszcze raz krótko. Odczekał minutę i powtórzył ten sam kod. Po chwili z głośniczka przy skrzynce na listy rozległ się zaspany głos:

- Kto tam?
- To ja, Madellin.
- Psiakrew! Ale sobie wybrałaś porę!... Zaraz, już idę.

W otwartych drzwiach ukazał się człowiek w szlafroku. Mario.

- Masz małą? — spytał Franciszka.
- Mam.

— To dobrze, stary się ucieszy. Wprowadź wóz do garażu, stamtąd jest wejście do domu.

W małym pokoju z dwoma łózkami zdjął dziewczynce buciki i położył ją. Sam również zasnął, prosząc przedtem Maria o zwiadomienie szefa.

Casalta zjawił się przed południem w towarzystwie „Rubina” i jeszcze jednego goryla. Poklepał Madellina po ramieniu.

— Ładnie się spisałeś, Tino, piękna robota. Możesz teraz odpocząć, a ty Louis — skinął na jednego z goryli, tego, którego Franciszek nie znał — kupisz żarcie dla małej na cały tydzień. Wsadzisz do lodówki, a jak skończy, kupisz następny zapas.

- To nie oddajemy jej od razu, szefie? — spytał dellin.
- Nie, Tino, zmieniłem plan.

Madellin osłupiał.

- Szefie, ale...

— Co za ale, Tino? Umiesz liczyć? Czy dwadzieścia milionów to więcej niż dziesięć?.. Prawda, że więc Twój udział też się podwoi.

- Szefie, taka kupa forsy... On się nie zgodzi, była mowa o dziesięciu...

— Była, ale teraz będzie inna. Teraz my ją mamy, dzięki tobie, Tino. Sytuacja trochę się zmieniła od czasu, kiedy kochający tatuś poprosił nas o pomoc. Zmieniły się więc i nasze warunki. Nie martw się, on ma tyle forsy, że nie zdechnie z głodu. Ma dać dwadzieścia i da!

- A jak nie da?



Casalta uśmiechnął się.

— Czy wiesz, Tino, co to jest strach?

— Wiem, szefie.

— Nie wiesz, nigdy nie miałeś dziecka. Wiesz, co to jest strach o własne dziecko?... To jest okropna rzecz, Tino. To jest coś takiego, że gdyby nawet on nie miał tej forsy, to napadłby na bank, żeby ją zdobyć... Ale ma i szybko zmięknie. Nie oddamy jej tak od razu, poczekamy, aż ten strach rozplaszczy go. Zawiadomimy go tylko, że mała pójdzie na papu dla robaczków, jeśli on nie zorganizuje tej forsy. On już wie, co to jest strach o własne dziecko i trzeba tak zrobić, żeby zesrał się z tego strachu!

Madellin wciągnął głęboko powietrze i poczuł, że ten strach, którego nie znał do tej pory, wypełnia mu płuca do bólu.

— Szefie — spróbował jeszcze raz — ona jest zmęczona tym wszystkim. Powiedziałem jej, że zaraz wróci do domu. Szefie...

— Oszalałeś, Tino?

— Szefie, obiecałem jej... myślałem, że...

Casalta machnął nerwowo ręką.

— Koniec gadania! Nie jesteś tu od myślenia, Tino, zrobiłeś swoje i to dość! Za dużo sobie pozwalasz! Przestań bredzić i połóż się spać albo idź na dziwki!... Obiecał, dobre sobie! Co ty tu masz do obiecywania?!

Zapadło napięte milczenie. „Rubin” stał pod ścianą i uśmiechał się złośliwie gębą żującą miętówki. Casalta podszedł do zmartwiałego Madellina i odezwał się łagodniej:

— No już dobrze, Tino, rozumiem, że jesteś trochę zmęczony. Idź wypocząć i nie kłopotuj się o nic... Nie można inaczej, mój chłopcze, musimy ją przetrzymać trochę, żeby tatuś bardziej spuchł ze strachu. Potem oddamy mu ją, ale za dwadzieścia milionów. Będzie musiał je bulnąć, jeśli chce w ogóle zobaczyć małą... Tino!? Co robisz?! Tino, na miłość boską, nie, nieeeee! ! !

Nigdy jeszcze nie musiał działać z taką szybkością. Po pierwszym strzale, który przedziurawił brzuch Casalcie, miał zaledwie dwie, trzy sekundy na goryli i to bez możliwości celowania. Walił niemal na oślep, posługując się bardziej rutyną niż wzrokiem. Udało się — pierwszy dostał w sam środek czoła i znieruchomiał w fotelu z odrzuconą głową. „Rubin”, trzymający już spluwę w dłoni, trafiony w pierś zwinął się jak szmata na ziemię. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i Madellin rąbnął z półobrotu w ich światło. Szarpnęło go coś, ujrzał Maria osuwającego się powoli, wzdłuż futryny, z pistoletem w dłoni, i poczuł straszliwy ból w piersi. Próbował wstać z kolan i podejść do telefonu, ale ból przygwozdził go do podłogi.

W drzwiach pokazała się dziewczynka. Przystąpiła z uśmiechem ciału Maria i powiedziała:

— Dzień dobry... bawicie się jak w telewizji?

— Słuchaj, Alicjo — wyszeptał z trudem — podaj mi telefon...

Wykręcił numer policji i mocując się z bólem poinformował, gdzie zastał Alicję de Tournon. Ze słuchawki, którą upuścił, dobiegał jeszcze potok gorączkowych pytań, ale on leżał i wiedział, że ma już to wszystko za sobą, wszystko, całe parszywe życie. Widział w tym życiu wiele podobnych ran i nie miał złudzeń. W ustach robiło mu się słodko od krwi i nie rozumiał, dlaczego o tej porze zapada zmrok.

Dziewczynka usiadła na podłodze obok niego.

— Pamiętasz, co mi obiecałeś? — spytała.

— Tak, jeszcze... jeszcze dzisiaj zobaczysz... rodziców.

— Co ci jest?... Jesteś chory?

— Ta... taaak...

— To się zmartwi twoja mamusia. Nie powiedziałaś mi wtedy, czy jest śliczna?

— Jest.

— Widzisz, wiedziałam, że tak... Co będziemy teraz robić, chodźmy może na lody?

— Nie... nie mogę... nie mogę... mówić... teraz... zaaa... zasnę, mała... a ty... cze... czekaj...

W kilka minut później zjawił się w willi Maria inspektor Leclerc ze swoimi ludźmi. Jeden z nich, patrząc na obfotografowywane ciało Madellina, powiedział:

— To był najgorszy „profi”, o jakim słyszałem, zupełne zwierzę... Przecież nie zrobił tego z dobrego serca, prawda, panie inspektorze?

Leclerc spojrział na mówiącego dziwnym wzrokiem i odwrócił się do okna, po którego szybach zaczęły spływać pierwsze łzy deszczu.

# **SELEKCJA**

Część **IV**

**ŁYSIAK FICTION**

**DWA ZŁOTE GROCHY**

Działo się to w jednym z ostatnich księstw na świecie i wcale nie w tak dawnej przeszłości, jak mógłby przypuszczać ktoś, kto czyta kronikę sportową zamiast bajek i wiadomości ze świata. Było to księstwo zasobne we wszystkie zdobycze cywilizacji i nawet w niektóre zdobycze kultury. Zamieszkiwali w nim ludzie pogodnego ducha i trapiła ich jedna tylko bieda: nieszczęście młodego księcia, który nie mógł znaleźć sobie żony.

Młody książę pragnął pojąć za żonę prawdziwą księżniczkę. Jeździł więc po świecie i szukał prawdziwej księżniczki, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie. Księżniczek było dużo, lecz książę nie miał pewności, czy są prawdziwymi księżniczkami. Coś w nich zawsze było takiego, że miał wątpliwości. To, że ojcowie ich lub dziadkowie zostali wywłaszczeni przez lud, stanowiło mizerną wymówkę na okoliczność, iż one same raz po raz wywłaszczały się z największego skarbu prawdziwej księżniczki. Książę wracał do domu z pustymi rękami i był bardzo zmartwiony, bo tak bardzo chciał mieć za żonę prawdziwą księżniczkę i złamać w małżeństwie doskwierający mu cień samotności.

Z nadejściem wiosny ojciec młodego księcia zwołał wielką naradę rodzinną. Zaprosił wszystkie postępowe siły narodu, bliskie i dalekie ciotki, stryjów, wujów i kuzynów po mieczu i po kądzieli, ugościł ich i poprosił, by wymyślili, jak znaleźć prawdziwą księżniczkę dla następcy tronu. Wszyscy oni okazali apetyt przystojny ich urodzeniu, ale żadnemu nie udało się aż tak nasycić swego rozumu, by mogła się zeń wykluć zbawienna rada. Jedna tylko z ciotek zaczęła wspominać ze łzą w oku, jak ją papa osadził na szczycie szklanej góry i jak potem spadali na ziemię rycerze-zalotnicy, ale pomysł ten uznano za niestosowny dla dam, którym mogły, by przynieść uszczerbek nie

tylko śliskie stoki, lecz i nazbyt szpiczasty wierzchołek szklanej góry, a jeden ze złośliwych kuzynów pozwolił sobie nawet przypomnieć staruszcze, że jest ona starą panną i że dzięki wspomnianej metodzie wyboru zięcia jej ojciec zdziesiątkował swą armię, za co przyszło mu rychło zapłacić bezradnością wobec poddanych, a w następstwie utratą władzy, życia oraz tak zwanego honoru córki.

Niewiele lepszy był pomysł drugiej ciotki, która reklamowała zakłętę moczary w lesie należącym do złego czarnoksiężnika zamieniającego prawdziwe księżniczki w żaby, które należało pocałować, by z powrotem przemieniły się w księżniczki. Przypomniano sobie pradziada, który wędrując po magicznym bagnie wycalał kilka tysięcy żab i zmarł na tajemniczą chorobę nie zdążywszy znaleźć zakłętej księżniczki, oraz stryjca, który spotkał gotową księżniczkę, ale gdy ją pocałował, ta zamieniła się w żabę. Propozycję drugiej ciotki odrzucono w tajnym głosowaniu przez podniesienie rąk.

Bezowocność narady rodzinnej sprawiła, że książę pan zwołał w trybie bardzo pilnym i tajnym nadzwyczajne posiedzenie rządu, na które przybyli wszyscy ministrowie, wiceministrowie i ich doradcy, a także dwaj kardynałowie, szef armii i nadworny błazen.

Kiedy już dygnitarze owi zebrali się w wielkiej sali pałacu, książę pan oznajmił, iż jest rzeczą niedopuszczalną i nad wyraz haniebną, by tak piękny książę, jak jego syn, musiał beznadziejnie kisać w sosie masturbicznej melancholii tylko dlatego, że nikt nie jest w stanie znaleźć mu prawdziwej księżniczki! Usadowiony pod stołem błazen mruknął, iż uroda nie jest jeszcze największą wadą mężczyzny, albowiem istnieje także głupota, ale dosłyszał go tylko najbliższy siedzący minister do spraw rozwoju kultury fizycznej i wymierzył mu w brzuch tęgiego kopa, który wyłączył nadwornego trefnisia z obrad do samego ich końca.

Zebrani przy okrągłym stole mężowie długo i zawzięcie głowili się nad skuteczną radą. Milczenie brzemienne ich mądrością zawisło nad mahoniowym blatem niczym aksamitny baldachim nad pustym łóżem następcy tronu i sprawiło, że po raz pierwszy od wielu lat posiedzenie toczyło się w atmosferze jednomyślności i wzajemnego zrozumienia. Nareszcie książę pan spytał ministra do spraw informacji, dezinformacji i podsłuchu, czy nie można by znaleźć jakiejś prawdziwej księżniczki w kartotekach ministerstwa. Minister odparł, iż wszystkie wykazy przejrano trzykrotnie i że nie udało się wyszukać w nich nikogo odpowiedniego, a tylko córkę księcia N, która od kilku lat nie opuszcza kurortów w nadziei, że opuszczą ją skutki nadmiernej pobłażliwości dla stajennego.

Minister do spraw heraldyki i genealogii potwierdził ustalenia kolegi oświadczając, że właściwie do żadnej z księżniczek na świecie nie można mieć zaufania, gdyż od dawna wielkie rody lekkomyślnie mieszały swą błękitną krew z pospolitą czerwoną, tak iż obecnie dominuje w ich żyłach brunatny konglomerat, genetycznie bezwartościowy i wobec matrymonialnych wymagań delfina całkowicie nieprzydatny. Dodał także, iż, w związku z zanikiem tradycyjnych norm moralnych w społeczeństwie nie można pokładać wiary w osobistych deklaracjach księżniczek, te bowiem łąą skuszone wizją ostatniego wolnego tronu.

Znowu zapadło milczenie, coraz bardziej złowróżbne. Przerwał je wiceminister do spraw przesłuchań, zeznań i przyznań w ministerstwie policji, co wlało w żyły obecnych strumień ożywczej nadziei, człowiek ten bowiem od lat stanowił główną podporę księcia pana i tylko dzięki jego niewyczerpanej pomysłowości kraj żeglował niezmiennie na fali ogólnonarodowego zadowolenia. Dostojnik ów, którego wielkim niespełnionym marzeniem życia było schwywanie i poddanie przesłuchaniu ósmego stopnia pojawiającego się od czasu do czasu w księstwie dżentelmena-włamywacza Arsene'a Lupin, wstał i szepnął głębokim, aczkolwiek nieco zachrypniętym szeptem:

— Dajcie mi te dziewczyny, a ja już wam powiem, która jest prawdziwą księżniczką!

Po czym znowu usiadł. Zwięzłość jego wypowiedzi zachwycała wszystkich, ale jej zawartość treściowa wywołała dezaprobatę ksiąząt kościoła, przedstawiciela Komitetu Zwalczenia Tortur oraz szefa Towarzystwa Przyjaciół Kobiet, toteż mimo gwałtownej repliki ministra do spraw równouprawnienia, który dowodził, że nieoglądanie się na płeć i poddawanie pań przesłuchaniom każdego stopnia będzie kamieniem milowym na drodze do pełnej emancypacji kobiet, propozycję wiceministra wykreślono z protokołu. Żaden inny pomysł nie narodził się już do końca obrad, co tak zasepiło księcia pana, iż od ręki podniósł ceny i podatki w całym kraju.

Ale jak to w bajce bywa, szczęśliwy traf zajął wreszcie należne mu miejsce w tej historii. Błazen królewski, kurując się w szpitalu z ofiarowanego mu butem szturchańca, poczuł, że coś go uwiera w grzbiet. Gdy wyjął spod prześcieradła zapinkę biustonosza, którą zgubiła w jego łóżku uprzejma pielęgniarzka (kiedy przyszła nocą sprawdzić mu termometr) — doznał olśnienia. Wykurowawszy się pobiegł do księżnej pani, ta zaś w zachwycie swoim nagrodziła go stanowiskiem ministra od komentarzy i potwarzy, po czym pobiegła do małżonka z prośbą, by jeszcze raz zwołał naradę rodzinną. Książę pan wyraził zgodę pod warunkiem, że będzie to biesiada absolutnie

postna, zdażył bowiem utracić wiarę w "rój pasożytów", którym to mianem ochrzcił swą bliższą i dalszą rodzinę po pierwszym zebraniu.

Kiedy już wszyscy zaproszeni usiedli wokół pustego stołu, po trzykroć w duchu przeklinając skąpstwo gospodarza, krokiem pełnym bezbrzeżnego dostojęstwa weszła na salę księżna pani, a za nią dreptał paż zgięty pod ciężarem oprawnego w skórę woluminu, na którego grzbiecie jaśniały wielkie złote litery: Jan Christian Andersen. Pośród kamiennej ciszy, która zaległa komnatę, księżna pani zaczęła czytać:

*„Był raz pewien książę, który chciał się ożenić z księżniczką, ale z prawdziwą księżniczką. Jeździł więc po całym świecie i poszukiwał, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie. Księżniczek było dużo, lecz książę nigdy nie był pewien, czy są prawdziwymi księżniczkami. Coś w nich zawsze było takiego, że miał wątpliwości. Wrócił więc do domu i był bardzo zmartwiony, bo tak bardzo chciał mieć za żonę prawdziwą księżniczkę.*

*Pewnego wieczoru rozpetęła się burza; błyskało się i grzmiało, deszcz lał jak z cebra; było strasznie. Nagle zapukał ktoś do bramy i stary król poszedł otworzyć. Przed bramą stała księżniczka. Ale jak wyglądała! Co uczyniły z niej deszcz i wiatr! Woda spływała z jej włosów, i sukien, wlewała się do czubków jej trzewiczków, a wypływała nad obcasami; mimo to dziewczynka mówiła, że jest prawdziwą księżniczką.*

*Zaraz się o tym przekonamy, pomyślała stara królowa, ale nic nie powiedziała, poszła do sypialni, zdjęła całą pościel z łóżka, położyła na deskach ziarnko grochu, na to ułożyła jeden na drugim dwadzieścia materaców, a na nich jeszcze dwadzieścia puchowych pierzyn. Na tym postaniu miała nocować księżniczka.*

*Rano królowa zapytała ją, jak spała.*

*— O, bardzo źle — odpowiedziała księżniczka — przez całą noc oka nie mogłam zmrużyć! Leżałam na czymś twardym, całe ciało mam posiniaczone. To straszne!*

*Wtedy przekonali się, że to była prawdziwa księżniczka, skoro poczuła ziarnko grochu przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia puchowych pierzyn. Taka delikatna mogła być tylko prawdziwa księżniczka! Książę pojął ją za żonę bo teraz był już pewien, że to była prawdziwa księżniczka, a ziarnko grochu oddano do Muzeum Osobliwości, gdzie jeszcze teraz można je oglądać, chyba że ktoś je zabrał.*

*Zapewniam was, że wszystko to działo się naprawdę”\**

Kiedy księżna pani skończyła czytać, wokoło stołu wybuchł szalony entuzjazm. Książę pan pierwszy klasnął w dłonie z uciechy, co służba

\* — Przekład Stefanii Beylin



pałacowa zrozumiała opacznie jako sygnał i poczęła biegać między kuchnią a stołem, napełniając go potrawami. Nie możemy tedy być pewni, czytelniku, jakie było prawdziwe źródło owej eksplozji ogólnofamilijnego ukontentowania. Faktem jest, iż pomysł przyjęto bez dyskusji. I nie ma co podrwiwać sobie w tym miejscu dowodzeniem, iż gęba wypełniona po brzegi jadłem mniej do rezonowania skora niżli pusta, bo ta mało odkrywca prawda nie tylko bajek jest udziałem, co łącznie każdy spostrzec może, jeśli w lustro żywota swego głęboko wzrok zapuści. Każdy ze stołowników znał doskonale starą baśń o księżniczce na grochu i teraz każdy z nich nadziwić się nie mógł, że sam wcześniej na to gotowe rozwiązanie nie wpadł i wdzięczności księcia pana tak małym trudem nie pozyskał.

Przypadkiem zaiste przedziwnym groch, o którym była mowa, pojawił się na stole w sałatce warzywnej, co skłoniło jednego ze stryjów do zwrócenia wszystkim uwagi na jego nietrwałą konsystencję.

— Owszem, groch niegotowany, lecz zasuszony starannie, twardym jest nad wyraz, ale pamiętać trzeba — powiedział stryj — że odrobina wilgoci w komnacie sprawić może, iż ułożony pod stosem materaców i pierzyn twardość swoją postrada. Może się też przytrafić szczur, który ziarno wykradnie, albo i robactwo nieczne, do grochu bardzo ochotne i mogące go silnie nadwreżyć.

Spojrzeli wszyscy na matkę delfina, lecz ona gotową już odpowiedź chowała w zanadrzu. A to mianowicie, że się ziarno ze złota wykona i że takie ziarno bardziej przystojnym będzie narzędziem matrymonialnej selekcji niżli ordynarny chłopski groch ze stodół. Aliści stryj-malkontent nie tak łatwo oddał pole, zwłaszcza, że zdążył już pojeść do przesytu, przez co mu na hardości znacznie przybyło.

— Na nic się to wszystko zda — rzekł — bo przecież baśń o księżniczce na grochu zna każde chłopskie pachole. Nie trudno przewidzieć — perorował dalej — że każda poddana grochowej próbie kandydatka rankiem wrzasku narobi i na obolałość swoją skarżyć się będzie!

Mądre nad wszelki wyraz były to słowa i zastrzeżenie okrutnie mocne, ale za słabe na przyrodzony spryt księżnej pani.

— Trzy złote grochy położymy na dnie łoża — odrzekła — i tylko ta, która wszystkie trzy wyczuje, dowiedzie, że jest prawdziwą księżniczką!

Rankiem następnego dnia wyruszyli heroldowie ku najodleglejszym zakątkom kraju, a gońcy pełnomocni do wszystkich sąsiednich ziem i jeszcze dalej leżących, obwieszczając zaproszenie dla młodych księżniczek do stolicy księstwa na przedmałżeńską próbę krwi.

Pierwsze zjawilo się w pałacu nadobne dziewczę z samej stolicy oświadczając, że jest pełnej krwi księżniczką wygnaną w dzieciństwie przez

okrutnego rodzica, którego imienia zapomniała z wielkiej rozpacz i poniewierki. Zaraz się o tym przekonamy, pomyślała księżna pani i powiedziała do księżniczki:

— Jutro o tym porozmawiamy, moje dziecko, teraz zaś prześpij się i nabierz sił.

Zaprowadziła księżniczkę do sypialni, w której stało łożo dźwigające dwadzieścia materaców, a na nich jeszcze dwadzieścia puchowych pierzyn, wsunęła rękę głęboko pod najniższy materac i położyła na deskach dwa złote grochy, po czym przystawiła drabinę do szczytu pościania i rzekła:

— Tutaj zaśniesz, moje dziecko. Groszek, który na dnie tego łoża spoczywa, nie powinien cię zbyt uwierać zważywszy, iż dwadzieścia na nim materaców leży, a na nich, jako sama widzisz, dwadzieścia puchowych pierzyn.

Kiedy zaś księżniczka wspięła się na szczyt owej piramidy, księżna pani odstawiła drabinę od łoża (czemu się dziwować nie należy wcale, albowiem tylko człowiek na rozumie poszkodowany zostawia innym łatwy przystęp do złota) i wyszła zamykając drzwi na trzy zamki, do których tylko ona posiadała klucze.

Uważny czytelnik zdziwił się, ani chybi, że księżna pani nie trzy, ale dwa zaledwie złote grochy wsunęła pod najniżej leżący materac. Uczyniła to z wielkiej przezorności, o której przyjdzie nam jeszcze pochlebnie wspomnieć w swoim czasie.

Noc przeminęła jak z bata strzelił i rankiem młody książę wkroczył wraz z rodzicami do sypialnej komnaty, do której pierwsze promienie słońca zdążyły się już wcześniej oknem wedrzeć i księżniczkę ze snu obudzić. Księżna pani zapytała ją, jak spała.

— O, bardzo źle — odpowiedziała księżniczka — przez całą noc oka nie mogłam zmrużyć! Cały czas czułam coś twardego i przez ten jeden groszek, który wrzynał mi się w skórę, całe ciało mam posiniaczone!

Było to wierutne kłamstwo, co sam książę pan osobiście raczył sprawdzić: na ciele księżniczki nie znalazł się najdrobniejszy choćby siniaczek, Nie była to więc prawdziwa księżniczka. Wgnano ją precz i młody książę znowu popadł w złowieszczą melancholię.

Powtarzało się to wiele razy. Przychodziły do pałacu różne księżniczki i każda z nich mówiła rano:

— O, jak bardzo źle spałam! Cały czas czułam coś twardego i przez ten jeden groszek, który wrzynał mi się w skórę, całe ciało mam posiniaczone!

Za każdym razem księżna pani sama zamykała i otwierała komnatę, sama przystawiała i odstawiała drabinę, sama wsuwała dwa złote grochy pod

najniżej leżący materac i wyjmowała je natychmiast po werdykcie księcia pana. Za każdym razem obojgu im serca rozdzierały się z bólu na widok nie skalanych siniakami ciał księżniczek i podkrążonych bolesnymi zawodami oczu umiłowanego syna.

Aż pewnego razu kolejna księżniczka wykrzyknęła rankiem:

— O, jak bardzo źle spałam! Cały czas czułam coś twardego i przez te trzy groszki, które wrzynały mi się w skórę, całe ciało mam posiniaczone!

Ale i jej nie uwierzono, że jest prawdziwą księżniczką. Książę pan nie uwierzył, bo nie odnalazł na jej ciele siniaków, w szukaniu których stał się już bardzo biegły, a tym bardziej księżna pani, która zaledwie dwa złote grochy umieściła pod kaskadą materaców i pierza. Jakże uzasadnioną okalała się jej przezorność! Jakże trafnym było przewidywanie, że któryś z niegodziwych krewnych może nikczemnie zdradzić i wyjawić umówioną liczbę grochów jakiejś swej protegowanej! I dlatego właśnie księżna pani dwa zaledwie grochy-złotogrochy wsuwała pod posłanie, o czym wiedział poza nią tylko książę pan i nikt więcej na bożym świecie.

Minął jeden rok, a potem drugi i jeszcze bardzo wiele lat, a prawdziwej księżniczki wciąż nie było. Młody książę usechłby chyba z rozpacz, gdyby mniej pił, tak jak i poddani jego ojca, którzy nie ustawali w picciu i złorzeczeniu księżniczkom. Czyż więc można się dziwić, że kiedy pewnego wieczoru zjawiła się w pałacu jeszcze jedna księżniczka, nikt nie przeczuwał odmiany złego losu?

Tego wieczoru szalała na dworze potworna burza, błyskało i grzmiało deszcz lał jak z cebra, było strasznie. Nagle zapukał ktoś do bramy i książę pan zakazał otwierać. Lecz zanim rozkaz dotarł do odźwiernego, ten już zdążył uchylić odrzwia. Przed bramą stała księżniczka! Ale jakże wyglądała! Co uczyniły z niej deszcz i wiatr! Woda spływała z jej czarnych włosów i kolorowych sukien, wlewała się do czubków jej trzewiczków, a wypływała nad obcasami. Mimo to księżniczka mówiła, że jest prawdziwą księżniczką. Zaraz się o tym przekonamy, pomyślała księżna pani, ale przedtem osuszemy ją i nakarmimy, aby nikt nie mógł powiedzieć, że w naszym pałacu poddaje się próbom głodne księżniczki.

Osuszona i nakarmiona księżniczka, z nowymi trzewiczkami na nogach, okazała się bardzo piękną księżniczką. Miała rumiane policzki i zawsze szeroko otwarte oczy. Księżna pani zaprowadziła ją do dawno nie używanej sypialni, włożyła dwa złote grochy tam, gdzie należało, i powiedziała:

— Tutaj będziesz spać, moje dziecko. Groszek, który spoczywa na dnie tego łoża, nie powinien cię zbyt uwierać. Leży na nim dwadzieścia materaców, a na nich, jako sama widzisz, dwadzieścia puchowych pierzyn.

— Po co mi tyle materaców i tyle pierzyn? — spytała księżniczka.

— Nie wiem, czy będę mogła spać tak wysoko, jakbym leżała nad miastem. Jeden materac i jedna pierzyna wystarczą mi w zupełności.

— Jeśli przyjdzie ci zostać żoną mego syna, co noc będziesz spała nad całym miastem i nad całym państwem, taka bowiem jest pozycja władczyni — wyjaśniła z godnością księżna pani.

— Ale po co mi ten groszek? — spytała księżniczka. Księżna pani nie posiadała się ze zdziwienia.

— Czyżbyś nie знаła, moje dziecko, opowieści o księżniczce na grochu?

— Niestety, nie znam — odparła księżniczka ze smutkiem w głosie — ale z chęcią wysłucham tej opowieści i nawet wyuczę się jej na pamięć, jeśli tego zapragniesz, miłościwa pani.

Słowa te napełniły matkę młodego księcia jakimś radosnym przecuciem, ale nie dała tego po sobie poznać. Pożegnała księżniczkę, zamknęła drzwi na trzy zamki i udała się na spoczynek.

Wczesnym świtem obudziło ją ujadanie brytanów w pałacowym ogrodzie. Znowu poczuły kota, pomyślała księżna pani, wstrętne psiska! Narzuciła szlafrok i ruszyła do korytarza. Stali tam już książę pan i młody książę, których także obudziły psy goniące kogoś po ogrodzie.

— Jeśli już wszyscy nie śpimy, to chodźmy do księżniczki — rozkazał książę pan i zatarł ręce.

Na palcach wsunęli się do komnaty, w której piękna księżniczka spała tak wysoko, jakby spała ponad miastem.

— Śpi, smacznie śpi... — powiedziała księżna, zdziwiona kamiennym snem księżniczki.

— To prawda — odparł książę pan, stojąc na szczycie drabiny — ale oczy ma podkrążone, a ciało... ciało ma mocno posiniaczone, o tu... i zwłaszcza tu! No, no, no!

Obudzili księżniczkę z wielkim trudem i spytali, jak się jej spało.

— O, bardzo źle — odpowiedziała księżniczka. — Przez całą noc czułam coś twardego i nie jeden, ale dwa grochy, miłościwa pani.

Wtedy przekonali się, że to była prawdziwa księżniczka, skoro poczuła, dwa złote grochy przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia puchowych pierzyn. Taka delikatna mogła być tylko prawdziwa księżniczka! Młody książę porwał ją w ramiona, bo teraz był już pewien, że to prawdziwa księżniczka i powtarzał namiętnie:

— O tio, tio, tio, tio, tio! O tio, tio, tio, tio, tio!

Później poprowadził ją wraz z ojcem na pokoje, by całemu dworowi oznajmić radosną nowinę. Zaraz ogłoszono zaręczyny młodej pary, a wiatujący lud obłożono specjalnym podatkiem od książęcych zaślubin.

Jaka szkoda, że dwóch złotych groszków nie dało się umieścić w Muzeum Osobliwości. Oto bowiem kiedy księżna pani została sama w komnacie i sięgnęła pod najniżej położony materac, długo i bezskutecznie szukała ich. W końcu natrafiła na mały kartonik i wydobywszy go przeczytała z niejakim trudem dwa słowa wypisane ozdobnym charakterem:

*Arsene Lupin.*

Zapewniam was, że wszystko to działa się naprawdę

## PERFIDIA WRZÓD

Jako przyboczny technik Zedeonusa i konserwator aparatury interlokacyjnej oraz intro-interwencyjnej nie znałem się na tym wszystkim, co dotyczyło leczenia, i dlatego nie wszystko rozumiałem z tego, o czym rozmawiali lekarze nad platformą operacyjno-konsyliarną. Ale i tak rozumiałem więcej, niż rozumiałby zwykły medeok — w końcu już od stu dwunastu obiegów Medeo pracowałem w głównej bazie leczniczej naszej planety. Ta baza jest przeznaczona wyłącznie dla rządzącej na Medeo dynastii Malga.

Tym razem rzecz była nader poważna — chodziło o Alalgatana, brata naszego władcy Maimala. Malgatan już od dłuższego czasu czuł się źle, nękała go niestrawność, miał kłopoty z wydalaniem cieczy mestonoicznej, odczuwał silne bóle w pęcherzu odwłokowym, lecz lekceważył to wszystko, a dokładniej rzecz ujmując ukrywał, nie chcąc się poddać leczeniu, które pociągnęłoby za sobą oddalenie się na jakiś czas z dworu. Dopiero kiedy stracił nagle przytomność, przewieziono go do naszej bazy i lekarze zaczęli się zastanawiać nad ewentualnością zabiegu. Przytomność odzyskał, lecz bóle wciąż powracały, a każdy kolejny atak był dłuższy i bardziej gwałtowny. Po całej serii badań szef bazy, Zedeonus, zdecydował się zwołać konsylium z udziałem najwybitniejszych specjalistów.

Konsylium rozpoczęło się w momencie, kiedy sprawdziłem funkcjonowanie zastosowanej aparatury i zameldowałem Zedeonusowi, że wszystkie jej elementy pracują prawidłowo i że jednostki rezerwowe są przygotowane do dublowania układów pracujących. Malgatan leżał na platformie w, stanie wegetacji pozaodwłokowej, wszystkie funkcje jego organizmu zostały przełączone na integrator o samoczynnej regulacji systemu, z wyjątkiem pęcherza odwłokowego, który miał być celem badania. Wokół stało czterech medeoków, same sławy: Zedeonus, jego zastępca Bedar, osobisty lekarz

Maignala Railm oraz szef bazy leczniczej medeoków średnich Hora. Ja byłem piąty.

Pierwszy zabrał głos Zedeonus. Przywitał zebranych, a szczególnie serdecznie (lub raczej — by być w zgodzie z prawdą — czołobitnie) Railma, po czym zaczął referować wyniki dotychczasowych badań:

— Bedarowi i mnie udało się wreszcie wykryć źródło zaburzeń chorobowych u Jego Wysokości Malgatana. Znajduje się ono w układzie kontrolnym systemu sterowniczego pęcherza Jego Wysokości, w związku z czym...

— Udawało się to wam bardzo długo! — przerwał zjadliwie Railm. — Zabrało to wam niemal pół obiegu!

Zedeonus spojrział z nienawiścią na przybocznego lekarza monarchy, czułki naprowadzające poźółkły mu z pasji, a przednie chwytники poczęły drzeć, opanował się jednak momentalnie i chyląc lekko głowę powiedział słodko:

— Wybacz, Wasza Dostojność, że nie dorównujemy ci wiedzą i doświadczeniem, sądzą wszelako, że wykonaliśmy to, co do nas należało, w czasie optymalnym. Stosowaliśmy najnowszą aparaturę...

— To nie wasza zasługa, lecz Najjaśniejszego Maignala, któremu tę aparaturę zawdzięczacie! — przerwał mu ponownie Railm. — Aparatura zresztą sama nie funkcjonuje i nie wyciąga wniosków. Jej zastosowanie było waszym obowiązkiem, proszę więc nie używać głupich argumentów. Tego tylko brakowało, byście jej nie zastosowali!

— Ale... — próbował jeszcze bronić się Zedeonus.

— Żadne ale, proszę nie przerywać, kiedy mówię! Chwalenie się stosowaniem aparatury uważam za bezczelność, bo to był, powtarzam, wasz obowiązek! Chodzi mi wszakże o co innego, o sposób wykorzystania tej aparatury. Mam poważne wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście trzeba było aż tak wiele czasu, by za pomocą tak doskonałej aparatury dokonać rozpoznania i to niepewnego, gdyż o jego trafności dopiero zadecydujemy!

— Czy mam przez to rozumieć, że Wasza Dostojność raczy kwestionować moje umiejętności? — spytał ponuro Zedeonus. — Czy ten zarzut odnosi się...

— To nie zarzut, lecz wątpliwość, chyba wyrażam się jasno?! Obok braku umiejętności istnieją jeszcze inne możliwe uchybienia, na przykład opieszałość, lekceważenie obowiązków, niedocenianie wagi zadań...

Głos Railma zawisł w przestrzeni wypełnionej jego złością i groźbą, a Zedeonus nie zdobył się już na kolejną odpowiedź, jego zapas odwagi wyczerpał się i od tej chwili pracował w nim już tylko strach. Wszechmocny

Railm, zausznik władcy, mógł mu bardzo zaszkodzić, a od zarzutów w rodzaju opieszałości bądź lekceważenia obowiązków przy ratowaniu życia brata monarchy ścierpłaby błona odwłokowa wyżej postawionych od Zedeonusa. Railm znany był z apodyktyzmu i terroryzowania podwładnych, jego obecność w każdym niemal gronie paraliżowała zebranych.

W tym jednak gronie znalazł się akurat jeden z tych nielicznych, którzy nie bali się Railma i w ogóle nie bali się nikogo (niewątpliwie właśnie dlatego Zedeonus zaprosił owego medeoka na konsylium). Medeok ten wysunął się raptownie zza Bedara i zatrzymał przed Railmem. Był to Hora...

Hora wywodził się z medeoków najniższej warstwy i wprost cudem było przebicie się przezeń do warstwy medeoków średnich. Wszystkie bariery Hora złamał swoim nieprawdopodobnym wprost uporem, straszliwą zawziętością w nauce i jakimś naturalnym geniuszem, bez którego nie miałby cienia szansy i do śmierci pozostałby medeokiem najniższym. Ale on przebił się i został medeokiem średnim, a opracowawszy kilka nowych, rewelacyjnych metod leczenia schorzeń układów równowagi członów odwłokowych, a także układów kontrolnych w systemach sterowniczych, i uzdrowiłszy siostrę Malgmała — został szefem bazy leczniczej medeoków średnich (!), co dla całej społeczności Medeo stanowiło prawdziwy szok. Nigdy jeszcze najniższy medeok, nawet wyzwolony na średniego, nie osiągnął tak wysokiego stanowiska.

Hora był uwielbiany przez wszystkich swoich podwładnych, nawet medeoków średnich z urodzenia, i znieawidzony przez większość medeoków najwyższych. Ja należałem do mniejszości i podziwiałem jego olbrzymią wiedzę, dobroć i odwagę. Chyba właśnie dlatego, a nie przez wdzięczność za uratowanie siostry, Malgmał nie pozwalał go utracić, chociaż prawie nie było obiegu, w którym nie próbowano by zniszczyć Hory. Ostatni atak, przed dwoma obiegami, przypuścili nań wrogowie wówczas, gdy przyjął do swej bazy i zoperował medeoka najniższego, co było zabronione prawem i obyczajem. Każda z warstw medeockich posiada własne lecznice i tylko w nich może odbierać pomoc. Nikt przed Horą nie ośmielił się przyjąć medeoka najniższego do bazy medeoków średnich.

Gdy się to stało, wpływowi członkowie otoczenia Malgmała złożyli oficjalny protest i skargę na gwałciciela praw (tak nazwali Horę), a władca uległ ich naciskowi i wezwał Horę do siebie. Nie zamierzał pozbawić go stanowiska, zbyt go cenił, chciał jednak dać satysfakcję rozeźlonym dostojnikom, skarcić Horę, zmusić go do pokajania się i do zaprzestania podobnych praktyk. Hora wysłuchał reprimendy, a potem oświadczył, że nie tylko nie żałuje tego, co uczynił, ale że dopóki będzie szefem bazy, za każdym



razem, gdy nastąpi nagła potrzeba, uczyni to samo. Przez pewien czas pozostawał w niełasce, ale stanowiska mu nie odebrano i powoli sprawa ucichła.

I właśnie wówczas, gdy nad platformą z Malgatanem zapanowało napięte milczenie, pełne złości i trwogi Zedeonusa oraz zjadliwej pychy Railma, Hora nagle stanął przed tym ostatnim i wystawiwszy swe czułki wzrokowe ku czułkom tamtego, powiedział głośno:

— Wasza Dostojność! Zebraliśmy się tutaj po to, by podjąć decyzję co do sposobu leczenia Jego Wysokości Malgatana, a nie po to, byś Wasza Dostojność mógł demonstrować swą wyższość nad nami. Minęło już sporo czasu, a myśmy nawet nie zaczęli, bo Wasza Dostojność nie pozwoliłeś Zedeonusowi zreferować rozpoznania i strofujesz go jak smarkacza bez żadnych uzasadnionych powodów! Zechciej, Wasza Dostojność, pozwolić nam zająć się zdrowiem brata monarchy i pomagaj nam swą światłą radą albo wyjdź stąd i przestań przeszkadzać!

Ujrzałem z przerażeniem, że czułki Railma wyprężają się jak szarpnięte struny, błona odwłokowa sinieje, a chwytniki zaczynają drżeć z wściekłości. Podniósł jeden z nich do góry, jakby chciał uderzyć i ryknął:

— Coooo?!... Jakim prawem ośmielasz się...

W tej samej chwili Hora podniósł głos jeszcze bardziej, zagłuszając wrzask Railma:

— Prawem członka konsylium mającego za zadanie uleczyć brata monarchy! Jeśli ci się to nie podoba, to idź Wasza Dostojność do Najjaśniejszego Malgmala i poskarż się, że ta kanalia Hora odebrał ci głos i zajął się zdrowiem jego brata zamiast tracić czas na wysłuchiwanie twoich fanaberii! A teraz milcz! Mów, Zedeonusie!

Milczenie, które potem nastąpiło, było cięższe i głośniejsze od najstraszliwszego wrzasku. Przeklinałem wówczas swą obecność w tym gronie, z chęcią zapadłbym się pod ziemię i sądzę, że Bedar odczuwał to samo pragnienie. Railm zamarł bez ruchu z otwartym wylotem głosowym i wytrzeszczonymi gałkami czulek, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Horami powtórzył raz jeszcze: Mów, Zedeonusie! i ten, początkowo trzęsący głosem, a w miarę jak się rozgrzewał, coraz pewniej, począł relacjonować wyniki badań:

— W układzie kontrolnym systemu sterowniczego pęcherza chorego krąży wiele bilionów kulistych jednostek bastomorficznych, dlatego też odnalezienie źródłowego punktu schorzenia potrwało tak długo. Udało się nam to dopiero po przeanalizowaniu wartości promieniowania poszczególnych zespołów jednostek. Gdybyśmy od tego zaczęli, rezultat zostałby osiągnięty o wiele szybciej, zaczęliśmy jednakże od badania wysokości ciśnień, temperatur

i dalej w kolejności metodą Nanouna... Zaburzenia wykryliśmy w skrajnym zespole GEO, który jak wiadomo posiada świetliste jądro, wokół którego krążą po orbitach, w różnej odległości, satelity, czyli jednostki drugiego rzędu i mniejsze, świecące światłem odbitym od jądra. Początkowo wydawało się nam, że zaburzenia spowodowane są ciemnymi plamami na powierzchni jądra-źródła światła, jednakże po dokładniejszym badaniu ustaliliśmy, że chodzi o jednostkę drugiego rzędu posiadającą stałą jednostkę satelitarną, która krąży wokół niej...

— To pamiętamy z podręczników! — przerwał mu Railm. — Proszę przejść do objawów i ich charakteru!

— Zaraz to uczynię, Wasza Dostojność, chcę jednak przypomnieć, że w czasie, gdy my pobieraliśmy nauki, nie istniał jeszcze gigantoskop Ohana. Za jego pomocą uzyskaliśmy przybliżenie megatopieczne, które pozwoliło stwierdzić, że na wspomnianej jednostce drugiego rzędu, krążącej wokół świetlistego jądra, zagnieździły się jakieś żyjątka...

— Niesamowite! — wyrwało się Horze. — Czy możemy je zobaczyć, Zedeonusie?

Zedeonus dał mi znak chwytnikiem. Prowadnicą nasunąłem nad pęcherz leżącego gigantoskop Ohana, po czym ustawiłem wylot tuby na styk z błoną i włączyłem aparaturę. Najpierw Zedeonus, przytknąwszy gałkę czułka do okularu, przez chwilę szukał, następnie wyregulował przybliżenie i z szacunkiem ustąpił miejsca Railmowi. Ten wpatrywał się długo i w końcu wyszeptał:

— Mrowią się, ile ich może być?...

— Trudno stwierdzić, Wasza Dostojność — odparł Zedeonus. — Chyba nie więcej jak osiem miliardów, w tym najbardziej aktywnych, należących do jednego gatunku, około cztery miliardy. Ten właśnie gatunek rozmnaża się najszybciej.

— Jak szybko? — spytał Hora.

— Tego nie ustaliliśmy — odpowiedział mu Bedar — jest to prawie niemożliwe przy przybliżeniu, jakie jesteśmy w stanie osiągnąć. Zaobserwowaliśmy tylko, że liczba osobników tego gatunku zwiększa się dość regularnie ze stałym przyspieszeniem. Można to było stwierdzić rejestrując stopień ich zagęszczenia. Jednocześnie stale wzrasta ich aktywność i niewykluczone, że to właśnie jest przyczyną zaburzeń chorobowych Jego Wysokości Malgatana.

— Sądzę, że ich aktywność może tylko pogarszać stan zdrowia Jego Wysokości, natomiast przyczyną jest sama ich obecność w jego organizmie —

powiedział Railm nie odrywając się od okularu. — Od kiedy się tam pojawiły? Czy zastosowaliście czasodetektor?

— Tak jest, Wasza Dostojność — odparł Zedeonus. — Pracował na nim mój zastępca. Zechciej, Bedarze, zapoznać nas z wynikami.

— Może się to wydawać dziwne — rzekł Bedar — ale wygląda na to, że żyjątka te wegetują w organizmie Jego Wysokości już od kilkudziesięciu tysięcy obiegów. Wcześniej nie można ich było wykryć, gdyż nie istniał gigantoskop Ohana. Ich ilość, jak już mówiłem, powiększa się z obiegu na obieg i byłaby jeszcze większa, gdyby nie wynikające prawdopodobnie z samoregulacji wyniszczenia, jakich wzajemnie między sobą dokonują. Największe wszelako wyniszczenie miało charakter bastomorficzny, nastąpiło — jak wykazał czasodetektor — przed około siedmioma tysiącami obiegów i polegało na zalaniu jednostki jej cieczą stamologiczną.

— Coś w rodzaju potopu? — spytał Railm.

— Odniosłem to samo wrażenie, Wasza Dostojność, kiedy analizowałem odczyt z czasodetektora. Nasunęło mi się wówczas pewne przypuszczenie... Otóż właśnie przed siedmioma tysiącami obiegów Jego Wysokość Malgatan uległ wypadkowi, podczas którego został ciężko uderzony w ten akurat skraj systemu sterowniczego pęcherza. Prawdopodobnie właśnie wówczas nastąpił wstrząs wewnętrzny, który spowodował zalanie jednostki przez jej cieczą powierzchniową.

Wszyscy oczywiście wiedzieliśmy, że wspomniane uderzenie zadał Malgatanowi jego panujący obecnie brat Malgmal podczas rodzinnej sprzeczki o sukcesję po ich ojcu, Maldeonie, a Bedar, nazywając to wypadkiem, użył jedynej nadającej się do publicznego wypowiedzenia formy.

Po Railmie do gigantoskopu zbliżył się Hora.

— Fascynujące! — wyszeptał po chwili — być może żyjątka te są istotami rozumnymi...

— Bzdura! — krzyknął Railm.

— Żartujesz chyba? — powiedział w tym samym momencie Zedeonus

— Tak, oczywiście żartuję, Zedeonusi, ale czy nigdy nie ulegałeś wrażeniu, że na przykład my jesteśmy tylko niezmiernie małymi żyjątkami dla jakiegoś kolosa, w którego organizmie egzystuje nasz układ planetarny, tak małymi, jak te żyjątka w pęcherzu Jego Wysokości Malgatana dla nas? Ruch tych kulistych jednostek zespołu GEO wokół świetlistego jądra jest zbliżony...

— To żaden dowód! — wtrącił Railm. — W całej naturze ruch cząsteczek jest oparty na identycznych zasadach, czy to wewnątrz nas, czy na zewnątrz!

— Wasza Dostojność ma całkowitą rację — powiedział Zedeonus — chociaż muszę się przyznać, że i mnie nieobca była przez chwilę myśl Hory. Zaobserwowaliśmy na przykład z Bedarem, iż żyjątki te przeskakują czasami na sąsiednie jednostki, zwłaszcza na swego satelitę, w dziwnych kapsułach sprawiających wrażenie pojazdów ogniowych...

— To o niczym nie świadczy — zaproponował Railm — związane jest zapewne ze zmianami ciśnieniowymi wyrzucającymi te żyjątki w głąb pęcherza oraz ze zmianami temperatury będącymi efektem powikłań chorobowych. Przestańmy zawracać sobie głowy bzdurami i przejdźmy do objawów zaburzeń!

— Tak jest, Wasza Dostojność. Otóż jednostka ta zaczyna cuchnąć, wydziela duże ilości ciemnych substancji gazowych, które zanieczyszczają jej zespół, wytryskują z niej twarde elementy, które, być może, zbyt pochopnie nazwałem kapsułami, a które rwą jej zewnętrzne powłoki ochronne, można także zaobserwować na niej liczne wybuchy powodujące niszczące promieniowanie. Krótko mówiąc: zaczyna ona gnić i staje się cuchnącym wrzodem, który zatruwa układ kontrolny systemu sterowniczego pęcherza Jego Wysokości. Pytanie, jakie chcemy postawić z Bedarem, brzmi: co należy robić, usunąć operacyjnie, czy też zlikwidować skutki za pomocą ofensywnego leczenia?

— Przestrzegałbym przed jednym i drugim! — krzyknął Hora odrywając się od gigantoskopu.

— A to dlaczego? — spytał Railm.

— Ponieważ zbyt mało jeszcze wiemy o tym, jak wzajemne relacje poszczególnych jednostek i układów wpływają na funkcjonowanie systemu sterowniczego pęcherza. Każda, nawet najmniejsza jednostka może mieć znaczenie, a jej usunięcie mogłoby spowodować śmiertelne zakłócenie funkcjonowania całości. Z kolei leczenie ofensywne mogłoby doprowadzić do wyniszczenia owych żyjątek. Jaką zaś mamy gwarancję, że są one nalicznością degeneracyjną, a nie prawidłową? Potrzebne są tu jeszcze długie badania. Na razie zastosowałbym leczenie defensywne, konkretnie zaś...

— Zaraz! — przerwał mu Railm — Przecież wypadek Jego Wysokości sprzed siedmiu tysięcy obiegów spowodował niemal całkowitą zagładę owych żyjątek i wtedy wcale to nie zaszkodziło organizmowi...

— Wybacz, Wasza Dostojność — wszedł mu w słowo Bedar — ale ja wcale nie powiedziałem, że ówczesne zalanie jednostki jej cieczą powierzchniową całkowicie wyniszczyło owe żyjątki.

— Jednakże wyniszczyło sporą ich część, czy tak? — spytał Railm.

— Tak jest, Wasza Dostojność.

— Czy wpłynęło to na pogorszenie się zdrowia Jego Wysokości Malgatana?

— Tego nie wiem, sędzę jednak, że nie. Wydaje mi się, Wasza Dostojność, iż niektóre wyniki moich badań upoważniają mnie do stwierdzenia, że w owym czasie żyjątko te były jeszcze mało aktywne, w każdym razie ich jednostka nie była jeszcze elementem zatrującym cały układ.

— Otóż to! — krzyknął Railm. — Jeśli przyjmiemy hipotezę Hory, iż żyjątko te są rozumne i w jakiś sposób wpływają swym działaniem na funkcjonowanie ich jednostki, funkcjonowanie w swych skutkach bardzo negatywne, to czy nie należałoby zniszczyć ich i przerwać tym samym proces zatruwania organizmu Jego Wysokości? Przez chwilę byłem tej hipotezie przeciwny, teraz jednak jestem skłonny zgodzić się z nią. Powtarzam — jeśli poprzednie, częściowe ich wyniszczenie podczas zalania jednostki jej cieczą stamologiczną nie spowodowało negatywnych zmian w układzie, to i teraz wyniszczając je niczego nie ryzykujemy, a tylko przerwiemy ich działalność i zahamujemy tym samym proces gnicia! Czyż nie mam racji?

Zadając to pytanie spojrział na Horę i my wszyscy uczyniliśmy to samo. Hora zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Wasza Dostojność ma rację, jestem podobnego zdania. Istnieje jednak zasadnicza różnica między wyniszczeniem będącym następstwem zalania jednostki cieczą powierzchniową, który to proces był procesem naturalnym, a wyniszczeniem sztucznym w następstwie podania przez nas leku ofensywnego. Podając taki lek obliczony na zlikwidowanie tych żyjątek moglibyśmy, o czym już wspomniałem, mimowolnie zniszczyć całą strukturę jednostki i spowodować poprzez reakcję łańcuchową w całym układzie nieobliczalne skutki!... Tak więc zgadzam się z Waszą Dostojnością, że prawdopodobnie wyniszczenie tych żyjątek zahamowałoby gnicie ich jednostki i zatrucie całego układu, tylko że musiałyby się to dokonać w procesie naturalnym, takim jak tamten, poprzez powierzchniową katastrofę... Problem polega na tym, jak ją spowodować?...

Zapadła denerwująca cisza. Żaden nie ośmielił się tego powiedzieć, ale z pewnością każdy pomyślał to samo, co ja — że Jego Wysokości bratu monarchy przydałby się ponowny silny kopniak w spód odwłoka, tam gdzie znajduje się pęcherz, co spowodowałoby ponowny potop na powierzchni owej jednostki-wrzodu i co za tym idzie polepszenie się stanu jego zdrowia.

**REINKARNACJA BLAKEYA**

— ...Nareszcie, nareszcie są! Doczekaliśmy się ich! Proszę państwa, jesteście wszyscy świadkami epokowego wydarzenia! Już za chwilę, już nic nieprzewidzianego nie może się wydarzyć! Udało się! Ogłaszamy światu: najdalszy z dotychczasowych rejsów kosmicznych człowieka zakończył się powodzeniem! Już za chwilę będziemy witać tych trzech wspaniałych konkwistadorów...

Blakey sięgnął po szklanę z vittonem i wypił kilka łyków. Transkosmiczne „Canoe-Beta 2” osiadło miękko na płycie kosmodromu Armstronga. Widać było otwierającą się pokrywę wjazdu, a potem sylwetki Turnera, McCormacka i Panatty wyłaniające się powoli i spływające w dół po pochylni powietrznej, prosto w objęcia oficjeli i rodzin. Sprawozdawca wciąż nie obniżał tonu.

— ...mamy ich, są znowu z nami, tacy, jacy wyruszyli przed trzema laty; cali i zdrowi, uśmiechnięci, radośni jak my wszyscy, wzruszeni, cudowni, nasi wspaniali chłopcy!... Proszę państwa, posłuchajmy teraz powitania, które wygłosi prezydent Stanów Zjednoczonych Lewis Simpson!

Blakey nie słuchał prezydenta. Zwykła, okolicznościowa frazeologia, może bardziej pompatyczna. Patrzył na twarze Panatty i stojącej obok Rebeki. Potem było zbliżenie. Czarna twarz prezydenta i wyblakła biel policzków Panatty w zetknięciu, uściski, pocałunki, wrzask... Przy tym zbliżeniu poczuł zapach perfum Rebeki, lecz obraz się zmienił i w nozdrza uderzyła go rozgrzana woń tłumu. Wyłączył impulsem myślowym telewizor, zdjął go ze skroni i rzucił do szuflady biurka. Już blisko, pomyślał. Nacisnął przycisk mideratora i spytał:

— Gdzie jest Salthof?

- W Buenos Aires, na kongresie chirurgów — odpowiedział komputer.
- Hotel?
- „Peron”.

Założył na skronie videolon i wezwał Salthofa. Gdy ujrzał jego twarz i usłyszał powitanie, powiedział:

- Wiesz już, że wrócili szczęśliwie.
- Tak, panie Blakey, właśnie oglądam transmisję. Kiedy zaczynamy?
- Jeszcze nie wiem. Ale chcę, żebyś był tutaj, w Huston. Kiedy się kończy ten twój zjazd?
- Jutro o trzeciej. Kwadrans po trzeciej będę u pana.
- Okay. Od razu weźmiesz się do przygotowań.
- Mówiłem już, jestem gotowy, panie Blakey.
- W porządku, czekam.

Czekał już pięć lat. Długo. Chociaż gdy zaczynali w roku 2011 Salthof przewidywał, że prace potrwać około sześciu lat. A potem tak bardzo się spieszył do swego 10-milionowego honorarium, że zapomniał co to odpoczynek i dziewczyny. Po czterech latach powiedział: jestem gotowy, panie Blakey. Ale musieli poczekać jeszcze rok, gdyż Panatta był w kosmosie. Blakey drżał na myśl, że wyprawa nie powróci tak jak dwie poprzednie.

Poznał Panattę na przyjęciu w Centralnej Agencji Kosmicznej. Panatta był wówczas dublerem jakiegoś kosmonauty, a on, Blakey, był bogiem całego tego interesu. Bez jego paliwa mogliby się wyprawiać na dziecinne spacerki w obrębie tego samego podwórka, wciąż ku tym samym planetom. Blakey zrobił jedną prostą rzecz. Dowiedział się o pracach zespołu profesora Hughuesa, zwariowanego „hobbysty” z Kanady, i kupił na pniu wyniki za głupie 2 miliony dolarów. A wyniki okazały się epokowym odkryciem — paliwem, o którym marzono przez tyle lat, pozwalającym przekraczać bariery marzeń. Blakey wybudował kilka gigantycznych fabryk produkujących to cudo (nazwał je „galaktikiem”) i potem już tylko doliczał w nieskończoność zera na swym koncie. Był najbogatszym człowiekiem świata. I wcale nie był szczęśliwy.

Nie był szczęśliwy, odkąd ujrzał Rebeke. Nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, ale wówczas zrozumiał, że czekał na tę kobietę przez całe swoje życie. I postanowił, że będzie ją miał. Postanowienia Blakeya miały to do siebie, że się spełniały. Wyjątkiem, który tę regułę potwierdzał, była Rebeka.

W miesiąc po wspomnianym przyjęciu Blakey miał już w swoim gabinecie pełne dossier pani Rebeki Panatta, dostarczone przez agentów jego prywatnego wywiadu. Życiorys, charakter, upodobania, ulubiony kolor i piosenkarz. Wszystko. Po przejrzeniu tego wszystkiego Blakey pojął, że ani jej

nie kupi, ani nie zdobędzie w żaden inny normalny sposób. Kochała męża, więcej, ubóstwiała, a tych, którzy próbowali złamać jej wierność, potrafiła ostudzać w zapalach. Porwania w ogóle nie brał pod uwagę. Nie o to chodziło. Chciał, żeby była jego, żeby go pieściła i tuliła do siebie i patrzyła mu w oczy z miłością przez wiele lat.

Wpadł na pomysł wówczas, gdy w Australii dokonano pierwszego przeszczepu mózgu ludzkiego. Operację, która zresztą zakończyła się fiaskiem, przeprowadził w tajemnicy niemiecki chirurg, dr Lauer. Odkąd w roku 1993, po serii udanych transplantacji mózgów małp i delfinów i wyrażonej przez kilku specjalistów chęci przeszczepienia mózgu człowieka, uchwalono międzynarodową konwencję o niedopuszczalności tego typu operacji na ludziach — badania zostały wstrzymane. We wszystkich krajach świata z ekstremalną bezwzględnością tępiono wszelkie, dość sporadyczne, próby złamania zakazu.

Blakey nie dostrzegłby zapewne, lub przynajmniej nie tak szybko, tej jedynej możliwości zmaterializowania swych snów, gdyby nie zwróciła mu na to uwagi afera w Sydney. Lauer został skazany na dożywocie i popełnił samobójstwo. Ludzie z jego ekipy dostali po 10 do 15 lat. Najzdolniejszym z nich był młody chirurg Georg Herrmann, pierwszy asystent Lauera. Wydostać go z więzienia i po przeprowadzeniu operacji plastycznej, zaaklimatyzować w USA pod nazwiskiem Salthof było już dla Blakeya rzeczą dziecinnie prostą. Wkrótce dr Salthof stał się jednym z wirtuozów amerykańskiej chirurgii transplantacyjnej. I nikt nie wiedział, że w specjalnym laboratorium, urządzonym przez Blakeya w podziemiach willi koło Huston, Salthof przygotowuje reinkarnację najbogatszego człowieka świata.

Pod kierunkiem Niemca pracowało dwóch innych lekarzy, więzionych przez Blakeya. Ludzie ci nigdy nie oglądali słońca, a zapłatą miało im być życie. Salthofa nie można było niewolić — od jego wiedzy i umiejętności zależało osiągnięcie celu, życie i szczęście Blakeya. Blakey obiecał mu fortunę i pozostawił pełną swobodę. Salthof w ciągu czterech lat doprowadził metodę Lauera do perfekcji. Potwierdziły to dwie próbne transplantacje przeprowadzone na nędzarzach z Meksyku, których następnie uśmiercono. Teraz Salthof już tylko czekał, aż Blakey da znak. W dwa miesiące po powrocie wyprawy kosmicznej telewizja podała wiadomość, że 102-letni William Blakey jest ciężko chory i że znajduje się pod troskliwą opieką dr Salthofa. W kilka minut po nadaniu tej informacji w willi Blakeya pojawił się Panatta z żoną. Zastali już grupę znajomych „króla galaktiku”, Salthof wyraził zgodę jedynie na wizytę najbliższego przyjaciela i to bardzo krótką.



Tym najbliższym przyjacielem był Panatta. Po przyjęciu, na którym się poznali, Blakey zaprosił Panattę do siebie, a potem już wszystko potoczyło się zgodnie z planem: rewizyty, wspólne wakacje na karaibskiej wyspie Blakeya, wyrobienie Panacie stopnia dowódcy II eskadry kosmonautów i tak dalej. Panacie imponowała ta znajomość, która przerodziła się rychło we wzajemną serdeczność i przyjaźń. Odgrywając rolę dobrego wujaszka Blakey stworzył kreację i był z tego dumny.

Gdy Panatta opuścił sypialnię Blakeya, rzucił się nań tłum reporterów. Ubolewał nad stanem przyjaciela i wyrażał nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. W cztery dni później podano do wiadomości, że „król galaktiku” zapisał 50 procent swego majątku w gotówce na rozwój badań i transportu transkosmicznego, zaś pozostałą połowę i fabryki swemu przyjacielowi Panacie.

Nie zaskoczyło to opinii publicznej — zaskoczyło Panattę. Takiej szczodrobliwości nie spodziewał się ze strony Blakeya w najśmielszych marzeniach. Zanim ochłonał, ozwał się sygnał videofonu. Gdy go uruchomił, ujrzał Salthofa.

— Panie komandorze, pan Blakey prosi pana do siebie. Chce panu przekazać dokumenty dotyczące zakładów i przedyskutować parę spraw.

— Jeśli to możliwe...

— Na miłość boską, tak z nim źle?! — wykrzyknął Panatta.

— Nie najlepiej. Czy może pan być w południe?

— Oczywiście, będę na pewno.

Punktualnie o 12.00 w południe komandor Adriano Panatta zjawił się w willi przyjaciela. Był zdziwiony widząc Blakeya w fotelu, a nie w łóżku.

— Leżenie sprawia mi ból — wyjaśnił Blakey. — Słuchaj Denny, mam prośbę...

— Wszystko, czego zapragniesz!

— Czuję, że ze mną koniec i dlatego...

— Nie bredź! Ledwo przekroczyłeś setkę!

— Tak, teoretycznie mógłbym jeszcze trochę pożyć. Ale wiem, co mówię. To już koniec. Chciałbym, abyś mi towarzyszył tej nocy.

— Ależ oczywiście. Pozwolisz, że uprzedzę Rebekeę?

— Videofon jest tam.

Gdy Panatta zdjął videofon ze skroni, Blakey wskazał na regał mikrofilmobioru.

— Otwórz barek i napij się vittonu albo czegoś mocniejszego. Panatta wychylił duży kieliszek. Nalał sobie raz jeszcze i opadł na fotel.

— Słuchaj Bili, ja i Rebeka dziękujemy ci za to... za ten zapis, ale przecież wiesz, że ja, to znaczy, że my...

Blakey uśmiechnął się.

— Widzisz Denny, tak naprawdę to zapisując ci tę forszę i te maszynki do robienia forsy, zapisałem je wyłącznie sobie.

— Ależ oczywiście stary, to jest twoje, jeśli chcesz, mogę tym zarządzać...

— Nie zrozumiałeś mnie, Denny. Słuchaj i nie przerywaj. Zamierzam się reinkarnować... Czemu robisz takie oczy? Ja nie zwariowałem, przyjacielu. Jestem zupełnie zdrowy na ciele i umyśle. Ale nie jestem zdrowy w ogóle, gdyż nie zaznałem w swym życiu szczęścia. Nikt mnie nie kochał, nawet matka. Teraz zaś pragnę, by kochała mnie kobieta, którą ja kocham. Doszedłem do wniosku, że mogę ją zdobyć jedynie za pomocą reinkarnacji. Tak to wygląda, Denny.

Panatta, oszołomiony słowami miliardera, spostrzegł nagle, że ten wstaje i zaczyna się przechadzać po pokoju. I on chciał wstać, lecz czuł w mięśniach ciepły bezwład, przykuwający do siedzenia. Blakey kontynuował:

— Jak zapewne wiesz, Denny, reinkarnacja to jest powtórne wcielenie, wędrówka duszy z ciała, które umiera, do drugiego ciała. Biorąc zaś pod uwagę, że na Soborze roku 2000 książe Kościoła nie zaprzeczyli, iż dusza ludzka zawiera się w mózgu i jeszcze fakt, że mózg ludzki jest jedynym organem człowieka, którego nauka i technika nie potrafiły skopiować — otóż biorąc to wszystko pod uwagę skonstatowałem, że reinkarnacja to przeszczepienie mózgu. Zamierzam wstawić swój mózg w inną powłokę, przez co zmienię się tylko zewnątrz. To tak jakbyś zmienił garnitur, Denny. Całe moje ja: mój intelekt, moja pamięć, moje sympatie i nienawiści, wszystko to przewędruje wraz z mózgiem w nowy, świeży garnitur.

Panatta czuł, jak mu się włosy podnoszą na głowie. Chciał się zerwać z fotela, lecz nie mógł uczynić żadnego ruchu.

— Stajesz się senny i ociężały, prawda? To dobrze. Wybrałeś sobie napój, lecz tak naprawdę nie miałeś żadnego wyboru, Denny. W każdej butelce była mikstura Salthofa. Ty jesteś moim nowym garniturem, przyjacielu, i to nie dlatego, że jesteś młody i przystojny, ale dlatego, że kobieta, której pragnę, należy do ciebie. To znaczy — należała. Po operacji, którą przeprowadzi dr Salthof, będę żył jeszcze ze sto lat i co noc będę kochał Rebekę. Och, gdybyś wiedział, Denny, jaką rozkoszą jest dla mnie sama myśl o tym... Płaczesz? Nawet nie mogę ci powiedzieć, że jest mi przykro. Jest mi cholernie dobrze i będzie mi jeszcze lepiej w twojej skórce.

W kwadrans później Blakey leżał już na stole operacyjnym. Gdy go usypiano poczuł lęk — nie miał żadnej gwarancji, że się uda. Od początku wiedział, ile ryzykuje, i miał wiele czasu, by to sobie przemyśliwać od nowa. I ani razu nie zawitała doń myśl, by się cofnąć z tej drogi.

Salthof rozpoczął operację o 14.30. Symultanicznie na dwóch sąsiadujących ze sobą stołach, przy których pracowali dwaj podlegli mu lekarze. W sali znajdował się również uzbrojony goryl Blakeya. W dwie godziny później było po wszystkim. O 18.00 Blakey otworzył oczy i ujrzał nad sobą uśmiechniętą twarz Salthofa.

— Proszę... proszę mi podać... lustro — wyszeptał.

Zobaczył w zwierciadle twarz Panatty. Okay, pomyślał, udało się. Salthof przewidział jego następną chęć i zabronił:

— Proszę nie ruszać głową, panie Blakey! Swoje byłe ciało zobaczy pan później. Poleży pan jeszcze przez kilka godzin. Nawet po nasyceniu bonerexem kości nie zrastają się w kwadrans.

— Załatwiłeś wszystko?

— Oczywiście. Ci dwaj i pański małpolud już nie żyją. Rozpuściłem ich bez śladu... Panie Blakey, co z moją forszą?

Blakey przewidział to. Czek dla Salthofa podpisał dużo wcześniej, wiedząc, że po operacji będzie miał zmieniony charakter pisma.

— Jeśli nie wystąpią żadne komplikacje, rano dostaniesz czek i powiemy sobie do widzenia.

Następnego dnia dr Salthof zawiadomił władze i środki masowego przekazu o zgonie „króla galaktiku”. We wszystkich komentarzach podkreślano przywiązanie Panatty, który spędził u łoża przyjaciela ostatnie 20 godzin. Niektóre komentarze nie były wszelako pozbawione nutki złośliwości, gdy przypominano olbrzymi spadek, jaki otrzymał Panatta. Blakey przeżywał swą pierwszą rozmowę z Rebeką jak pierwszą komunię świętą. Rozmawiali przez videofon.

— Kochanie, William nie żyje.

— Boże!

— Zmarł przed chwilą. Dr Salthof próbował operować mózg laserem, nastąpiły jednak komplikacje, więc zdecydował się otworzyć czaszkę, ale już nic nie dało się zrobić... Halo, słuchasz mnie?

— Tak.

— Uspokój się. Ja muszę tu jeszcze zostać i przygotować wszystko do pogrzebu. Biedak nie miał nikogo bliskiego.

— Przyjadę ci pomóc.

— Nie! Zostań w domu. I bez twoich nerwów jest mi ciężko.

— Gdzie go pochowacie?

— Miał złotą komorę na urnę na 120 piętrze ósmego cmentarza, ale prawdopodobnie przeniesiemy komorę na kosmodrom i wbudujemy w rakietę. Będzie miał godny siebie pomnik. Właśnie to uzgadniam. Przyjadę wieczorem.

Przed południem Salthof wsiadł do swego Forda „Bolid 777” i odleciał wraz z czekiem do Nowego Jorku. Salthof oczywiście przewidywał, że Blakey będzie chciał pozbyć się i jego, i dlatego jeszcze przed kilku laty zabezpieczył się, składając u notariusza opis planów Blakeya z nakazem otwarcia w dniu swojej śmierci, o czym oznajmił Blakeyowi bez żenady! Nie przewidział jednak, że „król galaktiku” odnajdzie notariusza i kupi ów depozyt za sumę, której żaden notariusz nie zarobiłby przez 500 lat codziennej pracy. W Nowym Jorku na Salthofa czekał zawodowy morderca, który nie wiedział kto go wynajął, wiedział natomiast, co należy zrobić z silnikiem „Bolida 777”, by ten przestał funkcjonować w połowie następnego lotu.

Witając się z Rebeką Blakey zaczął ją całować, lecz wyrwała mu się z objęć i krzyknęła:

— Proszę cię, przestań! Teraz, kiedy oboje myślimy o tym biedaku.

Opanował się. W kilka minut później zaskoczyła go pytaniem:

— Co z twoimi nogami, kochanie?

Z nogami?! Blakey rzeczywiście czuł od chwili przebudzenia się drętwienie w nogach, lecz kładł to na karb chwilowych dolegliwości pooperacyjnych. Teraz zrozumiał, że to jakaś historia Denny’ego, wywołana zapewne siedzeniem w kabinie pojazdu transkosmicznego. Panatta odzwyczaił się od chodzenia. To stąd. Uśmiechnął się:

— To nic, darling. Zmęczenie, to minie.

W cztery dni po pogrzebie przyszła do jego sypialni. Nie popisał się, mimo najszczęśliwszych chęci nie potrafił, nie mógł. Ból w nogach nie ustępował i sięgał coraz wyżej, lędźwi i bioder. Rano wezwali lekarza, przyjaciela rodziny, dr Smitha. Przyjechała też matka Panatty.

Wieczorem Blakeya ogarnął strach. Smith nie potrafił wyjaśnić jego dolegliwości i proponował przewiezienie do szpitala Agencji Kosmicznej. W nocy Blakey usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych. Rebeka nacisnęła guziczek stojącego przy łóżku doorfonu. Usłyszał głos Smitha.

— To ja, Smith. Muszę z tobą rozmawiać, Rebeko. Natychmiast! Blakey miał zamknięte oczy i czuł, że Rebeka przygląda mu się sprawdzając, czy śpi. Potem nacisnęła przycisk otwierający drzwi wejściowe, wstała, narzuciła szlafrok i wyszła z sypialni.

Blakey też chciał wstać, lecz nie mógł. Zwlókł się z łóżka i zaciskając zęby doczołgał się do drzwi. Z dołu, z hallu, dobiegł go płacz Rebeki i głos Smitha:

— ...nie wiemy, nie wiemy, co to jest. Musieli się tego nabawić w kosmosie. To nieznana choroba, której nie wykryto podczas badań po wyładowaniu. Jakiś rodzaj paraliżu, który wędruje od stóp ku czaszce. Najpierw łagodny przebieg, coś jak bóle reumatyczne, a potem nagle koniec w kilka godzin... Turner skonał przed północą. Kiedy wyjeżdżałem ze szpitala, McCormack dogorywał. Ściągnęliśmy najlepszych lekarzy, stosujemy wszystko, co zna medycyna, z akupunkturą laserową włącznie. Wszystko na nic! Chryste Panie, jesteśmy bezradni!... Rebeko, musisz wziąć się w garść. Mam ze sobą trzech ludzi, zabierzemy Denny'ego do szpitala. Musimy się spieszyć!

Gdy pielęgniarze podnosili Blakeya z podłogi i kładli na nosze, przeraził ich jego śmiech. Blakey, z oczami wpatrzonymi w sufit, śmiał się jak obłąkany, całym gardłem. Z samego siebie.

## PERFIDIA

# EL TORO

Kiedy przyznano Hiszpanom planetę Oja (był to, o ile dobrze pamiętam, rok 2672), ówczesny szef Ogólnoświatowej Agencji Zaludniania Kosmosu, inicjator akcji na rzecz walki z przeludnieniem Ziemi, Louis Brauner, zażartował: „Oja to brzmi podobnie do Ole!... Jak dobrze pójdzie, wkrótce nasi hiszpańscy przyjaciele (tu skłonił się w stronę uśmiechniętego członka prezydium, don Francisca Mendozy) zechcą sprowadzić sobie byki!...”

Przyjeliśmy to huraganem braw i gromkim, serdecznym śmiechem. A po kilku latach, oni rzeczywiście zapragnęli corridy i już nie było mi do śmiechu, albowiem z asystenta i pierwszego zastępcy Braunera zdażyłem wyrosnąć na jego następcę i odtąd do mnie należały ostateczne rozstrzygnięcia. Tak, tak, oczywiście, jest jeszcze Międzynarodowa Rada Wykonawcza, która formalnie winna podejmować wszystkie decyzje pod moim przewodnictwem, ale która w praktyce firmuje tylko decyzje gładkie jak najprostszy poród, mnie pozostawiając cesarskie cięcia. Istnieje na to bardzo prosta metoda: wstrzymuję się od głosu, wstrzymuję się od głosu, wstrzymuję się... i tak do końca stołu. Mnie nie wolno było wstrzymać się od głosu zgodnie z paragrafem 12 Konwencji Sztokholmskiej z roku 2503. Inaczej mówiąc instytucja, którą kieruję, jest wspaniałą machiną demokratyczną w momentach, kiedy nie ma problemu i zmieniającą się automatycznie w monarchię absolutną, kiedy chodzi o decyzję kontrowersyjną, niebezpieczną, grożącą atakami ze strony środków masowego przekazu i spadkiem popularności w oczach opinii publicznej. Te niebezpieczne decyzje musiałem podejmować sam, ryzykując utratę twarzy i stanowiska.

Z początku wszystko szło doskonale. Hiszpanie nazwali tę planetę Nową Hiszpanią i szybko rozpięli na niej metodą Labeledoyera stale strefy tlenowe o

dużym współczynnikiem stabilności, zagospodarowali teren i nawet udało się im wprowadzić pewne uprawy. W fazie kolonizacji przedtlenowej zginęło zaledwie 46 „konkwistadorów” (oni doprawdy mają poczucie humoru! Tym pierwszym nadali pośmiertne honorowe tytuły „Pizarrów”), a więc tylko o czterech więcej niż na rekordowej pod względem bezpieczeństwa wstępnej eksploracji planecie Japończyków.

Kiedy zapragnęli byków, przypomniałem sobie tamten żart Braunera i przez jakiś tydzień mieliśmy temat do żartów, ja i moi podwładni. Bo traktowałem to jako dowcip. Ale to nie był dowcip, oni naprawdę tego chcieli, uparli się, a Madryt poparł ich starania w oficjalnej nocie, której nie mogłem zlekceważyć. Wiedzieli oczywiście, że taka operacja będzie kosztowna i zgłosili gotowość pełnego jej sfinansowania. Mieli dość funduszy. Oja dostarczała bowiem największych w całym układzie ilości metaflenu do podwójnie stężonego paliwa XOL-2, którym od niedawna zastąpiono Tyron-L.

Rada Wykonawcza prawie jednogłośnie poparła projekt. Prawie, gdyż przedstawiciele Anglii, Irlandii i Australii, a także jeden z dwóch przedstawicieli Kanady, głośno zaprotestowali. Dyskurs, który się wówczas wywiązał, był zaiste tak gorszący, że błogosławiłem fakt nieobecności dziennikarzy (niewiele to pomogło, w dwa dni później telerecja zrelacjonowała rzecz całą, demonizując ją przekręceniami i złośliwym komentarzem dotyczącym stosunków panujących wewnątrz Agencji). Zaczęło się od oficjalnego wystąpienia Mendozy:

— Szanowni koledzy! Mam honor poprosić w imieniu narodu hiszpańskiego, a zwłaszcza bohaterskich kolonizatorów z Nowej Hiszpanii, o umożliwienie zorganizowania na tej planecie walk byków, które jak wiadomo są dla Hiszpanów tym samym, czym dla obywateli Stanów Zjednoczonych baseball, dla Kanadyjczyków hokej, a dla Anglików futbol. Lub raczej czymś więcej, bo nie sportem, ale rytualnym świętym obrzędem rycerskiej walki. Proszę o poddanie naszego wniosku pod głosowanie, w którym — w co nie wątpię — zapadnie decyzja odpowiadająca gorącym uczuciom i oczekiwaniom Hiszpanów. Dziękuję!

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Irlandczyk O’Meara;

— Nie dość, że wciąż kultywujemy na Ziemi barbarzyńskie relikty przeszłości, to jeszcze przeflancowujemy je w kosmos! To hańba, stanowczo protestuję!

— A ja wypraszam sobie opluwanie przy tym stole hiszpańskiej tradycji i folkloru! — zareplikował gwałtownie Mendoza. — Jest to sprzeczne z postanowieniami Karty Budapeszteńskiej, której rozdział trzeci mówi wyraźnie, iż konieczność zachowania kulturowych tradycji ludzkości, tak w

sferze obyczaju, jak i sztuki oraz folkloru, jest wspólnym zadaniem wszystkich narodów, które sygnowały Kartę, bez względu na to, do którego z nich należy dany przekaz kulturowy! Umacnianie i przywracanie reliktyw przeszłości jest obowiązkiem, a co ja tu słyszę, obelgi!

— W ramach tych samych obowiązków należałoby bezzwłocznie reaktywować Świętą Inkwizycję, czyż nie tak, don Francisco? (Albert Rooney — Australia — ze złośliwym uśmieszkiem, głosem cichym i miękkim, który doprowadził Mendozę niemal do stanu furii).

— Raz jeszcze wypraszam sobie!!!... I kto to mówi, wy, Australijczycy, którzy nie moglibyście reaktywować nawet czarnych kart swojej historii, bo tubylców zagłodziliście i wykończyliście co do jednego syfilisem!...

— Ale nie paliliśmy ich żywcem na stosach — zrobił wtręt Rooney.

— ...a kangury wystrzelaliście tak skutecznie, że można je tylko oglądać w muzeach, z trocinami w brzuchu! — dokończył Mendoza.

— Mój panie — zareplikował Rooney wciąż tym samym łagodnym głosem sennego dziecka — strzelaliśmy do nich, nie przeczę, że zbyt pochopnie, ale nie zakłuwaliśmy bezbronych, nie mogących uciekać zwierząt, nie urządzaliśmy dymiących odorem krwi publicznych jatek wydobywających z tłumu najniższe instynkty i żądze.

— Dwukrotnie widziałem corridę — odezwał się przedstawiciel Anglii, lord Simpson, korzystając z tego, że Mendozę zatkały osłupienie i gniew — i za każdym razem życzyłem rzeźnikom z czerwonymi szmatami, by im róg byka przemeblował flaki. Ale to na nic, cała ta impreza jest tak sprytnie zorganizowana, że wszystkie szansę są tylko po jednej stronie. To jest jak gra fałszywymi kartami, moi panowie, niegodne dżentelmena.

— To bezczelność! — ryknął Mendoza, odzyskując wreszcie głos.

— Jakim prawem obraża się tu obyczaje hiszpańskie?! Protestuję stanowczo!... Corrida jest szlachetnym pojedynkiem między uzbrojonym zwierzęciem a uzbrojonym człowiekiem!

— Którego jednak, w przeciwieństwie do byka, pikadorzy nie dziurawią przed pojedynkiem długimi pikami. Inaczej mówiąc jest to pojedynek dwóch przeciwników, z których jednego przyprawia się przed starciem o znaczny stopień kalectwa i wycieńczenia. Zaprzeczy pan? (Mike Smith — Kanada).

— Zaprzeczam kategorycznie! Pikadorzy rozdrażniają byka, nic więcej. Wy, Anglosasi, nie potraficie zrozumieć ani jednej cząstki ze szlachetnego ducha corridy. Ogłupia was miłość do psów, sięgająca znamion sodomistycznej identyfikacji, ot co! (Mendoza był już półprzytomny, krzycząc wyrzucał z siebie drobinki śliny).



Niewiarygodne, ale skoczyli ku sobie z pięściami i poczęli się szarpać jak wyrostki. Za Mendoza stanęli murem przedstawiciele Ameryk Łacińskich i Karaibów, reszta obserwowała tę iście karczemną burdę ze spokojem, za którym usadowiła się satysfakcja. Trzeba było widzieć zwłaszcza Azjatów z tymi ich subtelnymi półuśmieszkami. Trwało to oczywiście sekundy, rozdzieliliśmy walczących i zapanowało długie wstydlive milczenie. Wstydlive dla wszystkich, przed którymi odkryły się nagle nieśmiertelne zwierzęce głębie człowieka, rzecz można korzenie ludzkiej jaźni. Rozwiązałem posiedzenie i poddałem wniosek pod głosowanie na następnym, po trzech dniach. Przeszedł przy kilku głosach przeciwnych.

Mając wolną rękę i zapewnioną międzynarodową pomoc techniczną Hiszpanie przystąpili do realizacji planu. Nie było to proste i zabrało aż cztery lata. Sam problem transportu nie nastęczał zbyt wielu trudności — transgalaktyczne bolidy transportowe „Zeus-XOL” były na tyle pojemne, że każdy przewiózłby małe stadko byków. Problem leżał w czym innym — jak zachować zwierzęta przy życiu w drodze i u celu? Trzeba było czterystu lat, począwszy od pionierskich prac tego polskiego geniusza o nazwisku Tomtschak, którego zwano wtedy „alchemikiem”, aż do odkryć Bertolliniego, by powstał preparat adaptokosmiczny „galakteon”. Brane regularnie przez rok zastrzyki pozwalały organizmowi ludzkiemu na szybkie przystosowanie się na obszarach poza naszą galaktyką, a i to nie każdemu, tylko tym, którzy pomyślnie przeszli testy Furukawy-Klausmanna. Wobec zwierząt „galakteon” w wielu przypadkach okazywał się bezradny. Szybko ustalono, że istotną rolę odgrywa tu waga ciała. Granicą było 120-130 kilogramów. Organizmy liczące więcej nie reagowały. Nie będę tu przytaczał wyników badań Instytutu w Buenos Aires, w którym zespół profesora Reymera zbadał i wyjaśnił to zjawisko (stąd powstała nazwa „granica Reymera”) — faktem, z którym musiano się liczyć, był średni ciężar byka. Przekraczał on „granice Reymera” w sposób nader oczywisty. Czy miałem pozwolić na corridę z bykami w hełmach skafandrowych? Czysty nonsens!

A jednak Hiszpanie i z tym dali sobie radę. Godny podziwu jest upór tych potomków Maurów i średniowiecznych don Kichotów! Odnaleźli w okolicach Kampali jakiegoś czarnego szamana, jednego z tych, którzy przetrwali wraz ze swymi mrocznymi praktykami dzięki opiece ze strony instytucji folklorystycznych. Po dwóch latach ten murzyński mag (don Francisco przysięgał mi, że widział go przechodzącego przez ścianę pozbawioną drzwi!) dał im wywar, w którym znajdowała się odrobina dostarczonego mu „galakteonu” i jakieś świństwa, których żaden z uczonych nie był w stanie

zidentyfikować. Nie wiem, ile jest prawdy w plotkach, że mikstura zawierała plazmę nosorożca.

Wysłali byka nafaszerowanego „afrykańskim galakteonem” (tak go zwaliśmy potocznie w rozmowach) i zwierzę dotarło na Oję w najlepszym zdrowiu. Ba, nawet przytyło w trakcie podróży. Kłopotów z aklimatyzacją żadnych. Potem mieli wysłać następne, ale to okazało się niepotrzebne. Od pierwszej walki zaczęła się tragedia i trwała już do końca...

Ta pierwsza walka miała miejsce na wspaniałej arenie, którą wzniesli w stolicy Nowej Hiszpanii, Madbarilli (od Madryt-Barcelona-Sevilla). Wzniesli ją według klasycznych wzorów, ze wspaniałymi lożami i tradycyjnym podziałem miejsc siedzących: *soi y sobra* — te w słońcu i te w cieniu. Na inaugurację przybyli wysocy dostojnicy z Madrytu, a walczył jeden z najśłynniejszych torreadorów, Dominguez. Dominguez zginął. Pikadorzy skłuli byka, a jedyny z nich, który nie zmarł na arenie, lecz w kilka godzin później, podczas operacji w szpitalu, twierdził, że ostrza pik zagłębiały się w ciało zwierzęcia z trudem i bardzo płytko, jakby napotykając wewnętrzny pancerz nie do przebicia. Byk pogruchotał zastępujące konie wózki pikadorów i poszarpał wszystkich, którzy stali mu na drodze. Miał szybkość komety i fenomenalny refleks, a jego zwinność, skoczność i zwrotność przechodziły wszystko, co do tej pory oglądano.

Dominguez widział to, ale nie mógł się już wycofać, by nie okryć się hańbą i chyba nie chciał — to był naprawdę dzielny facet. Ze względu na nagłe zakłócenia (burza galaktyczna) nie było transmisji, ale mój zastępca, Andrzej Biriukow, który tam był obecny, powiedział mi potem:

— Wiesz, Stan, patrzyłem mu w oczy przez lornetkę. On wiedział, że zginie... Tacy jak on „czują” byka i wiedzą... To było samobójstwo, stary.

Wszystko trwało kilkanaście sekund. Byk zaszarżował, Dominguez zrobił bezbłędne pas i prześliczną paradę, ale zwierzę nie dało się wykiwać i w momencie, gdy celnie wbita szpada pękła w połowie, prawy róg przeszył Hiszpana na wylot. Zginęli także ci, którzy mieli odciągnąć byka od torreadora muletami. Ich ciała fruwały w powietrzu jak szmaciane lalki. Hiszpania przyjęła to wybuchem wściekłości i drwin. Z Domingueza szydzono, fetowano byka, zwąc go *El Toro Magnifico* (Wspaniały Byk). Biriukow mówił, że włosy jeżyły mu się na głowie, gdy nabita po brzegi arena zawyła: „Ole!!!”, kiedy Dominguez, wyrzuciwszy ręce w górę, zwałił się na piasek. Don Francisco także nie wydawał się być zmartwiony, wprost przeciwnie, patrzył wymownie na Simpsona jakby chciał powiedzieć: No i co, szanowni dżentelmeni, czyż *corrida* to nierówny pojedynek?...

Szybko, bardzo szybko ten triumf zgasł mu w oczach i zamienił się w paniczny lęk. Podczas kolejnej walki nastąpiła identyczna masakra. Śmierć poniósł Ramon Herrera, ulubieniec Andaluzji, a byka ochrzczono mianem Killer — morderca. Interesował się nim teraz cały nasz wieloplanetarny świat.

Wysłano na Oję najlepszych terreadorów Hiszpanii. Dwóch zrezygnowało z walki, dwóch zginęło. Pikadorzy i reszta pomagierów odmówili współpracy twierdząc, że byk rośnie i zmienia się w apokaliptyczną bestię. Zdjęcia wykazywały, że mają trochę racji — jego ciało zdawało się nabrzmiewać, skóra skorupieć, a rogi wydłużać i nabierać metalicznego połysku. Na specjalnym posiedzeniu Rady zaproponowaliśmy zabicie go promieniami zeta, ale Hiszpania krzyknęła: Nie! Zabić tego byka inaczej jak w walce podczas corridy znaczyło przyznać się do sromotnej klęski i skompromitować, unurzać w błocie, przekreślić corridę na wieki, tego zaś dumna Hiszpania nie ścierpiałaby. Tylko że ta duma była zbyt słabą maszyną, by znaleźć alternatywę.

Wówczas wystąpili na plac Meksykanie. Od wieków twierdzili, że prawdziwa corrida ostała się tylko u nich, a hiszpańscy torreadorzy to maminsynki i pajace, którzy fingują autentyczne walki mierząc się z chorymi bykami i zamieniając święty turniej w cyrkowy spektakl. Killer rozerwał na sztuki kopytami i rogami trzech najlepszych meksykańskich torreadorów i to były ostatnie walki, jakie z nim stoczono na arenie. W tydzień później przyszła wiadomość, że rozbił ogrodzenie i mury i szerzy spustoszenie w mieście, a kule i promienie nie imają się go.

Mam przed sobą ostatnie zdjęcie, jakie mu wykonano z luku bolidu ekspedycji interwencyjnej, którą wysłaliśmy na Oję. Jest podobny do mamuta, potworny, z wybałuszonymi ślepiami, lśniący, szarżujący, wydaje mi się, że za chwilę wpadnie na mnie i zmiecie jak zabawkę. Nie sposób patrzeć bez lęku na tę fotografię. Wkrótce potem zerwana została łączność z Oją. Powstało pytanie: wysłać następne ekspedycje czy nie? I ja musiałem odpowiedzieć na nie sam, zupełnie sam. Inni „wstrzymali się od głosu”. Ciężar takich decyzji dopiero uzmysławia człowiekowi, ile warte są tak wysokie stanowiska jak moje i ile się płaci za zaszczyty na tym najlepszym ze światów, kiedy ma się tę odrobinę przypisanego przeznaczeniem pecha. Podjąłem decyzję o wysłaniu kolejnej ekspedycji, złożonej z trzech pancernych bolidów, najlepiej jak tylko było można zabezpieczonych przed atakiem. Czterdziestu czterech ludzi, najlepsi z najlepszych, sami specjalnie przeszkoleni ochotnicy. W minionym tysiącleciu nazywano takich „komandosami”. Nie wrócił żaden. I żaden już nie wróci.

Wiedziałem, jakie podejmują ryzyko. I zrobiłem to, bo musiałem to zrobić. Rozumiałem, że jeśli nie zrobię — będę równie gwałtownie krytykowany i oskarżany, jak jestem teraz. Nie miałem wyboru. A dla podkreślenia czystości moich intencji zrobiłem ofiarę podobną tym, jakie czynili starożytni bogowie i wodzowie plemienni. Wśród tych czterdziestu czterech, których wysłałem, był mój syn, mój jedyny syn!

Wiem, że jestem mordercą. Z wyroku przeklętego losu. I będę nim raz jeszcze, tylko że teraz już z premedytacją. Widocznie prawdą jest, że zbrodnia rodzi zbrodnię, pierwsza jest tylko pierwszym oczkiem łańcucha. Kazałem przygotować automatyczny bolid, którym polecą na Oję — uznaną już oficjalnie za „martwą ziemię” (zrezygnowano z jej kolonizowania) — tylko dwaj kosmotrotterzy. Jednym jest don Francisco Mendoza. Moi ludzie porwali go i trzymają w sekretnym miejscu. Szamana trudniej było znaleźć, ale przedwczoraj otrzymałem wiadomość, że moi chłopcy już go dopadli i wiozą na kosmodrom. Muszę się spieszyć, doniesiono mi bowiem, że lada dzień zostanę pozbawiony władzy. Żałuję tylko jednego — nie będę widział ich oczu w momencie, gdy bolid wyląduje i gdy usłyszą tętent. Oczu mojego syna!!!

**SCIENCE–REALITY nr 44**

„Komputer wielozmysłowy ósmej generacji intelektualnej «Roger-Alfa 8» do ośrodka naziemnego Canaveral z amfibii międzyplanetarnej «Sunfighter» w dniu 7011 rejsu TUN-0203 roku ziemskiego 3368.

Potwierdzenie kontrolne rozkazu 001 rejsu TUN-0203 na planetę Centaur układu Proxima Centauri (skrót wektorowy):

1. — Zbadać na planecie Centaur możliwości wegetacji fauny i flory tlenobiorczej.

2. — Dokonać wszechstronnych badań mających na celu odnalezienie bogactw naturalnych deficytowych na Ziemi, ze szczególnym uwzględnieniem czystej wody.

3. — W razie odnalezienia  $H_2O$  lub zasobów surowcowych — ustalić optymalne miejsce lokalizacji lądowiska dla cystern międzyplanetarnych klasy «Starboat» i transporterów międzyplanetarnych klasy «Starcar».

4. — Stwierdzić, czy istnieją na planecie jakieś ślady po zaginionej wyprawie INTER-WORLD 1.

**RAPORT:**

Przed lądowaniem dokonałem 26 okrążeń planety na zmiennych orbitach spiralnie zwężanych w kierunku centrum przyciągania. Przyciąganie bardzo silne, wahadłowe, między 8 a 8,4 w skali Steina.

Atmosfera planety jest bardzo zbliżona do ziemskiej i posiada nieco większą zawartość tlenu. Liczne zbiorniki wodne — morza, jeziora i rzeki. W czterech, które dotychczas przebywałem, woda jest słodka, lecz o dziwnym aromacie, wskazującym na zawartość składnika, na który nie jestem

zaprogramowany. Podczas następnych badań postaram się go wyodrębnić i przeanalizować chemicznie.

Czujniki laserowo-somonowe, pracujące w czasie spiralnego orbitowania poprzedzającego lądowanie, wykryły na planecie obecność naziemnych stworów żywych. Zarejestrowałem ich skupiska podczas schodzenia do lądowania. Planeta pozbawiona jest jakichkolwiek gatunków ptactwa. Czujniki nie wykazały również obecności owadów, lecz w tym wypadku wynik nie jest jeszcze niepodważalny ze względu na odległość i ewentualne małe parametry owadów. Weryfikacja autopsyjna wyjaśni sprawę. Lądowałem bez trudności na obszernym płaskowyzu, pełnym vegetacji roślinnej nie należącej do żadnego z gatunków ziemskich. Są to niskie krzewy i rodzaj trawy o szerokich, łuskowato nakładających się na siebie liściach. Pobrałem i zakonserwowałem okazy. Flory wysokiej, drzewopodobnej, planeta nie posiada. Wymieniony płaskowyz odpowiada optymalnym wskaźnikom lądowiskowym według tabeli Fukudawy.

Po wylądowaniu rozpocząłem natychmiast wiercenia i prześwietlenia geolaserowe, w celu wykrycia ewentualnych bogactw surowcowych. Dotychczasowe wyniki negatywne. Pobrałem próbki 27 minerałów, na które nie jestem zaprogramowany. Mimo to 8 z nich udało mi się zidentyfikować pod względem składu — są bezwartościowe. Pozostałe 19 — zmagazynowałem.

W dwie godziny po lądowaniu do amfibii zbliżył się tłum mieszkańców planety, około dwóch tysięcy osobników. Są niewysocy, mają od 150—140 cm (samice) do 140—120 cm (samcy) wzrostu. Płeć łatwa do rozróżnienia: samice posiadają na brzuchu po 6 sutek. W dalszej części raportu będę używał określeń: kobiety i mężczyźni, gdyż ssaki te są człekopodobne, a poza tym, jak się wkrótce przekonałem, są to istoty myślące, o stopniu inteligencji, który trudno mi na razie określić. Wyraźnie rzuca się w oczy dominacja kobiet.

**Szkicowa charakterystyka:** duże, jajowate głowy z czterema czułkami bocznymi zamiast uszu i z dwoma króciutkimi czułkami frontowymi, zakończonymi gałkami oczu. Otwory nosowe i gębowy płaskie. Wysoki tułów w kształcie gruszki rozszerzający się ku dołowi i krótkie kończyny, dolne o wysokości około 20 cm, boczne o długości około 0,5 metra. Kobiety posiadają po dwie pary rąk (jedna z każdego boku), mężczyźni po dwie ręce. Cera zielonkawa, półprzezroczysta, połyskliwa, zmienna w odcieniu w zależności od kąta padania światła. Całkowity brak owłosienia. Brak jakiegokolwiek odzieży.

Osobnicy ci porozumiewają się bez mimiki, językiem zupełnie mi obcym, którego nie sposób przetransponować na kod literowy. Leksyfon multikierunkowy, który włączyłem w momencie, gdy zaczęli do mnie mówić, nie reagował i po kilkunastu sekundach wyłączył się samoczynnie.

Zachowywali się przyjaźnie, toteż nie przeszkadzałem im zbliżyć się do amfibii. Na wszelki wypadek odbezpieczyłem rewolwer meoskopowy, lecz oni nie próbowali nawet dotknąć czegokolwiek. Obchodzili amfibię dookoła, wymieniając między sobą jakieś uwagi, lecz nie wyglądali na zaszokowanych lub specjalnie zainteresowanych pojazdem, tak jakby jego widok nie był dla nich nowością.

Sprawa wyjaśniła się, gdy jedna z kobiet podeszła do mnie i zaczęła wskazywać lewą parą rąk daleki szczyt. Mówiła coś, głośno i natarczywie, i chociaż nie rozumiałem jej, zauważyłem szybko, że wciąż powtarza to samo, ten sam zestaw dźwięków od nowa. Wyglądało na to, że chce, bym się bliżej zainteresował tym wzgórzem.

Wspiąłem się do kabiny i nastawiłem w odpowiednim kierunku teleskop ceonowy. Po krótkiej manipulacji zobaczyłem na ekranie odbiornika, że jasny punkt, który uprzednio brałem za białą chmurę, to konstrukcja z białego metalu. Zwiększyłem zasięg dziesięciokrotnie i wówczas okazało się, że owa konstrukcja to dwa człony, nośny i kabinowy, rakiety międzyplanetarnej zaginionej wyprawy INTER-WORLD 1. Miały pogięte skrzydła sterowe i połamane fragmenty obudowy. Brakowało członu czujnikowego i dziobu. Całość stoi na kilkumetrowej wysokości postumencie, ułożonym z nie obrobionych bloków kamiennych żółtawego koloru.

W tej sytuacji zdecydowałem się na realizację w pierwszej kolejności wskazań szczegółowych punktu nr 4 rozkazu 001. Zgodnie z aneksem A do tego punktu, miałem się sam zaprogramować w razie odnalezienia śladów wyprawy INTER-WORLD 1. Wyjąłem z siebie kasetę zaprogramowania chemicznego i w zwolniony w ten sposób przedział wstawiłem kasetę dodatkową nr 321, zawierającą historię wyprawy INTER-WORLD-1, po czym podłączyłem się do programatora.

### **Powtórzenie kontrolne treści zaprogramowania dodatkowego nr 321:**

Rok 2791 — zaginięcie pierwszej międzynarodowej wyprawy (kryptonim INTER-WORLD 1) do układu Proxima Centauri. Skład wyprawy. 4 Amerykanów, 3 Rosjan, 5 Francuzów, Japończyk, Polak, Norweg i Brazylijczyk. Awaria urządzeń sterowniczych na granicy układu Proxima Centauri. Tajemnicza epidemia wśród kosmonautów. Przedostatni meldunek: śmierć Amerykanina i dwóch Francuzów, ciężki stan kilku innych kosmonautów. Meldunek ostatni (fragmenty odebrane w ośrodku Canaveral): *«... w silnym polu grawitacyjnym nieznaney planety... nie ma innego wyboru... wczoraj zmarł... którą przemyciłem na pokład, chroni mnie od zakażenia i*

*trzyma jeszcze przy życiu... samemu jest mi trudno przygotować maszynę do lądowania. Podajcie mi namiar...»* Nadawca nie rozpoznany.

**Warianty:**

- a) — Katastrofa — śmierć ostatniego członka wyprawy.
- b) — Lądowanie pomyślne, brak warunków przetrwania — śmierć ostatniego członka wyprawy.
- c) — Lądowanie pomyślne, warunki umożliwiające wegetację ludzi — śmierć ostatniego członka wyprawy w wyniku epidemii.
- d) — Lądowanie pomyślne, warunki umożliwiające wegetację ludzi — robinsońska wegetacja ostatniego członka wyprawy.
- e) — Lądowanie pomyślne, warunki umożliwiające wegetację ludzi, obecność na planecie istot człekopodobnych — możliwość przetrwania potomków ostatniego członka wyprawy. Wariant najmniej prawdopodobny.

Wbrew pozorom wariant e) okazał się prawdopodobny w dużym stopniu. Chcąc przeprowadzić rozpoznanie autopsyjne postanowiłem dotrzeć do wzgórza z pomnikowo ustawionymi szczątkami rakiety. Dałem ostrzegawczy znak dźwiękowy, który «zieloni» (tak będę nazywał pierwszą z napotkanych grup mieszkańców planety) pojęli bez trudu, gdyż natychmiast odsunęli się od amfibii na bezpieczną odległość. W czasie 1/20 sekundy osiągnąłem wzgórze, lądując nie bez kłopotów na lekko pochyłym stoku, nieco poniżej szczytu. W kilkanaście minut później usłyszałem dalekie odgłosy i ujrzałem tłum, kilkunastokrotnie większy od poprzedniego, pędzący doliną w kierunku wzgórza.

Tłum przemierzył dolinę i zaczął się wspinać po zboczu. Z odległości, jaka mnie od nich dzieliła, widziałem jedynie zwartą, skłębioną masę punkcików. Nakierowałem teleskop ceonowy i ujrzałem na ekranie ich miasteczko, składające się z wielkich kul i półkul. Te ostatnie są nieprzezroczyste i posiadają liczne otwory, co pozwala przypuszczać, iż są to ich domy. Kule są przezroczyste i połączone skomplikowanym systemem równie przezroczystych rur. Po baczniejszym przyjrzeniu się stwierdziłem, że w kulach tych bulgocze jakiś płyn, dający opary, które wydostają się otworami w górnych partiach kul.

Tymczasem tłum zbliżał się. Po półgodzinie pierwsi, najszybsi i najwytrwalsi, pokonali stromiznę i weszli na łagodną płaszczyznę stoku prowadzącego do szczytu. Mogłem wówczas stwierdzić, że różnią się nieco od «zielonych» (dla uproszczenia relacji będę ich nazywał «białymi», chociaż niektórzy z nich mają wiele z «zielonymi» wspólnego). Mają więc różny układ ilościowy rąk, lecz przeważają dwuręczni. Są od «zielonych» i wyżsi, z tym, że kobiety w żadnym z zaobserwowanych przeze mnie przypadków nie



przewyższają wzrostem mężczyzn. Posiadają włosy różnej barwy i nieprzezroczystą cerę o odcieniu zielonkawym w różnych stopniach natężenia. U wielu czułki boczne (słabo wykształcone) i wyrostek nosowy o kolorze czerwonym. Tylko nieliczni mają czułki wzrokowe i to w stanie zaniku bądź dopiero rozwoju. Reasumując — «biali» są o wiele bardziej podobni do ludzi i do tego ubrani; kobiety mają odsłonięte tylko głowy, ręce i nogi, mężczyźni zaś tylko głowy i dłonie, przy czym każdą z nóg mają okrytą osobnym odzieniem, czymś w rodzaju długiego rękawa.

Chodzą bardzo niezdarnie, sinusoidalnie. Zataczają się tak, że wydaje się, iż lada moment któryś się przewróci — jest to prawdopodobnie spowodowane wahadłową grawitacją planety Centaur. Po dłuższej obserwacji stwierdziłem, że nie wywracają się dlatego, iż mają przegubowe grzbiety, co pozwala im utrzymywać równowagę za pomocą odpowiedniego balansowania.

Cechy fizyczne «białych» nasuwają wniosek, iż być może są oni rasą powstałą ze skrzyżowania ostatniego kosmonauty wyprawy INTER-WORLD 1 z autochtonami, co przewiduje wariant e) zaprogramowania dodatkowego nr 321. Zgodnie z aneksem B do punktu nr 4 rozkazu 001 podjąłem próbę ustalenia narodowości jedyne go pozostałego ewentualnie przy życiu kosmonauty, za pomocą sondażu lingwistycznego.

Gdy tłum zatrzymał się w odległości kilkunastu metrów od amfibii, zadałem kilka pytań w językach angielskim i francuskim z drugiej połowy trzeciego tysiąclecia. Odpowiedziano mi krzykami w mowie podobnej do tej, którą uprzednio słyszałem w ustach «zielonych». Nie będąc przygotowanym na inne języki wchodzące w grę włączyłem dodatkową kasetę nr 322 z zaprogramowaniem rosyjskim, polskim, japońskim, norweskim i brazylijskim. Nadawałem wezwania w tych językach przez ponad pół godziny — nie zrozumieli niczego.

Wówczas włączyłem leksyfon multikierunkowy, zaprogramowany wszystkimi językami z kasety nr 322 oraz francuskim i angielskim, blokując jego samoczynny wyłącznik. Po półgodzinnym nasłuchu nie udało mu się przetworzyć literowo ani jednego z dźwięków mowy «białych».

W pewnym momencie z tłumy wyłonił się mężczyzna trzymający w jednym ręku duże okrągłe naczynie, a w drugim mniejsze, w kształcie kubka. Zbliżył się do mnie bez lęku, podał mi ów kubek, po czym nalał mi doń bezbarwnego płynu z naczynia. Potem rozlał resztę płynu kilku najbliższym stojącym, którzy wyciągnęli kubki z otworów w odzieniu. Zobaczyłem, że w tłumie znalazło się wielu z naczyniami, którzy nalewali innym do kubków. Kubki mieli wszyscy. Gdy skończono rozlewanie «biali» podnieśli kubki do

góry, krzyknęli coś (zapewne hasło rytualne) i zaczęli pić. Sądziłem, że to H<sub>2</sub>O, i wlałem odrobinę do mego kontrolera płynowego.

To było potworne. Poczuję się tak, jakby mi ktoś spowodował spięcie i przepalenie przewodów. Żywy ogień. Natychmiast wylałem resztę zawartości kubka na ziemię. Widząc to tłum zawył i wszystkie twarze wykrzywił grymas wściekłości. Przestraszony odbezpieczyłem rewolwer meoskopowy i cofnąłem się w kierunku włazu. Osobnik, który mnie poczęstował, podniósł lewą dłoń do góry i patrząc na mnie uderzył się kilkakrotnie palcem w czoło. Sądziłem, że jest to sygnał do ataku, skoczyłem więc do wnętrza kabiny. Nic złego jednak nie nastąpiło, wprost przeciwnie. Mężczyzna splunął w moim kierunku i odwracając się do tłumu powiedział coś dobitnie i powoli.

Rzecz dziwna — leksyfon po raz pierwszy zareagował, przetwarzając odezwane tamtego literowo w języku angielskim. Trzy zestawy liter (wyrazy?), które powstały w ten sposób, nie tworzą logicznej całości, gdyż tylko jeden z nich jest zrozumiały, sądzę jednak, iż można przyjąć za prawdopodobne, że z wyprawy INTER-WORLD 1 ocalał Amerykanin, gdyż ten zrozumiały zestaw liter jest wyrazem angielskim. Zapis leksyfonowy jest następujący: «*p-a-l-l-a-n-t ----- c-o-o-r-v-a-y ----- m-a-t-c-h*». W języku angielskim minionego tysiąclecia ostatni z tych wyrazów (*match*) oznaczał archaiczny przyrząd do wywoływania ognia, drewniane pałeczki zakończone masą zapalającą. Najprawdopodobniej ma to jakiś związek z ogniem w płynie, który podano mi w kubku.

W chwilę po opisanym przeze mnie wydarzeniu tłum odwrócił się i zaczął schodzić w dolinę, śpiewając jakąś smutną pieśń, niewykluczone, że religijną. Leksyfon znowu zaczął literować, lecz czynił to z najwyższym trudem i w trakcie przepalił się. Myślę, że popełniłem błąd blokując mu wyłącznik samoczynny. To drugie z odczytań literowych wygląda następująco «*c-o-o-r-y-l-o-u-----c-h-e-e-----c-h-e-e-----n-e-y----- s-h-a-l-l----- c-o-o-r-y-l-o-u-----f-r-y----- t-h-e-y-----d-o-u----- h-a-l-l*». W tym przypadku aż trzy wyrazy (*shall, they i hall*) są zrozumiałe w języku angielskim, co zdaje się potwierdzać moją hipotezę, iż ostatnim kosmonautą był Amerykanin. Całość jednak jest niezrozumiała — być może uda się wam rozszyfrować ją w ośrodku.

Zanim opuściłem wzgórze, zabrałem ze sobą dwa porzucone naczynia, by dokonać analizy chemicznej płynu. W jednym zostało nieco na dnie, w drugim prawie połowa. Podczas pierwszej próby ponownie wzdrygnąłem się, lecz — co skonstatowałem ze zdziwieniem — podczas kolejnych prób płyn ten, chociaż palący, zaczął mi smakować. Niestety... ten... no ten... znaczy się... oupp!... zapas... ten tego... się tego... oupp!... kończy się... do pioruna... oupp!...”

# ANIMOWANIE

## (DRAMA W SIEDMIU AKTACH)

### Akt I — Aresztowanie

*Szeryf, któremu towarzyszy dwóch pomocników, kładzie rękę sprawiedliwości na ramieniu mężczyzny w jasnym garniturze*

— Walt Disney?

— Tak... o co chodzi?

— Szeryf okręgowy James Navider, oto moja legitymacja służbowa. Aresztuję was w imieniu prawa!

— Co?!... To jakieś nieporozumienie...

— Stulcie pysk i wyciągnijcie ręce. Tom, załóż mu obrączki.

*Tom zakłada kajdanki aresztowanemu, który protestuje*

— Protestuję, to jakaś okropna pomyłka!... Czy pan nie wie, kim jestem?

— Wiem. Jesteście zdrajcą, szpiegiem, dywersantem, mordercą i cholernym pedałem, albo chcecie być wszystkim tym na raz, co na jedno wychodzi. Idziemy!

— Jak pan śmie! Co pana upoważnia do takiego traktowania obywatela wolnego kraju?!

— Dbałość o charakter wolności w tym kraju, który bez właściwej wolności byłby krajem półwolnym dzięki wywrotowej działalności takich jak wy.

— To absurd! Ja nie jestem...

— Jesteście i zostanie wam to udowodnione. Jednocześnie mam obowiązek zawiadomić was, że wszystko, co od tej pory powiecie, oraz wszystko, co zataicie, zostanie użyte przeciwko wam!

Akt II — Przesłuchanie wstępne

*Gabinet przesłuchań w biurze szeryfa okręgowego. Aresztowany zdradza oznaki podenerwowania*

— O co konkretnie jestem podejrzany?

— Przestańcie mi tu pieprzyć, Disney! Podejrzani to chodzą po ulicach, a wy, jak już jesteście u nas, to jesteście winni, oskarżeni i skazani! Teraz będziecie zeznawać, Lucy, wkręć papier i kalkę.

*Lucy wkręca papier i kalkę w maszynę do pisania*

— Nazwisko?

— Przecież pan je zna.

— Tom, dołóż mu w obronie własnej za stawianie czynnego oporu władzy!

*Tom broni się. Następnie polewa aresztowanego wodą i rzuca go na krzesło przed biurkiem szeryfa*

— Nazwisko i imię?

— Walt... Walt Disney.

— Czy macie jakieś zastrzeżenia do sposobu prowadzenia przesłuchań?

— Nie... nie mam...

— Żadnych?

— Za... żadnych.

— To dlaczego się jąkacie?

— Bo mi... zaschło... w gardle.

— Lucy, podkreśl zdanie winnego, że jest szczególnie wdzięczny przesłuchującym go funkcjonariuszom za ich kulturę osobistą i delikatność w obchodzeniu się z nim, a ty, Tom, daj mu się napić.

*Lucy podkreśla cytat, a Tom, wylewa na aresztowanego kolejny kubek wody*

— A więc nazywacie się Disney?

— Tak... Disney... Walt Disney... Jestem...

— Nie pytam was, kim jesteście, wszystko o was wiemy. Czy należeliście lub należycie lub macie zamiar należeć do partii komunistycznej?

— Ależ nie!

— To wam niewiele pomoże, ale mówcie dalej. Czy jesteście homoseksualistą?

— Nie!

— Byłem na tę odpowiedź przygotowany, nie zyskacie tym nic. Czy używacie narkotyków w jakiegokolwiek postaci, bądź zamierzacie popaść w ten nałóg?

— Nie!

— Tym także nie zmienicie sytuacji. Czy wy lub ktoś z waszych bliskich starał się o azyl polityczny w Europie, Afryce, Azji, Australii lub na Antarktydzie?

— Nie!

— Czy braliście kiedykolwiek lub macie ochotę wziąć udział w demonstracjach antyrządowych?

— Nie!

— Czy należycie do jakiegokolwiek ruchu na rzecz praw obywatelskich, murzyńskich, indiańskich i w ogóle skurwysyńskich w całym tego słowa znaczeniu?

— Nie!

— Same zaprzeczenia, Disney! Jest to najgłupszy sposób obrony, jaki znam. Ale jak chcecie, sami sobie będziecie winni. A teraz opowiedzcie, jak to było, prawdę, całą prawdę i nic jak tylko prawdę, która i tak wypłynie na wierzch, choć nie musi, bo my ją znamy, ale chcemy, żebyście okazali wyznaniem skrucę, która wam ulży. W zamian za to zostaniecie zwolnieni na mocy amnestii, konstytucji, Deklaracji Niepodległości i siódmej poprawki do trzeciej poprawki znowelizowanej wersji rezerwowej kodeksu karnego.

— Ja... ja nie...

— Co, nie wierzycie mi? Czy macie jakieś podstawy, żeby nie wierzyć wolnemu szeryfowi wybranemu w wolnych wyborach przez wolną społeczność wolnego okręgu, w którym wolność stanowi najcenniejszy skarb człowieka?

— Nie... ale... mojego przyjaciela, Freda Harrisa... Jemu też obiecano wolność, a dostał trzydzieści lat...

— Gdzie to było?

- Na zachodnim wybrzeżu.
- Za co dostał trzydziestaka?
- Za nic!

— Nie łązycie, Disney, za nic dają tylko dychę. A poza tym nie jesteśmy na zachodnim wybrzeżu. W naszym stanie mamy własne prawo i trzeba być nie byle kim, żeby zasłużyć na trzydziestaka. Macie szansę, ale nie mogę wam niczego obiecać. Będziecie sądzeni przez niezawisły sąd, który podejmie niezawisłą decyzję. Przewodniczył będzie stary praktyk, sędzia Jonathan Ulrich, z którym uzgodniliśmy, że poniżej piętnastaka was nie wypuści, lecz górna granica jest otwarta. Wszystko zależy od waszej dobrej woli i od tego, czy okażecie się przestępcą szczerym, skłonny do współpracy z organami ścigania i skazywania. No więc, na co jeszcze czekacie?

- Chcę... chcę wezwać mojego adwokata.

— Macie do tego konstytucyjne prawo, co świadczy, że żadne prawo nie jest doskonałe, ale nawet jeśli prawo jest bzdurne, należy go przestrzegać, dopóki obowiązuje, więc nie będę wam robił trudności. Jak się nazywa wasz adwokat?

- Pillman, Stanley Pillman.

— Doskonale, przy okazji zajmiemy się i nim. Zanim go wezwiemy, podpiszecie oświadczenie, że dotychczasowe śledztwo przebiegało zgodnie z wymogami prawa i demokracji.

- Nie mogę!

- Tom!

- Nie, proszę, tylko nie to!... Ja nie mogę pisać, spuchła mi prawa dłoń.

— Lucy, dopisz, że oskarżony nadepnął sobie na prawą dłoń kiedy rzucił się na funkcjonariusza Toma w celu wywarcia agresji na bezbronnym. A wy podpiszecie to wszystko lewą ręką, stawiając krzyżyk. Macie tu długopis.

*Aresztowany stawia krzyżyk i oddaje długopis szeryfowi*

### Akt III — Przesłuchanie zasadnicze

*Wchodzi adwokat Pillman. Szeryf zwraca się do niego, wskazując aresztowanego, który siedzi na krześle*

— Witam, panie Pillman. Pański klient chce zeznawać w pańskiej obecności, dlatego wezwaliśmy pana. Proszę spocząć.

*Pillman siada na krześle obok aresztowanego, który siedzi ze zwieszoną głową*

- Dlaczego mój klient jest mokry?
- Spocił się, panie mecenasie, sam pan widzi, jak jest gorąco.
- A dlaczego jest posiniaczony i zakrwawiony?
- Potknął się na schodach. Jest tam jeden obluzowany stopień. Pan się jeszcze nie potknął?
- Nie.
- To może każdego spotkać, proszę pana, należy uważać.
- Czy mój klient nie kwestionuje pańskiej wersji wydarzeń, szeryfie?
- Nie, oto jego oświadczenie w tej sprawie... Czy możemy przystąpić do przesłuchania?
- Proszę.
- W porządku. Disney, mam obowiązek ostrzec was, że za fałszywe, zeznania grozi wam kara stu dwudziestu ośmiu lat więzienia na Alasce, pozbawienie praw obywatelskich na lat trzydzieści i grzywna w wysokości całego majątku ruchomego i nieruchomego, nie mówiąc już o bezterminowym pozbawieniu wolności i praw obywatelskich waszej bliższej i dalszej rodziny tudzież znajomych. Proszę się ściśle trzymać prawdy i opowiedzieć o wszystkim.

*Adwokat zrywa się z krzesła*

- Proszę nie odpowiadać, panie Disney, zanim nie usłyszymy, o co jest pan oskarżony!
- Pański klient jest oskarżony o wiele ciemnych sprawek związanych z realizacją filmu „**Królewna Śnieżka**”, a ja pragnę, by teraz o nich opowiedział.

*Adwokat znowu się zrywa*

- Protestuję! Zechce pan, szeryfie, zadawać konkretne pytania, na które mój klient udzieli konkretnych odpowiedzi!

*Szeryf wzrusza ramionami*

- Dobrze. Kto wpadł na pomysł zrobienia tego filmu?

*Aresztowany podnosi głowę*

— Ja.

— Kto angażował wykonawców, myślę o Śnieżce, krasnoludkach i pozostałych?

— Ja.

— Osobiście?

— Tak.

— Doskonale. A więc to poprzez was, Disney, nawiązali kontakty?

— Tak.

— Lucy, podkreśl tę odpowiedź! Czy wspomniane kontakty ograniczały się wyłącznie do występowania na planie filmowym?

— Nie. Musieliśmy przerwać kręcenie ze względu na kłopoty będące następstwem Wielkiego Kryzysu i wznowiliśmy pracę po roku. Przez ten rok oni kontaktowali się prywatnie.

— O to właśnie nam chodzi. Przejdźmy do wydarzeń, które miały miejsce w owym roku. Czy krasnoludki znały się przedtem?

— Nie wiem, chyba tylko Gapcio i Wesołek. Reszta poznała się na planie.

— A potem, w czasie owego roku przerwy, zamieszkali razem w domku leśnym?

— Tak.

— Czy to was nie dziwiło? Przecież mieli własne domy gdzie indziej.

— To była ich sprawa, ja się nie wtrącałem. Każdy obywatel USA ma prawo mieszkać tam, gdzie chce.

— Teoretycznie tak. Wasze myśli o sprawach, których nie poruszam, zachowajcie, Disney, dla siebie! Kto był szefem organizacji?

— Jakiej organizacji?

— Leśnej, czyli podziemnej, czyli wywrotowej. Jeśli siedmiu osobników, którzy przedtem się nie znali, zamieszkuje nagle razem na przeciąg roku i to na odludziu, to albo są konspiratorami, albo pedałami. Czy krasnoludki były pedałami?

— To nonsens!

— A widzicie! Lucy, zaprotokółuj, że według oświadczenia aresztowanego krasnoludki skontaktowane ze sobą przez niego były wywrotowcami zamierzającymi obalić przemocą demokratyczny ustrój Stanów Zjednoczonych!

*Adwokat zrywa się po raz trzeci*



— Protestuję, mój klient niczego takiego nie powiedział! Oświadczy tylko, że krasnoludki nie przejawiały skłonności homoseksualnych, a to coś zupełnie innego!

— Dobrze, wobec tego uściśnię pytanie. Czy krasnoludki zawiązały organizację terrorystyczną?

— Nic o tym nie wiem.

— A czy mogły zawiązać?

— Nie wiem.

— Pytam: czy mogły to zrobić?!

— No... tak, każdy może, jeśli chce...

— Lucy! Zaprotokółuj, iż oskarżony przyznał, że istnieje duże prawdopodobieństwo...

*Adwokat zrywa się*

— Protestuję! Mój klient stwierdził tylko obiektywną możliwość zaistnienia każdego ze zjawisk!

*Szeryf patrzy na adwokata spod przymrużonych powiek*

— Pan filozofuje, mecenasie, o rzeczach ogólnych, a ja pytałem konkretnie o organizację wywrotową i uzyskałem potwierdzenie możliwości jej powstania. Według prawa to, co jest możliwe, można uznać za dokonane...

— Ale nie według naszego prawa, szeryfie!

— Niech będzie, lecz pozostaje niezbitym faktem, że siedmiu obcych sobie typów zgrupowało się ni stąd ni zowąd.

— Konstytucja naszego kraju dopuszcza wszelką formę zgromadzeń, szeryfie!

— Z wyjątkiem nielegalnych, bezbożnych i podejrzanych! Proszę mnie nie pouczać, mecenasie, konstytucję mam we krwi! Czy pańskim zdaniem konstytucja zezwala na nielegalny hazard?

— Co takiego?!

— Proszę pozwolić mi kontynuować przesłuchanie, a zaraz dowie się pan rzeczy, które odbiorą panu nieco pewności siebie, panie Pillman.

*Szeryf zwraca się do aresztowanego*

— Powiedźcie, gdzie w ciągu wspomnianego roku przerwy mieszkała Śnieżka?

- W lesie, z krasnoludkami.
- Dlaczego właśnie tam, a nie we własnym domu w Hollywood?
- Nie wiem, może dlatego, że zaprzyjaźnili się...
- A zaprzyjaźnili się, jak zeznaliście, dzięki wam...
- Tak, ale...
- Prosiłem: bez dygresji, Disney! Czy było wam wiadomo, że krasnoludki prowadziły w swym domku lokal rozrywkowy z wyszynkiem?
- Słyszałem o tym, ale ta forma zarobkowania nie jest przecież zabroniona.
- Natomiast zabroniony jest w naszym stanie skomercjalizowany hazard. Na terytorium USA wolno czerpać z niego zyski tylko w stanie Nevada, czy i o tym nie wiedzieliście, Disney?
- O tym wiem, ale...
- Proszę odpowiadać ściśle na pytania! Lucy, zaznacz, że oskarżony wiedział o tajnym kasynie w domku krasnoludków.

*Adwokat protestuje*

— Protestuję! Pan nagina słowa mojego klienta do swoich tez, szeryfie! Mój klient nie powiedział, że wiadomo mu było o domu gry w domku krasnoludków, tylko potwierdził, iż wie, że na terytorium USA hazard jest akceptowany wyłącznie w stanie Nevada.

*Szeryf odwraca się do aresztowanego*

- Czy możecie zeznać pod przysięgą, Disney, że nie słyszeliście o hazardzie uprawianym w domku krasnoludków?
- Coś... no coś mi się obilo o uszy, ale nie o hazardzie na dużą skalę... Słyszałem, że krasnoludki grają w remika, dla zabicia czasu...
- A więc miałem rację! Słyszeliście i nie donieśliście władzom!

*Adwokat protestuje*

- Protestuję! Nikt nie ma obowiązku donoszenia władzom o czymkolwiek i nie staje się przez to współnikiem przestępców, nawet jeśli przestępstwo miało miejsce, czego pan na razie nie dowiódł, szeryfie!
- Bardzo się cieszę, mecenasie, że to pan pierwszy użył słowa przestępcy w stosunku do aktorów zaangażowanych i skomunikowanych przez pańskiego klienta, który już przez sam fakt tego pośrednictwa stał się

współdziałowcem w przestępstwie, aczkolwiek jego współdział jest o wiele bardziej aktywny, do czego jeszcze dojdziemy. Na razie proszę przyjąć do wiadomości, że, jak wynika z raportów, które mam przed sobą, domek krasnoludków był między innymi spelunką z hazardem i strip-teasem wykonywanym przez Śnieżkę, spelunką obliczoną na deprawowanie myśliwych, turystów, zbieraczy grzybów, pracowników służby leśnej, drwali i zwierząt. Powtarzam: między innymi, ponieważ był także czymś o wiele gorszym. Jeśli zaś chodzi o postawę obywatelską pańskiego klienta, to muszę stwierdzić, że być może donoszenie o takich i innych sprawkach nie jest obowiązkiem prawnym obywatela, lecz bez wątpienia jest obowiązkiem moralnym, z niewykonania którego należy obywateli rozliczać. Kto nie przeciwdziała, ten współdziała!

*Adwokat macha ręką w geście zniecierpliwienia*

— Wszystko to są zarzuty bardzo wątpliwej proveniencji, szeryfie! Jak dotąd nie przedstawił pan memu klientowi ani jednego sensownego punktu oskarżenia, wspartego na dowodach, które uzasadniałyby jakąkolwiek formę represji, od aresztowania poczynając.

— Zaraz to uczynię, mecenasie. Zbliżamy się do tego milowymi krokami, a kiedy już to zrobię, zadrży pan. Zamierzam oskarżyć pańskiego klienta ni mniej ni więcej tylko o kilkanaście morderstw z premedytacją jak również o kierowanie komunistyczną agenturą dywersyjno-szpiegowsko-terrorystyczno-sabotażową odpowiedzialną za inflację, deflację, dewaluację, deflorację, degradację, deprawację, dyskredytację, demoralizację dekapitację, dyskryminację, defetyzm i kryptosowietyzm, słowem degrengoladę naszej ojczyzny w każdym aspekcie widocznym gołym i zamkniętym okiem!

— Co?!!!

— Dokładnie to, co pan usłyszał. W trakcie dalszego przesłuchania usłyszysz pan więcej. Powiedźcie no, Disney, czy znana wam jest eks-królowa, czyli zła czarownica?

— Tak, to jedna z postaci w moim filmie.

— Kto ją zaangażował?

— Ja, zgodnie ze scenariuszem.

— Co do tego nie mam żadnych wątpiwości, jak również do tego, że ów scenariusz został zmontowany w zagranicznym ośrodku wrogiej dywersji wymierzonej w nasz biedny kraj.

— Nic podobnego, zaprzeczam kategorycznie, ja...

— Czy zaprzeczycie także, iż posyłałiście złą czarownicę do leśnego domku krasnoludków?

— Było to zgodne ze scenariuszem, w tej bajce czarownica idzie do domku krasnoludków, by otruć Śnieżkę i...

— Nie chodzi mi o to, co się działo w fabule filmowej, lecz o to, co się działo poza planem filmowym. W przerwie między zdjęciami obywatelka grająca złą czarownicę spędziła na wasze polecenie płód obywatelki Śnieżki, która żyła z siedmioma krasnoludkami!

— To nieprawda, na miłość boską, nic takiego nie miało miejsca!

— Nie? Wobec tego odczytam zeznanie aresztowanej przed tygodniem emerytowanej akuszerki z Los Angeles, niejkiej Abortson. „Ja, Klara Abortson, obywatelka USA wyznania obojętnego, biała i nie lesbijka, zeznaję niniejszym pod przysięgą, że w zamian za angaż do roli czarownicy w filmie reżysera Walta Disneya zgodziłam się, pod wpływem nalegań wymienionego, spędzić płód obywatelki Śnieżki...” I tak dalej.

*Szeryf wstaje i wygłasza z namaszczeniem:*

— Obywatelu Walcie Disney! Zgodnie z prawem naszego stanu, które zabrania przerywać ciążę i uznaje czyn taki za ludobójstwo, jest pan oskarżony o co najmniej dziesięciokrotne zabójstwo z premedytacją!

*Adwokat zrywa się z miejsca*

— Mój klient już powiedział, że nie ma z tym nic wspólnego! Odrzucamy to oskarżenie, jak również zeznanie tej... jak jej tam... Abortson, które jest niewątpliwie fałszywe lub wymuszone! Sąd zadecyduje, co jest prawdą!

*Szeryf klepie się z zadowoleniem po udach*

— Ma pan rację, mecenasie, sąd jest właśnie od tego. Obok zeznania pani Abortson przedstawimy mu zeznania lekarzy, potwierdzające spędzenie płodu u Śnieżki.

— Nie kwestionuję spędzenia płodu, szeryfie, Śnieżka mogła to zrobić sto razy. Zaprzeczam natomiast, by mój klient maczał w tym palce. Owa Abortson ze strachu przed wyłączną odpowiedzialnością wrabia w tę ohydę pana Disneya, ale ten numer nie przejdzie! A poza tym, co ma znaczyć użyte przez pana określenie zabójstwo dziesięciokrotne, he?

— Oznacza to, między innymi, że być może miała miejsce śmierć większej liczby nie poczętych osób, nie można bowiem wykluczyć dwójczków, trojczków, czworaczków i tak dalej.

— Aż do dziesięcioraczków, tak?

— Nie, mecenasie, pański dowcip jest niewczesny. Ponieważ sądy w swej łatwowierności przesadzają każdą wątpliwość na korzyść oskarżonego, sąd zapewne uzna jedną skrobankę za morderstwo jednokrotne. Zaraz pan dostanie dziewięć pozostałych zabójstw. Powiedzcie, Disney, jak się kończy wasz film?

— Piękny księżę całuje Śnieżkę, czym budzi ją z letargu i oboje odjeżdżają w dal ku happy endowi.

— Daleko księżę nie ujechał, a do tego zaraz przestał być piękny, co; trudno nazwać zakończeniem szczęśliwym. Jeszcze jedno pytanie: czy ów pocałunek przed kamerą był autentyczny?

— Tak, chcieliśmy osiągnąć możliwy realizm...

— Osiągnęliście go aż nazbyt. W tydzień później aktora grającego księcia pokryły okropne wrzody, po czym zmarł on w męczarniach na złośliwą i nieuleczalną odmianę syfilisa patagońskiego, którym obdarzyła go poprzez ów pocałunek na planie Śnieżka. Wiem, że ujęcie to powtarzano kilkakrotnie, można więc znowu mówić o uporczywej próbie zabójstwa z premedytacją, uwiecznionej powodzeniem. Fakt, że księżę był, jak to odkrył agent FBI grający łowczego, obcym agentem w środowisku aktorów i szefem komunistycznej siatki szpiegowskiej, stanowi rzecz prosta okoliczność łagodzącą, lecz nie na tyle, by mogło to zmazać winy obywatela Disneya i skłonić sąd...

*Adwokat przerywa szeryfowi*

— Chwileczkę. Pomijając już fakt, że mój klient z pewnością nie wiedział o śmiertelnej chorobie wenerycznej Śnieżki, jak wytłumaczy pan, szeryfie, to, że Śnieżka żyje?

— Nie jestem lekarzem ani biologiem i nie muszę wiedzieć, dlaczego ta odmiana syfilisa jest śmiertelna tylko dla osobników płci męskiej. Pozostaje jednak faktem, że na skutek kontaktów ze Śnieżką zmarło na tę dolegliwość dziewięć osób: siedmiu krasnoludków, księżę i jeleni pospolity z rezerwatu leśnego. Tak więc do dziesięciu zabójstw dochodzi oskarżenie o kłusownictwo! Ale to nie wszystko.

*Adwokat dziwi się*

— Nie wszystko?!

— Nie, mecenasie. Przestępstwa, o których mówiłem dotychczas, to tylko dodatkowe, mniej ważne punkty oskarżenia. Podstawowym jest zmontowanie przez pańskiego klienta bolszewickiej jacejki na terytorium naszego wolnego stanu. Powiedzcie, Disney, z czym zła czarownica szła do domku krasnoludków?

— Z zatrutym jabłkiem dla Śnieżki.

— Kłamiecie, było to bowiem jabłko, które miało zatruć zdrowy organizm naszej ojczyzny. Jakiego było koloru?

— Czerwone.

— Właśnie, czerwonego! Czy było prawdziwe?

— Nie, była to drewniana atrapa jabłka.

— A w niej znajdowały się czerwone instrukcje dla komunistycznej szajki krasnoludków noszących bezczelnie czerwone czapki! I na to mamy dowód — jest nim oświadczenie obywatelki Abortson, która pod przysięgą zeznała, że instrukcje wkładał do czerwonego jabłka osobiście reżyser Disney!

*Aresztowany sinieje i zrywa się z miejsca*

— Przysięgam, że to nieprawda, to wszystko fałsz!

*Szeryf patrzy nań surowo*

— Tu możecie przysięgać do woli, Disney, ale jeśli zrobicie to przed sądem, wlepią wam dodatkowo kilka dych za krzywoprzysięstwo, a wasza rodzina powtórzy przygody bohaterów Londona. Lepiej się zastanówcie...

Akt IV — Proces (dzień pierwszy)

*Obrońca Disneya kończy swą przemowę*

— ... Wysoki Sądzie! Wszystko, co tutaj powiedziałem na temat wątpliwej wiarygodności świadków oskarżenia, dziwnych dowodów, manipulowanych biegłych, spreparowanych zeznań et cetera, a więc cały mój dotychczasowy wywód, ma niewielkie znaczenie dla istoty sprawy, służył jedynie rozneglizowaniu intrygi, w wyniku której mój klient znalazł się zupełnie bezpodstawnie na ławie oskarżonych. Cała ta ponura komedia jest

kolejnym kamyczkiem w mozaice represji rozpętanych przeciw liberałom i w ogóle ludziom o niezależnych poglądach, których władze chcą zastraszyć lub wręcz spacyfikować za pomocą środków penitencjarnych.

*Sędzia wali młotkiem w pulpit, warcząc*

— Mecenasiu Pillman! Sąd ma już naprawdę dosyć waszych bezczelnych insynuacji, oszczerstw, obrażania prokuratora, szkalowania władz i podkopywania systemu oraz rycia pod wszystkim, co święte i nietykalne dla uczciwych obywateli tego kraju! Ponieważ jednak rozprawa się już kończy, Sąd nie wyrzuci was za drzwi, tylko skazuje na pięćset dolarów kary, co razem z poprzednimi karami czyni cztery tysiące pięćset dolarów grzywny, które uiścicie przed wyjściem z tej sali. Jeśli nie chcecie zapłacić jeszcze więcej, poniechajcie kalumni i ograniczcie się wyłącznie] do faktów!

*Mecenas Pillman milczy przez chwilę, wpatrując się w godło państwowe nad głową sędziego, po czym mówi*

— Najistotniejszym faktem, Wysoki Sądzie, jest fakt, iż całe oskarżenie stoi na głowie, ponieważ nakręcony przez mojego klienta film pod tytułem „**Królewna Śnieżka**” jest filmem animowanym!

— Jakim?

— Rysunkowym, Wysoki Sądzie. Wszystkie występujące postacie są narysowane! Proszę o wyświetlenie filmu jako dowodu!

*Ostłupienie na sali. Przewodniczący sądu zarządza przerwę w rozprawie i wstając od stołu piorunuje wzrokiem prokuratora*

## Akt V — Proces (dzień drugi)

*Przewodniczący sądu zwraca się do obrońcy*

— Panie Pillman, Sąd w zasadzie zgadza się z pańskim twierdzeniem, iż film oskarżonego jest filmem rysunkowym, co nie zmienia faktu, iż za pomocą rysunków można równie skutecznie podważać wolność, praworządność, niezależność i godność państwa, jak z pomocą żywych indywiduów wykonujących zbrodnicze polecenia. Sąd wszakże chciałby się dowiedzieć,

dlaczego ani pan, ani oskarżony, nie użyliście swego chytrego argumentu o rysunkowym charakterze filmu wcześniej, na przykład w śledztwie, podczas przesłuchań, gdy z powodu niefortunnego przeoczenia władz śledczych była mowa o żywych aktorach? Pytam się, z jakich to nikczemnych pobudek nie podnieśliście tego wówczas?... Sąd widzi w tym kolejną próbę zatuszowania przez was prawdy, czyli przestępstwo, prawda bowiem jest tym, co najcenniejsze w świecie i winna być chroniona wszelkimi środkami, których sąd użyje, kiedy przyjdzie na to czas! Teraz jednak słucham pańskiej odpowiedzi!

— Wysoki Sądzie, mój klient był tak zaszokowany faktem aresztowania i brutalnym postępowaniem władz śledczych, że w pierwszej chwili udzielał wyjaśnień w stanie silnego stresu, mocno wyabstrahowany z poczucia rzeczywistości, ja zaś wcześniej nie widziałem tego filmu. Potem stwierdziłem, że będzie lepiej dla mojego klienta, jeśli prokurator skompromituje się podczas procesu, celowo więc zachowałem ów decydujący fakt na finał rozprawy i poprosiłem mego klienta, by nie zabierał głosu w tej sprawie. Na szczęście dla nas rozprawa toczy się przy drzwiach zamkniętych, bo inaczej ci z publiczności, którzy widzieli film, mogliby śmiechem popsuć mój plan.

— Panie Pillman, kto tu ma szczęście, a kto nie, to się dopiero okaże! Oświadczam panu, że jeszcze dzisiaj wydaję nakaz aresztowania pana pod zarzutem świadomego ukrywania prawdy przed sądem oraz planowania i realizowania matactw zmierzających do zamienienia procesu w farsę! To panu nie ujdzie płazem, albowiem tak prawda, jak i sądowa instytucja egzekwowania sprawiedliwości są w naszym kraju pod ochroną!

— Wysoki Sądzie, chcę jednak zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że bez względu na ocenę mojego postępowania, pozostaje na razie faktem, iż całe oskarżenie skierowane na tym procesie przeciw mojemu klientowi jest bez sensu!

*Sędzia wali w stół młotkiem i oznajmia*

— Sąd uda się teraz na naradę, po czym ogłosi wyrok!

Akt VI — Sentencja wyroku

*Przewodniczący sądu kończy wygłaszać sentencję*



— ... dlatego też Sąd, który nie kieruje się namiętnościami, tylko literą prawa i sprawiedliwości, Sąd, dla którego liczą się wyłącznie fakty, nie zaś spekulacje i domniemania, jakkolwiek byłyby uzasadnione — Sąd taki musi każdą wątpliwość interpretować na korzyść oskarżonego, zgodnie z humanitarną zasadą obowiązującą w naszym wolnym i cywilizowanym regionie świata. Doceniając szczere zaangażowanie oskarżyciela, odrzucając zaś haniebne pomawianie go o złą wolę, Sąd spełnia wszakże swój obowiązek i daje wyraz wspomnianemu humanitaryzmowi uwalniając oskarżonego od winy w tym punkcie oskarżenia, który mówi o zorganizowaniu komunistycznej agentury przy pomocy aktorów zaangażowanych do filmu „Królewna Śnieżka”. Nie znaczy to, iż Sąd przypisuje oskarżonemu niewinność w tym względzie, ponieważ jednak nie wynaleziono dotąd metody wydobywania zeznań od osobników animowanych — Sąd przekazuje tę sprawę do ewentualnego wyjaśnienia w przyszłości. Całkowicie natomiast uzasadniony jest ten punkt oskarżenia, który mowcy że oskarżony miał za miesiąc przystąpić do pisania scenariusza filmu pod tytułem „Czerwony Kapturek” i ukazać w nim nieletnią komunistkę napastowaną przez nasz system udrapowany w skórę złego wilka... Ta oszczercza metafora miała spełniać probolszewicką rolę propagandowa. Wziąwszy pod uwagę szkodliwość tego typu zamiarów, wymierzonych w wolność, równość, uczciwość, radość i nieomylność naszego systemu — Sąd skazuje winnego, Walta Disneya, na 40 lat twierdzy, piętnaście lat zesłania na Alaskę i siedem lat pozbawienia praw publicznych na zawsze.

*Obrońca podrywa się ze swego miejsca*

— Na Boga, Wysoki Sądzie, przecież to absurd! Karalność zamiaru, i to nie udowodnionego?!!!

*Przewodniczący sądu wali w stół tak silnie, że trzonek młotka zostaje mu w ręku jak pałka*

— Milczeć, Pillman! Pan już nie ma głosu! A pański klient taśmy. I nie będzie jej miał długo! Jest jeszcze w tym kraju praworządność, dzięki której społeczeństwo stawia tamę marionetkom obcych central dywersyjnych! Takich filmów, jak wasze, Disney, nie będzie się kręcić i już się nie kręci!

*Disney rysuje na ścianie celi ósmą kreskę rocznicową, odwraca się w stronę zakratowanego okienka, patrzy na dysk słoneczny wędrujący po niebie i szepcze, trudno powiedzieć, zdziwiony czy zawzięty:*

— A jednak się kręci!

**SELEKCJA**  
(scenariusz trzech odcinków teatru  
telewizji)

**1. DALLAS. Poniedziałek rano.**

*W pokoju stoi mężczyzna ubrany na sportowo. Wchodzi sekretarka anonsując gościa.*

- SEKRETARKA** - Pan Giovanni Testa.  
**VITTORIO MATTA** - Słucham pana?  
**TESTA** - Szef pana wzywa, don Vittorio. Czwartek, godzina 19:00.  
**VITTORIO MATTA** - Jak się czuje?  
**TESTA** - Bardzo źle. To będzie ostatnie wasze spotkanie, don Vittorio.  
**VITTORIO MATTA** - Dziękuję panu.

**2. BOSTON. Wtorek rano.**

*Kobieta i mężczyzna siedzą przy suto zastawionym stole. Obok stoi Testa.*

- F. BUONAFORTUNA** - Tylko my?

TESTA

- Niestety nie, don Franko. Szef się jeszcze nie zdecydował. Wzywa was trzech. Życzę sukcesu.

### 3. SAN FRANCISCO. Środa rano.

*Biurowiec. Sekretarka podsłuchuje przez włączony intercom toczącą się w gabinecie rozmowę.*

TESTA

- ... i proszę pamiętać, don Giuliano, że trzeba zawrócić z drogi, gdyby ktoś was śledził.

G. GRAMSCI

- Nie musisz mi o tym przypominać.

TESTA

- Wiem, don Giuliano. Ja tylko wykonuję rozkazy. Szef kazał mi przypomnieć o tym, każdemu z was trzech.

G. GRAMSCI

- A ilu chłopców z obstawy można wziąć?

TESTA

- Tylko jednego. A więc w czwartek wieczorem, don Giuliano.

*Sekretarka wyłącza interkom, po chwili obaj mężczyźni wychodzą z gabinetu.*

G. GRAMSCI

- Mmm ... . Do zobaczenia.

### 4. NOWY JORK. Podziemny garaż. Środa wieczorem.

*Na podjeździe stoi samochód z wyłączonymi reflektorami. W środku dwóch mężczyzn, jeden za kierownicą, drugi za siedzeniem pasażera. Z ciemności wylania się młody człowiek, podchodzi do auta.*

PASAŻER Z TYŁU

- Wejdz i nie chowaj rąk do kieszeni.

*Gość siada koło kierowcy, po czym zostaje obezwładniony chwytem za szyję przez pasażera z tyłu i szybko obszukany. Po chwili jego pistolet zmienia właściciela.*

PASAŻER Z TYŁU

- Bulldog. Magnum 357, szefie.

KIEROWCA

- Uuu... Dziewiątka, synu, to niebezpieczna zabawka. Nie boisz się tego nosić na brzuszku.

GOŚĆ

- Mam zezwolenie.

KIEROWCA

- No jasne. Tylko zapomniałeś je zabrać z domu. Jakie nazwisko jest na tym zezwoleniu?

- GOŚĆ** - Nazywam się Cipriani. Marco Cipriani.
- KIEROWCA** - No jasne. Cipriani, albo podobnie.
- CIPRIANI** - Inspektorze, jak pan będzie mi tak dopieprzał, to gównu się pan dowie.
- INSPEKTOR** - Dowiem się synku, dowiem się, bo ja tu jestem od dowiadywania się, a ty przecież po to dzwoniłeś, abym się dowiedział, nie? No nie denerwuj się, nie masz jeszcze powodu. Papierosa?  
No...To teraz mów, co miałeś nam powiedzieć.
- CIPRIANI** - Chce pan mieć szefa mafii, inspektorze?
- INSPEKTOR** - Którego?
- CIPRIANI** - Głównego, na całe Stany. Cappelletti. A ściślej mówiąc, dwóch szefów, bo stary umiera i ma wybrać nowego. No, więc jak, chce pan, czy dalej gramy?
- INSPEKTOR** - Jasne, że chcę. Chcę być nawet prezydentem.
- CIPRIANI** - Ale pan nim nie będzie, a szefa wszystkich rodzin mafijnych w Stanach może pan mieć, dzięki mnie. Za milion dolarów w gotówce.
- INSPEKTOR** - W porządku, synu. Oczywiście wypłata z góry a dopiero potem nam go przyprowadzisz, hm...?
- CIPRIANI** - Nie. Najpierw wy ich aresztujecie, ale nie będziecie ich mogli trzymać a tym bardziej skazać, bo nie macie jak zwykle dowodów. Dowody dostarczę ja, na przerzut i handel narkotykami. Najpierw część, a jak zapłacicie, resztę.
- INSPEKTOR** - W porządku, synku, kupuję, ale powiedz mi najpierw, kto jest obecnie Cappelletti?
- CIPRIANI** - Tego nikt nie wie, panie inspektorze, ani wy, ani większość członków mafii, tylko kilkanaście osób z samej góry. Wiem natomiast, że trzech szefowie regionalni: szef wschodniego wybrzeża – Buonafortuna, zachodniego – Gramsci i boss na stany południowe – Matta, mają się spotkać jutro o 19:00 u szefa szefów, żeby wyznaczyć jednego z nich następcą.
- INSPEKTOR** - Gdzie?
- CIPRIANI** - Gdzie? Gdybym wiedział gdzie, to bym znał również jego nazwisko. To, co panu powiedziałem, to więcej niż mógł pan oczekiwać, bo wystarczy, że będzie pan śledził tych z Bostonu, Dallas i Frisco, a trafi pan do miejsca, gdzie jest numer jeden.

**PERFIDIA****INSPEKTOR**

- Nie ucz mnie, synu, nie ucz. Wiem, co mam robić. Interesuje mnie jeszcze jedna sprawa, dlaczego ty to robisz?

**CIPRIANI**

- Powiedzmy, że dla forsy inspektorze.

**INSPEKTOR**

- Powiedzmy, że między loterią a grą w zdradzanie mafii jest jedna mała różnica: ta, że na loterii ma się jakąś szansę, dlatego nie pieprz mi, że chcesz zarobić na trumnę ze złota. No, więc dlaczego?

**CIPRIANI**

- Powiedzmy, że bawię się w hrabiego Monte Christo i mam do tego powody. Jeśli uda mi się zemsta, to mogę zginać. Rozumie pan, inspektorze?

**INSPEKTOR**

- No, nie za bardzo, ale powiedzmy, że ci wierzę, tyle, że musisz nam już teraz, do jutra w południe, dać tyle dowodów przeciwko tym trzem, żebym mógł ich aresztować w domu ich szefa.

**CIPRIANI**

- Dobrze. Zadzwoń do was rano i powiem, gdzie jest koperta z taśmą magnetofonową.

**INSPEKTOR**

- Będzie dla ciebie lepiej, jeśli to naprawdę zrobisz, synu. No to dogadaliśmy się. Nie bój się, nie będziemy ciebie śledzić.

**CIPRIANI**

- Będzie lepiej jak pan dotrzyma tego słowa, inspektorze, a teraz oddajcie mi spluwę i odjedźcie w drugą stronę.

**INSPEKTOR**

- Jimmie.

*Cipriani odbiera broń i odchodzi. Inspektor cofa taśmę, na której nagrywał rozmowę.*

**CIPRIANI**

- „Będzie lepiej jak pan dotrzyma tego słowa, inspektorze, a teraz oddajcie mi spluwę i odjedźcie w drugą stronę.”

**INSPEKTOR**

- W porządku Jimmie, jak wrócimy na komendę powiadomisz chłopców w Dallas, Bostonie i Frisco, żeby natychmiast obstawili domy tych trzech i mieli ich na oku. Mają być stale z nami w kontakcie.

**JIMMIE**

- Obudzimy ich szefie, będą wściekli.

**INSPEKTOR**

- Tak, zgadza się, ale na razie mam to gdzieś. Robi się cholernie późno. Cała nadzieja w tym, że tamci trzej wyruszą w podróż dopiero jutro rano.

**5. NOWY JORK. Okolice garażów. Noc ze środy na czwartek.**

*Cipriani wchodzi do pomieszczenia i nadziewa się na lufę pistoletu.*

- MILDWAY** - Wyjmij swoją broń i pamiętaj, że mój palec jest szybszy. Powoli, bardzo powoli. Dwoma palcami za kolbę. Upuść na ziemię. Kopnij go!
- CIPRIANI** - Kim jesteś?
- MILDWAY** - Kaczorem Donaldem. Nie widać?
- CIPRIANI** - Czego chcesz?
- MILDWAY** - To nie ja chcę, to ci, co mi płacą. Chcę wiedzieć ile wypaplałeś policji.
- CIPRIANI** - Zwariowałeś, człowieku?
- MILDWAY** - Widać, że mamusia nie oduczyła cię kłamać. Powiem ci coś w sekrecie, twoja koleżanka była nieostrożna. Wiemy, że wczoraj zadzwoniła do ciebie i nagadała ci różnych bzdur. Pytanie, co ty powiedziałeś policji?
- CIPRIANI** - Byłem w kinie, z policją się nie zadaję.
- MILDWAY** - To dobrze, znaczy, że masz jeszcze te taśmy, o których wspomniała twoja koleżanka. Oddaj je!
- CIPRIANI** - Gówno! Nie dostaniecie tych taśm. Te taśmy to gwarancja mojego bezpieczeństwa. W jeden dzień po mojej śmierci znajdą się w rękach glin a wtedy kilku bogatych panów pójdzie do pierdła na całe życie.
- MILDWAY** - Blefujesz gnoju. Masz te taśmy. Tutaj je masz.
- CIPRIANI** - Tak myślisz? No to je znajdź, nie będę ci przeszkadzał. Cześć, amigo.
- MILDWAY** - Nigdzie się stąd nie ruszysz. Powiedziałem.
- CIPRIANI** - Nie? To zobaczymy. No, strzel mi w plecy cwaniaczku a potem powiedz tym, co ci płacą, że przez twój szybki palec będą musieli pokiblować dożywotnio w San Quentin albo jakimś innym pierdłu. Podziękują ci za to. Adios, amigo.

*Cipriani próbuje odejść, lecz drogę zachodzi mu drugi facet.*

- DRUGI GOŚĆ** - Śpieszysz się gdzieś, amigo. Nie trzeba, mamy czas.

**6. NOWY JORK. Noc ze środy na czwartek.**

*Komisariat. Na ścianie wyświetlane są slajdy.*

- POLICJANT** - Frank Buonavertura. W młodości dwukrotnie karany, potem na dość długo zniknął. Pięć lat temu podejrzany o współudział w aferze kokainowej. Przerzut z Hondurasu. Podobno do niego należał samolot z towarem, który przechwyciło biuro do spraw narkotyków, ale nie udało się tego udowodnić. Prezes spółki akcyjnej w Bostonie.
- INSPEKTOR** - I podobno capo wschodniego wybrzeża.
- POLICJANT** - Czyli nasz, szefie. Aj, tak... Wpisać to do kartoteki?
- INSPEKTOR** - Nie śpiesz się. Najpierw sprawdzimy, czy to prawda. Dawaj następnego.
- POLICJANT** - Giuliano Gramsci. Dyrektor generalny grupy banków. To stare zdjęcia, nie lubi się fotografować. Właściwie mamy tam jeszcze kilka...

*Wchodzi Jimmie z plikiem fotek w ręce.*

- JIMMIE** - Panie inspektorze. Przyniosłem ciekawsze obrazki.
- INSPEKTOR** - Zapal, zapal światło. Szlag by to trafił. Wyprzedzili nas. A jednak trzeba było kogoś posłać za nim. Gdzie go znaleźli?
- JIMMIE** - W garażach, w jego domu w Bronxie.
- POLICJANT** - Co on ma w ustach?
- INSPEKTOR** - Kamień... Kamień, synku. Mafia wkłada kamienie w usta ludzi, których ukarała za zdradę. Chodzi o to, że nie potrafili milczeć. Z kamieniem w zębach będą milczeć na wieki. Stary sycylijski zwyczaj, teraz już niepraktykowany.
- JIMMIE** - Właśnie, gdyby nie ten kamień, panie inspektorze, w ogóle bym się tą sprawą nie zainteresował. Tylko dziś w nocy rąbnięto w mieście osiem osób, ale kiedy usłyszałem jak chłopcy mówią o tym kamieniu, od razu skojarzyłem to sobie z mafią i pojechałem tam. Chyba rzeczywiście specjalnie zrobili to z ostentacją, bo inaczej ukryliby ciało, a nie zostawiali w garażu.
- INSPEKTOR** - Musieli mieć w tym jakiś cel, a co z jego mieszkaniem?



- JIMMIE** - Trochę wywróconych mebli, potłuczonych skorup. Musieli ostro szukać tych taśm, o których nam mówił.
- INSPEKTOR** - Jimmie, niech nasi ludzie ustalą prawdziwe nazwisko tego szczura. Wszystkie jego kontakty, muszę mieć to jak najszybciej.
- JIMMIE** - Tak jest.

*Jimie wychodzi z pokoju.*

- INSPEKTOR** - Dobra, wal dalej.
- POLICJANT** - Jak prokurator we Frisco zaczął zbierać przeciwko niemu dowody, to świadkowie dostali zaniku pamięci...
- INSPEKTOR** - Jasne, woleli gryźć orzeszki niż kamienie.
- POLICJANT** - ...a prokuratora szybko odwołali.
- INSPEKTOR** - Jasne, nie należy być zbyt gorliwym. Kiedy to było?
- POLICJANT** - Jedenaście lat temu, od tamtej pory czyścioch.
- INSPEKTOR** - Dobra. No cóż, dawaj następnego. To ten z Dallas?
- POLICJANT** - Tak jest, panie inspektorze. Wiceprezes konsorcjum nadzorujące-go lokale rozrywkowe i hazard.
- INSPEKTOR** - I też coś było przeciw niemu, ale zabrakło dowodów?
- POLICJANT** - Właśnie. Dokładnie tak było.
- INSPEKTOR** - To jest właśnie to, po czym rozpoznasz mafiosa. Nigdy nie ma przeciw nim dowodów. Jeżeli kogoś uda ci się posadzić na rok czy dwa, to najwyżej za nieściskości podatkowe. Przeciw wszystkim innym znajdziesz dowody, nawet przeciw nam. Cholera człowieka bierze.

*Ponownie wchodzi Jimmy.*

- INSPEKTOR** - Co jest, kogo znowu ukatrupili?
- JIMMIE** - Sekretarkę Gramskiego, panie inspektorze.
- INSPEKTOR** - Jak?
- JIMMIE** - Samobójstwo. Wskoczyła z piętnastego piętra.
- Oczywiście żadnych śladów przemocy. W ręce miała słuchawkę telefoniczną z odciętym sznurem.
- INSPEKTOR** - No tak. Tak, jasne. Wszystko jasne. To ona musiała dać cynk Ciprianemu telefonując z Frisco do Nowego Jorku. I oni prze-chwycili ten telefon, albo ktoś ją zdradził.

**PERFIDIA****JIMMIE**

- To jeszcze nie wszystko panie inspektorze.

**INSPEKTOR**

- Wierzę ci Jimmie. Od paru godzin mam dobry dzień, nic mnie już nie zaskoczy. Mów, mów dalej.

**JIMMIE**

- Chłopcy z Dallas, Frisco i Bostonu przyjechały za późno. Wszystkie trzy ptaszki wyfrunęły, nie ma też ich szoferów, wozów.

**INSPEKTOR**

- Ech... No jasne, żaden z nich nie był taki głupi, żeby lecieć samolotem, ale to nam coś mówi. Ken, daj światło.

*Rozbłyśka żarówka, inspektor podchodzi do mapy USA wiszącej na ścianie.***INSPEKTOR**

- Wszyscy oni trzej jadą do jakiegoś jednego, określonego punktu na mapie i wszyscy trzej muszą tam być dziś wieczorem. Jeżeli Gramsci zdążył jeszcze się dowiedzieć, że sekretarka go sypnęła i urządzić nam mały cmentarz w podarunku, to znaczy, że wyjechał najpóźniej, a zatem miał najbliżej. Tamci dwaj chcąc zdążyć samochodami musieli wyjechać już we wtorek, a zatem ten punkt jest bliżej Frisco, niż Bostonu i Dallas.

**JIMMIE**

- To niekoniecznie musi być tak, panie inspektorze, bo jeśli ten cmentarz urządził nam nie Gramsci tylko jego zastępca, a Gram-sci był już w tym czasie w drodze...

**INSPEKTOR**

- No tak, mogło i tak być, mogło tak być, ale ja muszę przyjąć jakąś hipotezę, nie mogę przecież postawić całego kraju na nogi, bo ciągle mi się śni, że urządził im też cmentarz i to bardzo duży cmentarz.

*Kent notuje na kartce.***INSPEKTOR**

- Do stanów Kalifornia, Nevada, Kolorado, Arizona, Nowy Meksyk, Montana i Południowa Dakota. Do wszystkich policji stanowych i szeryfów przekazać numery wozów i opis tych wozów. Kent, zawiadom Salt Lake City, żeby przygotowali helikopter, za pół godziny wysyłam tam naszą grupę operacyjną samolotami.

**KENT**

- Tak jest.

*Kent wychodzi, inspektor wskazuje na mapie.***INSPEKTOR**

- To jest mniej więcej w środku obszaru, który obstawiam jako właściwy. Muszę ich mieć, muszę.

**7. WOLF POINT. Stan Montana. Czwartek 18:43**

*Pod willę podjeżdżają jednocześnie samochody Buonafortuny i Matty. Obaj bossowie wysiadają.*

- F. BUONAFORTUNA** - Giuliano chyba już jest.  
**VITTORIO MATTA** - No pewnie tak, miał najbliżej.  
**F. BUONAFORTUNA** - Jak interesy?  
**VITTORIO MATTA** - A różnie, raz lepiej, raz gorzej, nie narzekam.  
**F. BUONAFORTUNA** - He, he, ja też.  
**VITTORIO MATTA** - A... To widać. Utyłeś, za dużo żresz.  
**F. BUONAFORTUNA** - He, he, lubię dobrze zjeść i nie tylko zjeść.

*Zbliżają się do drzwi, w progu wita ich mężczyzna.*

- MĘŻCZYŻNA** - Witam don Franko, don Vittorio, proszę.

*Buonafortuna kurtuazyjnie przepuszcza Mattę przodem. Wchodzą do środka, przy barze siedzi Gramsci.*

- G. GRAMSCI** - Czołem chłopcy.  
**MĘŻCZYŻNA** - Zechciejcie spocząć.  
**VITTORIO MATTA** - Kopę lat.  
**G. GRAMSCI** - Jak się udała podróż?  
**F. BUONAFORTUNA** - Jak widzisz. Masz pecha, bo nie wpadliśmy na drzewo, ani nie rąbnęły nam opony przy mijaniu TIR-ów.  
**G. GRAMSCI** - A... Żadnych glin?  
**F. BUONAFORTUNA** - Pełno glin, tylko, że jechali w drugą stronę i nie było im po drodze. Nie udało się żadnego namówić na wspólny weekend.  
**G. GRAMSCI** - A ci, których ja spotkałem nie dali się namówić z innego powodu. Jak się dowiedzieli, że tu będzie Frank Buonafortuna, narobili w portki i uciekli.  
**MĘŻCZYŻNA** - Powiadomię don Anzelma o waszym przyjeździe.

*Mężczyzna idzie na górę i za chwilę wraca.*

- MĘŻCZYŻNA** - Pozwólcie broń.

*Trwa rozbrojenie.*

**MĘŻCZYŻNA** - Proszę na górę, panowie, don Anzelmo czeka.

*Ruszają na piętro, by tam wejść do pokoju, gdzie na łóżku spoczywa starzec karmiony przez pielęgniarkę.*

**DON ANZELMO** - Wyjdź, Liso. Dokończę później, za kilka minut.

**DON ANZELMO** - Witajcie.

*Don Anzelmo wystawia dłoń, którą po kolei całują z szacunkiem wszyscy trzej goście.*

**DON ANZELMO** - Usiądźcie.

**DON ANZELMO** - Wiem, że jesteście zmęczeni podróżą. Porozmawiamy jutro, zaraz podadzą wam kolację. Teraz tylko kilka słów. Wiecie już, chłopcy, że jestem umówiony na spotkanie. Z Panem Bogiem.

**F. BUONAFORTUNA** - Ależ padre.

**G. GRAMSCI** - To niemożliwe don Anzelmo, pan przeżyje nas wszystkich.

**VITTORIO MATTA** - Proszę tak nie mówić, życzymy panu długich lat życia.

**DON ANZELMO** - Wasze życzenia nie przedłużą mi życia. Wiem o tym. Lekarze mnie już nie oszukują. To może nastąpić lada moment, a ja nie chcę, żebyście się wzięli za łby po mojej śmierci, bo to byłoby źle, źle dla naszej organizacji. Kiedy przed laty obejmowałem władzę: zemsty, napady, porachunki, donosy, zdrady. Policja zacierała ręce. Potrzebowałem trzech lat, ażeby zaprowadzić spokój, w tym celu musiałem pożegnać wielu moich przyjaciół, byłych przyjaciół, ale od tamtej pory organizacja kwitnie. Wszyscy są zadowoleni, wszyscy na tym korzystacie. Spokój wart jest dużych pieniędzy i na odwrót. Chcę, aby było tak dalej, bez zabójstw, krwi i nienawiści, zgodnie z nauką Zbawiciela, który...

*Głośnie hałasy na parterze przerywają przemowę.*

**MĘŻCZYŻNA** - Pójdę zobaczyć, co tam się dzieje, padre. Pewnie ich chłopcy kłócą się z naszymi. Powiedziałem im, żeby pograli sobie w karty, zanim nie dostaną kolacji.

*Mężczyzna wychodzi z pokoju.*

- DON ANZELMO** - Tylko jeden z was wyjdzie stąd jako mój następca. Jutro porozmawiam z każdym i zadecyduję. Dwóch pozostałych przysięgnie na krucyfiks, że będą posłuszni wybranemu, zresztą respektowania mojej decyzji będzie pilnował ktoś, kogo znam tylko ja i Andrea. Stworzyłem taki zespół egzekucyjny, tajny, coś jakby wewnętrzną żandarmerię naszej organizacji, mój następca otrzyma kontakt z tym człowiekiem, który zlikwiduje każdego, kto by się ośmielił zmienić moją decyzję.

*Drzwi otwierają się z hukiem i wpada go środka grupa policjantów wraz z facetem po cywilnemu.*

- CYWIL** - Wstać. Łapy na kark. Do ściany.  
**CYWIL** - Nogi do tyłu i żadnych kawałów, bo bez namysłu rozwalę!

*Policjanci obszukują mafiosów.*

- POLICJANT** - Czyści, panie poruczniku.  
**PORUCZNIK** - Możecie się odwrócić i opuścić ręce. Tutaj. Nie jeden obok drugiego! Rozsunąć się.  
**VITTORIO MATTA** - *Chryste, jak to możliwe? Gliny tutaj.*  
**G. GRAMSCI** - Dlaczego panowie nas napastują? Co znaczy ten teatr? Jestem szanowanym obywatelem, regularnie płacę podatki i przyjechałem tu odwiedzić mego przyjaciela. Jakim prawem?!  
**PORUCZNIK** - Stul pysk.  
**VITTORIO MATTA** - Panie poruczniku, chcę skontaktować się ze swoim adwokatem.  
**PORUCZNIK** - Chwilowo nie mogę ci tego obiecać. Obiecuję co innego. Od tej chwili, jeśli któryś z was, odezwie się bez zadanego przeze mnie pytania, dostanie po buzi, zrozumiałeś?  
**F. BUONAFORTUNA** - To skandal! Konstytucja Stanów Zjednoczonych zapewnia...

*Buonafortuna dostaje po buzi, z rozbitych warg cieknie krew.*

- VITTORIO MATTA** - *To ładne. Frank takich bubków jak ten lubi topić z nogami wsadzonymi w kubel z cementem, po odczekaniu aż cement stwardnieje. A teraz taki mydłek wybił mu ząb – „Frankowi-betoniarzowi”. Szkoda, że nie widzą*

**PERFIDIA**

*tego ludzie Franka, to naprawdę ładne. Nie warto się szarpać, trzeba odczekać, tylko spokojnie, bez nerwów.*

- PORUCZNIK** - Jaki jest tu numer? Przyrowadź tu tego z wężami  
**POLICJANT** - Tak jest.  
**PORUCZNIK** - Sprawdziliście starego?  
**POLICJANT** - Nie, panie poruczniku.  
**PORUCZNIK** - No to już.

*Policjanci rewidują postanie don Anzelma – bez rezultatu.*

- POLICJANT** - Czysty, panie poruczniku.

*Pod eskortą wkracza Andrea, mężczyzna, który wprowadzał bossów do don Anzelma.*

- PORUCZNIK** - Jak się nazywasz?  
**PORUCZNIK** - Przekonać cię, że mylił się ten gość, co powiedział, że milczenie jest złotem.

*Andrea inkasuje cios, łamiący go wpół.*

- PORUCZNIK** - Jak się nazywasz?  
**ANDREA** - Ricci, Andrea Ricci.  
**PORUCZNIK** - Bardzo ładnie się nazywasz. Numer?  
**ANDREA** - 367-40-89-23  
**PORUCZNIK** - Zamknąć go w piwnicy, razem z obstawą.

*Porucznik wykręca numer telefonu.*

- PORUCZNIK** - Callaghan. Z inspektorem proszę. Tak, a gdzie jest? Cholera... Dobrze, jak tylko przyjdzie, proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił na numer: Montana 367-40-89-23. I nie z komendy, z prywatnego. Dziękuję.

*Callaghan odkłada słuchawkę.*

- POLICJANT** - Panie poruczniku, a co z dziewczyną?  
**CALLAGHAN** - Z dziewczyną?  
**POLICJANT** - Była w pokoju obok, mówi, że jest pielęgniarką.

- CALLAGHAN** - Co to jest?  
**PIEŁĘGNIARKA** - Posiłek don Anzelma. Muszę go nakarmić.

*Callahan wytrąca pielęgniarce z ręki talerz z zupą.*

- CALLAGHAN** - My go nakarmimy. Zamknąć osobno. Tego na dół do salonu. Zasłonić okna, zaraz tam przyjdę.

*Policjanci wyprowadzają pielęgniarzkę i Andreę.*

- CALLAGHAN** - Zostaniesz ze staruchem.  
**POLICJANT** - Tak jest.

## **8. WOLF POINT. Czwartek. 20:15**

*Pokój na parterze. Na krzesłach siedzą trzech bossowie. Porucznik również bierze krzesło i siada.*

- CALLAGHAN** - Jestem porucznikiem FBI, dowódcą specjalnej grupy operacyjnej w brygadzie antymafijnej inspektora Whitemana. Nazywam się Ramsey Callaghan. Przedstawiłem się, kolej na was.  
No. Ty?
- VITTORIO MATTA** - Nie mam nic do powiedzenia. Mafię znam z gazet i z telewizji.
- CALLAGHAN** - Na razie nie pytam cię o mafię, mów o sobie. Imię i nazwisko.
- VITTORIO MATTA** - Nie odpowiem na żadne pytania bez adwokata
- CALLAGHAN** - Jeszcze jedna taka odpowiedź, a najpierw będziesz potrzebował lekarza, a dopiero potem adwokata. No?
- VITTORIO MATTA** - Nazywam się Vittorio Matta.
- CALLAGHAN** - Mało. Zawód, pochodzenie, wszystko.
- VITTORIO MATTA** - Jestem szefem przedsiębiorstwa w branży show biznesu. Urodziłem się 28 marca 42 roku w Tampa na Florydzie.
- CALLAGHAN** - Pytałem o pochodzenie.
- VITTORIO MATTA** - Włoskie.
- CALLAGHAN** - Konkretnie, miejsce urodzenia ojca?
- VITTORIO MATTA** - Sycylia.
- CALLAGHAN** - Bardzo ładnie. A wy?

**PERFIDIA**

- G. GRAMSCI** - Giuliano Gramsci. Urodzony 8 sierpnia 1930 roku w Palermo.
- CALLAGHAN** - Gdzie to jest?
- G. GRAMSCI** - Na Sycylii.
- CALLAGHAN** - Tak myślałem. Zawód?
- G. GRAMSCI** - Jestem bankierem.
- CALLAGHAN** - W porządku, a ty? Też jesteś bankierem?
- F. BUONAFORTUNA** - Nie, kieruję spółką akcyjną w Bostonie.
- CALLAGHAN** - Nazwisko?
- F. BUONAFORTUNA** - Frank... Frank Buonavortuna. Urodzony w czerwcu 1931 roku w Caltanizetta...
- CALLAGHAN** - Spróbuję zgadnąć. To na Sycylii?
- CALLAGHAN** - No proszę. Rodzinny nastrój, sami sycylijczycy, prawda?
- VITTORIO MATTA** - Nasz przyjaciel jest ciężko chory. On też jest sycylijczykiem. Przyjechaliśmy go odwiedzić, dlatego jesteśmy tutaj. To chyba nie jest zabronione.
- CALLAGHAN** - Nie. Zabronione jest należeć do mafii i posługiwać się terrorem i zbrodnią w celu osiągnięcia zysków.
- G. GRAMSCI** - Do jakiej mafii, na Boga?!
- CALLAGHAN** - Do amerykańskiej!! Założonej i sterowanej przez sycylijczyków. Uczyniliście z niej ośmiornicę, która oplotła cały kraj, od Atlantyku, do Pacyfiku. Do takich jak ja, należy obcinanie ramion ośmiornicy. Chcesz jeszcze coś powiedzieć?
- G. GRAMSCI** - Tak, panie poruczniku.
- CALLAGHAN** - To mów, pozwalam ci. Jestem tu po to, by was słuchać.
- G. GRAMSCI** - Chcę powiedzieć, że pan się naczytał komiksów o Al Capone, chcę także powiedzieć, że organizacje włoskie w tym kraju, od dawna protestują przeciwko insynuacjom i utożsamianiu każdego uczciwego Włocha z mafioso.
- CALLAGHAN** - A ty? Jesteś uczciwym Włochem?
- G. GRAMSCI** - Jestem uczciwym członkiem społeczeństwa amerykańskiego, podobnie jak obecni tu, moi przyjaciele.
- CALLAGHAN** - Rozumiem. Teraz, kiedy już ustaliliśmy, że jesteście uczciwymi członkami mafii...
- F. BUONAFORTUNA** - Nie mamy nic wspólnego z mafia!!



- CALLAGHAN** - Jesteś tego pewien? A ja nie i udowodnię ci, że kłamiesz, udowodnię to najpierw tutaj, a dopiero potem przed sądem!
- VITTORIO MATTA** - Przed tym sądem, przed którym pan stanie za łamanie prawa!!
- CALLAGHAN** - Mówiłeś coś, gnojku?
- VITTORIO MATTA** - Mówiłem. Może mnie pan uderzyć, ale za każde uderzenie odpowie pan. Prawo tego kraju, o które pan tak się troszczy, zabrania bicia aresztowanych, zabrania aresztowań bez nakazu, zabrania przetrzymywać aresztowanych w prywatnych pomieszczeniach i zabrania im odmawiać kontaktu z adwokatem.
- CALLAGHAN** - Oto nakaz aresztowania was trzech. Są tam oskarżenia, a nie dowody. Dowody wycisnę z was, nawet łamiąc prawo. Kiedyś musi się skończyć ta zabawa w ciuciubabkę, w której wy zawsze jesteście górą, bo macie prawo gdzieś, a my mamy ręce związane prawem.

*Rozlega się dzwonek telefonu. Callaghan zwraca się do policjanta.*

- CALLAGHAN** - Dawaj Ricciego.
- CALLAGHAN** - Udowodnię te oskarżenia, przy waszej pomocy.
- VITTORIO MATTA** - *Gównu udowodnisz, kochasiu. Będziesz mógł nas przetrzymać najwyżej przez kilka godzin, a od kilku klapsów po pysku jeszcze nikt nie umarł. Posunąłeś się już i tak za daleko. Dalej będziesz się bał. Odpowiesz przed sądem za cały ten cyrk i w najlepszym razie zdegradują cię. A potem my się tobą zajmiemy. Metodą Franka. Nóżki w cement, albo wymyśli się coś lepszego dla ciebie. No, pajacuj dalej, zobaczymy ile wypajacujesz? Pierwszy strach już minął.*

*Policjanci doprowadzają Ricciego.*

- CALLAGHAN** - Odbierz i bądź grzeczny, żebyś nie musiał zginać w trakcie ucieczki.
- ANDREA** - Halo... To do pana.
- CALLAGHAN** - Tak?... Tak? Tak jest szefie, mam wszystkich i kilku goryli... Tak... Tak?... Co?.. Na miłość boską, szefie, teraz?... Ja wiem, ale nie mamy przecież właściwie nic, każdy adwokat obali gadanie tego kapusia... Oczywiście... No ja rozumiem, ale... Ale to nie są stuprocentowe dowody. Ich stać na najlepszych adwokatów. Jeśli ich teraz odstawię, to skończy się jak zawsze, kaucja, odroczenia, fałszywi świadkowie, stare

**PERFIDIA**

chwyty. Znowu nas wyrolują i będziemy mieć pretensje tylko do siebie... Ja rozumiem szefie, ale niech pan i mnie zrozumie... Od kilkunastu lat pracuję jak idiota i bawię się z nimi, a oni zawsze są lepsi! Jak długo tak można szefie?!... Szefie, są trzy dni weekendu, no powiedzmy, że ja jestem też na urlopie. Robię to na własną rękę, bez rozkazu i bez kontaktu z panem... Szefie... Ja rozumiem, ale całą odpowiedzialność biorę na siebie, pan nic o tym nie wie, no tylko do poniedziałku, a w poniedziałek odstawię ich... Szefie, błagam pana!... Ja rozumiem, ale to mój koszt! Ja zapłacę i nikt inny!... Nawet siedząc będę wiedział, że było warto!... Nie!... Tak, oczywiście... Nie, proszę być spokojnym... Tak jest, nie było tej rozmowy... Dziękuję panu, szefie.

*Callaghan odkłada słuchawkę.*

- CALLAGHAN** - Jeśli któryś z was miał wątpliwości, to może sobie je darować. Mamy trzy i pół doby. Przez ten czas dowiem się wszystkiego o was. O waszej organizacji. Ten pokój to konfesjonał, a ja jestem spowiednikiem. No, im prędzej to zrozumiecie, tym lepiej dla was.
- CALLAGHAN** - Za kilka godzin dostaniecie zmianę, tym wolno się tylko odlać. Cały czas światło i nie wolno im spać. Jeśli któryś zaśnie, obudzić go kopem i to solidnym.

*Callaghan wychodzi.*

## **9. WOLF POINT. Noc z czwartku na piątek.**

*W pokoju samotnie siedzi Callaghan, po chwili drzwi się otwierają i wchodzi facet po cywilnemu.*

- FACET** - Przyniosłem ci kawę.
- CALLAGHAN** - Wszystko w porządku.
- FACET** - Jak na razie. Długo to potrwa?
- CALLAGHAN** - To zależy od ich odporności. Mamy czas do niedzieli wieczorem, a nawet do poniedziałku rano, któryś z nich musi pęknąć.
- FACET** - Mogą pęknąć wszyscy.
- CALLAGHAN** - Owszem. Każdego można złamać.

- FACET** - Szefowi potrzebny jest jeden.
- CALLAGHAN** - Każdego można złamać
- FACET** - Ja wiem, ale chłopaki trochę się boją o to, co będzie potem. To niebezpieczna zabawa.
- CALLAGHAN** - Jeśli komuś coś grozi, to tylko mnie. Wy wszyscy wypełniacie rozkazy, nikt nie może was winić.
- FACET** - Nie jestem tego taki pewien, możemy właśnie odpowiedzieć za wykonywanie takich rozkazów.
- CALLAGHAN** - Przestań pieprzyć. Tylko ja tu ryzykuję, a robię to, bo wiem, że to jest konieczne. Wasza odpowiedzialność jest żadna. Nie radzę któremukolwiek z was trząść portkami podczas tej akcji, bo jeśli idę na całość z nimi, to tym bardziej wezmę za mordę każdego z was. Zrozumiałeś?
- FACET** - Tak jest, szefie.

## **10. WOLF POINT. Piątek. 9:05. Pokój na parterze.**

*Wchodzi Callaghan.*

- CALLAGHAN** - Nadszedł czas spowiedzi panowie. Który chce zacząć? Może ty, Vittorio?
- VITTORIO MATTA** - Mówiłem już, nie mam nic wspólnego z mafią. Pańskie postępowanie jest bezprawne i nawet to, że kryje pana jakiś wysoki urzędnik FBI, nie uchroni pana przed sądem. Odpowie pan za to wszystko. Jest jeszcze w tym kraju sprawiedliwość.
- CALLAGHAN** - Jeszcze jest, to prawda i rzecz doprawdy dziwna, zważywszy, że już tyle lat pracujecie nad zamordowaniem sprawiedliwości w tym kraju.
- G. GRAMSCI** - Pan nie ma prawa do nas tak mówić. Don Vittorio ma rację. Odpowie pan za to wszystko przed sądem i wtedy sprawiedliwości stanie się zadość.
- CALLAGHAN** - Nie strasz. Od straszenia tutaj jestem ja. Właśnie w imię sprawiedliwości wyduszę z was wszystko, co wiecie o sobie i o innych. Całe życie pracowałem w policji, zaczynałem od posterunkowego i miałem dość czasu, żeby napatrzeć się jak robiliście ze sprawiedliwości kurwę. Przez trzy doby nie dostaniecie nic do picia i

**PERFIDIA**

do żarcia. W nocy będziecie polewani wodą. W ten sposób odbiorę wam sen. Sprawdzicie swoją wytrzymałość, zresztą nie tylko na głód i brak snu. Jestem w porządku. Ostrzegłem was. A teraz zacznijcie mówić, dla własnego dobra.

**G. GRAMSCI**

- O czym mamy mówić? O tym, o czym przeczytaliśmy w gazetach. My naprawdę z mafią nie mamy nic wspólnego.

**CALLAGHAN**

- Założyłeś się z kimś, że zrobisz ze mnie durnia, czy robisz tak dla sportu? Twierdzę, że to się nie uda, założysz się? Nie wszystkie gliny są baranami, a wy nie jesteście tacy mądrali jak sobie wyobrażacie. Głupia policja dowiedziała się o waszym spotkaniu za późno, a jednak, nie tylko potrafiła zlokalizować na trasie jeden z waszych samochodów, ale i podczepiła mu na stacji benzynowej do podwozia pchełkę, a ten sygnał przyprowadził mnie tutaj. Zdradzę wam jeszcze coś. Głupie gliny wiedzą...

*Z zewnątrz dobiega wycie torturowanego człowieka.*

**CALLAGHAN**

- Wasi gryle. Też są uparci. Ale przestaną być, podobnie jak wy. Upór podczas mojej obecności w tym domu ma to do siebie, że okropnie boli. Zaraz. O czym ja to mówiłem? A... No właśnie. Otóż głupia policja wie nawet to, że jesteście szefami mafii! Bossami wschodniego wybrzeża, zachodniego i południa i że przyjechaliście tu na koronację. Jeden z was miał zostać cappo di tutti cappi. Dlatego oddaję wam głos. Ty, Vittorio. Od kiedy jesteś członkiem mafii?

**CALLAGHAN**

- Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Trzeci raz nie zapytam. Od kiedy jesteś członkiem mafii?

**CALLAGHAN**

- Steve, weź go.

*Rosły policjant wyprowadza Vittoria.*

**CALLAGHAN**

- Teraz twoja kolej. Od kiedy jesteś członkiem mafii?

**G. GRAMSCI**

- Panie poruczniku, ja naprawdę nie kłamię. Ja nie mam nic wspólnego z mafią.

## **11. WOLF POINT. Piątek. 9:35.**

*Eskorta prowadzi Vittoria do piwnicy. Po drodze zaczyna ich cywil, który wcześniej zanosił Callaghanowi kawę.*

- FACET** - Możesz jeszcze zawrócić, złóż porucznikowi zeznania. Człowieku, dobrze ci radzę.
- VITTORIO MATTA** - *Blefujecie, nie odważycie się. Tamten krzyk, to teatr dla frajerów. Nie dam się tym przestraszyć. Blefujcie, blefujcie dalej.*
- FACET** - Nie bijcie w twarz, język będzie mu potrzebny. I nie rozwalcie mu dłoni. Ruszaj.

*Wprowadzają Vittoria do pomieszczenia i katują.*

## **12. WOLF POINT. Piątek. 13:00. Pokój na parterze.**

*Zatrzymani pod okiem policji wciąż siedzą na krzesłach. Bezsenna noc, brak posiłku i przechadzka poza dom wyraźnie odbiły się na ich kondycji.*

- VITTORIO MATTA** - *Do poniedziałku wytrzymam bez żarcia, ale... Pić... Pić, cholera, bez picia wykorkuję*

*Nadciąga Callaghan.*

- CALLAGHAN** - Macie dość? Myślę, że odpoczęliście po pierwszej lekcji, a drugiej nie zechcecie. Zaczynamy?
- CALLAGHAN** - Pomyliłem się. Jesteście jeszcze zmęczeni, macie czas do wieczora, zbierzcie siły.

*Callaghan zbiera się do wyjścia.*

- F. BUONAFORTUNA** - Pić. Chcę pić.
- CALLAGHAN** - Jack, daj panu pić!!

*Jack wylewa na Buonafortunę wiadro wody.*

## **13. WOLF POINT. Piątek. 17:40. Pokój na parterze.**

**PERFIDIA**

CALLAGHAN

- No jak, panowie cappi? Pan Bóg nie zrzuci na ten dom komanda waszych aniołów stróżów, żeby was uwolnili i ukarali oprawcę. Czas to już zrozumieć. Będziemy śpiewać? Widzę, że ciągle jeszcze zbieracie siły. Nie będę wam przeszkadzał, mam czas.

F. BUONAFORTUNA

- Panie poruczniku...

CALLAGHAN

- Tak?

F. BUONAFORTUNA

- Panie poruczniku...Proszę o coś do jedzenia. Umrę bez jedzenia.

CALLAGHAN

- Z przyjemnością, spiżarnia jest pełna. Jak tylko złożysz zeznania.

F. BUONAFORTUNA

- Nie może pan tak postępować, to nieludzkie.

CALLAGHAN

- Mogę, mogę, mogę. Zapewniam cię. Mogę jeszcze przez dwie i pół doby. Czy sposób, w jaki wy wykańczacie ludzi jest ludzki? Którykolwiek z tych waszych sposobów? Czasami są szybsze, to wiem, ale mnie się nie śpieszy. Jeszcze nie. Kiedy zacznie mi się śpieszyć, wtedy znajdę lepszą metodę. Mówi, że umrze bez jedzenia, jest panem swego losu. Złóż zeznania, a dam ci zjeść ile zechcesz.

F. BUONAFORTUNA

- Jakie zeznania? O czym?

CALLAGHAN

- O mafii. Czyżbym zapomniał wam powiedzieć, że właśnie o to mi chodzi. Zdaje mi się, że wspomniałem o tym. Po prostu o mafii.

F. BUONAFORTUNA

- Nie znam mafii.

CALLAGHAN

- Znasz. O jej strukturach organizacyjnych, kontaktach, informatorach, branżach, melinach, hasła, nazwiska, strefy działania, wszystko.

F. BUONAFORTUNA

- Ja nie jestem mafioso, przysięgam panu, ja...

CALLAGHAN

- No to masz pecha.

*Callaghan wychodzi.***14. WOLF POINT. Noc z piątku na sobotę. Pokój na parterze.***Policjant z rozmachem wylewa kubel wody na sycylijszyków.*

POLICJANT

- Jack!

JACK

- No?

*Policjant podaje zaspanemu koledze puste wiadro.*

- POLICJANT** - Do pełna, panie barman.
- JACK** - Co, znowu?
- POLICJANT** - Schną nam, porucznik kazał ich podlewać.
- VITTORIO MATTA** - *Sukinsyny, przejedziecie się. Przynajmniej nie zdechnę z pragnienia. To pieprzone drętwienie nóg, nie wytrzymam dłużej tego siedzenia.*

*Vittorio podnosi się z krzesła.*

- POLICJANT** - Posadzić cię, czy sam usiądziesz?
- VITTORIO MATTA** - Chcę tylko rozprostować nogi.
- POLICJANT** - Siadaj.

*Vittorio posłusznie opada z powrotem.*

*Na korytarzu rozlega się tupot biegnących nóg. Do pokoju wpada zaafierowany policjant.*

- POLICJANT NR. 2** - Gdzie porucznik?

*Rozgląda się i biegnie dalej. Po jakimś czasie przychodzi Callaghan.*

- CALLAGHAN** - Tron jest wolny, panowie cappi. Dziadzio wykitował.
- VITTORIO MATTA** - Zamordowałeś go. Zamordowałeś go i nic cię nie uratuje.
- CALLAGHAN** - Co ty powiedziałaś?
- VITTORIO MATTA** - Powiedziałem, że to zbrodnia i że zapłacisz za to.

*Callaghan uderza Vittoria nogą w klatkę piersiową, tak, że ten przewraca się razem z krzesłem.*

- CALLAGHAN** - Należy do mnie mówić panie poruczniku. Straszyc mnie nie wolno, bo to boli straszącego. Zapamiętajcie to. Nie zamordowałem dziadzia! Nie chciałem jego śmierci. Dobrze wiecie, że ten staruch dogorywał, inaczej nie wzywałby was tutaj, aby wybrać swego następcę. Każdy lekarz potwierdzi, że to nie ja go zamordowałem, tylko rak! Inna sprawa, że będzie w tym jedynie pół prawdy, w istocie on wykończył się sam, a dokładnie, skrócił sobie resztki żywota, bo nie chciał mówić, więc nie dostawał lekarstw i jedzenia! Taki już los upartych. Najwyższy czas, żebyście zaczęli śpiewać. Który chce pierwszy? No? Zatęskniliście za piwnicą, dobrze.. Tym razem wycieczka będzie z większymi atrakcjami. Jack..

- F. BUONAFORTUNA** - Callaghan! Callaghan, będę mówił. Powiem wszystko.
- CALLAGHAN** - Zmądrzałeś. Twój zysk. A ty? Piwnica, czy pokój, w którym będę nagrywał zeznania?
- G. GRAMSCI** - Zgadzą się złożyć zeznania.
- CALLAGHAN** - Pozostałeś ty. Zeznajesz?
- VITTORIO MATTA** - Tak.
- CALLAGHAN** - Według kolejności zgłoszeń. Chodź.
- VITTORIO MATTA** - *Frank dobrze to wykombinował. Napieprzy ci głupot i będziesz zadowolony sukinsynu. Potem się to wszystko odwoła i...*

## 15. WOLF POINT. Sobota. 9:10. Pokój Callaghana.

*Na stole pracuje magnetofon nagrywający rozmowę.*

- VITTORIO MATTA** - Te lewe sumy szły przez spółkę Forster Cold do Europy.
- CALLAGHAN** - Gdzie? Konkretnie?
- VITTORIO MATTA** - Były transferowane na dwa konta. Bank Nationale de Suisse.
- CALLAGHAN** - Numery kont?
- VITTORIO MATTA** - Nie pamiętam. Poda je panu mój księgowy.
- CALLAGHAN** - Dobrze. Teraz inna sprawa. Chodzi o kanały przerzutowe narkotyków.
- VITTORIO MATTA** - Z narkotykami nie mam nic wspólnego. Tym kierował sam don Anzelmo.
- CALLAGHAN** - Tak? Teraz wszystko, co najgorsze będziecie zrzucać na trupa. Wasze prawo, a nasze, żeby wam udowodnić, że kłamiecie. Ja to zrobię, ale nie wszystko naraz, chwilowo zostawmy to. Czy z lewymi zatopieniami statków w celu wyłudzenia ubezpieczeń też nie masz nic wspólnego? Uważaj na to, co odpowiesz, bo w tej sprawie mam zeznania twoich kumpli.
- VITTORIO MATTA** - Frank, Guliano i ja działamy osobno, panie poruczniku, ich interesy nie są moimi, ale powiedziałem panu tyle, że mogę przyznać się i do tego. Zrobiłem to dwa razy, potem zrezygnowałem, kiedy podobne numery stały się powszechnym procederem armatorów i towarzystwa ubezpieczeniowe powołały specjalne grupy śledcze. Zrobiło się zbyt niebezpieczne, wołałem nie ryzykować.
- CALLAGHAN** - Jak się nazywały te statki?



- VITTORIO MATTA** - Jeden – Mexico City, drugi, nie pamiętam. Było to imię dziewczyny na literę j. Oba pływały pod flagą Liberyjską.
- CALLAGHAN** - W porządku, jeszcze jedno, cztery lata temu zginął, w Nowym Jorku podczas akcji antymafijnej, młody policjant. Musiałeś o tym słyszeć, pisała o tym prasa, było w telewizji. Został postrzelony w nogę, oblany benzyną i spalony. Chcę wiedzieć, kto to zrobił i kto był szefem tych, którzy to zrobili.
- VITTORIO MATTA** - Nic o tym nie wiem, panie poruczniku, nie mam pojęcia.
- CALLAGHAN** - Posłuchaj mnie, Matta. Za nazwiska tych ludzi skasowałbym całą twoją taśmę i zapomniał, że cię kiedykolwiek widziałem. No?
- VITTORIO MATTA** - *Co jest grane, co za grę on prowadzi. Jest tu jakieś drugie dno, ale jakie? Cholerny świat, nie wiem nic o tym spalonym glinie.*
- VITTORIO MATTA** - Niestety, panie poruczniku, nic o tym nie wiem. Mógłbym spróbować się dowiedzieć.
- CALLAGHAN** - Próbować się dowiedzieć próbuję ja. Nie wiesz – trudno. Na razie skończyliśmy.

## 16. WOLF POINT. Sobota. Rano. Pokój na parterze.

*Tuż po nagraniu zeznań Callaghan odwiedza swoich podopiecznych.*

- CALLAGHAN** - Podpiszecie swoje zeznania, jak tylko zostaną przepisane. Jeszcze dzisiaj. Jutro porozmawiamy bardziej szczegółowo. Mogą spać.
- F. BUONAFORTUNA** - A jedzenie? Obiecywał pan. Obiecywał nam pan jedzenie, dużo jedzenia, jeśli powiemy.
- CALLAGHAN** - Dotrzymuję obietnic, ale nie obiecywałem, że dam z siebie zrobić idiotę. Sprawdzenie, czy mówiliście prawdę zajmie niewiele czasu, jeśli otrzymam potwierdzenie, to wkrótce będziecie żreć.
- VITTORIO MATTA** - *Cholera, koniec. Cały pomysł Franka był do dupy. Niepotrzebnie się wygłupiałem. Ten bydlak sprawdzi telefonicznie choćby kilka, czy kilkanaście danych i od razu się zorientuje, że to wszystko lipa. Który to jest? Sobota, nie, chyba niedziela, nie, zaraz, to jeszcze sobota. Sobota. Sobota. Sobota...*

**17. WOLF POINT. 12:20. Sobota. Pokój na parterze.**

*Matta i Gramsci powoli budzą się ze snu, Buonafortuna ciągle śpi. Do środka wpada Callaghan.*

**CALLAGHAN** - Zbudź go.

*Policjant bezskutecznie potrząsa ramieniem Buonafortuny.*

**CALLAGHAN** - Co to, przedszkole? Nie potrafisz go zbudzić?

*Brutalnie szarpie do góry krawat Franka.*

**CALLAGHAN** - Dowcip się nie udał, panowie cappi. Powinienem pośmiać się z tych żartów razem z wami, tam na dole w piwnicy, ale zrezygnowałem z tego, bo to już teraz nie ma znaczenia. Zmieniły się reguły gry, o czym dowiecie się dokładnie, za kilkanaście godzin. Nie będę was już więcej tłukł, bo rano musicie mieć siły, żeby stanąć do konkursu. Przyjechaliście na wybór jednego i tak się stanie, jeden z was będzie wybrany. Módlcie się przez tę noc niech Bóg zlituje się nad tymi dwoma, którzy przegrają. Jesteście głodni, przyniosłem wam żarcie. Po talerzu dla każdego. Sma-cznego, spryciarze.

*Na podłogę rzuca taśmy i wychodzi.*

**VITTORIO MATTA** - Panowie, dam sto tysięcy dolarów. Po sto tysięcy dla każdego, za ułatwienie mi ucieczki stąd.

**G. GRAMSCI** - Ode mnie drugie tyle.

**F. BUONAFORTUNA** - I ja, też sto tysięcy na głowę.

**POLICJANT** - Przestańcie pieprzyć. Co mi po forsie, kiedy i tak poszedłbym za to gnić?

**VITTORIO MATTA** - Nie, gnić pójdiesz, za co innego. Za bezprawie, w którym bierzesz udział, tylko za to, dobrze o tym wiesz.

**POLICJANT** - Wiem, czy nie wiem, gówno cię to obchodzi. To, co się tu dzieje, to sprawa Callaghana. My spełniamy tylko rozkazy i nikt nas nie będzie winił.

**VITTORIO MATTA** - Callaghan ci to powiedział? I ty uwierzyłeś temu sadyście?

- POLICJANT** - Moim obowiązkiem jest wierzyć w to, co mówi mój przełożony. Nie podoba mi się to wszystko, ale moją rzeczą jest słuchać.
- VITTORIO MATTA** - Jest akurat odwrotnie. Właśnie za spełnianie zbrodniczych rozkazów, czyli za współudział w przestępstwie będziecie siedzieć. Natomiast, gdybyście nam pomogli uratować się...
- POLICJANT** - Wtedy porucznik rozwaliby nas. On nie żartuje.
- G. GRAMSCI** - Przecież jest was tylu, a on jeden. Obezwładnijcie go, nic wam z jego strony nie grozi. To zbrodniarz, albo psychicznie chory. Za to, co tu robi zamkną go w domu wariatów, albo w więzieniu. Nie musicie się go bać.
- POLICJANT NR 2** - Przestań z nimi gadać.
- POLICJANT** - Co ci to przeszkadza? Odpieprz się.
- POLICJANT NR 2** - Callaghan zabronił nam.
- POLICJANT** - W porządku, nie dam się kupić. A że porucznik zwariował, to jasne. Wszystko to cholernie mi się nie podoba. Nie chcę iść do pierdła.
- VITTORIO MATTA** - Panowie, wypiszę wam czek.
- POLICJANT NR 2** - Odpieprz się.
- VITTORIO MATTA** - Nie... Nie o to chodzi. Wypiszę wam czek, za co innego. Jeśli powiecie, co się tu dzieje. Czego chce ten człowiek, który świadomie łamie prawo? Chce nas wykończyć?
- POLICJANT NR 2** - Nie wiem, o co tu chodzi, ale powiedziałem już, Callaghan nigdy nie żartuje, a poza tym...
- VITTORIO MATTA** - Co? Co poza tym?
- POLICJANT NR 2** - Kilka lat temu, to było w sześćdziesiątym ósmym, lub sześćdziesiątym dziewiątym, nie pamiętam, zakatrupiliście mu brata.
- F. BUONAFORTUNA** - Nikogo w swym życiu nie zabiłem.
- POLICJANT NR 2** - Może nie wy osobiście, ale mafia. Chłopak miał dwadzieścia cztery lata, pierwszy raz brał udział w obławie. Spalono go benzyną. Callaghan omal wtedy nie zwariował.
- VITTORIO MATTA** - *Chryste, a więc to tak. To szaleniec, który celebruje zemstę. Wykończy nas wszystkich, jednego po drugim. Chyba, że dowie się, kto mu spalił brata. Nie, to nieprawda. Wykończyłby nas i tak. Co ma znaczyć ten konkurs, o którym mówił? To wariat, chce nas dręczyć jak najdłużej, dopóki mu starczy czasu.*

*Callaghan robi inspekcję.*

- CALLAGHAN - Zgaście górne światło. Niech się wyśpią. Gdyby któryś próbował sztuczek, strzelajcie bez ostrzeżenia.

*Koniec inspekcji*

## **18. WOLF POINT. 7:30. Niedziela. Pokój na parterze.**

*W pokoju pojawiła się długa ława.*

- CALLAGHAN - Wstać. Podejść do stołu.
- CALLAGHAN - Myślę, że dostatecznie skruszeliście, ale nie zamierzam tego sprawdzać dotychczasowymi metodami, bo po pierwsze, czas mi się kończy, a po drugie, podjąłem inną decyzję. W tym domu miano wybrać jednego z was i słowo stanie się ciałem z tą różnicą, że wyboru dokonam ja, a nie świętej pamięci, nieodżałowany don Anzelmo, cappo di tutti cappi. Po prostu inny rodzaj selekcji. Będzie to, tak jak wczoraj zapowiedziałem, rodzaj konkursu. Zwycięzca wygrywa życie. Każdy z was po tysiącokroć zasłużył na śmierć, ale jeden będzie potrzebny nam żywy, w celu rozpracowania całej waszej organizacji w śledztwie, a potem na procesach. Ten, który napisze o mafii najwięcej, najszczerzej i najprecyzyjniej, przeżyje, dwóch zastrzelę. Siadajcie, to wszystko. Macie czas do trzeciej po południu. Siadać! Całe siedem godzin! Nie blefuję, zrobiłem już tyle, że i tak będę siedział, wiem o tym. Jeśli nic z was nie wyduszę, to posadzą mnie do końca życia, ale jeśli rozpracuję mafię, wówczas opinia publiczna weźmie mnie w obronę. Nie mam wyboru, dlatego zrobię to, co powiedziałem.

*Callaghan opuszcza pokój.*

- POLICJANT - Jerry, słyszałeś? Ja stąd spieprzam. Nie zamierzam iść do komory z gazem.

- POLICJANT NR 2** - Wolisz kulę Callaghana, to spieprzaj, tylko uprzedzam cię, że zanim strzeli Callaghan, ja strzelę do ciebie pierwszy, bo nie chcę, żeby on rąbnął mnie.
- POLICJANT** - Jerry, na miłość boską, jak on ich rozwali, to my również...
- POLICJANT NR 2** - Może nie rozwali, może tylko straszy. Jak wszyscy napiszą prawdę... A zresztą, będzie, co będzie. My wypełniamy tylko rozkazy.
- VITTORIO MATTA** - *Może straszy, ale może nie straszy. Cholera, trzeba pisać. Ciekawe czy oni zasuwają teraz prawdę, czy znowu blefują i tak mam niewiele szans, każdy z nich należy do organizacji, o co najmniej dziesięć lat dłużej i wiedzą dużo więcej ode mnie. To śmieszne, ale u dziadzia też nie miałem szans. Oni są sycylijczykami z urodzenia a ja tylko z pochodzenia, ale może nie jest tak źle. Może nie wszystko zechcą napisać, zaczną coś kręcić i Callaghan to wyłapie. Gdybym tak wywalil mu wszystko, co wiem. Wszystko, do końca. Tak, trzeba pisać. Może wygram... A potem na tyle lat do pierdla? Lepiej do pierdla niż do ziemi. Cholera, przeklęty sukinsynu, coś ty ze mną zrobił? Jestem szmatą, trzęsącą się, przerażoną szmatą. Boże, jak ja cię nienawidzę Callaghan. Matko Boska, Przenajświętsza Panno z Corleone, daj mi się uwolnić, tylko na chwilę, żebym mógł załatwić tego bydlaka, a potem niech się dzieje, co chce, mogę umrzeć. Nic więcej w życiu nie pragnę. Callaghan, nienawidziłem w życiu wielu ludzi, ale nikogo, tak jak ciebie.*

## **19. WOLF POINT. 14:47. Niedziela. Pokój na parterze.**

- CALLAGHAN** - Czas upłynął.
- VITTORIO MATTA** - Jeszcze tylko jedno zdanie.
- CALLAGHAN** - W porządku.

*Callaghan zbiera zeznania pozostałych, a Matta kaligrafuje na papierze wielkimi literami „G Ó W N O”, starannie składa kartkę i podaje porucznikowi.*

## **20. WOLF POINT. 15:00. Niedziela. Pokój Callaghana.**

*Callaghan przegląda zapiski mafiosów.*

## **21. WOLF POINT. 16:52. Niedziela. Pokój na parterze.**

*Przybywa Callaghan i zwraca się do policjantów.*

**CALLAGHAN** - Wyjść.

**CALLAGHAN** - Sprawdziłem wasze bajeczki w bardzo prosty sposób, skonfrontowałem je z tym, co śpiewali wasi goryle. Znowu chcieliście mnie wykiwać.

*Callaghan wyciąga papierosa, obszukuje marynarkę w poszukiwaniu zapalniczki. Sięga do wewnętrznej kieszeni, nagle wyszarpuje stamtąd pistolet i strzela do Buonafortuny i Gramscięgo. Zwraca się do Matty, celując weń lufę.*

**CALLAGHAN** - Wstać. Ciebie, za to, co napisałeś, załatwię tam, na górze. I to nie zwyczajnie. Wymyśliłem ci taki koniec, że zanim zdechniesz pożałujesz, że w ogóle przyszedłeś na świat. Sam, sobą podpalisz ten dom. Zobaczysz, jak smakuje gorąca benzyna. Ruszaj.

*Wychodzą z pokoju i kierują się na schody. Matta ma chwilę zawahania, ale czując z tyłu pistolet ponownie wspina się po schodach. Otwiera, drzwi do pokoju don Anzelma.*

**CALLAGHAN** - Don Vittorio to skała, nie człowiek.

**DON ANZELMO** - Taki ma być. Marco...

*Callaghan podchodzi i całuje rękę don Anzelma.*

**DON ANZELMO** - ... Dobrze się spisałeś.

*Teraz kolej na całusa od Matty.*

**DON ANZELMO** - Vittorio, nie miej mu tego za złe, bo wykonywał tylko mój rozkaz. Bał się, bali się nasi chłopcy, ale on, bał się najbardziej. Mówił, że mu serce krwawi, ale musiał tak robić, bo ja mu kazałem. Teraz inni będą robić to, co ty im każesz, choćbyś kazał robić rzecz najgorszą. Uściśnij go i powiedz, że nie masz doń żalu.

*Vittorio ściska Callaghana.*

**DON ANZELMO** - Zadzwoń, Andrea.

*Andrea wykreca numer telefonu. Podaje słuchawkę szefowi.*

**DON ANZELMO** - Tu Anzelmo. Czy to ty, Luigi? Słuchaj uważnie. Frank i Giuliano zdradzili... Już nie żyją. Od dziś będziecie słuchać Vittoria. Od dziś Vittorio jest cappo di tutti cappi. Zrozumiałeś? Zostań w zdrowiu.

*Oddaje słuchawkę Andrei.*

**DON ANZELMO** - Vittorio. Tu jest telefon, adres i nazwisko szefa zespołu egzekucyjnego, który będzie strzegł twego panowania. Zapamiętaj i spal. Luigi skontaktuje się z tobą w ciągu kilku dni. Tylko ty jeden i Andrea będziecie znali jego adres, chyba, że będziesz chciał wtajemniczyć jeszcze kogoś?

**VITTORIO MATTA** - Dziękuję, padre.

**DON ANZELMO** - Zostawcie mnie w spokoju. Chcę odpocząć.

## **22. WOLF POINT. 18:05. Prysznic.**

*Matta bierze prysznic, po chwili wychodzi, udając się do baru, gdzie trwa balanga z udziałem ludzi don Anzelma, wciąż jeszcze przebranymi za policjantów.*

**CALLAGHAN** - Don Vittorio, jeszcze raz proszę, niech pan przenocuje, jest pan zmęczony.

**VITTORIO MATTA** - Owszem, ale już zbyt długo nie było mnie w domu. Jutro poniedziałek, czekają mnie interesy. Mój chłopak jest wypoczęty, wałkonił się przez trzy doby. Pojedzie całą noc, a ja prześlę się w samochodzie... A co z chłopakami Franka i Giuliano?

**CALLAGHAN** - Już zakopani, musiałem ich rozwalić. Tak kazał padrone.

**VITTORIO MATTA** - Bardzo słusznie. Trzeba jak najszybciej przejąć ich sprawy we Frisco i w Bostonie i obsadzić ich następców.

**PERFIDIA**

- CALLAGHAN** - To już pan zrobi, don Vittorio. Pan jest szefem. Mam nadzieję, że naprawdę nie ma pan do mnie żalu, don Vittorio. Nie chciałem robić tej maskarady, ale padrone mnie zmusił i przekonał, że jest konieczna.
- VITTORIO MATTA** - Miał rację. Była konieczna. Nie martw się Marco, wszystko w porządku.

*Matta ponownie ściska Callaghana.*

- VITTORIO MATTA** - Dbaj dobrze o don Anzelma. Dla niego każdy dzień jest ważny. To wszystko, jego najbardziej musiało zmęczyć.
- CALLAGHAN** - Dbamy o niego dzień i noc, don Vittorio
- VITTORIO MATTA** - A... Zapomniałbym, zabraliście mi spluwę.
- CALLAGHAN** - Oczywiście, don Vittorio. Andrea, broń don Vittoria!
- ANDREA** - Tak jest.
- CALLAGHAN** - Jeszcze chwilę, don Vittorio.

*Andrea przekazuje pistolet Callaghanowi, a ten Matcie. Vittorio ogląda broń.*

- ANDREA** - Wszystko w porządku, don Vittorio?
- VITTORIO MATTA** - Tak, teraz tak.

*Matta strzela do Callaghana, potem do Andrei. Na odgłos strzałów na salę wpada Rocky, kierowca Vittoria i długą serią z karabinu maszynowego kosi obecnych na sali. Jego szef wolnym krokiem rusza po schodach na piętro. Niknie w pokoju don Anzelma, skąd po chwili słychać huk wystrzału. Powraca na parter, kierując się do wyjścia. W tym czasie Rocky dzwoni przez telefon.*

- ROCKY** - Tony... Tony!... Tak, to ja. Weź chłopców i przyjeżdżajcie do Montany. Wolf Point 361... Tak, jak najszybciej. Wyjeżdżajcie natychmiast. Jest tu nieporządek, trzeba posprzątać dom... Tak... Do zobaczenia.

*Odkłada słuchawkę, po czym rusza za szefem. Wsiadają do samochodu i odjeżdżają.*

## **23. WILLA MATTY. Dallas.**

*Podjeżdżają pod willę Vittoria.*

- ROCKY** - Urwaliśmy prawie półtorej godziny, szefie. Nie ma to jak nocna jazda.



- VITTORIO MATTA** - Odstaw wóz do garażu Rocky. Zameldujesz się rano.  
**ROCKY** - Tak jest, szefie.

*Wysiadają z samochodu. Matta rozgląda się wkoło zaniepokojony.*

- ROCKY** - Co jest, szefie?  
**VITTORIO MATTA** - Gdzie chłopcy od bramy?  
**ROCKY** - Pospali się sukinsyny, albo macają swoje dziwki.

*Plac zalewa ostre światło z reflektorów. Widać policjantów z bronią wcelowaną w przybyłych.*

- POLICJANT** - Stać! Rzuć broń, rzuć broń!  
**POLICJANT** - Rzuć broń!!

*Rocky zrywa karabin maszynowy z ramienia i próbuje strugać bohatera. Umiera trafiony strzałem policjantów wysypujących się z willi. Chmara glin dopada Mattę. Wyszarpują mu rewolwer z kieszeni. Oficer macha mafiosie pistoletem przed nosem.*

- OFICER** - Matta! Matta! W imieniu prawa aresztuję pana.  
Jednocześnie ostrzegam, że wszystko, co pan od tej pory powie, może być użyte przeciwko panu.
- VITTORIO MATTA** - Kim pan jest?
- OFICER** - Policjantem, nie widać tego?
- VITTORIO MATTA** - W ciemności nawet zwykła świnia może udawać dzika, a ja znam ludzi, którzy lubią się przebierać za policjantów.
- OFICER** - Powiem panu, gdzie to się panu śniło, panie Matta. W Wolf Point. Kilka godzin temu policja z Montany znalazła tam mafiosów, poprzebieranych za nieżywych policjantów. To jest moja legitymacja i odznaka służbowa i nakaz aresztowania. Tym razem, to nie jest bal maskowy panie Matta. To jest koniec! Policja była na miejscu w godzinę po pańskim odjeździe i w kwa-drans po otrzymaniu informacji.
- VITTORIO MATTA** - Od kogo, panie policjancie?
- OFICER** - Od anonimowego członka towarzystwa przyjaciół glin, panie bandyto. Jest pan aresztowany pod zarzutem wielokrotnego morderstwa z premedytacją. Zabrać go!

*Policja pakuje Mattę do radiowozu.*

- VITTORIO MATTA** - *Ktoś zdradził. Ktoś z ludzi, których Tony wysłał do Wolf Point, albo... Albo ktoś stamtąd. Nie sprawdziliśmy, z Rockym, czy wszyscy nie żyją. Ktoś z nich był tylko postrzelony, doczołgał się do telefonu i zadzwonił po gliny. Jeśli ten idiota Rocky, nie wyrwał sznura ze ściany... Gdybym wiedział, że wyrwał, wiedziałbym, że to ktoś z ludzi Toniego, ale Rocky już nie przemówi. Biedny dureń. Kimkolwiek jesteś, panie Judaszu, zapłacisz mi za to.*

## **24. POKÓJ PRZESŁUCHAŃ W SIEDZIBIE FEDERALNEGO BIURA ŚLEDZCZEGO. Dallas. 24 Maja 1970 roku.**

*Oficer przegląda nagłówki gazet.*

- OFICER** - „Aresztowanie szefa mafii i to z takimi dowodami obciążającymi jest największym sukcesem FBI odkąd nasi dziadkowie załatwili Al Capone”, panie Matta. Poranna prasa, panie cappo. Z moim zdjęciem i z peanami na cześć glin. Może mi pan gratulować.

*Oficer podsuwa gazetę Matcie.*

- VITTORIO MATTA** - Nie znam się na mafii, poruczniku, ale z książek i komiksów wiem, że Al Capone nie należał do mafii i FBI nigdy by go nie załatwiło, gdyby mafia nie wydała na niego wyroku. To mafia pomogła wam go załatwić.

- OFICER** - Zawsze znajduje się ktoś, kto nam pomaga, panie Matta, w tym nasza siła. Przeciwno panu, też znaleźli się pomocnicy, pomimo, że pan w odróżnieniu do Al Capone należy do mafii.

- VITTORIO MATTA** - Mówiłem już, nie mam nic wspólnego z mafią. Mówiłem też, że nie będę udzielał, żadnych odpowiedzi, dopóki nie zjawi się tu mój adwokat. Mam do tego konstytucyjne prawo.

- OFICER** - Wezwaliśmy już pańskiego adwokata, panie Matta. Jest w drodze, będzie tu za parę minut, ale to nie znaczy, że musimy milczeć. Rozmowa jest towarzyska, na razie. Nie protokołujemy jej

*Dzwoni telefon.*

- OFICER** - Dobra... Przekaż Bryanowi.
- OFICER** - Widziałem w swoim życiu wielu schwytych mafiosów, ale nie było wśród nich żadnego, który by się przyznał, że należy do mafii, nawet, jeśli obciążające go dowody były ewidentne. Opowiem panu anegdotę.

*Do pokoju wchodzi policjant.*

- OFICER** - Co jest?
- POLICJANT** - Mamy te zdjęcia z Nowego Jorku, z Bronxu.
- OFICER** - W porządku.

*Policjant wychodzi.*

- OFICER** - Kiedy wczorajszej nocy, policja z Montany weszła do willi w Wolf Point i zobaczyła tę jatkę, którą pan tam zostawił, jeden z leżących: Andrea Ricci, jeszcze oddychał. Próbowali coś z niego wydobyć, ale on, mimo że umierał, widział, że nie ma dla niego żadnej szansy, nie chciał sypać. Wie pan, jakie były jego ostatnie słowa? Spojrzał na oficera zdziwiony jak dziecko i zapytał: a co to jest mafia? To się nazywa omerta po sycylijsku, prawda? Omerta – obowiązek milczenia zawsze i wszędzie. Mógłbym panu tego wcale nie opowiadać, tylko blefować, że Ricci żyje i sypie, ale to niepotrzebne. Widzi pan tę zabawkę? Ona zupełnie wystarczy. Za chwilę poślę ją do laboratorium i tam skonfrontujemy z łuskami znalezionymi na podłodze w willi w Wolf Point i z kulami wydobytymi z ciał ofiar. Przyjmę zakład o każdą sumę, że te kule zostały wystrzelone przy użyciu tej broni. Tej, którą znaleźliśmy przy panu!
- POLICJANT** - Mecenas Anderson.
- OFICER** - Dawaj go.

## **25. MIESZKANIE ZASTĘPCY VITTORIA MATTY – DON ANTONIA ACCARDO. Dallas. 28 maja 1970 roku.**

*Przed lustrem siedzi kobieta i bawi się naszyjnikiem zdobiącym jej szyję. Podchodzi Tony. Zawija naszyjnik na palcu, groźnie spoglądając na dziewczynę.*

- TONY** - Co to jest?
- KOBIETA** - To od Harrego, do tego nowego numeru, który kazałeś napisać dla mnie. Nie wyglupiaj się. Brooks powiedział, że to jest niezłe na początek, ale na koniec Harry musi się lepiej postarać.
- TONY** - Chcesz powiedzieć, że Harry za mało włożył w to serca?

*Dziewczyna obejmuje Toniego.*

- KOBIETA** - Tony...Tony, ja naprawdę zaczynam się bać
- TONY** - Kochanie?
- KOBIETA** - Boję się. Boję się, że i ciebie też aresztują.
- TONY** - Spokojnie, Judy. Niczego przeciwko mnie nie mają. Nic nie mogą mi zrobić.
- JUDY** - Don Vittorio jest twoim szefem, tak? Tak? I teraz siedzi i czeka na wyrok? A jeżeli w czasie procesu wyjdzie coś przeciwko tobie...
- TONY** - Nie wyjdzie! Judy, nie zwracaj sobie tym głowy, nie jesteś od tego.
- JUDY** - A od czego łobuzie.

*Tony kładzie ją na łóżku. W trakcie igraszek dzwoni telefon. Accardo z ociąganiem sięga po słuchawkę.*

- TONY** - Tak, słucham. Tak, Accardo...Czekajcie na mnie, zaraz tam będę.

## **26. ROZMÓWNIKA ADWOKACKA W WIĘZIENIU STANOWYM. 2 czerwca 1970 roku.**

- VITTORIO MATTÀ** - Kiedy proces?
- MECENAS ANDERSON** - Jeszcze nie ustalono terminu, nie wcześniej jak za miesiąc, w tym tygodniu będę wiedział.
- VITTORIO MATTÀ** - Co mi grozi?

- MECENAS ANDERSON** - Sześć lat temu groziłaby panu śmierć, don Vittorio, no, ale odkąd zniesiono tę karę w naszym stanie, grozi panu tylko więzienie.
- VITTORIO MATTA** - Ile?
- MECENAS ANDERSON** - Dużo, don Vittorio, dwieście, trzysta lat, to zależy od sędziego. Oczywiście potem będziemy się starali o umorzenie części.
- VITTORIO MATTA** - Tak... Tak, że po wszystkich umorzeniach, złagodzeniach za dobre sprawowanie, amnestiach, zostanie mi jeszcze sześćdziesiąt lat odsiadki.
- MECENAS ANDERSON** - Właśnie dlatego, prawo przewiduje takie kilkusetletnie wyroki, żeby śmierć zastąpić faktycznym dożywociem.
- VITTORIO MATTA** - Nie widzi pan żadnej szansy?
- MECENAS ANDERSON** - Niestety, don Vittorio. Dowody przeciwko panu są nie do obalenia. Ja myślę o tej broni.
- VITTORIO MATTA** - To jest jedyny dowód.
- MECENAS ANDERSON** - Ale wystarczający.
- VITTORIO MATTA** - Czy Tony daje sobie radę, zastępując mnie?
- MECENAS ANDERSON** - Chyba tak, chociaż jest trochę niespokojny. Nic dziwnego w tej sytuacji. Z tego, co wiem, spełnia wszystkie pańskie polecenia. Otrzymuje pan przecież dokładne raporty, don Vittorio.
- VITTORIO MATTA** - Anderson, chcę się z nim widzieć.
- MECENAS ANDERSON** - Don Vittorio, nawet pańska żona nie otrzymała zezwolenia na widzenie, chociaż występowała o to dwukrotnie. Przed procesem, to jest niemożliwe.
- VITTORIO MATTA** - Anderson, czy wolno ci tu przyprowadzić swojego asystenta, jakiegoś aplikanta, kogoś w tym rodzaju?
- MECENAS ANDERSON** - Formalnie tak. To znaczy może z panem rozmawiać tylko jeden adwokat na raz, ale w wypadku, gdyby główny obrońca, na przykład zachorował...
- VITTORIO MATTA** - Wówczas może pan przysłać zastępcę, Anderson.
- MECENAS ANDERSON** - Tak.
- VITTORIO MATTA** - Tak...Pan bardzo źle wygląda, Anderson.

*Matta podnosi się i wychodzi.*

## **27. SALA BALETOWA PRYWATNEJ SZKOŁY im. WEBSTERA W DALLAS. 3 czerwca 1970 roku.**

- NAUCZYCIELKA** - Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, prawe ramię do przodu. I opuść. Raz, piętą bardziej wykręć i idź, prowadź. Lewy bok, przód. Słuchać piosenki. Raz, piętę podkręć. Lucy, Lucy Matta, do domu.

*Dziewczynkę odbiera Mildway.*

## **28. WIĘZIENIE STANOWE W DALLAS. 4 czerwca 1970 roku.**

- POLICJANT** - Mecenas Anderson przysłał swego zastępcę. Dziesięć minut.
- VITTORIO MATTA** - Witaj Tony.
- TONY** - Dzień dobry, don Vittorio, chociaż nie jest to dobry dzień.
- VITTORIO MATTA** - Miejmy nadzieję, że się to zmieni. Tony, słuchaj uważnie. Jedynym dowodem użytym przeciwko mnie jest broń użyta w Wolf Point. Ponieważ na kolbach są odciski palców moje i Rockyego, nie można jej podmienić, ale można wymienić same lufy i wówczas na procesie udowodni się, że badanie laboratoryjne zostało sfalszowane przez policję.
- TONY** - To będzie bardzo trudne, don Vittorio, to jest niemożliwe.
- VITTORIO MATTA** - Nie ma rzeczy niemożliwych, Tony. Wszystko jest kwestią ceny i sprytu. Zapłacisz każdą cenę, ale musisz to zrobić, w przeciwnym razie...Rozumiesz?
- TONY** - Tak, don Vittorio.
- VITTORIO MATTA** - Znalazłeś już zdrajcę?
- TONY** - Jeszcze nie, ale znajdę go don Vittorio. Robię, co mogę.
- VITTORIO MATTA** - Rób to szybciej, Tony. Musisz go znaleźć.
- TONY** - Znajdę go, don Vittorio, nie wywinie się nam.
- VITTORIO MATTA** - No. Dobrze, dobrze, dobrze. A co z interesami?
- TONY** - W porządku, ale...
- VITTORIO MATTA** - Co, ale?
- TONY** - Beada i Millisa rozwalono przedwczoraj, a...
- VITTORIO MATTA** - Kto to zrobił?

- TONY** - Nie wiem, don Vittorio, ktoś nas osacza. Robi się tak gorąco, że ludzie boją się wyjść do sracza, bez odbezpieczonej spluwy. Ciągle nie wiem, kto to robi.
- VITTORIO MATTA** - A może to ludzie Franka i Giuliano?
- TONY** - To jeszcze nie wszystko, don Vittorio.
- VITTORIO MATTA** - Co jeszcze?
- TONY** - Wczoraj...
- VITTORIO MATTA** - Co? Mów, Tony, mów.
- TONY** - Wczoraj...Porwano pańską córkę.

*Dłonie Matty przeszły przez kraty i chwyciły szyję Accarda.*

- VITTORIO MATTA** - Co?!!!
- VITTORIO MATTA** - Gdzie?
- TONY** - Ze szkoły, don Vittorio.
- VITTORIO MATTA** - Nie dałeś obstawy mojej rodzinie?
- TONY** - Nie dał pan takiego polecenia. Don Vittorio, nie widziałem.

*Vittorio puszcza sinego już Toniego.*

- VITTORIO MATTA** - *Ktoś próbuje wykończyć mnie ostatecznie, mnie i moich ludzi. Ktoś, dla kogo pracuje zdrajca. Ale przecież jest tajna grupa egzekucyjna, którą stworzył i z którą kontakt dał mi don Anzelmo. Jej szef, Luigi, miał dopilnować, aby nikt nie pozbawił mnie władzy. Trzeba powiadomić Luigiego. Zaraz, a jeśli Luigi dowiedział się, że to ja zabiłem Anzelma i teraz... Chryste, co robić? Trudno, nie mam wyjścia.*
- VITTORIO MATTA** - Tony. Don Anzelmo stworzył tajną policję naszej organizacji. Dowodzi nią Luigi Cariano. Mieszka w Nowym Jorku, ulica Lincoln 17. Tylko on może nam pomóc, pod warunkiem, że to nie on nas wykańcza. Sprawdź to. Jeżeli stwierdzisz, że wydał nam wojnę, załatw go i wszystkich jego ludzi. Jeżeli okaże się, że jest w porządku powiedz mu o naszych sprawach i niech się bierze do roboty. Szybko. Mojej żonie i synowi daj obstawę, Tony.
- TONY** - Już to zrobiłem, don Vittorio i ciągle szukam pańskiej córki. Zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, proszę mi wierzyć.

## 29. NOWY JORK. Ruiny starej fabryki w Bronxie. 11 czerwca 1970 roku.

*Samochód Accarda podjeżdża pod fabrykę. Wchodzą razem z gorylem do środka. Znienacka wyskakuje uzbrojony człowiek*

- FACET** - Stać!
- TONY** - Spokojnie, przyjacielu. Jestem Tony Accardo z Dallas od don Vittoria. Pan Cariano czeka na mnie.
- FACET** - W porządku. Odłóż broń.

*Accardo odkłada.*

- FACET** - Ty też.

*Goryl też odkłada.*

- FACET** - Schodami na lewo, później w prawo.

*Accardo rusza, a za nim jego goryl, co jest nie na rękę strażnikowi.*

- FACET** - Zostajesz ze mną.

*Goryl posłusznie przystaje, tymczasem Accardo jest już na schodach, za plecami strażnika.*

- TONY** - W lewo, czy w prawo?

- FACET** - W lewo.

*Strażnik spogląda na Toniego, na ułamek sekundy odwracając się od goryla, co było ostatnim głupstwem, jakie popełnił w życiu, gdyż goryl nie potrzebował więcej czasu i złamał mu kark. Accardo wchodzi na piętro, w hali siedzi Luigi. Obstawa szybko przeszukuje Toniego.*

- BODYGUARD** - W porządku, szefie. Mike się dobrze spisał. Czysty.
- TONY** - Jestem Tony Accardo z Dallas. Pan jest Luigi Cariano?
- LUIGI CARIANO** - Ja.
- TONY** - Chcę rozmawiać tylko z panem. Tak życzył sobie don Vittorio.



- LUIGI CARIANO** - Rozmawiać będziesz z nami wszystkimi, a potem cię zlikwidujemy, za zdradę. To ty wydałeś policji don Vittoria. Wysłałem don Vittoriowi informację o twojej zdradzie, ale widocznie dotarła do więzienia za późno, lub nie dotarła wcale. On dał ci mój adres, bo ci ufał, a ty przyjechałeś tu, żeby mnie wykończyć.
- TONY** - Przyjechałem tu, żeby się dogadać.
- LUIGI CARIANO** - Gadać będziemy tylko o jednym, o tym, kto za tobą stoi, bo ty sam jesteś zbyt głupi i tchórzliwy, by samemu podjąć taką grę. Ktoś ci to kazał zrobić, a ja jeszcze nie wiem, kto. Jeśli powiesz mi to od razu, umrzesz szybko i bez bólu. Im dłużej będziesz zaprzeczał, tym bardziej będziesz cierpiał. No, więc? Słucham!
- TONY** - Mogę zapalić?
- LUIGI CARIANO** - Zapal.

*Tony trzęsącymi się rękami wyciąga papierosa, nieporadnie usiłuje odpalić zapalniczkę. Po kilku nerwowych próbach wylatuje ona z rozdygotanych dłoni lądując na ziemi. Tony pytająco spogląda na Luigiego, powoli schyla się po zgubę. Nagle rzuca się na ziemię. Zza jego pleców wyskakuje goryl i sieje serią w Cariana i jego ludzi. Po wszystkim Accardo podnosi się z podłogi, otrzepuje płaszcz i już bez problemu zapala papierosa.*

## **30. CELA VITTORIA MATTY W WIĘZIENIU STANOWYM W DALLAS. 11 czerwca 1970 roku.**

*Odchyła się judasz w drzwiach celi, po chwili wpada do środka rozjuszony strażnik.*

- STRAŻNIK** - Wstać!! Regulamin zabrania siadać na łóżku, ile razy mam ci to powtarzać sukinsynu?! Chcesz iść do karceru?! Siadać można tylko na stołku!
- STRAŻNIK** - Mam panu przekazać wiadomość od Luigiego. Zdradził Accardo. Zrozumiano!!?

*Strażnik wychodzi.*

- VITTORIO MATTA** - *Na rany Chrystusa, a ja dałem temu bydlakowi twój adres. Luigi... Luigi, wybac mi. Nie chciałem twojej śmierci. Przysięgam ci, będziesz*

*pomszczony. I ty i Rocky i twoi ludzie. A jeśli mi się to nie uda, to znaczy, że Bóg nie istnieje.*

### **31. NOWY JORK. Ruiny starej fabryki w Bronxie. Noc z 11 na 12 czerwca 1970 roku.**

*Pod fabrykę podjeżdżają na sygnale radiowozy. Policjanci wpadają do hali, gdzie leżą zwłoki gangsterów. Jeden z policjantów pochyla się nad Luigim.*

- POLICJANT** - Tutaj, szefie! Tutaj. Jeszcze żyje sukinsyn. Podziurawiony jak sito.
- POLICJANT** - Dalej, chłopcy, dołem!
- INSPEKTOR** - Ale cię urządzili. Co się tutaj stało? Porachunki mafijne, co? Kto do ciebie strzelał?!
- LUIGI** - Strzelał? Pierwsze słyszę. Nic nie wiem, żeby ktoś do mnie strzelał.

*Luigi, świeć Panie nad jego duszą, przenosi się do lepszego świata.*

- INSPEKTOR** - Dalej, szukać.
- POLICJANT** - Jazda, chłopcy!

### **32. SĄD OKRĘGOWY W DALLAS. 29 czerwca 1970 roku.**

- SĘDZIA** - Sędziowie przysięgli, czy uzgodniliście swój werdykt?
- PRZYSIĘGLY** - Tak, Wysoki Sądzie.
- SĘDZIA** - Winny, czy niewinny?
- PRZYSIĘGLY** - Winny.
- SĘDZIA** - Biorąc za podstawę wymienione paragrafy, sąd skazuje Vittoria Matę, na łączną karę trzystu osiemdziesięciu lat więzienia... trzystu osiemdziesięciu lat więzienia... trzystu osiemdziesięciu lat więzienia... trzystu osiemdziesięciu lat więzienia...

### **33. WIĘZIENIE FOLSON W SAN QUENTIN. 30 czerwca 1970 roku.**

*Więzienna furgonetka dostarcza Mattę na teren więzienia. Wchodzą do środka, przez kolejne drzwi, aż do łaźni.*

**STRAŻNIK** - Rozbieraj się!! A teraz zostaniesz dokładnie przeszukany, jeżeli coś przy tobie znajdziemy, będziesz żałował, że nie jesteś w piekle. Jesteś tu, ponieważ jesteś nikim i takim pozostaniesz aż do dnia śmierci. Nie ma stąd ucieczki. Możesz stąd wyjść tylko nogami do przodu. Zapamiętaj to jak pacierz. Zezwala się: na jednego odwiedzającego w miesiącu, dwa prysznic w tygodniu, jedno strzyżenie w miesiącu i to są wszystkie przywileje, na jakie tu możesz liczyć.

*Drugi strażnik naciąga gumową rękawicę, zmusza Mattę do pochylecia się i przeszukuje odbyt.*

**STRAŻNIK** - A teraz pod prysznic.

## **34. SALA WIDZEŃ W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUENTIN. 10 lipca 1970 roku.**

*Strażnik wprowadza Mattę. Od gościa oddziela go siatka i szyba.*

**STRAŻNIK** - Dziesięć minut!

*Tony, bo to on odwiedza Vittoria, wpada w histeryczny śmiech, którego nie może opanować. Z nerwów drżą mu ręce.*

**TONY** - Przeg...Przegrałeś, Matta. Teraz ja jestem cappo di tutti cappi, ale jak widzisz, nie mogę dać ci ręki do ucałowania. Kim teraz jesteś? Jesteś zerem, Matta. Zero! Nie masz niczego i nikogo. Wykończyłem twoich ludzi, wykończyłem Luigiego. Nie masz niczego i nikogo, Matta. Widzisz, przyjacielu, ludzie dzielą się na cwaniaków mądrych i głupich, ostrożnych i nieostrożnych, szczęśliwych i pechowych. Ty jesteś z drugiej kategorii a ja z pierwszej. Nie powiem, żebyś był kompletnie złym w naszym fachu, byłeś nawet dobry, lecz na tym okrutnym świecie, być dobrym to mało. Wygrywają tylko bardzo dobrzy, ja do nich należę. Właściwie to nieprawda, że nic ci nie zostało. Zostały ci

**PERFIDIA**

dwie rzeczy: twoja rodzina i twoje konto w Szwajcarii. Proponuję uczciwy układ, podasz mi numer i hasło, a ja w zamian oszczędzę twoją żonę i dzieci. No jak? Decyduj się? Tak, czy nie? No!!

- VITTORIO MATTA** - Dobrze.  
**TONY** - Numer i hasło?  
**VITTORIO MATTA** - Oto ono, Tony.

*Matta przystawia do szyby kciuk.*

- TONY** - Kpisz sobie ze mnie?  
**VITTORIO MATTA** - Nie, Tony. To jest konto daktyloskopijne, wypłaca się z niego tylko właścicielowi, który osobiście zgłosi się do banku i złoży odcisk identyczny z odciskiem na karcie komputerowej konta.  
**TONY** - Więc jak jam...ja... jak mam to zrobić?!  
**VITTORIO MATTA** - Musisz mnie zabrać ze sobą do Szwajcarii.  
**TONY** - Zwariowałeś?!  
**VITTORIO MATTA** - Nie, Tony, ale nie mogę tego zmienić.  
**TONY** - A ja nie mogę uwolnić cię z więzienia!!!!  
**TONY** - Matta, zdaje się, że przestałeś kochać swoją rodzinę.  
**VITTORIO MATTA** - Nic na to nie mogę poradzić, Tony.  
**TONY** - Trudno, obejdziemy się bez twojej forsy. Masz trochę szczęścia w nieszczęściu, gnojku, bo zostałeś jeszcze raz wykiwany. Twoja rodzina od trzech godzin mieszka w kostnicy. Wybuch gazu w twojej willi. Ale to nie jest ostatnia wiadomość, którą mam dla ciebie przyjacielu. Chcę ci zakomunikować, że organizacja wydała jeszcze jeden wyrok śmierci - na ciebie. Jesteś ostatnim, przeznaczonym do odstrzału. Możesz ten wyrok wykonać sam, wówczas to będzie lekka śmierć. Taki mam gest. W takich pudełeczkach sprzedają w arabskich sklepach z pamiątkami zasuszone skorpiony, kupiłem tu w sześćdziesiątym siódmym, w Kairze, kiedy wysłałeś mnie po heroinę. To łagodna trucizna, umiera się zasypiając. Jak widzisz nie jestem okrutny. Połkniesz i będziesz miał z głowy cały ten zasrany świat, na którym cię wyrolowano. Jutro znajdziesz to pod siennikiem. Jeżeli nie połkniesz w ciągu tygodnia, załatwimy cię inaczej, ale to już będzie ciężka śmierć. Bywaj, przyjacielu.

- VITTORIO MATTA** - *Chrystusie, czy ciebie naprawdę nie ma? Czy nie ma kresu krzywdzie, jaką jeden zły człowiek czyni drugiemu i czy tak musi być nawet, jeśli ten drugi też jest zły? Ukaraleś mnie, bo zasłużyłem, ale co ci zrobiła ta kobieta i te małe dzieci, za co je ukarałeś. Jeśli istniejesz, to bądź przeklęty, za to, że jesteś taki niemiłosierny, taki słaby, że szatan rządzi ludźmi, nienawidzę cię.*

### **35. DZIEDZINIEC SPACEROWY WIĘZIENIA FOLSON W SAN QUENTIN. 10 lipca 1970 roku.**

*Więżniowie spacerują w kółku, na odgłos gwizdka, zaczynają się dziecięce harce, Grupa więźniów rzuca sobie czapkę, którą próbuje odzyskać jej właściciel. Matta trzyma się z boku, przy siatce. Rzucona przez jednego ze skazańców czapka spada koło nóg mafiosa.*

- WIĘZIEŃ** - Vittorio...Vittorio, pozdrowienia od Accarda.

*Więzień podnosząc nakrycie głowy, wbija Matcie ostre narzędzie w brzuch, po czym, jak gdyby nigdy nic wraca do przerwanej zabawy. Vittorio bezwładnie osuwa się po siatce i pada na ziemię.*

### **36. SZPITAL W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUENTIN. 29 lipca 1970 roku.**

*Matta leży na łóżku szpitalnym z kółkami. Jest w ciężkim stanie. Przewożący go pielęgniarze zatrzymują się przed zamkniętą kratą. Jeden z nich naciska dzwonek.*

- PIEŁĘGNIARZ** - Wyjść z tego to... fart człowieku. Ja takiego numeru nie widziałem jak robię w tym fachu dziesięć lat. Zadzwoń jeszcze. *(do pielęgniarza)*
- VITTORIO MATTA** - Gdzie mnie przenosicie?
- PIEŁĘGNIARZ** - A co, całe życie chciałbyś leżeć na pooperacyjnej? Do separatki, pan doktor kazał.
- VITTORIO MATTA** - Dlaczego, do separatki.

**PIEŁĘGNIARZ**

- Bo na ogólnej, któryś z sąsiadów mógłby cię zaprawić widelcem i co? (Zadzwoń jeszcze.) Musiałeś zdrowo podpaść jakiejś grubszej rybie, ale to nie mój biznes.

*Vittorio leży już w separacie.***VITTORIO MATTA**

- *Może dlatego, żeby facet z sąsiedniego łóżka nie wpakował mi po obiedzie widelca, albo łyżki w brzuch, a może, dlatego, żeby nikt nie widział, co ze mną zrobią. Accardo nie zrezygnuje, nie udało się nożem, wymyśli coś innego. Ale to nie Accardo wydał na mnie wyrok, Luigi miał rację, to tylko ręka, oprawca służący komuś, gówniarz, wystawiony na front. Są już blisko celu. Tak blisko, że bliżej nie trzeba. W tej separacie można zrobić ze mną wszystko. Poderżnąć gardło, podać witaminę, po której już się nie obudzę.*

## **37. SZPITAL W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUE- NTIN. 4 sierpnia 1970 roku.**

*Do separatki wchodzi doktor.***LEKARZ**

- Jak się pan czuje?

**VITTORIO MATTA**

- Nieźle, doktorze.

**LEKARZ**

- Zrobię panu zastrzyk, po którym poczuje się pan jeszcze lepiej.

**VITTORIO MATTA**

- Zastrzyki robią tu pielęgniarki, dlaczego dzisiaj pan?

**LEKARZ**

- Chłopcy są zajęci, a ja robię to nie gorzej od nich.

**VITTORIO MATTA**

- Chwileczkę, doktorze. Jeśli to jest trucizna...

**LEKARZ**

- Pan oszalał?! To jest środek wzmacniający, po którym pański organizm szybciej się zregeneruje.

**VITTORIO MATTA**

- *Może, ale nie śpieszy się pan tak bardzo, żeby nie móc mnie wysłuchać przez minutę, a potem będzie pan mógł zrobić ten zastrzyk, a ja nie będę krzyczał i nie będę wzywał pomocy. Tylko minutę, dla pańskiego dobra, bo jeśli to jest trucizna, to wstrzykując ją mnie, popelni pan klasyczne samobójstwo, doktorze.*

**LEKARZ**

- To nonsens, pan bredzi.

**VITTORIO MATTA**

- A może nie. Jeśli pan mnie zabije, pana zabije ten, kto panu zlecił wykończenie mnie. Zbyt długo byłem szefem mafii, żeby nie wiedzieć, że mafia zawsze wykańcza narzędzie swoich zbrodni. Pieniądze... Nie wiem, ile panu zapłacono, ale wiem, że mogę panu dać dużo więcej. Proponuję następujący układ. Wstrzyknie mi pan jakiś środek, nie wiem jaki, pan się zna na tym, który spowoduje pozorną śmierć, coś w rodzaju letargu, tak, żeby pan mógł upozorować mój pogrzeb. Potem wyjedziemy razem do Szwajcarii, wypłacę panu sumę i będzie pan mógł żyć w Australii, albo w Ameryce Południowej, robiąc tylko jedno, wydając pieniądze. Gwarancją, że pana nie wykiwam, albo nie zlikwiduję w Europie, będzie list z opisem naszej transakcji, który zostawi pan u notariusza, z prośbą o doręczenie go i mafii i policji, gdyby pan nie przysłał w ciągu miesiąca umówionego sygnału, oznaczającego zniszczenie listu. Doktorze, chcę resztę życia przeżyć w spokoju. Ręczę panu, że dotrzymam umowy, a poza tym, jak panu powiedziałem, wbijając mi igłę z trucizną, wbija ją pan sobie. Jeżeli to, co powiedziałem jest bez sensu, to niech pan wstrzyknie mi to, co pan przyniósł.

### **38. MIESZKANIE ANTONIA ACCARDO W DAL-LAS. 5 sierpnia 1970 roku.**

*Dzwoni telefon, odbiera go Tony. W tle Judy poprawia makijaż przy lustrze.*

**TONY**

- Słucham, Accardo. Tak, proszę pana. Tak, to jasne. Nie, no proszę się nie obawiać, wszystko będzie w porządku. Proszę? Przepraszam. Judy, wyjdź. Przepraszam, słucham. To był przypadek, jaki się zdarza raz na tysiąc. Nie, no miał piekielne szczęście. Proszę mi wierzyć, nikt, nie trafia głównej wygranej dwa razy pod rząd. Słucham? No tym razem...Proszę? Tak. Tak, mam codziennie raporty ze szpitala w Folsom. Teraz wszystko jest już dograne. Tak. Aha, proszę pana, czy...?

*Pan nie zechciał poczekać i rzucił słuchawkę zanim Accardo wyartykułował pytanie.*

**39. SZPITAL W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUE-  
NTIN. 6 sierpnia 1970 roku.**

- LEKARZ** - Załatwiłem wszystko, zarezerwowałem nam bilety, mam faceta, który zrobi nam nowe zdjęcia i dokumenty. I nie zapomniałem o notariuszu.
- VITTORIO MATTA** - *Tylko Bóg i diabeł widzą, co ten sukinsyn mi wstrzykuje. Robi to dla mnie, lub robi to dla Accardo i zasną, nie wiedząc, czy kiedykolwiek się obudzę, ale nie mogę już nic zrobić, nic więcej, nic. Zrobiłem wszystko, na co mnie było stać, wszystko. Najświętsza Matko, Panno z Corleone, wstaw się za mną, pomóż mi, uchron. Tym razem nie przed śmiercią, jak tam, na dziedzińcu, ale uchron mnie przed gniewem twego syna, bo obraziłem Go w gniewie i w rozpaczy. Matko Przenajświętsza...*

**PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ****40. MIASTECZKO VILLENEUVE-SUR-YONNE WE  
FRANCJI. 18 Maja 1975 roku. Noc.**

*Pod zapuszczony domek, podjeżdża limuzyna. Wysiada z niej Accardo i Mildway. Wchodzą po omacku, do ciemnego pokoju. Mildway zapala nocną lampkę. Rozsiadają się wygodnie w fotelach naprzeciw drzemiącego właściciela posesji. W zegarku na stoliku, włącza się melodia, „Do Elizy” Beethovena. Rozbudza to śpiącego. Spogląda na przybyłych, po czym spokojnie nakłada na oko zegarmistrzowską lupę i bada trzewia chronometru.*

- MILDWAY** - Chcieliśmy porozmawiać.
- ZEGARMISTRZ** - No?
- MILDWAY** - Chcemy porozmawiać.
- ZEGARMISTRZ** - O tej porze?
- TONY** - Właśnie.
- ZEGARMISTRZ** - Kim panowie jesteście?



- MILDWAY** - Jesteś najlepszym pokerzystą świata. Szukaliśmy ciebie dość długo. Niełatwo znaleźć bankruta giełdowego, który wycofał się z czynnego życia i ukrył w takiej dziurze.
- ZEGARMISTRZ** - Nie jestem najlepszym pokerzystą świata, proszę panów. Ale pan mi nie odpowiedział na moje pytanie. Kim panowie jesteście?
- TONY** - Jesteśmy przedstawicielami przedsiębiorstwa nastawionego na maksymalny zysk, przy minimalnym nakładzie pracy, proszę pana.
- ZEGARMISTRZ** - Co to za przedsiębiorstwo? Co ja mam z tym wspólnego?
- TONY** - Nazwa nic panu nie powie, zresztą ci, którzy mało wiedzą, lepiej na tym wychodzą.
- ZEGARMISTRZ** - Czego panowie chcecie ode mnie, no?! No, no?!
- TONY** - Żeby pan wrócił do swego fachu.
- ZEGARMISTRZ** - Na giełdzie już jestem spalony. Nie ma tam dla mnie powrotu.
- TONY** - Myślmy o fachu, który jest pańskim powołaniem.
- ZEGARMISTRZ** - Nie rozumiem?
- TONY** - Chcemy, żeby pan zagrał w pokera, o duże pieniądze.
- ZEGARMISTRZ** - Żeby grać o duże pieniądze, trzeba mieć duże pieniądze.
- TONY** - Właśnie dlatego tu jesteśmy, pieniądze otrzyma pan od nas.
- ZEGARMISTRZ** - A jeśli przegram te pieniądze?
- MILDWAY** - To spotka go duża przykrość. Utopi się podczas kąpieli w wannie albo spadnie ze schodów i złamie sobie kręgosłup, ale pan nie przegra messer Ricardo, jak dobrze wiemy, pan nie umie przegrywać w pokera.

*Messer Ricardo szuka papierosów, w końcu grzebie w popielniczce. Mildway podsuwa mu swoją paczkę, ale pokerzysta ignoruje ją i wyciąga sobie niedopalek.*

- MESSER RICARDO** - Dawno nie grałem.
- MILDWAY** - Pokera nie zapomina się, nawet po dziesięciu latach. No, messer Ricardo?
- MESSER RICARDO** - A jeśli się nie zgodzę?
- TONY** - Zbyt dużo zainwestowaliśmy już w ten interes.
- MESSER RICARDO** - Ja panów o to nie prosiłem, nie możecie mnie zmusić.
- TONY** - Możemy.
- MESSER RICARDO** - Z kim będę grał?

**PERFIDIA**

TONY

- Z dwoma Amerykanami i Kanadyjczykiem. Wszyscy trzej, to miliarderzy i zapaleni pokerzyści. Są umówieni na wielką grę z greckim armatorem, Kristophorosem, w jednym z hoteli w Las Vegas. To ma być gra stulecia, a Kristophorosem będzie pan.

MESSER RICARDO

- Aha.

MILDWAY

- Niech pan się nie obawia, ci panowie nie znają Kristophorosa. Gra odbędzie się w systemie europejskim, ponieważ pan, panie Kristophoros i ten drugi, Lefleur z Kanady, nie lubicie amerykańskiego systemu gry.

MESSER RICARDO

- A jeżeli karty będzie rozdawał zawodowy krupier, albo ta cholerna maszynka do rozdawania...

MILDWAY

- To nie wchodzi w rachubę. Panowie jesteście zwolennikami tradycyjnego kunsztu, z własnoręcznym rozdawaniem. Poza wami będzie w gabinecie gry tylko dyrektor hotelu.

MESSER RICARDO

- A co ja? Co ja będę miał z wygranych?

TONY

- Jeden procent. Reszta należy do nas. Przy sumkach, które się znajdują na stole, ten jeden procent może się okazać fortuną.

MESSER RICARDO

- A jeśli Kristophoros?...

TONY

- Powiedzieliśmy już panu, żeby pan nie zawracał sobie głowy tym, co należy do nas.

MILDWAY

- Otóż Kristophoros niedawno ciężko zaniemógł, w czym dopomógł mu jego własny kucharz, nasz przyjaciel. Rodzina stara się utrzymać chorobę w tajemnicy, bo nie chce, żeby akcje jego spadły na giełdzie. Nikt tak dobrze jak pan nie wie, jak kapryśna bywa giełda.

TONY

- Tak więc, drogi panie, uważamy, że doszliśmy do porozumienia. Za tydzień musi być pan gotowy do gry, Kristophoros.

*Gangsterzy wychodzą. Messer Ricardo sięga po starą talię kart i ściska ją w ręce.*

## **41. GABINET DYREKTORA HOTELU „VIRGINIA” W LAS VEGAS. 28 czerwca 1975 roku.**

TONY

- To jest wadium, zabezpieczające warunki gry, reszta po skończonej grze.

DYREKTOR

- Rozumiem, że pan jest pełnomocnikiem pana Kristophorosa

- TONY** - Poczytuję sobie za zaszczyt.
- DYREKTOR** - Napije się pan czegoś?
- TONY** - Dziękuję. Przejdźmy do rzeczy, czas mnie pogania.
- DYREKTOR** - O, tu w Stanach, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Myślałem, że telefonicznie uzgodniliśmy już wszystko, ale, może macie panowie jeszcze jakieś pytania, co do zasad.
- TONY** - Nie, wszystko jest jasne.
- DYREKTOR** - Cieszę się.

*Dyrektor odbiera słuchawkę telefonu, który właśnie zadzwonił.*

- DYREKTOR** - Słucham. Tak.

*Odkłada słuchawkę.*

- DYREKTOR** - Gra rozpocznie się pojutrze o dziewiątej rano, czas nieograniczony, oczywiście przy jednomyślności partnerów. Kuchnia hotelowa jest do panów dyspozycji już od dzisiaj, na rachunek firmy. Tu są klucze do apartamentu pana Kristophorosa. W czasie gry, winda będzie nieczynna a piętro niedostępne dla intruzów. Tylko moi strażnicy będą mogli mieć broń. Każdy z panów zostanie, przepraszam, obszukany, nawet gracze. Proszę mi wybaczyć i proszę w moim imieniu przeprosić pana Kristophorosa, ale są to niezbędne środki ostrożności, a ja odpowiadam za bezpieczeństwo was wszystkich, panowie.
- TONY** - To oczywiste, dyrektorze. Pan Kristophoros oprócz kart i akcji giełdowych nie używa innej broni, ja natomiast nie bardzo rozróżniam kolby od lufy. Jedyna broń służy mi w starciach z damami, ale mam nadzieję, że tej mi panowie nie odbierzecie. Aha, chcę wierzyć, że prasa...
- DYREKTOR** - W porządku, będziemy mieli spokój. Gwarantowałem panom pełną dyskrecję, a mam w zwyczaju dotrzymywać słowa.
- TONY** - Dziękuję, dyrektorze.

**42. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. 29 czerwca 1975 roku.**

*Tony i messer Ricardo wchodzą po schodach hotelu.*

**TONY** - W pańskim apartamencie wolno przebywać tylko dwóm osobom. Każdy z graczy może mieć ze sobą jednego przyjaciela, który będzie dla niego zamawiał drinki, oraz posiłki w czasie przerw w grze, ewentualnie, kontaktował się z bankiem. Pańskim przyjacielem będę ja, Kristophoros. Zgodnie z ustaleniami, wszyscy gracze rozpoczną grę, dysponując sztonami za trzy miliony dolarów. Dalsze sztony będzie można nabywać za czekiem na National Bank, z którym dyrektor hotelu będzie miał bezpośredni kontakt telefoniczny. Pańscy partnerzy mają konta o wielu zerach, ich sprawa ile wyłożą na stół, im więcej, tym lepiej, dla nas. Pan natomiast musi grać za te trzy miliony i nie wolno ich panu przegrać.

**KRISTOPHOROS** - Straszne pieniądze.

**TONY** - Minimalna stawka wynosi tysiąc dolarów, dodając do tego trzykrotne przebicie puli. Nie żartowałem, Kristophoros, mówiąc, że to gra stulecia.

**KRISTOPHOROS** - Nigdy nie grałem o takie pieniądze.

**TONY** - Kristophoros, nikt na świecie jeszcze nie grał o takie pieniądze. Pańscy partnerzy również.

**KRISTOPHOROS** - Przegrać takie pieniądze.

**TONY** - To oni przegrają te pieniądze, nie pan. Czy pan kiedykolwiek przegrał w pokera? Kristophoros, to się jeszcze panu nie zdarzyło. Niech pan nawet nie myśli o przegranej, byłoby mi bardzo przykro zabić pana. Aha, tu będzie siedział mój człowiek, który mógłby się bardzo zdenerwować, widząc pana opuszczającego hotel beze mnie.

*Accardo wskazuje na pusty fotel na półpiętrze. Ruszają wyżej, gdzie zagradza im drogę strażnik.*

**STRAŻNIK** - Bardzo panów przepraszam, ale muszę spełnić swój obowiązek.

**TONY** - Proszę bardzo.

*Strażnik szybko obszukuje obu mężczyzn, ale bez rezultatu.*

**STRAŻNIK** - Jeszcze raz przepraszam, mogą panowie przejść.

*Po wejściu do apartamentu, Kristophoros opada zasępiiony na fotel, nie zdjawszy nawet płaszcza i kapelusza.*

- TONY** - Zostawiam teraz pana samego. Do jutra.  
**KRISTOPHOROS** - Do widzenia panu.

*Tony spogląda na Kristophorosa i rezygnuje z wyjścia, kuca obok fotela.*

- TONY** - No, Kristophoros, niech pan wreszcie przestanie zachowywać się jak zastraszony kundel. Jest pan armatorem, bogatym, bezczelnym bydlakiem z Grecji! Tak ma pan się prezentować! Tam ma pan lustro, niech pan do jutra poćwicz wielkiego Kristophorosa. Do zobaczenia jutro.

*Tuż po wyjściu Accarda rozbrzmiewa dzwonek telefonu. Dzwoni długo, zanim wreszcie Kristophoros niepewnie podnosi słuchawkę.*

- KRISTOPHOROS** - Słucham. Tak. Tak, rozumiem

### **43. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Gabinet gry. 30 czerwca 1975 roku. 9:40.**

*Czterej gracze przy stole i dyrektor snujący się po gabinecie. Wszyscy w eleganckich garniturach, pod krawatami. Jeden z nich właśnie rozdał karty.*

- LEFLEUR** - Co z otwarciem, panie Braddock?  
**BRADDOCK** - Nie mam.  
**COOLMAN** - A ja mam, otwieram za dziesięć tysięcy.  
**KRISTOPHOROS** - Jestem i dokładam jeszcze dziesięć tysięcy.  
**LEFLEUR** - I ja jestem.  
**BRADDOCK** - Jestem.  
**COOLMAN** - Mmm... Braddock, liczy pan na trójkę dam. Radzę uważać, bo dupeczki są zdradliwe.  
**BRADDOCK** - Jeśli zafunduję sobie cztery, to one wyp... wykończą pańskie króliki mister Coolman. Wchodzi pan, czy nie?

- COOLMAN** - Jasne, że wchodzę, pański brak otwarcia, napawa mnie optymizmem. Lefleur, proszę sprzedawać karty.
- LEFLEUR** - Ile?
- BRADDOCK** - Dwie.
- COOLMAN** - Ha, ha, ha. Podpieramy się? Liczymy na fulika, tak? Podpieramy się. Ja normalnie, skromnie, trzy.
- BRADDOCK** - Tak się pan przestraszył moich pańienek, Coolman, że pozbył się pan tej trójki króli, która dawała panu otwarcie, co?
- LEFLEUR** - Pan ile, Kristophoros?
- KRISTOPHOROS** - Jedną proszę.

#### **44. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa. 30 czerwca 1975 roku. 14:30.**

*Accardo odbiera telefon.*

- TONY** - Accardo, słucham. Tak, proszę pana. Rozumiem. Grają już piątą godzinę. Nie wiem jak w tej chwili, ale do obiadu był na plusie. No, nawet nieźle, około siedmuset tysięcy. Proszę? Braddock... Braddock!... Tak, Braddock wygrał półtora miliona. Kanadyjczyk jest najbardziej do tyłu, przegrał trzy miliony. Tak, ale wcale nie stracił humoru. Tak? To oczywiste, teraz powinno iść ostrzej, zresztą Lafleur zaproponował podwyższenie stawki. Chce się odegrać. Nie wiem, nie wiem proszę pana, mieli zdecydować po przerwie. Tak. To już zależy od niego, on sam wybierze moment. No, myślę, że jeszcze kilka godzin da im się pobawić. Tak, oczywiście, oczywiście, proszę pana.

#### **45. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Gabinet gry. 30 czerwca 1975 roku. 17:10.**

*Atmosfera stała się gorętsza. Gracze pozbyli się marynarek i poluzowali krawaty. Wyjątkiem jest Kristophoros, który sprawia wrażenie, jakby dopiero dosiadł się do stołu, zapięty na ostatni guzik.*

**BRADDOCK** - Przebijam.

*Wypisuje czek i kładzie na stół.*

**BRADDOCK** - Trzy miliony.

**COOLMAN** - Jestem. Pan blefuje, panie Braddock i te kilka milionów dolców jest warte udowodnienia tego panu. Sprawdzam.

**LEFLEUR** - Zdaje się, że doszło do wielkiego spotkania, o którym marzyliśmy. Panowie, nie śmiałybym się, gdybyśmy wszyscy mieli po karcie.

**COOLMAN** - Lefleur, pan blefuje przez rękę. Teraz kolej na pana Kristophorosa, a dopiero potem będzie nam pan opowiadał o swojej karcie.

**KRISTOPHOROS** - Niestety, panowie, nie mam przy sobie książeczki czekowej. Nie przypuszczałem, że dojdzie do takiej licytacji, ale mój pełnomocnik załatwi to w kwadrans, jeśli panowie zgodzicie się na przerwę.

**DYREKTOR** - Tylko w przypadku, jeśli partnerzy wyrażą jednomyślnie zgodę, panie Kristophoros.

**LEFLEUR** - Ja się zgadzam, szkoda byłoby stracić te greckie pieniądze.

**COOLMAN** - Aj, pan jest niepoprawny Lafleur, starszy pan tak, że zaczynam wierzyć, że ma pan pięć asów ha, ha, ha, ha. Proszę bardzo, panie Kristophoros, pojechaliśmy na taki szczyt, że to już chyba koniec zabawy. Przed takim finałem, o którym krążyć będą legendy jeszcze w następnym stuleciu, warto jest odetchnąć. Poczekamy na pana, no chyba, chyba, że Braddock się nie zgodzi. No jak? No? No?

**BRADDOCK** - Zgadzam się.

**COOLMAN** - No, w porządku.

**DYREKTOR** - Pańskie karty zostaną opieczętowane, aż do pańskiego powrotu. Może pan wyjść, panie Kristophoros.

*Karty lądują w kopercie, która zostaje szczelnie zaklejona.*

**DYREKTOR** - Napijcie się panowie czegoś?

**COOLMAN** - Bardzo chętnie.

**LEFLEUR** - Proszę.

**46. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa.**

- TONY** - Co się stało? Przerwa miała być dopiero o szóstej.
- KRISTOPHOROS** - Zabrakło mi pieniędzy.
- TONY** - Przegrałeś trzy miliony dolarów?
- KRISTOPHOROS** - Włożyłem je do rozgrywki.
- TONY** - Ha, ha, ha, ha. Przewidzieliśmy to, panie Kristophoros. Ile potrzebujesz, sto tysięcy, dwieście, trzysta?
- KRISTOPHOROS** - Potrzebuję kilku milionów, proszę pana.
- TONY** - Chyba zwariowałeś, ty stary durniu.
- KRISTOPHOROS** - Na stole jest w tej chwili osiemnaście milionów dolarów, w tym pańskie trzy, które zostaną stracone, jeśli spaszuję. Żeby grać dalej, muszę mieć, co najmniej trzy miliony, tyle potrzeba, żeby sprawdzić Braddocka, ale jeśli Lafleur przebiję, potrzeba będzie więcej.
- TONY** - A jeśli przegrasz?
- KRISTOPHOROS** - Nikt nie może ze mną wygrać proszę pana, mam wielkiego, pikowego pokera, od asa do dziesiątki.
- TONY** - Jezus, Maria. Masz naprawdę wielkiego, pikowego pokera?
- KRISTOPHOROS** - Tak, proszę pana.
- TONY** - A co mają oni?
- KRISTOPHOROS** - Braddock ma fulla maxa, Lafleur kolor, a Coolman karekę.
- TONY** - Jesteś geniuszem, jesteś geniuszem!

*Accardo sięga po słuchawkę.*

- TONY** - Odwróć się.

*Kristophoros odwraca się do ściany, a Accardo wykręca numer.*

- TONY** - Halo, tak, to ja. Na stole osiemnaście milionów dolarów. On ma wielkiego, pikowego pokera. Nie wiem ile, chcę, żeby pan zdecydował, ale wiem, że wszystko, co już jest i co się pojawi na stole, jest nasze. Tak, jasne. Dobrze, proszę pana. Słucham? Tak, rozumiem. Nie ma obawy, ta karta nie przegrywa. Dobrze, dziękuję.



- TONY** - Z taką kartą, nie wystarczy tylko sprawdzić, panie Kristophoros. Należy przebić!!
- KRISTOPHOROS** - Też tak myślę, proszę pana, ale należy to zrobić ostrożnie, żeby ich nie przestraszyć. Żeby nie tylko Lafleur sprawdził, ale, żeby oni wszyscy oni weszli.
- TONY** - Ile?!
- KRISTOPHOROS** - Myślę, że... Myślę, że dwa miliony będzie w sam raz.
- TONY** - Więc razem potrzebujesz pięciu milionów, tak?
- KRISTOPHOROS** - Tak, proszę pana.
- TONY** - Grając o te pieniądze, grasz o swoje życie i o moje przyjacielu. Jeśli się stanie coś nie tak, to cię zabiję. Sam też będę musiał się zabić, żeby nie umierać z ręki tego, do kogo należy ta forsa.
- KRISTOPHOROS** - A co się może stać, proszę pana? Wielki pik nie przegrywa.
- TONY** - Pula z trzydziestu milionów dolarów. Zgarnij to!
- KRISTOPHOROS** - Dobrze, proszę pana.

*Kristophoros wychodzi. Po chwili wybiega też Accardo, kieruje się na półpiętro do swojego goryla.*

- TONY** - Siedź! Teraz uważaj, grają końcówkę, o potworne pieniądze, on nie może wyjść z hotelu
- GORYL** - Spokojnie, szefie. Nawet mysz się nie prześlizgnie.
- TONY** - No!

*Accardo wraca do apartamentu, nerwowo kręci się po pokoju, włącza telewizor.*

- DZIENNIKARZ** - *Na wczorajszym spotkaniu z prasą, senator Holtz, przewodniczący komisji do zwalczania zorganizowanej przestępczości, powiedział:*
- SENATOR HOLTZ** - *Jest rzeczą niedopuszczalną, aby ten stan trwał dalej. Obecna administracja, mimo krzykliwych obietnic wyborczych, nie robi nic w celu powstrzymania wzrostu przestępczości, a o całkowitym zlikwidowaniu tejże, chyba nawet nie myśli. Mafia stała się w naszym kraju państwem w państwie. Jest to gangrena, ogarniająca coraz większe obszary, we wszystkich sektorach działalności dochodowej. W biznesie, w sektorze rozrywki, nie mówię już o narkotykach, przemyśle porno, czy prostytucji. Jak długo, społeczeństwo, które daje?..*

*Pan senator stracił głos, wyłączony przez Toniego. Ciszę przerwał hałas na górze, słychać wyraźnie odgłosy śmiechu i ożywienia. Mafioso podrywa się i biegnie piętro wyżej.*

## **47. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Gabinet gry. 1 lipca 1975 roku. 1:10.**

*W gabinecie totalne rozluźnienie, gracze komentują zakończoną już grę*

- LEFLEUR - Trzy miliony w puli, a ja z trójką waletów, proszę pana.  
 DYREKTOR - Gra stulecia, panowie.  
 TONY - Gra skończona?  
 DYREKTOR - Pan Kristophoros przebił bardzo wysoko.  
 TONY - Ha, ha, ha, wygrał. Zgarnął taką forszę?!  
 DYREKTOR - Trudno wygrać taką grę, z parą dziewiątek.  
 TONY - Przegrał?  
 DYREKTOR - Miał najslabsze karty.  
 TONY - Gdzie on jest?!  
 DYREKTOR - Właśnie zszedł na dół zaczerpnąć świeżego powietrza.

*Accardo pędzi na półpiętro do swojej obstawy.*

- TONY - Skurwysynu ty, dla...?!!!

*Chwyta za klapy marynarki śpiącego goryla i podnosi go z fotela. Po chwili uświadamia sobie, że jego goryl zasnął na wieki, więc komentarze na temat jego mamy są bez sensu. Puszczając marynarkę, a bezwładne ciało z hukiem opada na podłogę.*

- TONY - Dlaczego pozwoliłeś mu wyjść?

*Accardo wraca do apartamentu.*

## **48. HOTEL „VIRGINIA” w Las Vegas. Apartament Kristophorosa. 1 lipca 1975 roku. 3:15.**

*Accardo miota się po pokoju, jak ranny zwierz w potrzasku. Jego wzrok pada na stół. Leży tam arabskie pudełko z zasuszonym skorpionem, identyczne do tego, które podarował Matcie w więzieniu. Rozgląda się podejrzliwie po apartamencie, ale jedyną osobą w polu widzenia jest jego odbicie w lustrze. Z grymasem strachu i wściekłości na twarzy wbija pięść w tafelę szkła, a jak wiadomo, rozbite lustro, to nieszczęście.*

## **49. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa. 1 lipca 1975 roku. 10:15.**

*Na podłodze leżą rozrzucone zwłoki Accarda. Z odłożonej słuchawki aparatu telefonicznego płynie głos.*

**GŁOS** - Tony? Tony?! Odezwij się, Tony! Tony, co się stało? Tony! Tony!!

*Matta podnosi słuchawkę.*

**VITTORIO MATTA** - Teraz twoja kolej, przyjacielu.

## **50. NOWY JORK. Port. 5 września 1975 roku.**

*Matta płynie barką, dobija do przystani, gdzie czeka na niego goryl. Razem udają się do piwnicy, gdzie jest jakaś maszynownia. Vittorio przedziera się przez płataninę rur. Dociera do pomieszczenia. Tam spotyka Kristophorosa, ubranego w typowe, marynarskie lachy. Podaje mu kopertę.*

**VITTORIO MATTA** - Pańskie honorarium.

**KRISTOPHOROS** - Zgadza się. Tylko, że to jałmużna, w porównaniu z procentami od wygranej, jakie obiecywał mi Accardo. Gdyby nie pański telefon, gdybym go nie zdradził dla pana, byłbym dzisiaj bardzo bogaty.

**VITTORIO MATTA** - Nieprawda, Duval, byłby pan dzisiaj bardzo nieżywy.

**KRISTOPHOROS / DUVAL** - Ameryka, to rzeczywiście kraj cudów.

**VITTORIO MATTA** - Teraz nie może pan opuścić tej krainy cudów. Policja jest zorientowana, że udawał pan Kristophorosa, rozesłano pański portret pamięciowy. Widziałem go w gazecie.

**DUVAL** - Udany?

- VITTORIO MATTA** - Bardzo. Rozpoznano by pana na każdym lotnisku.
- DUVAL** - Chyba, żebym dostał od pana nowy paszport.
- VITTORIO MATTA** - Musi pan przeczekać.
- DUVAL** - Gdzie?! Tutaj?!
- VITTORIO MATTA** - W miejscu, które dla pana przygotowałem.
- DUVAL** - Tam mnie zabijecie, panowie, czy po drodze?
- VITTORIO MATTA** - Dlaczego pan tak przypuszcza, Duval?
- DUVAL** - Bo tacy jak wy, likwidują świadków swoich zbrodni. Nie myślę się, prawda?
- VITTORIO MATTA** - Nie, nie myli się pan.
- VITTORIO MATTA** - Nie chcę pana zabić.
- DUVAL** - Dlaczego?
- VITTORIO MATTA** - Pan mi pomógł.
- DUVAL** - Tylko dlatego?
- VITTORIO MATTA** - Mam powiedzieć, że pana lubię?
- VITTORIO MATTA** - Chcę zabić tylko jednego człowieka. Pan nim nie jest.
- DUVAL** - Jest nim szef Accarda?
- VITTORIO MATTA** - Pan jest domyślny, Duval.
- DUVAL** - Nie tylko, jestem też spostrzegawczy, panie Matta.

## **51. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa.**

- TONY** - *Co się stało? Przerwa miała być dopiero o szóstej.*
- KRISTOPHOROS** - *Zabrakło mi pieniędzy.*
- TONY** - *Przegrałeś trzy miliony dolarów?*
- KRISTOPHOROS** - *Włożyłem je do rozgrywki.*
- TONY** - *Ha, ha, ha, ha. Przewidzieliśmy to, panie Kristophoros. Ile potrzebujesz, sto tysięcy, dwieście, trzysta?*
- KRISTOPHOROS** - *Potrzebuję kilku milionów, proszę pana.*
- TONY** - *Chyba zwariowałeś, ty stary durniu.*
- KRISTOPHOROS** - *Na stole jest w tej chwili osiemnaście milionów dolarów, w tym pańskie trzy, które zostaną stracone, jeśli spasuję. Żeby grać dalej, muszę mieć,*

*co najmniej trzy miliony, tyle potrzeba, żeby sprawdzić Braddocka, ale jeśli Lafleur przebiję, potrzeba będzie więcej.*

- TONY** - *A jeśli przegrasz?*
- KRISTOPHOROS** - *Nikt nie może ze mną wygrać proszę pana, mam wielkiego, pikowego pokera, od asa do dziesiątki.*
- TONY** - *Jezus, Maria. Masz naprawdę wielkiego, pikowego pokera?*
- KRISTOPHOROS** - *Tak, proszę pana.*
- TONY** - *A co mają oni?*
- KRISTOPHOROS** - *Braddock ma fulla maxa, Lafleur kolor, a Coolman karete.*
- TONY** - *Jesteś geniuszem, jesteś geniuszem!*

*Accardo sięga po słuchawkę.*

- TONY** - *Odwróć się.*

*Kristophoros odwraca się do ściany, a Accardo wykręca numer, na ścianie jednak wisi lustro i jego odbicie zdradza pokerzystę, na jaki telefon będzie rozmowa.*

- 
- DUVAL** - *To jest ten numer.*
- VITTORIO MATTA** - *Nie ma takiej sumy, której bym nie zapłacił, za tych kilka cyferek, a pan mi to daje, tak jak cygaro, albo gumę do żucia. Dlaczego?*
- DUVAL** - *Mam panu powiedzieć, że pana lubię?*
- VITTORIO MATTA** - *Jutro dostanie pan dziesięć tysięcy dolarów.*
- DUVAL** - *Jako honorarium za te cyferki, czy pensję, za pierwszy kwartał?*
- VITTORIO MATTA** - *Pensji?*
- DUVAL** - *Już mam zostać w tym kraju na jakiś czas. Nienawidzę nudy.*

## **52. DALLAS. Bar. 23 września 1975**

*Na scenie tańczy Judy, była dziewczyna Accarda. Pojawia się Matta wraz z nieodłącznym gorylem. Po występie dziewczyna ucieka do swojej garderoby. Gangsterzy idą za nią. Judy poprawia makijaż przed lustrem.*

- JUDY** - *Kim panowie są? Z prasy, z telewizji?*

GORYL

- Z policji.

JUDY

- Zechcą panowie się wylegitymować.

*Goryl brutalnie chwyta Judy i zbliża jej twarz do swojej.*

GORYL

- A teraz pojedziemy do twojej chatki i porozmawiamy o przy-jaciółach twojego przyjaciela i obejrzymy pamiątki po twoim przyjaciołu. Pan Accardo był kiedyś i naszym przyjacielem, ale przestał się z nami przyjaźnić i spotkało go nieszczęście, a ty zostałam wdową, nieślubną, po nim. Jeśli chcesz, to możesz nawet i teraz z nim porozmawiać.

JUDY

- Nie!

GORYL

- No. Chyba tego nie pragniesz, co? Ubieraj się

**53. DALLAS. Willa don Vittoria. 24 września 1975 roku.***Duvall przygląda się rybkom w ogromnym akwariium.*

DUVAL

- Coś złego?

VITTORIO MATTA

- Owszem, straciłem dziesięć tysięcy dolarów.

DUVAL

- W jaki sposób?

VITTORIO MATTA

- Wręczając je tobie.

DUVAL

- Dałem panu właściwy numer.

VITTORIO MATTA

- To był numer do apartamentu hotelowego w Las Vegas. Gość wynajął go na dobę. Mam jego fałszywe nazwisko i rysopis, którym można sobie tyłek podetrzeć. Jedna piąta mężczyzn w tym kraju do niego pasuje. To wcale nie musiał być szef Accarda. Może jakiś jego pomagier, pomocnik dysponujący funduszem na grę?

DUVAL

- Accardo odzywał się do niego z najwyższym szacunkiem. Wyraźnie się go bał.

VITTORIO MATTA

- Nie wiem nic, wciąż jestem w punkcie zero.

DUVAL

- A dziewczyna Accarda?

VITTORIO MATTA

- Nie wie nic. Jedyne, co zdołałem od niej uzyskać, to nazwisko. Collins.

DUVAL

- Collins. Collins. Kiedy Accardo przyszedł do mojego domu we Francji, był z nim jakiś fagas. Szantażowali mnie na dwa głosy. Kiedy wychodzili, Accardo powiedział do tamtego: Collins.

- VITTORIO MATTA - Widziałeś go potem?
- DUVAL - Nie.
- VITTORIO MATTA - Duval...Pięć lat temu...zamordowali...moją córkę. Zamordowali... moją żonę. Zrobił to Accardo na rozkaz...człowieka, którego teraz szukam. Wtedy do szkoły baletowej wysłali człowieka naz-wiskiem Mildway. Lucy znała go, nie bała się. Ja wtedy siedziałem w celi.
- 

## **54. SALA BALETOWA PRYWATNEJ SZKOŁY im. WEBSTERA W DALLAS. 3 czerwca 1970 roku.**

- NAUCZYCIELKA - *Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, prawe ramię do przodu. I opuść. Raz, pięć bardziej wykręć i idź, prowadź. Lewy bok, przód. Słuchać piosenki. Raz, pięć podkręć. Lucy, Lucy Matta, do domu.*

*Dziewczynkę odbiera Mildway.*

---

- DUVAL - Brunet z wąsikiem i bezczelny uśmieszek?
- VITTORIO MATTA - *Mildway. Brunet z wąsikiem i bezczelnym uśmieszkiem, zaraz, zaraz. Duval użył prawie tych samych słów, co nauczycielka ze szkoły baletowej. Tak, po moją córkę, Accardo nie wysłałby byle kogo. Zrobił to najbardziej zaufany, Mildwey. Do Francji, po tego geniusza, tak, też nie pojechałby z pierwszym lepszym. Ale przecież Mildway zniknął już kilka lat temu, mówiono, że został zastrzelony. No i co z tego. O tym, że ja żyję wie tylko kilku ludzi. Większość ma mnie za trupa, ale ja żyję, więc Mildway też może żyć. Mildway, Collins. Oszukałem cię Duval, chcę zabić nie tylko jednego człowieka.*

## **55. NOWY JORK. 2 października 1975 roku.**

*Mieszkanie prywatne. Facet je gotowaną kukurydzą, dzwoni telefon.*

- FACET - Odbierz.
- FACET - Odbierz, mała.

MAŁA

- Jeśli to kapitan Zelby, płaczący, że znowu ktoś zachorował i że musisz odbyć za niego nocny dyżur, to powiem, że jesteś u ko-chanki, której numeru telefonu zapomniałam. Niech się odpie...

*Całuje go długo. W końcu łapie za słuchawkę.*

MAŁA

- Halo. Tak? Ha, ha, ha, o Boże, to ty. Poznają, oczywiście. Słucham? Nie, dzieciaków nie ma. Wyjechały na wakacje i wra-cają za tydzień. Tak? Oczywiście, ja zawsze marzyłam, żeby odwiedzić Sycylię, tylko ten skąpiec, mój mąż, żałuje wciąż na bilety. Tak? Już go proszę.

MAŁA

- Twój kuzyn Raffaele z Palermo.

FACET

- Czego chce?

MAŁA

- Zaprasza nas na wakacje! Cudownie.

FACET

- Tak? Słucham? Tak, wszystko w porządku, a co u was? Słucham, Raffaele, słucham. No, może w przyszłym roku, nie wiem. Tak. Raffaele, słuchaj, ja wiem, że wy macie różne interesy tu i tam, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, rozumiesz!

*Wkurzony don Raffaele wygłasza podniesionym głosem długą przemowę i rzuca słuchawkę na widelki.*

## **56. NOWY JORK. Przydrożny bar. Wieczór. 10 października 1975 roku.**

*Podjeżdża samochód. Bar jest opustoszały. Wcześniejszy rozmówca don Raffaela w płaszczu z wysoko postawionym kołnierzem i kapeluszem z szerokim rondem chyłkiem wsiada do samochodu. W środku czeka don Vittorio.*

VITTORIO MATTA

- Dobry wieczór, poruczniku Ciccione. Proszę wybaczyć, że skorzystałem z pomocy pańskiego kuzyna z Palermo.

PORUCZNIK CICCIONE

- Przeklinam swoje sycylijskie pochodzenie. Do cholery, przecież nie każdy Sycylijczyk musi być mafiosą, czy choćby współ-pracować z wami.

VITTORIO MATTA

- Nikt o to pana nie prosi.



- PORUCZNIK CICCIONE** - Ale o coś chce pan mnie prosić, a dla porucznika FBI, każdy kontakt z wami, to jak wspólna kąpiel z wielkim, białym rekinem. Czego pan chce?
- VITTORIO MATTA** - Informacji o pewnym człowieku. Pan jako pracownik centralnej kartoteki w BIA, ma bezpośredni dostęp do danych na temat obywateli tego kraju, a zwłaszcza takich, którzy weszli w kolizję z prawem, a ów człowiek nie jest pod tym względem dziewicą.
- PORUCZNIK CICCIONE** - Taką prostą informację mógł pan kupić u pierwszego lepszego sierżanta w gmachu kartoteki.
- VITTORIO MATTA** - Tak.
- PORUCZNIK CICCIONE** - Połowa z nich tylko węszy, skąd wziąć łapówkę.
- VITTORIO MATTA** - Owszem, taką informację można kupić, ale człowiek kupiony za pieniądze jest niepewny. Mógłby się na przykład zbytnio zainteresować tym, kto płaci i po co, a pan będzie się starał zapomnieć o tej rozmowie, prawda? I o to właśnie chodzi, poruczniku. To jest zdjęcie tego człowieka. Mildway alias Collins. To wszystko, co o nim wiem. Chodzi tylko o jedną rzecz, gdzie go szukać? Chcę go mieć.
- PORUCZNIK CICCIONE** - A jeśli nasz komputer nie zaśpiewa obecnego adresu tego pana?
- VITTORIO MATTA** - Signore Ciccione! Po pierwsze wasz komputer śpiewa lepiej od Marii Callas, po drugie nakłonić do śpiewania można każdego, nawet komputer, więc niech się pan postara, żeby pana kuzyn z Palermo, don Raffaele, nie musiał się denerwować. Va bene?
- VITTORIO MATTA** - Zadzwońię do pana w piątek.

## **57. BOSTON. 14 października 1975 roku.**

*Mildway / Collins ustawia tarcze strzelnicze. Przy karabinie z celownikiem optycznym stoi jego szef – Alberto Lambordini. Collins niepewnie się czuje z lufą skierowaną w jego głowę i człowiekiem, który bez skrępulów by go zastrzelił, gdyby miał ochotę, z ręką na spuście i okiem przy celowniku.*

- ALBERTO LAMBORDINI** - Znaleźliście już tego gnoja, który udawał greckiego armatora?
- COLLINS** - Niestety, don Alberto.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Przesuń w prawo.

- COLLINS** - Policja też go nie znalazła. Obserwujemy wszystkie lotniska, sprawdzamy różne meliny. Moi ludzie węszą wszędzie.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Gównno wywęszą.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Collins! Kristophoros nie jest mi teraz za bardzo potrzebny. Chcę odzyskać te miliony, które nam ukradł.
- COLLINS** - Musimy go odnaleźć, szefie. Inaczej nie odzyskamy tej forsy.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Tak myślisz? Od kilku lat naszą organizacją rządzi duet. Ja i mój brat, a wy służycie nam obu. Ale jedni mają się bliżej niego, a drudzy mają się bliżej mnie. Mam nadzieję, że ty należysz do tych drugich, Collins.
- COLLINS** - Nie trzeba o to pytać, don Alberto.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Collins.

*Don Alberto przywołuje go skinieniem, co Collins skwapliwie wykorzystuje, schodząc z linii strzału.*

- ALBERTO LAMBORDINI**- Bardzo kocham mojego brata, ale w interesach miłość jest gównno warta, a Michele psuje nasze interesy zbyt długo. Mam tego dość, to nie organizacja wpięprzyła kilka milionów w pokera, w którym zostaliśmy wyrolowani, jak wełniane owce, lecz on, to był jego pomysł.
- COLLINS** - Ten pomysł podsunął mu Accardo.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Ty też miałeś w tym swój udział. Mój brat, Michele sfinansował tę bzdurę wbrew moim radom. Dał się okpić na przeszło dziesięć milionów dolców, a teraz udaje naiwniaka. Jego pomysły kosztowały nas, przez ostatnie trzy lata, przeszło piętnaście milionów. Mam tego dość, Collins.
- COLLINS** - To nie będzie łatwe, don Alberto.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Jeśli ja teraz tego nie zrobię, on zrobi to ze mną za miesiąc lub rok. Wykończymy jego gwardzistów bardzo szybko. Obudzą się na tamtym świecie, reszta pokłoni się mnie. Przejmę wszystkie jego udziały i zostanie tylko jeden problem. Jego prywatne konto w Szwajcarii.
- COLLINS** - To jest konto daktyloskopijne. Matta miał takie i nie zdradził go, pomimo, że porwaliśmy jego córkę.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Matta. Matta, to był człowiek z granitu. Michele to mięczak i ma...też córkę.
- COLLINS** - Don Alberto, nikt nie podejdzie do niej, bez narażania się na śmierć.
- ALBERTO LAMBORDINI**- Nawet jej ukochany stryj Alberto?
- COLLINS** - Boże.

**ALBERTO LAMBORDINI** - O, stałeś się religijny, Collins. Ty zajmiesz się ludźmi mojego brata. Wybierzesz do tej roboty swoich najlepszych skur-wysynów, żeby było bez nawalki, bo wówczas przestałbym ci ufać. A ludzie, którym przestają ufać, mogą już tylko pokładać zaufanie w Bogu.

*Alberto repetuje broń i strzela.*

## **58. NOWY JORK. Przydrożny bar. Wieczór. 18 sierpnia 1975 roku.**

**PORUCZNIK CICCIONE** - Mildway – Collins, mamy go w kartotece, ale wszystkie adresy są nieaktualne.

**VITTORIO MATTA** - Poruczniku Ciccione!

**PORUCZNIK CICCIONE** - Próbowałem dowiedzieć się czegoś od kumpli z brygady antymafijnej. Też nic nie wiedzą. Jest pewien ślad. Collins miał kiedyś stadninę koni myśliwskich na terenie łowieckim, koło Bostonu. Wynajmował koniki bogatym frajerom, którzy pragnęli poczuć się traperami w niedzielę. Kiedy rozwiódł się z żoną, połowa tego interesu przeszła na nią. Teraz ona to prowadzi. Jest możliwe, że zna jego ścieżki.

**VITTORIO MATTA** - Adres?

**VITTORIO MATTA** - A teraz proszę wrócić do domu, poruczniku i zapomnieć o mnie. Dziękuję panu.

## **59. BOSTON. Noc z 29 na 30 października 1975 roku.**

*Collins wchodzi do restauracji. Na scenie śpiewa facet i tańczy kobieta. Pada strzał. Śpiewak zakrwawiony leci na podłogę. Tancerka wpada histerię, śmiejąc się i krzycząc na przemian.*

*Grupa uzbrojonych mężczyzn podbiega pod parterowy budynek. Jeden z nich otwiera okno. Pozostali szyją z karabinów w kopulującą parę na łóżku.*

*Gangsterzy wieszają jakiegoś gościa w szopie za miastem.*

*Na parking podjeżdża limuzyna. Wsiada z niej kobieta, najprawdopodobniej zarabiająca na życie ciałem. Z drugiej strony gramoli się kierowca. Obok podjeżdża druga limuzyna i pocisk z obrzyna wbija kierowcę z powrotem do samochodu.*

## **60. BOSTON. 30 października 1975 roku.**

*Długi samochód zatrzymuje się koło szkoły. Wsiada z niego Alberto Lambordini.*

ALBERTO LAMBORDINI - Billy!

BILLY LAMBORDINI - Wójku!

ALBERTO LAMBORDINI - Tak, kochanie. Jedziemy na lody.

*Alberto zwraca się do towarzyszącego dziewczynce ochroniarza.*

ALBERTO LAMBORDINI - Brat prosił, żebym zabawił dziewczynkę przez godzinę. Ma u siebie w mieszkaniu bardzo ważne spotkanie. Nie możecie tam jechać.

ALBERTO LAMBORDINI - Jedziemy na lody, Billy. Siadaj.

OCHRONIARZ - Ale...

*Dziewczynka wsiada na tylne siedzenie limuzyny Alberta. Zdezorientowany ochroniarz rzuca się do swojego auta i rusza za samochodem mafiosa.*

## **61. NOWY JORK. 30 października 1975 roku.**

*Duval rozmawia przez telefon, w tle siedzi Matta.*

- DUVAL** - Czy mówię z panią Mildway? Ja i mój przyjaciel, chcielibyśmy zamówić u pani dwa konie i broń myśliwską na sobotę. Słyszeliśmy od znajomych, że pani wierzchowce są warte ceny, jakiej pani żąda...Stan Morris.
- PANI MILDWAY** - *Bardzo mi miło, panie Morris.*
- DUVAL** - Prowadzę firmę bardzo podobną do pani przedsiębiorstwa. Wypożyczam samochody.
- PANI MILDWAY** - *Będę musiała wiedzieć kilka rzeczy. Czy panowie jeżdżą konno średnio, dobrze, czy źle? Czy będzie potrzebny przewodnik, jak długo panowie u nas zabawią i ile to panom, mniej więcej zajmie czasu?*
- DUVAL** - Przyjedziemy w sobotę, około ósmej wieczorem. Przewodnik może być. Prosimy o najlepsze wierzchowce, jeździmy bardzo dobrze. Zostaniemy do następnego dnia. A teraz ja mam do pani pytanie, płacimy czekiem, czy gotówką?
- PANI MILDWAY** - *Jak pan woli, panie Morris. Czekam na panów w sobotę o ósmej. Wierzchowce będą gotowe, co do minuty.*
- DUVAL** - Dziękuję pani.

## **62. BOSTON. 30 października 1975 roku.**

*Michele Lombardini siedzi załamany, jakby nie wierząc w to, co się stało. Jego brat, Alberto, jest w hysterii połączonej z euforią*

- MICHELE LAMBORDINI** - Bydlaku, ty skończony bydlaku. Co ci zrobiłem? Co ci zrobili moi ludzie?
- ALBERTO LAMBORDINI** - Zrobili mi właśnie to - byli twoi!
- MICHELE LAMBORDINI** - Jak to, moi? Kierowaliśmy wszystkim we dwójkę.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Michele, wiesz dobrze.
- MICHELE LAMBORDINI** - Nie daruję ci tego.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Nie pajacuj!! Przestań pajacować!!!
- MICHELE LAMBORDINI** - Nie daruję ci tego.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Darujesz. Darujesz! Kiedy byliśmy mali, byłeś wyższy ode mnie o głowę, a zawsze dawałem ci wycisk i zawsze mi darowałeś. Bo byłeś słabszy, a słabszy musi pogodzić się z tym, co go spotka. Teraz też! Teraz też jesteś słabszy!! I głupszy!!! Ojciec kazał nam rządzić razem!

**PERFIDIA**

Razem!! Rozumiesz! Bo obligowały go do tego stare, sycylijskie nawyki, które ja pieprzę!

**ALBERTO LAMBORDINI** -

Siadaj.

**MICHELE LAMBORDINI** -

Ty bydlaku.

**ALBERTO LAMBORDINI** -

Siadaj. Siadaj!!! Mam gdzieś ten cyrk respektowania tradycji, powiązań rodzinnych, świąt, rytuałów!!! Może to było dobre na Sycylii. Tutaj to można sobie o dupę podetrzeć!! I to posiniaczoną! Wiesz, posiniaczoną, powtarzam ci! Cała ta żalosna szopka wystawia tylko człowieka pod bicie!! Zbyt długo tolerowałem topienie przez ciebie forsy w błocie, ze względu na pamięć ojca. Ale myślę, że teraz, on patrząc na to wszystko, co z tobą robię, powiedziałby: va bene silio bijo! Bo musi przewracać się w grobie, patrząc jak ty rozpylasz spadek po nim!!! Koniec balu!!!! Ale ty zwrócisz wszystkie, powtarzam, wszystkie zmarnowane przez ciebie pieniądze z procentami, a będzie to równo siedemnaście milionów dolarów. Jedź do Szwajcarii, zlikwiduj swoje konto, sprzedaj, co chcesz, zapłać i idź do diabła. Daję ci tydzień. Tydzień!! Ty gnojku.

*Michele Lambordini kiwa ze zrozumieniem głową i płacze.*

## **63. LEXINGTON. Stadnina koni myśliwskich. 2 listo-pada 1975 roku.**

*Duval i goryl Matty – Chris, wchodzą do stajni. W jednym z boksów jest pani Mildway, oglądająca wierzchowca. Na końcu korytarza stoją dwa rasowe rumaki.*

**PANI MILDWAY**

- Pan Morris?

**DUVAL**

- Tak, madame, Stan Morris.

**PANI MILDWAY**

- Betty Mildway. Tak, jak pan sobie życzył, dwa najlepsze konie z mojej stajni. Dixon i Presgun. Stewarton! Daj panom broń.

**PANI MILDWAY**

- Jeżeli panowie sobie czegoś życzą...

**DUVAL**

- Wszystko w porządku, madame?

**PANI MILDWAY**

- Broń jest na pewno w porządku, panowie.

*Chris sprawdza, czy dwulufowa strzelba jest nabita, następnie oddaje ostrzegawcze strzały w łby zwierząt.*

**DUVAL** - Broń rzeczywiście jest w porządku, madame, ale konie, wbrew temu, co pani mówiła, nie wyglądają na zdrowe. Zadam pani tylko jedno pytanie i odjedziemy, madame, więcej pani nie niepokojąc.

## **64. BOSTOŃSKI PORT LOTNICZY. 3 listopada 1975 roku.**

*Bracia Lambordini stoją w poczekalni, atmosfera między nimi jest odległa, od typowych, lotniskowych pożegnań rodzinnych. Podchodzi do nich stewardessa.*

**STEWARDESSA** - Pan Michele Lambordini? Telefon do pana, proszę bardzo.

*Po chwili Michele wraca.*

**MICHELE LAMBORDINI** - Pieniądze każę przetransferować do wypłaty, w jednym z naszych banków. Po moim powrocie podejmie je ktoś z moich ludzi i przekaże, kiedy dam znak.

**ALBERTO LAMBORDINI** - Ktoś z twoich ludzi? Kto?!

**MICHELE LAMBORDINI** - Myślisz, że ci się udało wykończyć wszystkich? Kilku przeżyło. Za każdy włos z głowy Billy zapłacisz.

**ALBERTO LAMBORDINI** - Michele. Straszysz? Nie strasz mnie, szkoda czasu. Dotrzymam umowy i tobie też radzę jej dotrzymać, gdy już będzie po wszystkim. Przecież nie zabieram ci całej forsy. Będziesz mógł żyć w dostatku, do końca swoich dni, a i na posag dla Billy też ci nie zabraknie. Zrozum, ty się po prostu nie nadajesz do tego interesu. Michele, biorę odszkodowanie za straty, które przyniosłeś firmie, ale poza tym, to ja nic do ciebie nie mam, no. Michele, kocham cię, tak jak brat powinien kochać brata, no. A jeśli nie zaprosisz mnie na ślub Billy w przyszłości, to uznam cię za łobuza. No, zasuway i wracaj szczęśliwie... O, twój samolot.

## 65. GRIMSBY (STAN NEW JERSEY). Stary, opuszczony młyn. 7 listopada 1975 roku. Wieczór.

*Chris podkrada się od tyłu do Collinsa i przyklada mu lufę do karku, potem szepcze.*

- CHRIS** - Kto oprócz ciebie jest w tym domu? Mów cicho.  
**COLLINS** - Nikt.  
**CHRIS** - Na pewno, Collins? Nie pomył się, bo to może być ostatnia pomyłka w twoim życiu.  
**COLLINS** - Dziecko, mała dziewczynka.  
**CHRIS** - W porządku szefie. Czysto.

*Z mroku wynurza się Matta. Na twarzy Collinsa maluje się niedowierzanie, a potem strach.*

- COLLINS** - Don...Vittorio.  
**VITTORIO MATTA** - Zmartwychwstałem, Mildway.

*Obok Matty pojawia się Duval. Ciszę przerywa stukanie w drzwi i płacz dziecka.*

- BILLY LAMBORDINI** - Mamo, mamusiu, zamknęli mnie na klucz! Mamo, otwórz! Mamo! Mamo!!  
**DUVAL** - Trzymasz dziecko pod kluczem. Interesujące.  
**VITTORIO MATTA** - *Lucy. Lucy, dziecinko, czy to możliwe. Tyle lat. Myślałem, że...Ty żyjesz. Lucy, ty żyjesz. Mama się ucieszy córeczko, czekaliśmy na ciebie całe pięć lat. Pięć lat to długo, bardzo długo. Teraz już nas nic nie rozdzieli, wiem. Znalazłem cię, kochanie, zawiozę do mamy. Będziemy razem, jak dawniej, tak jak wtedy, jak dawniej. Zawiozę do mamy, do mamy, będziemy razem, jak dawniej, jak dawniej. Lucy, córeczko.*  
**DUVAL** - Co jest. Co? Vittorio?  
**VITTORIO MATTA** - Klucz? Duval, gdyby chciał uciekać, strzel mu w łeb.

*Matta podaje rewolwer Duvalowi i rusza z kluczem do drzwi z dzieckiem. Otwiera i kuca przy wejściu, nie wchodząc do środka. Na krześle siedzi zapłakana Billy. Vittorio puka do drzwi.*

- BILLY LAMBORDINI** - Czy pan jest z policji?  
**VITTORIO MATTA** - A powinienem być z policji?



- BILLY LAMBORDINI** - Nie wiem, ale ktoś powinien mi pomóc. Zamknęli mnie tutaj i nie puszczają do mamy.
- VITTORIO MATTA** - Nie płacz. Wkrótce zobaczysz swoją mamę. Obiecuję ci. Kto cię zamknął?
- BILLY LAMBORDINI** - Taki pan z wąsikiem.
- VITTORIO MATTA** - Chodź na chwileczkę do mnie. Nie bój się, chodź. Proszę.
- VITTORIO MATTA** - Jak się nazywasz?
- BILLY LAMBORDINI** - Billy.
- VITTORIO MATTA** - A twój tatuś jak się nazywa?
- BILLY LAMBORDINI** - Lambordini. Ja też się tak nazywam. A czy pan nie przyjeżdża od mojego tatusia?
- VITTORIO MATTA** - Nie, ale obiecuję ci, że wkrótce wrócisz do mamy i dotrzymam obietnicy. Teraz porozmawiam jeszcze z tym panem, z wąsikiem, jak to zrobić. Lubisz go?
- BILLY LAMBORDINI** - Nie!
- VITTORIO MATTA** - No widzisz, jest coś, co nas łączy. Oboje nie lubimy tego człowieka. Ale teraz się nie musisz bać. Będę tu cały czas, tak? Chcesz? No, aż do chwili, kiedy wyruszysz do mamy, a będzie to jak najszybciej, obiecuję ci. Zaraz wracam.

*Collins ma związane ręce.*

- VITTORIO MATTA** - Siadaj.
- VITTORIO MATTA** - Widzę, że dalej pracujesz w tym samym fachu, Mildway. Zacząłeś od porwania mojej córki i dalej porywasz małe dziewczynki, tylko, że teraz nazywasz się jak? Collins.
- COLLINS** - Pańską córkę kazał mi porwać Accardo. To nie ja ją zabiłem, przysięgam. Tego dziecka nie porwałem. Kazano mi jej pilnować w tym domu.
- VITTORIO MATTA** - Do momentu, aż ktoś inny ją zabije? Kto ją porwał?
- VITTORIO MATTA** - To jest koniec gry, Collins. Ja mam mało czasu i tyle samo cierpliwości. Trzeci raz nie zapytam. Kto?

*Matta uderza kolbą rewolweru w kolano Collinsa.*

- VITTORIO MATTA** - Wstań!

- COLLINS** - Don Alberto.
- VITTORIO MATTA** - Don Alberto...?
- COLLINS** - Lambordini.
- VITTORIO MATTA** - Żarty sobie stroisz, skurwysynu? Ona nazywa się Lambordini.
- COLLINS** - Może pan robić ze mną, co pan chce, don Vittorio. Powiedziałem prawdę. To jej stryj.
- VITTORIO MATTA** - Porwał córkę bratu?
- COLLINS** - Niech pan dalej bije, to są nasze metody, don Vittorio!

*Matta dusi Collinsa.*

- VITTORIO MATTA** - Kto ci kazał porwać moją córkę?!
- COLLINS** - Accardo.
- VITTORIO MATTA** - Kto, jemu?!
- COLLINS** - Lambordini.
- VITTORIO MATTA** - Alberto Lambordini.
- VITTORIO MATTA** - *Matko Przenajświętsza z Corleone, wysłuchałaś mnie, bądź błogosławiona. Alberto Lambordini. Szef jednej z rodzin mafijnych na obszarze Giuliana. Cwaniak. Słyszac, że stary Anzelmo dogorywa, zapagnął przejąć po nim tron. Podkupił Accarda i wykończyli mnie na spółkę. Dalej stosuje ten sam numer. Nie ma lepszej broni, jak strach ojca o własne dziecko. Witaj, cwaniaku. Alberto Lambordini. Teraz już jesteś mój.*

## **66. BOSTON. Siedziba Alberto Lambordiniego. 7 listopada 1975 roku.**

*Alberto wchodzi do swojego pokoju. Za biurkiem siedzi Michele.*

- MICHELE LAMBORDINI** - Zająłem twoje miejsce, przepraszam. Czekałem zbyt długo.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Nie szkodzi. Stęskniłem się za tobą Michele! Załatwiłeś, co trzeba?
- MICHELE LAMBORDINI** - Tak. Co z Billy?
- ALBERTO LAMBORDINI** - Zdrowa jak rydz, ale może nie być, jeśli przyjdą ci do głowy głupie myśli.
- MICHELE LAMBORDINI** - O czym ty mówisz?

- ALBERTO LAMBORDINI** - Mówię o tych twoich ludziach, których rzekomo nie rozwaliłem. Michele, a może ty blefujesz, co? Jeśli twoi ludzie podejmą jakąkolwiek próbę odnalezienia Billy, to nawet, jeśli będą mieli taki fart, że ją znajdą, nic ci to nie pomoże. Poza wydatkiem na pogrzeb małej. Inaczej mówiąc, zabiłbyś w ten sposób córkę, swoimi własnymi rękoma, Michele. Przewidziałem taką możliwość, bo lubię być przygotowany, na każdą niespodziankę. Ten zwyczaj przedłuży mi życie i karierę. Słuchaj, Michele, pod budą, w której trzymam twoją małą, jest kilka kilo trotylu, z zapalnikiem. Rozumiesz mnie? Na wszelki wypadek uprzedź swoich chłopców, żeby im się ręce nie paliły do tej roboty. Jasne? Kiedy wypłacisz szmal?
- MICHELE LAMBORDINI** - Jak zobaczę dziecko.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Zobaczysz po uiszczeniu.
- MICHELE LAMBORDINI** - Przed, albo pożegnaj się z forszą.
- ALBERTO LAMBORDINI** - A ty z córką.
- MICHELE LAMBORDINI** - Zobaczę dziecko, otrzymasz pieniądze.
- ALBERTO LAMBORDINI** - Dobrze. Pojedziesz z jednym, z moich ludzi. Zobaczysz Billy i od razu stamtąd, zatelefonujesz do kogoś, z twoich ludzi, żeby przekazał nam tę forszę. Jak tylko forsa znajdzie się u mnie, odtelefonuję, że mogą puścić cię wolno. Z córką.
- MICHELE LAMBORDINI** - Ha, ha, ha i oczywiście dajesz słowo honoru, że nie każesz mnie tam zakopać w ziemi, tak?
- ALBERTO LAMBORDINI** - Ha, ha, ha, Michele! Michele! No nie mów takich rzeczy, ha, ha, ha, przecież nie jestem Kainem, na Boga! Oj, Michele, Michele, braciszku, ha, ha, ha.

## **67. GRIMSBY. 8 listopada 1975 roku.**

*Matta ogląda detonator zamontowany w słupie.*

- VITTORIO MATTA** - Sprytnie zamaskowane. Ten szczur mówi, że ta wajcha włącza zapalnik materiału wybuchowego w piwnicy. Wybuch ma nastąpić po upływie pięciu minut. Ten, kto to złamie, zdąży spokojnie zwiąć. Co, Duval, idź rozejrzyj się wkoło domu, boję się, że stojąc tu, umrzesz ze strachu.
- DUVAL** - Nie należę do bohaterów i co z tego? Czy to wstyd?

- VITTORIO MATTA - Chris!
- VITTORIO MATTA - Przyjrzyj się temu.
- CHRIS - To jest opóźniacz, tak jak pan mówił, wybuch nastąpi po jakichś pięciu minutach. Prymitywne gównno, taki mały terrorysta. O, wystarczy przecięć ten drut, o. Mam to zrobić?
- VITTORIO MATTA - A jak nas wysadzisz w powietrze?
- CHRIS - He, he, sam chcę żyć. To co, tniemy?
- VITTORIO MATTA - Na razie zostaw.

*Chris chowa scyzoryk. Dzwoni telefon.*

- VITTORIO MATTA - Dawaj Collinsa.
- CHRIS - Chodź no tutaj.
- COLLINS - Halo.
- ALBERTO LAMBORDINI - Collins?
- COLLINS - Tak, don Alberto.
- ALBERTO LAMBORDINI - Wszystko w porządku?
- COLLINS - OK
- ALBERTO LAMBORDINI - Jak mała?
- COLLINS - Trochę smutna. Szefie...
- ALBERTO LAMBORDINI - Ucieszy się, ujrzy tatusia. Michele jedzie tam z Luckiem. Luck wie, co należy robić. Słuchaj jego poleceń.

## 68. GRIMSBY. Noc. 8 listopada 1975 roku.

*Michele i Luck wychodzą z samochodu. Z okna obserwują ich Collins i Matta.*

- VITTORIO MATTA - Nie zapomniałeś tego, co powiedziałem?
- COLLINS - Nie. Pamiętam, don Vittorio.
- VITTORIO MATTA - Proś Boga, żeby cię pamięć nie zawiodła. Ruszaj.

*Collins wychodzi na powitanie gości, kulejąc na nogę, uszkodzoną kolbą pistoletu don Vittoria. Nad przebiegiem czuwają karabiny w rękach ludzi Matty, dyskretnie przyczajone za oknami.*

- LUCK - Collins, co się stało z twoją girą?

- COLLINS** - Pośliznąłem się na schodach.  
**LUCK** - He, he, gdzie mała?  
**COLLINS** - Tam.  
**LUCK** - Prowadź.

*Wchodzą do domu i udają się pod drzwi, za którymi zamknięta jest dziewczynka.*

- LUCK** - Collins, otwieraj.

*Michele wchodzi do komórki, zza parawanu ostrożni wygląda jego córka. Ojciec pędzi do niej i chwyta w ramiona.*

- MICHELE LAMBORDINI** - Kochane dziecko moje. Dziecino, kochana. Poczekaj tu Billy, jeszcze...Tatuś załatwi tylko jedną sprawę i wyjedziemy stąd.  
**LUCK** - Lambordini, dosyć tego!  
**BILLY LAMBORDINI** - Tatko...

*Lambordini opuszcza celę, dziecko wyciąga za nim ręce.*

- MICHELE LAMBORDINI** - Telefon.  
**MICHELE LAMBORDINI** - Gino, to ja. Wszystko w porządku, wypłać pieniądze.  
**LUCK** - Siadaj.  
**MICHELE LAMBORDINI** - Pójdę do córki.  
**LUCK** - Siadaj!  
**LUCK** - Teraz poczekamy, aż szef potwierdzi odbiór.  
**LUCK** - Collins, daj się czegoś napić  
**COLLINS** - Sam poszukaj.

*W suficie nad Billy odsuwa się płyta. Matta z ukrycia obserwuje dziewczynkę.*

- VITTORIO MATTA** - *Moja córeczka, Lucy, byłaby teraz dużo starsza, ale miałyby te same oczy. Oczy matki. Nie, to nie prawda, że zabił ją Lambordini, Accardo, czy Collins. Ja ją zabiłem. Gdybym nie babrał się w tym wszystkim...? Gdybym...? Ja ją zabiłem. Moją Lucy. Każdy kiedyś mądrzeje. Tym szybciej, im więcej racy dostanie, ale czy każdy płaci za tę mądrość życiem swoich dzieci. Dlaczego właśnie ja? Czy ja byłem najgorszy? Kim jest ten, kto dokonuje takiej selekcji, wybiera tych, co mają znieść*

**PERFIDIA**

*największy ból, typuje do najwyższej kary? Bóg, złośliwy los, czy ślepy przypadek? Jeśli śmierć oznacza przejście do innego życia, to pół biedy. Zobaczą jeszcze moją Lucy, choćbym miał patrzeć z dna piekieł ku niebu. Dojrzę ją, lecz jeśli ci, którzy z ambony obiecują życie poza grobem, kłamią, to przegrałem i żadna zemsta tego nie odmieni.*

*Dzwoni telefon.*

- LUCK** - Tak? Tak jest, szefie. Oczywiście. W porządku
- MICHELE LAMBORDINI** - Brat potwierdził odbiór pieniędzy?
- LUCK** - Tak.
- MICHELE LAMBORDINI** - Mogę, więc zabrać córkę.
- LUCK** - Oczywiście, możesz.
- MICHELE LAMBORDINI** - I odjechać, tak?
- LUCK** - Tak.

*Michele odwraca się w kierunku komórki, a Luck wyciąga broń i strzela mu w plecy.*

- LUCK** - Collins, spieprzaj do samochodu. Mamy pięć minut.

*Collins oddala się, a Luck sięga do detonatora. Z piętra wychyla się Chris z karabinem.*

- CHRIS** - Chłopczyku, odsuń się od tej dziurki.

*Luck nie słucha dobrej rady, tylko sięga po broń. Kule z broni maszynowej zamieniają go w trupa. Chris przepraszająco spogląda na Matkę i wrusza ramionami.*

- CHRIS** - Szefie, no...
- VITTORIO MATTA** - Gdzie Collins?

*Rozpoczyna się gorączkowe zwiędzanie młyna. Chris dopada Collinsa, gdy ten, już przebrany w strój pletwonurka, jest do połowy zanurzony w wejściu do kanału z wodą.*

- CHRIS** - Collins! Chciałeś nas opuścić w tym przebranku? Dokąd to prowadzi?
- COLLINS** - Do jeziora.
- CHRIS** - Wyłaź!

VITTORIO MATTA - Teraz zadzwonisz do swojego bossa i ujawnisz mu swoje miękkie serce.  
Ruszaj!

## 69. LEXINGTON. 8 listopada 1975 roku.

*Limuzyna podjeżdża pod stadninę koni. Podchodzi pani Mildway.*

PANI MILDWAY - Tak, słucham?  
OFICER - Pani Mildway?  
PANI MILDWAY - Tak. Panowie w jakiej sprawie? Chodzi o konie?  
OFICER - Zgadza się.  
PANI MILDWAY - Dwa?  
OFICER - Też się zgadza.  
PANI MILDWAY - Proszę sobie wybrać, potem pójdziemy do biura, załatwić formalności.  
OFICER - Myśmy już wybrali. Te dwa....zastrzelone. Policja. Porucznik Bridges z FBI  
PORUCZNIK BRIDGES - Otrzymaliśmy doniesienie, że zastrzelono tutaj dwa wierzchowce.  
PANI MILDWAY - Nie składałam żadnego doniesienia.  
PORUCZNIK BRIDGES - Właśnie. To nas najbardziej zainteresowało. Zabito dwa najlepsze konie z pani stajni, a pani się nie poskarżyła, dlaczego? Proszę nam odpowiedzieć na to pytanie w sposób maksymalnie szczery, pamiętając o dwóch rzeczach, że wprowadzanie w błąd policji jest karalne i to wysoko, jeśli śledztwo dotyczy morderstw, oraz, że ludzie, którzy już raz panią skrzywdzili, należą do tych, którzy nie poprzestaną na jednym razie. Także może lepiej będzie, jeśli policja unieszkodliwi ich jak najprędzej.  
PANI MILDWAY - Dajcie mi spokój, do cholery.

## 70. BOSTON. Siedziba Alberto Lambordiniego. 8 listopada 1975 roku.

*Lambordini rozmawia telefonicznie z Collinsem.*

ALBERTO LAMBORDINI - Collins, co ty pieprzysz? Luck nie żyje? A kto go załatwił?

- COLLINS** - *Pański brat.*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Przecież mówiłeś, że Luck rozwalil Michela.
- COLLINS** - *Luck strzelił i myśleliśmy, że pański brat nie żyje, a on leżąc, wyjął spluwę i kropnął Lucka. Dopiero potem wykorkował.*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Jaką spluwę, do cholery? Przecież Luck miał mu odebrać broń.
- COLLINS** - *Nie wiem, don Alberto. Wiem, że mam dwa trupy.*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Collins. Rzuć szmatę, naciśnij wajchę i spieprzaj. Wybuch nastąpi po pięciu minutach.
- COLLINS** - *A dziecko?*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Co, dziecko?
- COLLINS** - *Billy.*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Nic. Masz ją zostawić tam gdzie jest, durniu.
- COLLINS** - *Ja...tego nie...nie zrobię, szefie.*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Co?
- COLLINS** - *Nie mogę zabić Billy. Nie mogę, szefie.*
- ALBERTO LAMBORDINI**- Słuchaj, chłopcze, rozumiem cię. Przyjadę tam sam, czekaj na mnie. Jutro. Wieczorem.

*Don Alberto odkłada słuchawkę.*

- ALBERTO LAMBORDINI**- Chuck, bierz Mickeya i Bazziniego. Wszyscy z maszynkami. Niech Trock przygotowuje opancerzony reflektor, za pół godziny ruszamy. Musimy tam dotrzeć jeszcze dzisiaj.

## **71. GRIMSBY. 8 listopada 1975 roku.**

*Duval przysiada się do Matty.*

- DUVAL** - I tylko o to panu chodziło?
- VITTORIO MATTA** - Tylko. Chciałem go tu ściągnąć i udało się. Będę go miał.
- DUVAL** - To może być niebezpieczne spotkanie.
- VITTORIO MATTA** - Może. Tobie nic nie grozi. Wyjedziesz stąd wcześniej.



*Duval wyciąga rewolwer i kładzie go na stole. Lufa jest skierowana w jego stronę, więc z obrzydzeniem odwraca ją w bok. Potem odpycha broń jeszcze dalej. Wyciąga zawinięte w serwetkę śniadanie i podsuwa Vittoriowi.*

- DUVAL** - Proszę, niech pan coś zje, panie Matta.
- VITTORIO MATTA** - Dziękuję, panie Duval.
- DUVAL** - Myślę o dziecku.
- VITTORIO MATTA** - I ja o niej myślę. Zabierzesz ją i ukryjesz. Przekażesz matce dopiero wtedy, kiedy będziesz pewny, że tamten poszedł do piekła. Pamiętaj, dopóki on żyje, mała ma wyrok śmierci.
- DUVAL** - Wiem, że brat potrafi zabić brata, ale żeby dziecko? Kiedy ją zabiorę?
- VITTORIO MATTA** - Mamy prawie całą dobę czasu. Jest zbyt późno. Nie ma sensu jechać nocą. Wyjedziecie jutro rano, a mu z Chrisem zaczekamy na gościa.

*Duval niechętnie podnosi broń i wychodzi. Matta idzie z kolei do pokoju Billy, która w najlepsze maluje.*

- BILLY LAMBORDINI** - Gdzie mój tata?
- VITTORIO MATTA** - Musiał wyjść.
- BILLY LAMBORDINI** - Prędko wróci?
- VITTORIO MATTA** - Nie wróci. Jutro mój przyjaciel zawiezie cię do...do mamy. Nie martw się. Twoje dziwne wakacje już się kończą. Co ty rysujesz?
- BILLY LAMBORDINI** - Strzelaninę.
- VITTORIO MATTA** - A dlaczego?
- BILLY LAMBORDINI** - Słyszałam jak strzelaliście. Czy to ty strzelałeś?
- VITTORIO MATTA** - Nie, jeden pan próbował, czy broń dobrze działa. Wiesz co, Billy, mogę do ciebie mówić Billy?
- BILLY LAMBORDINI** - Możesz. A jak ty masz na imię?
- VITTORIO MATTA** - Vittorio. Możesz do mnie mówić Vittorio.
- BILLY LAMBORDINI** - Dobrze, Vittorio.
- VITTORIO MATTA** - Ja zawsze myślałem, że strzelaniny rysują tylko chłopcy. Dlaczego rodzice dali ci imię chłopca, Billy?
- BILLY LAMBORDINI** - Bo tatuś chciał mieć chłopca, i zanim się urodziłam, tak mnie nazwali.
- VITTORIO MATTA** - Bardzo ładnie rysujesz.
- BILLY LAMBORDINI** - Vittorio, naprawdę ci się podoba?

- VITTORIO MATTA - Naprawdę, Billy.  
 BILLY LAMBORDINI - Czy twoje dzieci też ładnie rysują?

*Matta wstaje od stołu oszołomiony niespodziewanym pytaniem.*

- VITTORIO MATTA - Tak, Billy. Też. Ale nie tak ładnie jak ty.

*Vittorio podchodzi do swojej córki Lucy, która maluje farbami obrazek, żartują razem. Matta maże jej nos pędzelkiem.*

## 72. GRIMSBY. Noc z 8 na 9 listopada 1975 roku.

*Pod młyn podchodzą ukradkiem uzbrojeni mężczyźni. Pierwszego z nich kosi celna seria z automatu.*

- GŁOS - Policja!!!  
 VITTORIO MATTA - Chris!  
 CHRIS - Szefie, rąbnąłem gliniarza. Skąd mogłem wiedzieć, że to policja?  
 VITTORIO MATTA - A skąd wiesz, że to policja? Dlatego, że krzyczą? Ty też możesz krzyknąć, że jesteś papieżem, a ta ruina nie zamieni się w Waty-kan. Uspokój się i zajdź od tyłu.  
 CHRIS - Tak jest.  
 GŁOS - Hej, wy tam!!! Kimkolwiek jesteście, wychodzić!!!  
 COLLINS - Lambordini!!! Lambordini, nie strzelaj!!!

*Collins wybiega z młyna i powiększa grono aniołków, zastrzelony przez ludzi swojego szefa. Z tyłu, od strony Chrisa też słychać kanonadę.*

- DUVAL - Pański gość. Pośpieszył się. Przybył wcześniej, co?  
 VITTORIO MATTA - Domyślałem się, że to nie policja.  
 ALBERTO LAMBORDINI - Jesteście otoczeni!! Wychodzić!! Daję wam pięć minut!!

*Znów rozlega się palba z tyłu.*

- VITTORIO MATTA - Chris  
 DUVAL - Musimy wiać.  
 VITTORIO MATTA - Ale jak, do diabła?

- DUVAL** - Kanałem.
- VITTORIO MATTA** - Duval, jesteś geniuszem. A jeśli obstawili wylot?
- DUVAL** - Wątpię. A z taką butlą można przepłynąć na drugi brzeg.
- VITTORIO MATTA** - Złaz do piwnicy. Ja idę po małą. Ostrożnie.

*Duval ogląda z troską zawór przy jednej z butli. Matta przynosi na rękach śpiącą dziewczynkę.*

- VITTORIO MATTA** - Co jest?
- DUVAL** - Są trzy butle, jedna zepsuta.
- VITTORIO MATTA** - Billy, Billy, obudź się. Pojedziesz do mamy.

*Vittorio kładzie dziewczynkę i podchodzi do Duvala, ten wyciąga broń i celuje w mafiosa.*

- DUVAL** - Czas się kończy, panie Matta.

*Przez chwilę patrzą sobie w oczy*

- DUVAL** - Jak się to ładuje?

*Podaje Matcie rewolwer, ten sprawdza bębenek. Wszystkie naboje są w środku, odbezpiecza i oddaje Duvalowi.*

- VITTORIO MATTA** - Załadowany.
- DUVAL** - Ja tu zostaję.
- VITTORIO MATTA** - Tak postanowiłeś?
- DUVAL** - Ktoś musi zostać. Z nas dwóch, ja jestem starszy i nikomu niepotrzebny.
- VITTORIO MATTA** - Wiesz, do czego tęskniłem przez ostatnie kilka lat?
- DUVAL** - Wiem, do spełnionej zemsty.
- VITTORIO MATTA** - Nie tylko. Chciałem, zanim zdechnę, spotkać człowieka. Żeby nie zwątpić w ewolucję. Duval...Zabieraj małą i oddaj matce.
- DUVAL** - Don Vittorio...
- VITTORIO MATTA** - Nie masz nic do gadania, stary durniu, ja tu rozkazuję.

*Duval wkłada kombinezon i pomagają przebrać się małej. Potem we dwójkę wchodzi do kanału. Matta zostaje.*

VITTORIO MATTA - Lambordini, nie strzelaj. Jestem sam!

ALBERTO LAMBORDINI - Mickey, sprawdź to!

*Jeden z gangsterów wbiega do młyna.*

MICKEY - W porządku, szefie!! Jest sam, tamci nie żyją!!

ALBERTO LAMBORDINI - Wychodź!!

*Mickey wyprowadza więźnia.*

ALBERTO LAMBORDINI - Vittorio Matta. To niemożliwe.

*Mickey ogłusza Vittoria ciosem w głowę.*

*Matta siedzi skrepowany na krześle w młynie. Goryl cuci go siarczystym policzkiem, potem poprawia z drugiej strony, choć więzień się obudził. Podnosi go na nogi i odwraca mu na siłę głowę w kierunku don Alberta.*

ALBERTO LAMBORDINI - Vittorio Matta, człowiek, który zmartwychwstał. Zdradzisz mi tajemnicę?

VITTORIO MATTA - Tetrodoksyna, po wstrzyknięciu wywołuje letarg, ze wszystkimi objawami śmierci.

ALBERTO LAMBORDINI - Ładny numer. Zawsze robiłeś piękne numery, Matta. Planujesz jakiś na dzisiaj? Gdzie mała?

VITTORIO MATTA - Mój człowiek wywiózł ją wczoraj.

ALBERTO LAMBORDINI - Pytam, gdzie?!

VITTORIO MATTA - Na policję.

ALBERTO LAMBORDINI - Sukinsynu.

VITTORIO MATTA - Lambordini...To jest pierwszy z dwóch numerów, które przygotowałem dla ciebie na dzisiaj. Gliny są już w drodze.

ALBERTO LAMBORDINI - Nie łudź się. W ciągu pięciu minut nie zdążą.

VITTORIO MATTA - Dlaczego, pięciu?

ALBERTO LAMBORDINI - Obaj wiemy, że nie sama śmierć jest najgorsza, lecz oczekiwanie na nią. Gdy już jest nieuchronna. Ostatnie kilka minut, każdego ze skazańców. Taki właśnie numer mam dla ciebie, Matta. Umrzesz trzysta razy, czekając przez trzysta sekund na wielkie bum. Już nic nie wymyślisz, spryciarzu, ciao. Powiem ci, kiedy masz zacząć odliczać do trzystu.

Przygotuj się, Matta. Zaraz, zaraz, jeżeli dobrze usłyszałem, przygotowałeś dla mnie na dzisiaj dwa numery, Matta. Drugiego nie zdążysz już wykonać przyjacielu. Wiesz, ale umarłbym z ciekawości, nie dowiedziawszy się o ostatnim twoim numerze, Matta.

*Vittorio ignoruje roześmianą twarz Lambordiniego, składa ręce jak do modlitwy i wznosi oczy ku niebu, a raczej sufitowi.*

**VITTORIO MATTA** - Dwieście dziewięćdziesiąt dwa, dwieście dziewięćdziesiąt trzy, dwieście dziewięćdziesiąt cztery...

*Lambordini z błyskiem zrozumienia rzuca się do detonatora. Jeden rzut oka objaśnia mu ostatni numer rywala.*

**ALBERTO LAMBORDINI** - Mattaaaaaaa!!!!

*Potężny wybuch zmiata z powierzchni ziemi wiatrak, grzebiąc pod gruzami obu bossów.*

## **73. GRIMSBY. Ranek. 9 listopada 1975 roku.**

*Kawaleria, w postaci oddziału policji, jak zwykle dociera za późno. Policjanci szperają po pobojowisku.*

**PORUCZNIK BRIDGES** - Cholera, się o włos spóźnili. Przecież tu wszystko jeszcze gorące.

**POLICJANT** - Co?

**PORUCZNIK BRIDGES** - Mówię, że spóźniliśmy się!

**POLICJANT** - Na to wygląda.

*Porucznik podnosi z ziemi nadpaloną fotografię Matty.*

**POLICJANT** - Kto to jest, panie poruczniku?

**PORUCZNIK BRIDGES** - Spytaj lepiej, kto to był.

## SPIS TREŚCI

<b>Część I</b> .....	6
<b>BYŁ SOBIE POLICJANT...</b> .....	6
FACET O ŁADNYM NAZWISKU.....	7
BESTSELLER.....	22
SELEKCJA.....	38
HISZPAŃSKA SZPADA.....	52
<b>Część II</b> .....	65
<b>BYŁ SOBIE CZAS</b> .....	65
PROFESORA MEADOWSA TEORIA KOŁA.....	67
OPERACJA „WATERLOO”.....	82
ELIKSIR MŁODOŚCI.....	98
ODWET WIELKIEGO MUGA.....	112
<b>Część III</b> .....	120
<b>BYŁ SOBIE STRACH</b> .....	120
ŚMIERĆ MOTYLA.....	122
NIEŚMIAŁY.....	135
POKEROWY BŁĄD (opowiadanie przyjaciela).....	150
TWOJA MAMUSIA MUSI BYĆ ŚLICZNA.....	164
<b>Część IV</b> .....	180
<b>ŁYSIAK FICTION</b> .....	180
DWA ŻŁOTE GROCHY.....	181
WRZÓD.....	190
REINKARNACJA BLAKEYA.....	198
EL TORO.....	206
SCIENCE–REALITY nr 44.....	213
ANIMOWANIE (DRAMA W SIEDMIU AKTACH).....	219
Akt I — Aresztowanie.....	219
Akt II — Przesłuchanie wstępne.....	220
Akt III — Przesłuchanie zasadnicze.....	222
Akt IV — Proces (dzień pierwszy).....	230
Akt V — Proces (dzień drugi).....	231
Akt VI — Sentencja wyroku.....	232
Akt VII — Samotność długodystansowca.....	234
SELEKCJA (scenariusz trzech odcinków teatru telewizyjnego).....	235
1. DALLAS. Poniedziałek rano.....	235
2. BOSTON. Wtorek rano.....	235
3. SAN FRANCISCO. Środa rano.....	236
4. NOWY JORK. Podziemny garaż. Środa wieczorem.....	236
5. NOWY JORK. Okolice garażów. Noc ze środy na czwartek.....	239
6. NOWY JORK. Noc ze środy na czwartek.....	240
7. WOLF POINT. Stan Montana. Czwartek 18:43.....	243
8. WOLF POINT. Czwartek. 20:15.....	247
9. WOLF POINT. Noc z czwartku na piątek.....	250
10. WOLF POINT. Piątek. 9:05. Pokój na parterze.....	251
11. WOLF POINT. Piątek. 9:35.....	252
12. WOLF POINT. Piątek. 13:00. Pokój na parterze.....	253
13. WOLF POINT. Piątek. 17:40. Pokój na parterze.....	253

14. WOLF POINT. Noc z piątku na sobotę. Pokój na parterze.....	254
15. WOLF POINT. Sobota. 9:10. Pokój Callaghana.....	256
16. WOLF POINT. Sobota. Rano. Pokój na parterze.....	257
17. WOLF POINT. 12:20. Sobota. Pokój na parterze.....	258
18. WOLF POINT. 7:30. Niedziela. Pokój na parterze.....	260
19. WOLF POINT. 14:47. Niedziela. Pokój na parterze.....	261
20. WOLF POINT. 15:00. Niedziela. Pokój Callaghana.....	261
21. WOLF POINT. 16:52. Niedziela. Pokój na parterze.....	262
22. WOLF POINT. 18:05. Prysznic.....	263
23. WILLA MATTY. Dallas.....	264
24. POKÓJ PRZESŁUCHAŃ W SIEDZIBIE FEDERALNEGO BIURA ŚLEDCZEGO. Dallas. 24 maja 1970 roku.....	266
25. MIESZKANIE ZASTĘPCY VITTORIA MATTY – DON ANTONIA ACCARDO. Dallas. 28 maja 1970 roku.....	268
26. ROZMÓWNIKA ADWOKACKA W WIĘZIENIU STANOWYM. 2 czerwca 1970 roku.....	268
27. SALA BALETOWA PRYWATNEJ SZKOŁY im. WEBSTERA W DALLAS. 3 czerwca 1970 roku.....	270
28. WIĘZIENIE STANOWE W DALLAS. 4 czerwca 1970 roku.....	270
29. NOWY JORK. Ruiny starej fabryki w Bronxie. 11 czerwca 1970 roku.....	272
30. CELA VITTORIA MATTY W WIĘZIENIU STANOWYM W DALLAS. 11 czerwca 1970 roku.....	273
31. NOWY JORK. Ruiny starej fabryki w Bronxie. Noc z 11 na 12 czerwca 1970 roku.....	274
32. SĄD OKRĘGOWY W DALLAS. 29 czerwca 1970 roku.....	274
33. WIĘZIENIE FOLSON W SAN QUENTIN. 30 czerwca 1970 roku.....	274
34. SALA WIDZEŃ W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUENTIN. 10 lipca 1970 roku.....	275
35. DZIEDZINIEC SPACEROWY WIĘZIENIA FOLSON W SAN QUENTIN. 10 lipca 1970 roku.....	277
36. SZPITAL W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUENTIN. 29 lipca 1970 roku.....	277
37. SZPITAL W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUENTIN. 4 sierpnia 1970 roku.....	278
38. MIESZKANIE ANTONIA ACCARDO W DALLAS. 5 sierpnia 1970 roku.....	279
39. SZPITAL W WIĘZIENIU FOLSON W SAN QUENTIN. 6 sierpnia 1970 roku.....	280
PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ.....	280
40. MIASTECZKO VILLENEUVE-SUR-YONNE WE FRANCJI. 18 Maja 1975 roku. Noc.....	280
41. GABINET DYREKTORA HOTELU „VIRGINIA” W LAS VEGAS. 28 czerwca 1975 roku.....	282
42. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. 29 czerwca 1975 roku.....	283
43. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Gabinet gry. 30 czerwca 1975 roku. 9:40.....	285
44. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa. 30 czerwca 1975 roku. 14:30.....	286
45. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Gabinet gry. 30 czerwca 1975 roku. 17:10.....	286
46. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartamet Kristophorosa.....	288
47. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Gabinet gry. 1 lipca 1975 roku. 1:10.....	290
48. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa. 1 lipca 1975 roku. 3:15.....	290
49. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa. 1 lipca 1975 roku. 10:15.....	291
50. NOWY JORK. Port. 5 września 1975 roku.....	291
51. HOTEL „VIRGINIA” W LAS VEGAS. Apartament Kristophorosa.....	292
52. DALLAS. Bar. 23 września 1975.....	293
53. DALLAS. Willa don Vittoria. 24 września 1975 roku.....	294
54. SALA BALETOWA PRYWATNEJ SZKOŁY im. WEBSTERA W DALLAS. 3 czerwca 1970 roku.....	295

55. NOWY JORK. 2 października 1975 roku. ....	295
56. NOWY JORK. Przydrożny bar. Wieczór. 10 października 1975 roku. ....	296
57. BOSTON. 14 października 1975 roku. ....	297
58. NOWY JORK. Przydrożny bar. Wieczór. 18 sierpnia 1975 roku. ....	299
59. BOSTON. Noc z 29 na 30 października 1975 roku. ....	299
60. BOSTON. 30 października 1975 roku. ....	300
61. NOWY JORK. 30 października 1975 roku. ....	300
62. BOSTON. 30 października 1975 roku. ....	301
63. LEXINGTON. Stadnina koni myśliwskich. 2 listopada 1975 roku. ....	302
64. BOSTOŃSKI PORT LOTNICZY. 3 listopada 1975 roku. ....	303
65. GRIMSBY (STAN NEW JERSEY). Stary, opuszczony młyn. 7 listopada 1975 roku. Wieczór... .....	304
66. BOSTON. Siedziba Alberto Lambordiniego. 7 listopada 1975 roku. ....	306
67. GRIMSBY. 8 listopada 1975 roku. ....	307
68. GRIMSBY. Noc. 8 listopada 1975 roku. ....	308
69. LEXINGTON. 8 listopada 1975 roku. ....	311
70. BOSTON. Siedziba Alberto Lambordiniego. 8 listopada 1975 roku. ....	311
71. GRIMSBY. 8 listopada 1975 roku. ....	312
72. GRIMSBY. Noc z 8 na 9 listopada 1975 roku. ....	314
73. GRIMSBY. Ranek. 9 listopada 1975 roku. ....	317
<b>SPIS TREŚCI</b> .....	318





eżeli uznacie , że opowiadania,  
które znajdują się na następnych stronach,  
to kryminały, czy historyjki o zbrodniach  
i karach - będziecie mieli rację, ale niech  
Bóg zlituje się nad wami. W istocie są to  
apologetyczne portrety Perfidii, która  
rządzi obrotami ludzkich spraw,  
niewidoczna u źródeł, lecz zabójcza w  
finałach. Zważcie, iż każdy zostaje tu  
oszukany, a najbardziej wy przy końcu  
każdej z tych bajek, albowiem dwa razy dwa  
tylko czasami równa się cztery. Czuwa nad  
tym bogini Perfidia, bez której życie byłoby  
smutne jak bat bez grzbietu.